

ABRAHAMS PETER

Zawrot glowy

Molly Friedrich

Koncowy efekt to skutek odrzuconych odkryc.

-Picasso

Serdeczne podziekowania Jeffowi Abrahamsowi, Davidowi Chapmanowi, Niki Cohen, Nickowi Fotiu i Jeffowi MacKilliganowi

Rozdział 1

Czasem umarli żyją dalej w naszych snach. Delia siedziała jak żywa na ogrodzeniu tarasu z widokiem na tropikalną zatokę w dole i machała bosymi nogami. Nigdy nie wyglądała lepiej. Urzekła Isniacą opalenizną jedrznego ciała i piwnymi oczyma upstrzonymi złotymi plamkami, zmruczonymi jak zawsze, kiedy chciała powiedzieć coś śmiesznego. Usta miała lekko rozchylone, pociągnięte błyszczącym, w którym igrało słońce, i coś mówiła, ale tak cicho, że nie słyszał jej słów. Doprowadzało go to do szalu. Kiedy jednak z niezatopionej we śnie strefy mózgu otrzymał sygnał, że ta migocząca zatoka znajduje się na wenezuelskim wybrzeżu, tropikalne słońce przygasło. Wenezuela - już sama nazwa kraju wytracała go z równowagi. Na skroni Delii zaczęła pulsować niebieska żyłka w kształcie błyskawicy. Raptem nastąpiło załamanie pogody, zerwał się zimny wiatr, potargał Delii włosy. Aura się pogorszyła. Roy wyciągnął rękę, żeby je przyglądać, ale poczuł, że to nie jej włosy, bo są cieńsze i proste, a nie kręcone.

Otworzył oczy. Zimowe światło, oszronione szyby, plakaty mistrzów narciarskich na ścianach - pokój Jen.

-Zawsze nienawidziłam facetów, którzy to robią - oznajmiła Jen chrapliwym, zaspanym głosem.

Odwrocił głowę. Patrząc teraz na niego oczy - nie piwne, lecz jasnoniebieskie - też były na swój sposób piękne.

-Co robią? - spytał.

-Dotykają moich włosów. - Cofnął rękę. Włosy blond, a nie szatynowe, o szczególnym odcieniu, również przetykane złotem. - Ale tobie wolno.

Zawiesiła głos, jak gdyby czekała na reakcję Roya. Nie miał jednak pomysłu, jak zareagować. Leżeli obok siebie. Jen była bardzo piękna kobieta, cere miała może zbyt ogorzała, ale tym bardziej podobała się Royowi. Koncówka snu rozsypała się w drobny mak i znikła.

-Dobrze się czujesz? - zapytała Jen.

-Dobrze.

Pogłaskała go nogą pod koldra.

-Wczoraj przyszła niespodziewana wiadomość.

-Dobra? - spytał.

-Raczej tak. Dostałam ofertę pracy.

-Co to za praca?

-Taka sama jak obecna - odrzekła Jen. Prowadziła szkołę narciarską w Mount Ethan, dwadzieścia minut drogi od domu. - Tyle że na dużo większą skalę, za dwa razy większe pieniądze.

-Gdzie? - spytał Roy, pomyślawszy o pobliskim Stowe lub nieco dalszym Killingtonie.

Spojrzała w bok.

-W Keystone - powiedziała.

-Przecież to jest w Kolorado!

Skinela głowa. Po czym wrocila znow do niego wzrokiem, jak gdyby chciała przejrzec go na wylot, odczytac jego mysli.

-No tak - skomentowal.

Zaraz potem omal nie dodal: W takim razie moze sie pobierzemy? Bo przeciez trwali w stalym związku dwa lata, niby chodzili ze soba, ale wlasciwie mieszkali razem. Dlaczego nie posunac sie krok dalej? Nie brakowalo im poczucia bezpieczenstwa, czulosci, namietnosci. Dzielila ich wprawdzie roznica wieku, bo on mial prawie czterdziesci siedem lat, a Jen trzydziesci cztery, poza tym ona chciała miec dzieci, a on nie, ale co z tego? Usmiechnal sie do niej.

-Co tak? - spytala.

Juz mial wypowiedziec te wazkie slowa: W takim razie moze sie pobierzemy? Nagle uznal jednak, ze pytanie jest za wazne, zeby je tak wypalic. Stac go na wiecej. Moze bardziej elegancko wypadna oficjalne oswiadczyni, na przyklad w piatek wieczor w Pescatore? Powstrzymal sie wiec i powiedzial tylko:

-Moje gratulacje.

-Z jakiego powodu?

-Z powodu oferty pracy.

-Dzieki - odparla Jen. - Bede ja musiala, oczywiscie, przemyslec. Kolorado jest bardzo daleko.

-Rozumiem - powiedzial Roy, wnoszac z ostatniej uwagi na temat odleglosci, ze w piatek powie "tak". Jeszcze tylko dwa dni. Obrotny z niego facet.

Jen wstała i wyszła do łazienki. Kiedy Roy usłyszał szum prysznica, zarezerwował przez telefon najlepszy stolik w Pescatore na piątek o poł do osmej wieczorem. Po odłożeniu słuchawki przypomniał sobie swoje jedyne poprzednie oświadczenia. Noc, mała sypialnia w Foggy Bottom, w jego pierwszym własnym mieszkaniu, niebieskie światło radiowozu przejeżdżającego ulicą H oświetliło twarz Delii. Wtedy po prostu wypalił spontanicznie.

Roy mieszkał w pol drogi na północ we wschodniej części Ethan Valley w adaptowanej na dom stodoły, którą kupił z Delią za bezcen z przeznaczeniem na dachę. Nie mieli wtedy pieniędzy. Delia dopiero od niedawna pracowała w Instytucie Hobbesa, centrum specjalistów zajmujących się problemami gospodarczymi Trzeciego Świata, a prace Roya nie zaczęły się jeszcze sprzedawać. Od razu rozesmiali jej się oczy na widok podupadłej stodoły z kolonią nietoperzy i nielegalnie zagnieżdżonymi hipisami do kompletu. Remont zrobili sami, to znaczy Roy wykonywał wszystkie prace sam, a Delia, niczym księżniczka z bajki, wciąż wysuwała niewykonalne zadania. Tylko on poznał ją z tej strony, bo dla innych była świeżo upieczonym doktorem ekonomii z Georgetown. W robotach remontowych nie potrzebował niczyjej pomocy. Zawsze miał smykałkę do prac manualnych. Inni znajomi rzeźbiarze nauczyli się spawania specjalnie do pracy twórczej, on natomiast przeszedł odwrotną drogę. Co roku na wakacjach przez całą szkołę średnią i studia pracował w Warsztacie Mechanicznym i Obróbki Metalu Kinga w swoim rodzinnym miasteczku w Maine. Teraz, kilka godzin po wyjściu Jen, sterczał w środku urwanego niejako łuku wykonanego głównie ze starych chłodnic samochodowych zespawanych końcami, a każda zwrócona w nieco inną stronę, co przypominało mu metodę animacji poklatkowej i wywołało niezamierzony efekt, chyba jednak nie bardzo pozadany. Roy stał u szczytu drabiny, ponad pięć metrów nad ziemią, prawie pod dachem stodoły, na plecach miał przypięte butle z tlenem i acetylenem w przerobionym aparacie

nurkowym, a budowa luku dopiero się rozpoczęła. Jedną ręką chwycił się drabiny, w drugiej trzymał latarkę i czekał na natchnienie. Tu i tam przemykały mu przez głowę jakies kształty, ale nie wychodziły z cienia, nie nabierały wyrazistości, pozostawały nieuchwytnie. Na dole zadzwonił telefon.

Włączyła się sekretarka automatyczna.

-Cześć - przywitał się znajomy właściciel złomowiska Szrot i Odzysk, największy dostawca Roya. - Mówi Murph. Chyba mam coś dla Ciebie.

Klik.

Roy zszedł z drabiny. Na ostatnim szczeblu stało się coś dziwnego, zabrakło mu tchu. A przecież cieszył się dobrą formą, i to od dawna. Dlatego osłupiał, chociaż często się zdarza, że ktoś ma kłopoty z oddechem. Czyżby za bardzo odpuścił sobie ostatnio codzienne ćwiczenia? Poprzedniego dnia przebiegł dziesięć kilometrów ze stodoły na parking dla narciarzy biegowych, a w niedzielę przez cały rano obszedł na rakietach śnieżnych pętle na niższej grani, mijając po drodze grupę młodych ludzi w studenckim wieku biorących udział w nieznanych mu zawodach. Czyżby miał tremę przed piątkowym wieczorem? Najwyraźniej. Trema nie zna ograniczeń wiekowych. Bardzo to było irytujące, wbrew logice, ale zgodne z prawdą, przynajmniej w jego wypadku.

Po południu zjechał do doliny, żeby odwiedzić Murpha. Musiał w tym celu minąć skwer przed Centrum Ethana. Na końcu stał Neandertalczyk numer dziesiętnastki, ostatni z cyklu, który przysporzył mu sławy. Roy podarował go miastu niedługo po śmierci Delii. Lubił patrzeć na niego w zimie, kiedy czapy śniegu zaokrąglają płaskie powierzchnie, podkreślając cechy typowe dla neandertalczyków. Cechy, w które wcale ich świadomie nie wyposażył. Zarówno tytuł cyklu, jak i pomysł, żeby dopatrzeć się neandertalczyków w tych wielkich formach, pochodziły od Delii. Zawsze miał przekonanie, że to ona dała impuls do rozpoczęcia tego cyklu, a jednocześnie całej jego kariery.

-Chłapiemy po jednym? - spytał Murph.

Siedzieli w kantorku z widokiem na dziedziniec. Nie czekając na odpowiedź, rozlał Jacka Daniela do dwóch kubków od kompletu. Kubek reklamujący olej Valvoline podsunął Royowi.

-Ty też, Skippy? - rzucił przez ramie.

-Co też? - zapytał Skippy skulony w kacie przy komputerze.

Skippy był siostrzencem Murpha, przyszczatym wyrostkiem, którego kilka tygodni wcześniej wyrzucono z Liceum Ogólnokształcącego w Valley.

-Też chłapiesz? - spytał Murph.

-Daruję sobie - powiedział Skippy, stukając w zatłuszczone klawisze.

Murph unosił kubek.

-Za odzysk.

-Za odzysk - zawtorował Roy.

Brzek.

-Poczekaj, aż sam zobaczysz - zapowiedział Murph.

-Ale co to jest? - spytał Roy.

Wyrzwał przez brudne okna. Na całe hektary złomu i wraków na dziedzińcu Murpha przyszył śnieg, a zachodzące za górami słońce powlekalo wszystko pomarańczowym blaskiem.

-Nie uwierzysz - emocjonował się Murph.

-Zaryzykuj - poprosił Roy.

-Skippy, skocz na podworko - rzucił Murph - i przynies obiekt.

-Jaki obiekt? - zapytał Skippy.

-Rany boskie, no, ten dla pana Valois. Przed chwilą o nim rozmawialiśmy.

Skippy odsunął się na obrotowym krześle i poczłapał na dwór, nie zasznurował nawet butów. Tłuste strąki włosów opadały mu na oczy.

-Dzieciak mojej siostry - powiedział Murph.

-Wiem.

-Wylali go ze szkoły.

-Słyszałem.

-Co ja z nim pocznę?

Drzwi się otworzyły, wrócił Skippy. Miał płatki śniegu we włosach i niosł powykręcany przedmiot ze stali. Położył go na biurku - niemal idealna stalowa obwódka w kształcie korony, dużo za duża na ludzką głowę, utworzona z dwóch splecionych, poczerniałych... no właśnie, z czego?

-Poznajesz? - spytał Murph.

-Nie.

-Dwie łopatkę śmigła - wyjaśnił Murph. - Od tego śmigłowca, który rozbił się w zeszłym miesiącu na Gorze Waszyngtona.

Roy podniósł je. Były cięższe, niż przypuszczał, i zimne, bo przyniesione prosto z dworu. Dziwne połączenie piękna i brzydoty - najpierw skojarzyły mu się z cierniową koroną, a po chwili z obrączką ślubną.

-Pomyśl, jakie siły musiały je tak ukształtować - entuzjastmował się Murph. - Chocby tutaj. Zobacz, jak się stał rozciągnięty.

Murph zaskrzeczał, parodiując zgrzyt rozciąganego metalu.

Roy wiedział coś o sile towarzyszącej katastrofie helikoptera. Drzącymi rękami odłożył łopatkę.

-Ile za to chcesz? - spytał.

-Widzisz, Skippy? - powiedział Murph. - A nie mówiłem?

-Czego? - mruknął Skippy znad komputera.

-Ze się zainteresuje. - Murph dołal Jacka Daniela. - Jak nic zostanie takim, jak mu tam, od sztuki.

-Koneserem - odpowiedział Skippy, nie podnosząc oczu.

Murph spojrział ze zdziwieniem, unosił krzaczaste brwi.

-O własnie, koneserem. - Postukał brudnym paznokciem w krawędź smigła. - Co byś powiedział na dwadzieścia dolarów?

-Dziesięć - odparował Roy.

Stano na piętnastu.

Roy załadował obiekt na tył polciezarówki i ruszył. Jeszcze nie dojechał do bramy złomowiska, kiedy bezwiednie zahamował, jak gdyby noga myślała za niego. Wysiadł, przeniósł obiekt do szoferki, położył na siedzeniu pasażera. Nie tyle obiekt, ile fragment, i to najważniejszy, do urwanego luku, który powstawał w jego stodole. Ta korona, ta obęcz miała własny charakter. Roy czuł jej obecność u swojego boku.

Tego dnia przez dolinę przetoczyła się gwałtowna burza. Najpierw zaczął śnieg, potem deszcz ze śniegiem, a później znowu śnieg; wichura łomotała w okna stodoły, ale Roy stał na drabinie, całkiem nieswiadomy, co się dzieje na dworze. Urwany łuk ze starych chłodnic, powykręcana obroż z rozbitego helikoptera, nawet efekt animacji poklatkowej - wszystko razem zagrało, chociaż ich znaczenie objawiło mu się stopniowo dopiero w nocy. Najtrudniej było przezwyciężyć pokusę, żeby uznać te powyginane łopatki smigła za zwornik łuku, brakujące ogniwo, na które urwany łuk czekał, by stworzyć znowu całość. Łuk zawsze był i miał pozostać urwany. Obroż stanowiła tylko marzenie, co najwyżej niewykorzystana możliwość. Nie mogła zatem szczelnie wypełnić brakującego miejsca ani idealnie się wpasować. Musiała odstawać, sprawiać wrażenie kruchej struktury, która łąda chwila może się rozpaść. Problem w tym, jak taki efekt osiągnąć? Kiedy Roy w swoim mniemaniu rozwikłał problem, świat oszklilił okna mlecznym blaskiem, czego rzeźbiarz zasłonięty ciemną maską spawalniczą nie zauważył. W końcu zdecydował się tylko na trzy zgrzeiny, tak chropowate, niezgrabne i pospolite, jakie potrafił uzyskać. Zespawał je gładko lampą lutowniczą, a przerywając proces spajania i bawiąc się płomieniem, uzyskał efekt zbliznowacenia na i tak już zniszczonej powierzchni. Diabła tam, jeszcze chwila polutuje. Tak się rozpedził, że na koniec przypalił jeszcze tu i owdzie, bo dostał takiego napędu, jak gdyby chciał komuś obić twarz.

Kiedy zszedł z drabiny, pot ściekał mu po policzkach. Podniósł maskę, obszedł swoje dzieło u podstawy, obejrzał je ze wszystkich stron, zwłaszcza pod najgorszymi katami. Różne myśli cisnęły mu się do głowy. Najpierw: Tak. Potem: Może. Podchodził, odchodził, aż wreszcie wyjrzał przez okno. Zobaczył wysokie zasy, zwalone drzewa, wielkie galezie wbite w śnieg niczym dzidy cisnięte przez olbrzymów. I wtedy przyszedł mu do głowy tytuł: Delia. Nie Delia numer jeden, bo to był początek, środek i koniec. Dotarło do niego, co stanowi temat przewodni jego dzieła - kulminacja. Dlatego jednocześnie zaczął tesknie wyglądać piątkowego wieczoru w Pescatore.

Zdjął z pleców butle gazową. Wziął głęboki oddech, jak zawsze, kiedy chciał fizycznie dać wyraz satysfakcji, że coś zakończył, w poczuciu, że niebawem czeka go zasłużony odpoczynek. Kiedy wypuszczał powietrze, coś go polaskotało w gardle. Zakasłał raz i cicho. Laskotanie ustąpiło, ale rozkasłał się na dobre. Poszedł do kuchni, zanosiąc się kaszlem, odkrecił kran i wypił łyk zimnej wody.

Kaszleł ustąpił, ale tylko na chwilę. Nagle z gardła Roya wyrwał się głęboki charkot, tak mocny i gwałtowny, że trudno go uznać za kaszel. Roy zaczął się krztusić i wypluł wodę, która zgęstniała w zlewie i przybrała czerwony kolor. Właściwie najpierw różowy, lecz zaraz potem szkarłatny, i pociekła wolno do rur.

Następny oddech przyszedł mu bez trudu, podobnie jak wszystkie kolejne. Roy usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zarwał noc. Nie pamiętał. Nigdy więcej, staruszkę. Z oddali dobiegł go warkot pily łańcuchowej.

Rozdział 2

-Niesamowite! - zawołał Krishna Madapan, marszałek Roya, obchodząc Delie. W piątek rano drogi znowu były przejezdne i Krishna wstąpił do Roya, jadąc z Nowego Jorku do Stowe na weekend. Cały ubrany na czarno prezentował wielkomięską elegancję, tyle że dzisiaj łączył dodatkowo cechy mieszczucha z miłośnikiem pleneru, bo miał na sobie spodnie narciarskie i futro z norek. - Mogę wyrazić swoją opinię?- A gdybym odmówił? - spytał Roy.

Krishna zamrugnął, bo zawsze tak reagował, kiedy ktoś próbował zbicić go z tropu, i ciągnął swoje.

-To twoja najlepsza praca - oznajmił. - Bez urazy, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Nie ujmując nic poprzednim, ta jest po prostu najlepsza.

-Sam nie wiem - zastanowił się na głos Roy, spoglądając na rzeźbę. Dzisiaj we wszystkim dopatrywał się uchybień.

-Nic dziwnego, że nie wiesz - skwitował Krishna. - Dlatego jesteś, kim jesteś. A ja, pozwolę sobie dodać, też dlatego jestem, kim jestem.

Roy nie bardzo zrozumiał, ale nie zdążył poprosić o wyjaśnienie, bo Krishna wyjął telefon komórkowy.

-Do kogo dzwonisz? - spytał Roy.

-Do kierowcy - odparł Krishna.

Roy wyrzucił przez okno i zobaczył, że marszałek przyjechał limuzyną. Kierowca odłożył gazetę i otworzył telefon z klapy.

-Bądź tak dobry - poprosił Krishna - i przynies mi aparat fotograficzny.

Kierowca zrobił minę, ale dojrzał go tylko Roy. Już po chwili szedł drożka z aparatem w ręce, ślizgając się, bo miał miejskie buty na skórzanych podeszwach.

Krishna obfotografował Delie ze wszystkich stron.

-Co to za obiekt trouvé na szczycie? - spytał. - Za skarby świata nie mogę go rozpoznać.

Roy powiedział mu, co to jest.

-No tak - odparł Krishna i lypnął okiem z ukosa na Roya. Znal Delie, co więcej, poznał ich ze sobą. - Najlepsza praca - powtórzył ciszej, jakby do siebie, może nawet ze wzruszeniem. Postawił kolnierz futra, jak gdyby się ochłodziło. Zauważył, że kierowca z rozdziawionymi ustami również ogląda rzeźbę. - Jak masz na imię? - spytał.

-Luis - odparł mężczyzna i przedkro sie odwrocil, jak gdyby przylapano go na goracym uczynku.

-I co sadzisz o tym dziele sztuki, Luis? - zagadnal go Krishna.

-Ja? - spytal Luis.

-Tak, ty.

Luis oblizal wargi.

-To chlodnice, prawda?

Krishna skinal glowa.

-Zwykle chlodnice samochodowe.

-Tak myslalem - powiedzial Luis. - I mimo wszystko to jest sztuka? - Wpatrywail sie jeszcze chwile. -
Dziwne.

-Dlaczego dziwne? - spytal Krishna.

-Dlaczego dziwne? - powtorzyl Luis. Zastanowil sie. - Bo przypomina mi to...

Ponownie zamilkil.

-Co? - dopytywail Krishna.

-Godzine szczytu na autostradzie Long Island.

-Na autostradzie? - zaciekawil sie Krishna.

-Wie pan, jak tam bywa - wyjasnil Luis. - Ale mnie chodzi o sytuacje sprzed kilku lat, w marznacym deszczu. Wszyscy jechali bardzo wolno, co jednak nic nie dalo, bo i tak zdarzyła sie kraksa... tuz przede mna, jakby w zwolnionym tempie.

-Kraksa w zwolnionym tempie? - spytal Krishna. Spojrzal wymownie na Roya, jak gdyby czegos dowiodl.

Luis zrozumial opacznie jego wymowne spojrzenie.

-Nie mialem na mysli nic zlego - dodal. Popatrzyl na Roya. - Pan jest autorem tego dzieła?

Roy skinal glowa.

-Bez obrazy - powiedzial Luis.

-Wcale mnie pan nie obrazil - zapewnil go Roy.

Niezła recenzja, nie ma co. I to z ust kierowcy limuzyny, a nie nowojorskiego krytyka z Bog wie jakim dorobkiem, chocby najznakomitszego. Nagle Roy poczul rozpierajaca dume, nawet wieksza niz chwile potem, gdy Krishna w drodze do wyjscia uscisnal mu reke i powiedzial:

-Zobaczysz, przyjacielu, wzmianka o tym dziele trafi na poczatek twojego nekrologu. Co wazniejsze, juz mam pomysl na zainteresowanie kilku nabywcow. Sposrod samej smietanki... ktora spijemy rowniez ja i ty.

Rozesmiał się. Roy mu zawtórował. Nie tyle rozradowany perspektywą dobrej sprzedaży, bo potrzeby miał niewielkie i zaspokajał je aż nadto, ile Krishna, który tak potrafi cieszyć się życiem.

Odprowadził gości do drzwi. Luis otworzył Krishnie tylne drzwiczki limuzyny. Marszałek wsiadł, podwijając ostrożnie futro z norek. Ale i tak przytrzasnął sobie niechcący róg, czego nie zauważył nikt poza Royem.

Wrócił drożka. W trzech oknach stodoły zobaczył fragmenty Delii. Efekt był piorunujący. Stał jak wryty i wciąż tam stał, kiedy podjechał zżarty rdza samochód i zahamował z piskiem opon. Wyskoczył Skippy.-
Dzień dobry, panie Valois - przywitał się.

Z ust wzbil mu się obłok pary.

-Tak?

Chłopak tylko chrząknął, ale znowu wleciał obłok pary, jakby puszczał znaki dymne.

-Mow, o co chodzi.

Skippy jeszcze raz chrzaknal.

-No wiec chcialem powiedziec, ze przyjrzałem sie tej, jak jej tam, pana rzeźbie, na skwerze. - Urwał. - Oczywiście widziałem ja wcześniej milion razy. Ale wczoraj specjalnie poszedłem, żeby ja sobie obejrzeć.

-I co?

-I wie pan, wujek Murph twierdzi, że pan nie gryzie.

-Że nie gryzie?

-Poradził, żebym sam przyszedł i zapytał. Że w najgorszym wypadku pan odmówi.

-O co chciales zapytać?

-No własnie - podchwycił Skippy. - Z tym przychodzi. Mam nadzieje, że sie pan nie...

Roy zaczął tracić cierpliwość, tym bardziej przy temperaturze minus dwadzieścia. A Skippy, podobnie jak większość miejscowych wyrostków, w przeciwieństwie do narciarzy, kolekcjonerów antyków oraz urlopowiczów z miasta, nie ubierał się na mroz. Dzisiaj miał na sobie dzinsy, rozchełstana wiatrowkę i adidasy. Nie miał rekawiczek ani czapki, nic dziwnego, że ciekło mu z nosa.

-Wejdz - zaprosił go Roy.

-No dobra - powiedział Skippy.

Chłopak wszedł do środka, rozejrzał się. Jego wzrok spoczął na Delii i tam pozostał. -Juz rozumiem, do czego były panu potrzebne te chłodnice.

-Właśnie.

-A u góry zamontował pan to skrecone smigło. - Skippy obszedł postument z zadartą głową, odsłaniając przy tym dwa czerniałe zęby. - Ile to ma metrów?

-Siedem metrów, trzydziści sześć centymetrów do czubka wygiętej łopaty - powiedział Roy.

-I co, da mu pan numer dwadzieścia? - zapytał Skippy. - Z cyklu Neandertalczyków?

-Nie.

-Wcale nie wygląda na neandertalczyka - dodał Skippy. - To byli jaskiniowcy, co nie?

Roy skinął głową.

-A co się kryje za tym?

Roy się uśmiechnął.

-Trudno wyrazić to w słowach.

-Przepraszam - bąknął Skippy.

Uciekał spojrzeniem od wzroku Roya, skrywając oczy za opadającymi strakami tłustych włosów.

-Nie masz co przepraszać - powstrzymał go Roy. Dotknął bliższego filaru łuku. - Nazywa się Delia.

Skippy podniósł wzrok.

-Czyli to jest tak jakby konkretna osoba?

-Niezupełnie.

-Wymyślona?

-Nie. Rzeczywiście odwołuje się do konkretnej osoby, ale wiernie jej nie przedstawia.

-Czyli istnieje prawdziwa Delia?

-Tak, moja pierwsza... moja żona - wyjaśnił Roy. - Umarła prawie piętnaście lat temu.

A dokładnie czternaście lat, osiem miesięcy i dwa tygodnie.

-O rany.

Zapadło milczenie, chociaż wcale nie niezręczne. Bo już po chwili Roy poczuł się, jak gdyby w pomieszczeniu znajdowały się trzy osoby, które całkiem niezłe się porozumiewają.

-Zginęła w wypadku helikoptera - dodał. - Przy granicy wenezuelskiej.

Skippy natychmiast spojrzął na wykrecone łopaty pod sufitem.

-Delia usiłowała nauczyć miejscową ludność hodować ananasy - powiedział Roy. - Zaplanowała wszystko ze szczegółami: areal, marketing, nawodnienie.

-Czy wujek Murph wie, jak ona... - zaczął Skippy, ale urwał.

Roy pokręcił głową.

-Wtedy nie znalazłem twojego wuja.

Zresztą Roy niewiele mówił na temat Delii. Jeśli wypłynęła kwestia jej śmierci, zwykle informował zwierzę, że zginęła w katastrofie helikoptera. Tak właśnie przekazał mu tę wiadomość Tom Parish, szef

Delii, w pierwszej rozmowie telefonicznej. Roy, niestety, mam dla ciebie zła wiadomość. Szczegóły - burza, awaria techniczna, helikopter - nadeszły później, razem z ciałem.

-O rany - powtórzył Skippy.

Mozna by rzec, z dwoma ciałami, bo Delia była wtedy w trzecim miesiącu ciąży.

-Skippy, ile ty masz lat?

-Szesnascie - powiedział chłopak. - Ale można na mnie polegać. Niech pan spyta wujka Murpha.

-Nie wątpię - uspokoił go Roy. Wbił wzrok w trzy pryszczki na policzku chłopca tworzące plamienny trójkąt.

-Czyli jak? - zapytał Skippy. Odchrząknął raz, potem drugi. - Zgadza się pan?

-Ale na co?

Skippy zarumienił się tak, że zbieleły mu pryszczki.

-Przyjac mnie na pol etatu - wytłumaczył. - Nosilibym ciężkie rzeczy, sprzątał co trzeba.

-Chcesz zostać moim pomocnikiem? - spytał Roy.

Skippy pokiwał głową.

-A co z praca u wuja?

-Tam nie mam co robic. Wuj chcial tylko odciazyc moja mame.

-A co ona robi?

-Sprzata domy na zboczu gory. I dorabia kelnerowaniem. - Odczekal chwile. - Znam sie na komputerze.

Roy nigdy nie mial pomocnika, bo tez go nie potrzebował.

-Wpadnij w poniedzialek na dwie godziny. Moze cos wymyslimy.

-Naprawde?! - zawolal Skippy. - O raju, dzieki. - Prawa reka mu drgnela, jakby chcial podac ja Royowi. Do uscisku jednak nie doszlo. - Bardzo dziekuje.

Otworzył drzwi, wyszedł, zamknął. Tuz potem rozleglo sie pukanie.

-Prosze - powiedzial Roy.

Nigdy nie zamykal na zamek. Galka sie przekrecila, ale drzwi sie nie otworzyly. Widocznie Skippy je zatrzasnal. Roy otworzył.

-O ktorej w poniedzialek? - zapytal Skippy.

-O drugiej?

-Dobra.

Jen weszła do Pescatore. Wyglądała pięknie. Roy wstał, odsunął krzesło, potem pomógł jej się przysunąć do stołu. Spojrzała na niego przez ramię.-Co ci jest?

-Nic. Wszystko w porządku - zapewnił Roy.

-Jasne.

Za oknem pietrzyła się góra, kilka stoków u podnoża oświetlono do nocnej jazdy. Muldy na Wipe Out rzucały okrągłe cienie, jak gdyby zbocze było usiane setkami czarnych dziurek. Narciarz w bieli wylądował w idealnym wyroku, skreślił w prawo i znikł za kepa świerków.

-Masz ochotę na szampana? - zapytał Roy.

Jen zabułgotowała.

Roy sie rozesmial i zamowil butelke pommery. Nie znal sie na szampanie, ale wlasnie te marke Krishna podawal na wernisazach, jezeli naprawde wierzył w danego tworce.

-Pyszny - pochwalila Jen, upiwszy lyk. - Nagle dorobiles sie fortuny?

Roy tez skosztowal. Szampan naprawde byl smaczny, ale wpadl w niewlasciwa dziurke i podrazil mu gardlo. Wlasnie teraz Roy powinien powiedziec: "Chyba nadszedl wlasciwy moment". Jen zapytalaby, na co, a on zadalby jej sakramentalne pytanie. I wszystko potoczyloby sie gladko, gdyby nie to nieszczesne drapanie w gardle. Odkaszlnal, najpierw cicho, delikatnie, odstawiwszy kieliszek i zakrywszy usta serwetka. Po chwili sie jednak rozkaslal, jak gdyby uruchomil potezny silnik. Kaslal na coraz wyzszych obrotach wstrzasany konwulsjami i nie mogl przestac.

-Napij sie - poradzila Jen, wybaluszyla oczy i podsunela mu szklanke wody.

Zobaczyl, ze na bialy obrus kapnelo kilka czerwonych kropli. Gestem przeprosil, ze musi wstac od stolu, i wyszedl do toalety.

W srodku nikogo. Wbiegl do kabiny, nachylil sie nad sedesem, rozkaslal sie na calego. Tym razem kaszel pokazal mu, co potrafi. Krew wypelnila muszle, tryskala, sciekala, odrywala sie grudkami.

-Prosze pana! - zawolal ktos z zewnatrz. - Dobrze sie pan czuje?

Kaszel natychmiast mu przeszedl, jak gdyby dbal o intymnosc. Roy nabral powietrza.

-Jak najbardziej - powiedzial zaskakujaco starczym glosem.

Cisza. I wtedy uslyszal kroki sunace wolno po kafelkach - chociaz nie slyszal, zeby ktos wchodzil - nastepnie odglosy oddawania moczu, wody w umywalce, zamykania drzwi. Wyszedl z kabiny na miekkich nogach. Znow byl sam w toalecie, sam na sam ze swoim odbiciem w lustrze. Widzial, jak zbladl,

tylko oczy rzuciły ciemne błyski. Spryskał sobie twarz wodą, napił się z kranu. Zimna woda ochłodziła mu podrażnione gardło. Wroczył do stolika.

-Nic ci nie jest? - spytała Jen.

-Wszystko w porządku - oznajmił.

-Na pewno?

-Wszystko w porządku - powtórzył i wrócił do rozmowy jak gdyby nigdy nic. Jen zjadła lososia, Roy jagnięcinę. Wypili szampana. Wzięli na dwoje jedną porcję tortu zwanego czekoladowym występkiem i czas mijał im miło. Roy opowiedział Jen zabawne historie o poznanej kolekcjonerce, o trzymanym przez nią w domu gepardzie i o dostawcy pizzy. Ale sakramentalnego pytania nie zadał.

Rozdział 3

Roy nie miał daru czytania ludziom z twarzy. Wiedział jednak, że każdy lubi dobre wiadomości. I że wszystkim rozbłyskuje wtedy oczy. Dlatego brak takiego błysku przyjął za zły znak. W oczach doktora Bronsteina nie zapalił się żaden błysk - pozostały ciemne, zamysłone, może też odrobinkę zaskoczone.-
Przepraszam, że musiał pan czekać, panie Valois.

-Nic nie szkodzi.

Doktor Bronstein otworzył teczkę, spojrzal na zdjęcie z tomografu komputerowego, potem na Roya, który wyprzedził się, żeby pokazać, jaki jest zdrowy. Omal się nie pochwalil: Studiowałem na Uniwersytecie Maine dzięki stypendium sportowemu, bo grałem w hokeja.

-Czy mogę pana o coś spytać? - zaczął doktor Bronstein.

-Jasne.

-Oczywiście musimy wykonać biopsję - powiedział lekarz. - Jeszcze nie wiemy na sto procent. Nic nie jest przesadzone. Ale czy miał pan kontakt z azbestem? Na przykład w pracy.

-Z azbestem? - powtórzył Roy. - Nie.

-O ile mi wiadomo, pan jest rzeźbiarzem - dodał Bronstein.

-Owszem, ale pracuję w metalach.

-Jakich metali pan używa?

-Ostatnio najczęściej złomowanych części samochodowych - odparł Roy. - Przedtem zrobiłem kilka prac z dzwigarów kupionych od firmy rozbiórkowej w Worcesterze.

Bronstein unosił siwe brwi sterczące mu nad oczami niczym nawisy śnieżne.

-Duzo czasu spedzal pan na terenach rozbiorki?

-Ani godziny - odparl Roy. - Poczta elektroniczna dostawalem zdjecia i wybieralem sposrod nich.

Bronstein znow spojrzal na klisze.

-A przed tymi dzwigarami?

-Uzywalem pretow ze stali sprezynowanej - powiedzial Roy. - Jeszcze przedtem rowniez czesci samochodowych. Zaczalem wlasnie od nich.

-Uzywal pan okladzin hamulcowych? - spytal Bronstein.

-Nie - odparl Roy. - Najczesciej chlodnic, czasami blokow silnika, niekiedy osi.

-Byl pan w wojsku?

-Nie.

-Pracowal pan w kopalni?

-Nie.

-Moze w budownictwie? Przy tynkowaniu? Przy instalacji rur?

-Nie - zaprzeczył Roy. - Ale o co chodzi?

-Podaje panu główne sytuacje wymagające kontaktu z azbestem - wyjaśnił doktor Bronstein.

Roy podniósł ręce w geście bezradności.

-To mogło być dawno temu - powiedział Bronstein. - Kiedy pracował pan jako nastolatek podczas wakacji.

-Rzeczywiście, pracowałem w warsztacie - przyznał Roy.

-Przy czym?

-Przy obróbce metalu - powiedział Roy. - Głównie spawalem.

-Czy ta praca wymagała izolacji? Środków przeciwogniowych? Wiazala sie z budowa kotlow?

-Produkowalismy czesci linii montazowych dla zakladow chemicznych - uscislił Roy. - Najczesciej na dworze.

-Czyli to nie to - rzekł Bronstein, odhaczając kolejne rubryki w karcie choroby.

-Co nie co?

-Panie Valois, czy zna pan określenie mezotelioma?

Bardzo skomplikowane słowo, Roy nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

-Mógłby pan doktor powtórzyć?

-Mezotelioma.

Bronstein wymówił dobitnie wszystkie sylaby. Tym razem Roy zrozumiał. Słowo kojarzyło mu się z prymitywnymi postaciami z japońskich komiksów.

Pokreślił głową.

-Nigdy nie słyszałem.

Lekarz ponownie podniósł wzrok znad kliszy, utkwił spojrzenie w twarzy Roya, chociaż nie patrzył mu prosto w oczy.

-Mezotelioma... mezotelioma złośliwa... to choroba wywołana nieodmiennie ekspozycją na azbest.

-Co to za choroba? - zapytał Roy.

-Poważna.

-A jak się nazywa?

Bronstein zrobił stropioną minę.

-Przecież powiedziałem, mezotelioma.

-Jak brzmi inna nazwa? - zapytał Roy, podnosząc głos, co znow spowodowało drapanie w gardle.

-Inna nazwa? - powtórzył Bronstein i cofnął się. Był drobnej postury, Roy z łatwością by go zmiął. - Rozumiem - powiedział. - Rak. Miedzybloniak to odmiana nowotworu atakującego zwykle płuca, a czasem również otrzewna albo serce.

-I ja to mam?

-Bez biopsji nie mogę stwierdzić z całą pewnością. Złoty standard w rozpoznawaniu tej choroby to otwarta biopsja. W tym celu muszę pana skierować do doktora Honeya w Bostonie. Może czołowy specjalista w dziedzinie mezoteliomy na świecie, a sam miałem zaszczyt się u niego uczyć, może więc...

Bronstein urwał i w gabinecie zapadło milczenie. Słychać było tylko stukanie białego palca lekarza w klisze tomograficzna Roya.

-Można się tego nabawić tylko od azbestu? - spytał Roy.

Bronstein pokiwał głową.

-Ale ja nie miałem kontaktu z azbestem - odparł Roy. - Czyli nie mogę tego mieć.

Lekarz wciąż nie patrzył Royowi w oczy.

-Bo niby skąd? - zapytał uniesionym głosem pacjent. Przecież użył pan sformułowania "nieodmiennie". Tak pan się wyraził. Skoro więc nigdy nie miałem kontaktu z azbestem, nie mogłem się tego nabawić.

Drapanie w gardle sie nasililo.

Bronstein oblizal usta.

-Rzeczywiscie.

-No wlasnie - powiedzial Roy. - I czuje sie dobrze. Jestem w lepszej formie niz kiedykolwiek.

Korcilo go, zeby pochwalic sie lekarzowi tym, jak idac na rakietach snieznym, przescignal grupe studentow na nizszej petli.

-Pozostaje niewyjasniona przyczyna kaszlu - zauwazyl Bronstein.

-Wlasnie, pozostaje kaszel - przyznal Roy. Sila woli przewyciezyl nie bez trudu drapanie. Ustapilo. - Ale kaszel moze brac sie skadkolwiek.

Dopiero teraz Bronstein podniosl oczy na Roya.

-Dlatego trzeba wykonac biopsje - powiedzial. - Zebysmy nie musieli snuc domyslow.

Wtorkowe wieczory zima zawsze przynosiły mecz hokeja w amatorskiej lidze seniorów w dolinie, wszyscy gracze powyżej trzydziestego piątego roku życia, żadnych ataków kijem, slapshotów, obowiązkowych strojów, kaski wedle uznania. Potem u Walda przegrani stawiali piwo, chociaż nie obowiązkowo. Zgodnie z tradycją wprowadzona na długo przed przyjazdem Roya wszystkie drużyny nosiły nazwy pochodzące od części damskiej garderoby. On grał w Stringach. Tego wieczoru walczyli z mistrzowska drużyna Miseczek D. Większość zawodników wyniosła doświadczenia hokejowe ze szkoły średniej albo z college'u, nieliczni doszli do zawodowej ligi juniorów, a środkowy napastnik Normie Sawchuck zaliczył dwa sezony w drużynie Boston Bruins. Normie, który miał teraz dziesięć do piętnastu kilogramów nadwagi, bo jadł i pił za darmo w Burger Paradise Normiego, i tak był najszybszym zawodnikiem, zwłaszcza w pierwszych minutach. Właśnie prowadził atak trzech na dwóch, naciskał na Roya. Smignął do tyłu na prawe skrzydło obrony, pozycję, na której grał całe życie. Roy jeździł do tyłu jeszcze szybciej niż do przodu, co nie znaczy, że dorównywał klasą Normiemu, bo nie miał szans. Normie minął niebieską linię, aż iskry lodu poszły spod łyżew, zamarkował podanie do lewego skrzydłowego, które Roy zignorował, bo Normie unikał podania na początku gry, i wykonał zwod w prawo. Roy za nim, zwrócony do środka tafli, gotów na wszystko poza tym jednym: nagle krążek oderwał się od kija Normiego. W każdym razie tak się Royowi zdawało, lecz kiedy ruszył w jego stronę, krążek zniknął, już znowu schowany między łyżwami Normiego. Ruch Kharmalova. Mijając Roya, Normie parsknął śmiechem. Nie całkiem go jednak minął. Zdarzył się pierwszy cud - Roy się zakrecił, zaczął machać kijem i wyhaczył krążek, który wystrzelił i odbił się od bandy, a Roy, zmiatając go, zobaczył... drugi cud - między sobą a bramką jedynie pusta przestrzeń. Wyrwał szybko naprzód - czuł tylko, że sweter wydyma mu się na wietrze, jak gdyby bog hokeja przeistoczył go nagle w legendarnego Bobby'ego Hulla - i natarł w pojedynek na bramkarza. Nie próbował nawet najazdu, wziął tylko zamach kijem, jeden ruch rękami i bach! Krążek odbił się od słupka i rozerwał siatkę.

-Ale strzał! - zawołał bramkarz.

Cały mecz miał podobny przebieg. Ostateczny wynik: Stringi - 6, Miseczki D - 1. Roy zaliczył hat trick, cały wieczór smigał i nawet się przy tym nie spocił. Kiedy ostatnio tak grał? Lata temu, a może nigdy.

-Rany boskie, Roy! - wykrzyknął Normie, kiedy przyniósł dwa dzbanki spienionego piwa do stolika Roya u Walda. - Nie wiem, co ty popalasz, ale też muszę tego spróbować.

Roy czuł się tak dobrze, że omal nie machnął ręką na biopsję.

Otwarta biopsja, złoty standard, wymagała znieczulenia ogólnego. Roy nigdy wcześniej nie miał narkozy. Teraz leżał na stole operacyjnym pod jaskrawymi lampami. Pani anestezjolog, a może pielęgniarka, bo Roy nie znalazł się na personelu medycznym, podeszła z wenflonem. -ładne żyły - pochwaliła.

-Dziękuję.

-Od czego ten siniak? - zapytała, wkładając igłę.

-Od krazka.

-Słucham?

-Dostałem krazkiem hokejowym.

-Poleciał na trybuny?

-Nie - odparł Roy. Poczł dziwny zawrót głowy. - Gram w hokeja.

Jezdził na łyżwach od trzeciego roku życia. Zastanawiał się, czy nie podać tego szczególu, kiedy zobaczył nad sobą doktora Honeya z maską na twarzy. Lekarz miał białe porcelanowe, by tak rzec, oczy. Raptem na ich widok Roya ogarnął strach.

Ale głos lekarza zabrzmiał serdecznie.

-Dobrze się panem zajmijemy - obiecał. - Musi pan tylko policzyć od dziesięciu do zera.

-A pan? - spytał Roy.

Wszyscy się rozesmiali.

-Dziesięć - odpowiedział Honey.

-Dziewięć - podchwycił Roy. - Osiem, siedem, sześć... moja ulubiona liczba... pięć... - Czł się lekko, coraz lżej, jak gdyby płynął w powietrzu, mógł wyfrunąć z sali, za drzwi Szpitala Ogólnego Massachusetts, poza Boston, do domu. Ale nie do domu w Ethan Valley ani ich starego domu w Foggy Bottom, lecz do najstarszego, hen wysoko w lasach Maine. Honey zamknął porcelanowe oczy. - Bobby Greelish - powiedział.

-Co to było? - spytał Honey.

-Jeszcze nie zadziało - wyjaśnił ktoś za jego plecami.

-Bobby - powtorzył Roy. - Gdzie jest Bobby?

-Widziałes, jaki wielki szczur?! - krzyknął Bobby.-Gdzie sie schował? - zapytał Roy.

Roy z Bobbym pracowali na dworze, spawali stalowe zlewy do linii montazowej w zakladach chemicznych w Bath, jednego z najwiekszych kontrahentow Kinga. SzeF widzial ich z okna gabinetu, mial na nich oko, dlatego nie mogli sie objac. Jedynie kiedy padal deszcz, uciekali pod dach z blachy falistej, pod ktorym King ich juz nie widzial. Robili tam po kryjomu rozmaite rzeczy, na przyklad konstruowali gokart, przerabiali motocykl Bobby'ego, przetapiali, co im wpadlo w rece, palnikami niszczyli pajaki i inne robactwo. Teraz, przyswiecajac sobie palnikami, szukali olbrzymiego szczura, kiedy niepostrzezenie zaszedl ich od tylu King.

-Okradacie mnie? - spytal.

Odwrocili sie, zamkneli dysze.

-Jak to?

Deszcz przylizal Kingowi resztkę włosów do czaszki. Krople wody kapaly mu z koscistego nosa i spiczastego podbrodka.

-Place wam za robote, prawda? I to, do diabla, niezle. Dlatego kiedy nie pracujecie, w moim przeswiadczeniu siegacie brudnymi lapskami do mojej kieszeni.

-Sprawdzalismy tylko mieszanke - wyjasnil Roy. - Wcale nie...

-Cholera, sprzatacie mi jedzenie ze stolu, ot co. - King strzelal wsciekle rozbieganymi oczami od jednego do drugiego. - Powinienem wykopac was na zbity pysk.

-Oj, prosze pana - zaczeli jeczec.

Kiepska sprawa. Obu wychowywaly samotne matki, liczyl sie kazdy przyniesiony do domu cent.

-O tak - powiedzial King, przedrzezniajac ich. - Teraz to "oj, prosze pana". - Spojrzal w drugi koniec podworka. Najwyrazniej wpadl na pewien pomysl. - Wiecie co? - rzekl, ochlonawszy. - Moze dam wam jeszcze jedna szanse.

-Dziekujemy, panie King.

-Zawsze mnie gubi miekkie serce - dodal. - Tak sie sklada, ze wpadla mi specjalna robota.

-Tak? - spytali z zaciekawieniem chlopcy.

Juz ich nudzilo robienie dzien w dzien tych zlewow.

-Uhm - potwierdził King.

Kiwnął na nich palcem.

Specjalna robota wykonywali aż do powrotu do szkoły. Mieli z niej sporo uciechy.

-Tu się wszystko zaczęło - oznajmił King, zaprowadziwszy ich w najdalszy kąt posesji. Za ogrodzeniem z siatki zwieńczonym drutem kolczastym zaczynał się ciemny las.

Patrzyli na stary budynek obłazący z farby, z powybijanymi oknami.

-Co się zaczęło? - spytał Bobby.

-Warsztat Mechaniczny i Obróbki Metalu Kinga, do ciężkiej cholery - wyjaśnił King. - Moj dziadek zaczynał od cementu. Widzicie tu jego stary magazyn. Potrzeba mi więcej miejsca, dlatego rozwalicie te rudere.

-Mamy zburzyć ten budynek? - upewnił się Roy.

-Zrównać z ziemią - uscislił King. - Rozwalić w pył. I do kontenera.

Stary magazyn cementu Kinga opierał się na drewnianej konstrukcji. Chyba od początku był niezbyt solidnie zbudowany, a teraz już wydawał się dość lichy. Roy z Bobbym rozwalili go na drobne kawałki, głównie za pomocą pięciokilogramowych młotów i czasem pil lancuchowych, a kiedy poniosła ich fantazja, używali również własnych ciał jak taranów, sprawdzając swoją umiejętność przechodzenia przez ściany. W magazynie piętrzyły się stosy starych materiałów, wiele z nich w butwiejących workach. Trudno byłoby wynieść te wszystkie worki do kontenera, dlatego chłopcy rozcinali je pilami. Kiedy pekały, ze środka wzbijały się tumany pyłu, jakby przez wyburzany magazyn przeszła zamieć, która

pokryła ich od stop do głów warstwa kurzu, upodabniając mimo sierpnia do balwanów śniegowych. Sprawiało im to nie lada frajdy, a zarazem oszczędzało pracy, bo biały proszek zniknął podczas najbliższej ulewy czy nawet silniejszej wichury. Ostatniego dnia King wysuplał po dwadzieścia dolarów dla każdego z nich w charakterze premii.

Rozdział 4

Po zaszyciu klatki piersiowej, co wymagało założenia tylko czterech szwów, Roy nieco odurzony, chociaż nie czuł bólu, czekał - sam w poczekalni doktora Honeya - na wyniki biopsji. Leżał tam stos egzemplarzy "National Geographic". Roy zapatrzył się w malownicze zdjęcie lesnej chaty. Drzwi od frontu były obrosnięte pięknymi czerwonymi dzikimi kwiatami, za domem płynął rwący strumyk. Przez chwilę usłyszał nawet szum wody i poczuł zapach kwiatów. Dosłownie obezwładniło go piękno natury, przepełniła radość życia. Odurzenie powoli ustępowało, a po chwili rzuciła mu się w oczy słabość zdjęcia - dojrzał w nim posiłek złożony z samych lakoci, przesłodzony, nazbyt powierzchowny, łatwo zaspokajający apetyt. Zanim zamknął pismo, zdjęcie skojarzyło mu się z widokiem ukrytym głęboko w zakamarkach mózgu, przywołało resztki snu, który jeszcze się nie rozplynął pod wpływem ustępującego działania leków. Wyjął telefon komórkowy, zadzwonił do biura numerów w North Grafton, w stanie Maine, poprosił o numer Bobby'ego Greelisha. W spisie abonentów nie figurował żaden Bobby ani Robert Greelish. Pod tym nazwiskiem znalaziono mu jedynie Alme, matkę Bobby'ego. Zadzwonił do niej.

-Pani Greelish? - spytał. - Dzień dobry, tu Roy Valois.

-Roy? - Zestarzała się. Nie poznał jej po głosie. - Ale mi sprawiłeś niespodziankę! Co u twojej mamy?

-Wszystko dobrze - odparł. Jego matka dawno temu przeprowadziła się z North Grafton do mieszkania, które kupił dla niej w Sarasocie. - Szukam Bobby'ego.

-Mojego syna? - zapytała pani Greelish.

-Tak - potwierdził. - Bobby'ego.

-Czyli nic nie słyszała?

-O czym?

-Bobby... - Głos uwiązł jej w gardle. Urwała, chyba na chwilę zasłoniła ręką mikrofon. Zaraz się jednak opanowała i powiedziała do słuchawki: - W Boże Narodzenie brakuje dwa lata, jak nie żyje.

-Bobby nie żyje?

Wypadek motocyklowy. Roy uchwycił się tej zbawiennej myśli.

-Umarł - powiedziała pani Greelish. - Zapadł na straszna, bardzo rzadka choroba.

-A jak się nazywa?

-Słucham?

-Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak się ta choroba nazywa? - poprosił Roy.

-Oj, wybacz - przeprosiła pani Greelish. - Ale to taka trudna, dziwna nazwa. Nie mogłam jej zapamiętać, co Bobby'ego trochę denerwowało.

Dlatego Roy był poniekąd przygotowany na wynik biopsji. Można by nawet rzec, że przyjął go dobrze, co wyczytał z twarzy doktora Honeya i jego personelu.

-Ktos pana odwiezie? - zapytała pielęgniarka Roya na odchodnym.-Czeka w samochodzie - uspokoił ją Roy.

Wrócił jednak na północ sam. Czyste błękitne niebo tu i owdzie pociągnięte srebrem, małe złote słońce, które świeciło, lecz nie grzało, śnieg, im dalej na północ, tym bielszy - piękny zimowy dzień, a zima była ulubioną porą roku Roya. Szczególnie lubił szklisty lód pokrywający granitowe odkrywki pozostawione przez budowniczych dróg, a dzisiaj wyjątkowo dużo skał lśniło jaskrawym blaskiem. Ten widok wycisnął Royowi łzy z oczu, chociaż na co dzień nie był plakosa, ale tutaj, w zupełnej samotności, pozwolił sobie na taką melancholię. Po chwili jednak się opanował, już chyba przy drugim zjeździe z autostrady. Kiedy przejechał most na rzecze Connecticut i przekroczył granice Vermontu, całkiem się pozbierał.

Diagnoza: mezotelioma, miesakowaty, nieoperacyjny międzybloniak płucnej, trzeciego stopnia zgodnie z systemem klasyfikacyjnym Brigham.

Ile jest tych stopni?

Cztery.

Czyli mogłoby być gorzej?

Owszem.

Rozumiem. I co teraz?

A o co pan pyta?

O możliwości leczenia.

Ach tak.

Miesakowaty, nieoperacyjny międzybloniak płucnej - ileż znaczenia zawierało to dość zwężone określenie. Samo słowo "nieoperacyjny" stanowiło nie lada cios.

Leczenie: opieka paliatywna.

Paliatywna?

To znaczy...

Wiem, co to znaczy. Na nic więcej nie mogę liczyć?

Prowadzimy próby kliniczne, ale pański przypadek się nie kwalifikuje.

Dlaczego?

Z powodu diagnozy.

Nie uważa pan, że to błędne koło?

Honey przyznał mu poniekąd rację. Zaraz potem wspomniał, że jego żona śledzi twórczość Roya i nie mogła się nadziwić, że ma jej nie znać. Niemal jednym tchem napomknął o programie eksperymentalnym, który jego kolega ma rozpocząć w Szpitalu Johns Hopkinsa.

Mógłby mnie pan tam wprowadzić?

Spróbuję.

Naprawdę się pan postara?

Rokowania - od czterech miesięcy do roku.

Ten konkretny go zmroził. Honey skurczył się w jego oczach, jak gdyby Roy widział go z oddali. Jakby odchodził albo już zniknął.

Czy to pewne?

W moim zawodzie nic nie jest pewne, nigdy nie ma stuprocentowej pewności.

Czyli w grę może wchodzić trzynastym miesiącu?

Może.

A czternastym?

Niewykluczone.

Osiemnastym?

Powtarzam, nic nie jest pewne.

Czyli istnieje jakaś nadzieja?

Zawsze.

Kilka dni temu zdobyłem hat trick.

Hat trick?

Honey nie znalazł tego terminu. Roy pozalował, że w ogóle o tym wspomniał, nie wyjaśnił. Termin hat trick zabrzmiał mu wyjątkowo frywolnie w zestawieniu z określeniem "nieoperacyjny".

Podjechał do stodoły. Wyrostek w sportowej bluzie i rozsznurowanych butach odgarniał łopata śnieg ze ścieżki. Roy zawsze odsnieżał sam. Wysiadł i go przywitał:-Czesc.

Chłopak się odwrócił.

-Dzien dobry, panie Valois. Pomyślałem, że pan się na pewno spóźni, dlatego postanowiłem...

Skippy. Dzisiaj miał przyjść na próbę? Roy na śmierć zapomniał. Co mu powiedział? Żeby się zjawił o drugiej? Spojrzał na zegarek... poszedł do trzeciej... Zauważył nową ścieżkę przekopaną przez podwórko do szopy i drugą, całkiem zbędna, wokół stodoły.

-Naprawdę niepotrzebnie... - zaczął mówić Roy. Skippy czekał, trzymając kupa śniegu na łopacie. - Chodź do środka.

Dopiero wtedy chłopak przerzucił śnieg przez wysoką halde. Weszli do środka.

-Fajne - pochwalil Skippy, ktory od progu zwrocil uwage na Delia.

-Co ci sie w niej podoba? - spytal Roy.

-Co? - Skippy sie zastanowil. - Niesamowite sa te chlodnice, panie Valois. Ma pan juz pomysl na nastepna?

Na nastepna? Roya znow przeszedl zimny dreszcz, choc nieco slabszy niz poprzednio.

-Napijesz sie kawy? - zaproponowal.

-Dziekuje - odmowil Skippy.

-A ja sie napije.

Poszedl do kuchni, podgrzal kawe, nalal dwa kubki. Kiedy wrocil do duzego pomieszczenia, Skippy siedzial przy komputerze.

-Zawiesil sie? - spytal.

-Czesto sie zawiesza - przyznal Roy. - Wyjmuje zawsze wtedy wtyczke z kontaktu i włączam ponownie.

-Pozwolilby mi pan... - zaczal Skippy.

-A rob z nim, co chcesz - zachecil go Roy.

Podstawil sobie krzeslo do Delii. Skippy stukal zawziecie w klawiature. Zapadl zmrok. W stodole panowal spokoj, harmonijna atmosfera jak w domu, chociaz tych troje wedle zadnej definicji nie tworzylo rodziny.

-Gotowe.

Roy, wstajac, poczul niezbyt silny bol w piersi. Podszedl do komputera.

-Nie powinien sie juz zawieszac - oznajmil chlopak. - I oczyscilem panu troche pulpit.

-Dziekuje.

-Chcialby pan miec darmowy komunikator telefoniczny?

-Darmowy telefon?

-Moglbym napisac specjalny program i panu zainstalowac.

-Ale czy byloby to zgodne z prawem? - spytal Roy.

Skippy odwrocil sie w jego strone. Straki tlustych wlosow zaslanialy mu oczy.

-W jakim sensie, panie Valois?

-Mowmy sobie po imieniu - zaproponowal Roy.

-Dobrze, panie... juz nic - powiedzial Skippy.

Turk McKenny grał w drużynie Stringow na bramce, a zarazem był adwokatem Roya. Miał kancelarie na najwyższym piętrze białego budynku z widokiem na park. Roy widział przez okno swojego Neandertalczyka numer dziewiętnastu. -Rewelacyjny mecz - pochwalił Turk.

-Dzięki.

-Trzeba było widzieć minę Normiego, kiedy odebrales mu krzesło.

-Fuksem.

-Bo ja wiem? - powiedział Turk. - Ostatnio grasz trochę lepiej. Ciekawe dlaczego.

-Przychodzę w sprawie testamentu, o który mnie tak meczysz - wypalił Roy.

-Co?

-Chcialbym go w koncu spisac.

Turk zdjal z biurka nogi w zamszowych kapciach na kozusku.

-Jesli to mozliwe, zaraz.

Turk przysunal do siebie notatnik, wlozyl polowkowe okulary.

-Oczywiscie mozemy sie od razu zabrac - powiedzial. Przekrzywil glowe, spojrzal znad okularow. - Cos szczegolnego cie zmobilizowalo?

-To, co zawsze - odparl Roy.

Kapitalny zart. Tak go rozbawil, ze Roy zanosil sie smiechem. Przez chwile zastanawial sie, czy przestanie. Nagle ni stad, ni zowad przyplatal sie kaszel, ktory pochlonal smiech, kompletnie go zagluszyl. Roy wybiegl skulony z pokoju, zaslaniajac reka usta, i pomknal korytarzem do lazienki. Rozkaslal sie nad umywalka. Tym razem nie poleciala krew, a jedynie odrobina zoltawego sluzu, konsystencji bialka surowego jajka. Bialko zamiast krwi. Ciekawe, czy to dobry znak. A jezeli zly, to jak bardzo? Czy istnieje jakas nadzieja? Zawsze.

Wrocil do kancelarii Turka. Adwokat krazyl pod drzwiami.

-Co jest, Roy? Co sie dzieje?

-Nic.

-Oj, przestan.

Roy potrząsnął głową.

-Rozmawiasz z przyjacielem - przygadał mu Turk.

Roy milczał.

-Jeżeli to nie wystarczy - powiedział Turk - miej przynajmniej wzgląd na moją pracę.

-Jak to? Nie bardzo rozumiem - rzekł Roy chrapliwym, swiszczącym głosem.

-Jestem twoim adwokatem - przypomniał Turk. - Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic.

Przyjaznili się od dawna. Rywalizowali ze sobą jeszcze na studiach. Turk cztery lata grał w pierwszym składzie reprezentacji Dartmouth College na bramce, a przedtem spotkali się w finale turnieju międzyszkolnego na starym stadionie Boston Garden. Delia też go lubiła. Potem niosł jej trumnę na pogrzebie. Ponadto był jedynym adwokatem Roya, prowadził jego wszystkie sprawy - podatki, inwestycje, umowy, nie wyłączając umowy z Krishna. Roy wciągnął głęboko powietrze, świadom, że oddycha znacznie płycej niż zwykle.

-Obiecujesz dochowac tajemnicę? - spytał.

-Ma się rozumieć - odparł Turk. - Ale i tak ci obiecuję.

Roy musiał komuś powiedzieć. W przeciwnym razie naraziłby się na potencjalny chaos. Stojąc przy drzwiach, wyrecytował Turkowi wszystko jak na spowiedzi. Powiedzenie na głos całej prawdy przyszło mu nie bez trudu, bo natychmiast jakby urealniał wyrok. Nie wyobrażał sobie, że mógłby jeszcze raz się na to zdobyć.

Turk nie przerywał, wysłuchał w milczeniu, tylko zbieleły mu trochę wargi. Kiedy Roy skończył, powiedział zwięźle:

-Wszystko w rekach Boga.

Położył koledze rękę na ramieniu. Roy nie miał ochoty na żadne uściski ani pocieszenia, dobrze wiec, że Turk nie zaczął się rozczulać.

-Co z tym eksperymentem w Hopkins? - spytał Turk.

-Mają mnie zawiadomic - odparł Roy.

-Czyli istnieje jakaś nadzieja.

Zawsze.

Usiedli. W parku na trawniku mały brzdąc rzucał śnieżkami w Neandertalczyka numer dziewiętnastu.

-Masz coś w dolnej szufladzie? - spytał Roy.

-Czytasz w moich myślach - powiedział Turk.

Z dolnej szuflady wyjął butelkę bourbona, dwa kieliszki. Nalał do obu po niewielkiej miarce. Wychylili do dna. Nalał ponownie. Alkohol był w dobrym gatunku, ale Roy nie wiadomo dlaczego w ogóle nie czuł smaku.

-Moje oczekiwania są proste - powiedział. - Chcę, żeby jedna połowa dostała Jen, a druga moja mama.

Turk zapisał w notatniku. Pismo miał drobne i eleganckie, dziwne przy tak grubych i powykrzywianych palcach.

-Co z domem? - spytał, nie podnosząc wzroku.

-Sprzedaj.

-A twoja kolekcja?

-Też sprzedaj.

-Jak to wpłynie na ceny twoich prac?

Roy się nie przejmował. Ale dlaczego by nie powiększyć spadku, który odziedziczą Jen i jego matka?

-Juz Krishna będzie wiedział, co zrobić.

-Rozmawiałeś z nim?

-Nie.

-A z Jen?

-Też nie.

Turk otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast zamknął. Roy podsunął szklanke. Turk mu nalal, a po chwili zastanowienia i sobie. Odłożył długopis, wypił, odchylił się na krzesle. W pokoju zapanowała cisza tak gęsta, że prawie namacalna; wstrzymywała ją jak gdyby upływ czasu.

-Pamiętasz swoją bramkę w meczu z Harvardem? - spytał Turk. - Przypomniała mi się niedawno u Walda.

Roy nie wbił aż tylu bramek na studiach, żeby o którejkolwiek zapomnieć, ale ta była szczególnie, może jedyna tak ważna, wbita w doliczonym czasie, zapewniająca wygraną w półfinale ligi krajowej. Przegrali wtedy finał z Minnesota. Przeniknęła mu przez głowę szalona myśl: Ciekawe, czy ktoś o niej wspomni w nekrologu? Może zresztą nie taka szalona, bo od razu skojarzył, skąd się wzięła. Taką uwagę rzucił Krishna na temat Delii. Wzmianka o tym dziele trafi na początek twojego nekrologu. Znow przeszedł go zimny dreszcz.

-Co to za myśl? - spytał Turk.

-Nieważne.

-Zachowam dyskrecję.

Roy się roześmiał, tym razem zwyczajnie.

-O taki idiotyzm - powiedział. Skoro jednak zdobył się na szczerą w kancelarii przyjaciela, dlaczego w tym momencie miałby się gryźć w język? - Zastanawiałem się, czy wzmianka o tamtej bramce znajdzie się w moim nekrologu?

-Podejrzewam, że autorzy ograniczą się do twojej twórczości - stwierdził Turk.

Ten komentarz także rozśmieszył Roya. Po kilku kolejnych łykach rozsmakował się w trunku, stwierdził, że świetnie smakuje. W głowie trochę mu szumiało. Ale dlaczego miałby sobie, do cholery, odmawiać?

-Moze moglibysmy sie dowiedziec - powiedzial Turk.

-Czego? - spytal Roy.

-Co bedzie w twoim nekrologu. Bo chyba pisza je zawczasu. Przygotowuja z gory, a potem tylko wstawiaja ostatni drobny...

Nie dokonczyl.

Roy nie mial o tym pojecia, bo nigdy nie interesowal sie nekrologami, w ogole nie zagladal do tej czesci gazety. Ale jakis dziennikarz, moze nawet niejeden, sporzadzil juz jego biografie, przedstawil czarno na bialym wszystkie jego wady i zalety. I jak wypadlo podsumowanie?

-Chocby Mark Twain przeczytal za zycia swoj nekrolog - przypomnia Turk.

-Jak to?

-Przedwczesnie ogloszono jego smierc - wyjasnil Turk. - Napisal na ten temat cos zabawnego. Ale ja raczej mialem na mysli sprytnych mlodych ludzi.

-Jakich mlodych ludzi? - zapytal Roy. Nagle musial przetrawic zlozone emocje, kiedy uswiadomil sobie, ze tylko zywi czytaja nekrologi, a zatem przeczytanie swojego przypomina kpine z wlasnej smierci.

-Mlodych ludzi, ktorzy umieja lamac wszelkie zabezpieczenia w Internecie - wyjasnil Turk. - Potrafia sie dogrzebac do czelusci portali wielkich gazet. Jest ich teraz na peczki.

Roy znal jednego. Kpina ze smierci raptem zabrzmiala kuszaco.

Rozdział 5

Obudził się z pomysłem na kolejną pracę. Nowa forma nie ukazała mu się wyraźnie w głowie. Zobaczył tylko jej mglisty, cienki, delikatny zarys, delikatniejszy od wszystkiego, co kiedykolwiek zrobił, co akurat nie było trudne. W swej delikatności nawiązywała do ciszy. Stanowiła formę lub jedną z form ciszy. Sięgnął po szkicownik, który zawsze leżał na nocnym stoliku, kiedy zadzwonił telefon. Odebrał.

-Halo.

-Oj, przepraszam, Roy, nie chciałam cię obudzić - powiedziała Jen.

-Nie obudziłaś.

-Mnie nie oszukasz - zapewniła go. - Znam twój zaspany głos.

Znow złożył głowę na poduszce.

-Przyznaje się do winy - potwierdził.

-I bardzo dobrze - powiedziała. - Bo jestem niedaleko.

Roy spojrzal na budzik.

-Nie pracujesz dzisiaj?

-Dzis jest czwartek. Moj wolny dzien.

-No tak.

-Dobrze sie czujesz?

-Jasne.

Dluga pauza.

-Nie zaprosisz mnie? - spytala. - Kupilam mufinki.

Rozesmial sie i zaprosil ja.

Nieraz zdarzalo jej sie wpadac tak o swiecie z mufinkami. Nie wstawal wtedy z lozka, tylko czekal na odglos otwieranych drzwi. Teraz jednak wstal, umyl zeby, spryskal woda twarz, ubral sie. Kiedy Jen weszla w osniezonej welnianej czapce, z torba mufinek z cukierni, kawa sie parzyla.

-Juz jestes na nogach - skomentowala.

-Uznałem, że zechcesz napić się kawy.

Podeszła, objęła go.

-Później - powiedziała i liźnęła mu ucho. W tym momencie wyjrzało słońce, jaskrawe światło wpadło przez wysokie okna stodoły, rzucając długi cień Delii na podłogę i na przeciwległą ścianę. Roy poszedł z Jen do sypialni.

Panował tam półmrok, bo pozostawił opuszczone załuzje. Zrzucili ubrania, wchodząc do łóżka, Roy został tylko w podkoszulku.

-Chodź do mnie, nieznajomy - zachęciła.

-Nieznajomy? - spytał.

-W ogóle cie ostatnio nie widuję.

-Nieprawda.

Przyciągnął ją do siebie. Chwilę później usiadła na nim okrakiem, złapała go, włożyła sobie do środka, wyprostowała się - oboje lubili tę pozycję. Roy dlatego, że lubił patrzeć na jej twarz od dołu, a Jen z nieznanych mu powodów, ale bardzo mu to odpowiadało. Jen nachyliła się, wsunęła mu ręce pod podkoszulek, dotknęła torsu. Zastygła.

-Co tam masz? - spytała.

-Nic - powiedział Roy.

Odsunął jej rękę od opatrunku.

-Skaleczyłeś się?

-To tylko drasniecie - zapewnił. - Nic takiego.

-Na pewno? Nie chciałabym...

Wyciągnął do niej rękę, przyciągnął jej głowę do siebie, zamknął usta pocałunkiem. Następnie popieszczył jej piers od dołu tak, jak lubiła. Wtedy zaczęła ocierać się o niego tak, jak on lubił, tyle że po raz pierwszy w życiu poczuł, że w niej słabnie. No nie! Zanim jeszcze zrozumiał, co się naprawdę dzieje, wychwycił sens tego i wymowę. Opadła go i obezwładniła lawina czarnych myśli. Pchał mocniej, ruszał się szybciej, usiłował zastąpić czarne myśli innymi - erotycznymi, pornograficznymi, sprośnymi - na siłę przywoływał wspomnienia przeżytych namiętnych nocy, szalonych wyczynów, w tym niektórych z Jen.

Nie pomogło. Skończył z Jen w sposób absolutnie niezaplanowany.

Potem leżeli obok siebie, nie dotykając się. Roy dosłownie czuł, jak Jen myśli, sam natomiast trwał w otumanieniu, zasypiał. Ogarnęło go zbawienne zmeczenie. Już prawie zapadł w sen, kiedy Jen się odezwała.

-Roy, nie mogę konkurować ze zmarłą.

Chciał otworzyć oczy, ale powieki miał jak z ołowiu.

-Nie o to chodzi - zapewnił ją.

-A ja uważam, że o to.

-Nie.

-W takim razie o co?

-O nic.

Jen się podniosła. Roy otworzył oczy. Patrzyła na niego z góry, zasłoniwszy piersi koldra, z błyskiem gniewu w oczach.

-Powiedz szczerze - poprosiła. - Przecież zrozumieć. Była tak cudowna kobieta, że nie potrafisz o niej zapomnieć.

-Nie o to chodzi.

-Nie? Jak w takim razie skomentujesz ten obiekt?

-Jaki obiekt?

-Rzeźbę. Dzieło sztuki. Jakkolwiek to zwal. Wmawiasz mi, że twoja praca stanowi dowód zapomnienia?

Jakkolwiek to zwal. Zdenerwował się. Sam zresztą usłyszał rozdrażnienie w swoim głosie.

-Przesadzasz.

-Tak? - spytała Jen. - Wiesz, że czasem wymawiasz jej imię przez sen?

-Niemożliwe.

-Jak nie chcesz, to nie wierz - powiedziała. - A teraz? Widzę, że ledwo zebrales siły, żeby prowadzić tę rozmowę. Tak cię nudzi?

Roy wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się na skraj łóżka.

-Nigdy mnie nie nudzisz.

Pokreśliła głową.

-Widzę, że przestałaś się mną przejmować. Nie tylko widzę, ale czuję.

-Nieprawda.

Ciągnęła swoje, jakby nie usłyszała.

-Jak zareagowałaś, kiedy powiedziałam ci o ofercie pracy? Nie poprosiłaś, żebym została. Nie odradziłaś mi wyjazdu. A potem całujesz mnie, jak gdyby... jak gdyby nic bardziej się nie liczyło. Czego ty ode mnie chcesz?

Roy zmusił się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. Czego chciał? Proste - chciał się z nią ożenić, a potem żyć długo i szczęśliwie... albo w odwrotnej kolejności. Powiedział jednak coś przeciwnego, siląc się na łagodny ton, chociaż jego głos nie mógł wybrnąć gorszej chwili, żeby zabrzmieć chropowato. Roy nie mógł nic na to poradzić. Rzucił więc krótko:

-Wyjdz.

Po minie Jen poznal, ze przeszyla wstrzas. Nie dodal nic wiecej. Gdyby zaczal sie usprawiedliwiac, stracilby panowanie nad soba, a dalsze wyjasnienia spotegowalyby tylko cierpienie, bol utraty, ktory nigdy nie mija. Roy wiedzial cos na ten temat. Delia stanowila najlepszy dowod. Czyli Jen nie do konca mylila sie co do przyczyn jego zachowania.

Twarz jej sie zmienila. Miejsce wstrzasu zajal gniew, zimny gniew, o ktory nigdy by jej nie posadzal.

-Nieraz wczesniej o tym myslalam - powiedziala. - Teraz juz wiem.

-Co wiesz? - spytal.

-Ze tez ulegles wypadkowi w tamtej katastrofie - wyjasnila.

Roy potrzasnal glowa.

-Uszkodzilo ci nerwy i od tej pory uprawiasz jazde po bandzie - dodala.

Przestal krecic glowa, ale milczal.

Jej gniew ustapil. Poklepala go po rece i pozegnala sie.

-Ostatnio przywiezli na złomowisko dziwny obiekt - powiedział Skippy. - Słysz pan... słyszysz, Roy? Roy podniósł wzrok. Szkicował ołówkiem nowy pomysł, kwintesencje rozrzedzonej ciszy, ale nic mu nie wychodziło.

-Przepraszam - rzucił. - Nie dosłyszałem.

-Dziwny obiekt - powiedział Skippy, wieszając nową butle z acetylenem. - Na złomowisku. Wuj Murph twierdzi, że pochodzi z elektrowni jądrowej.

-Jak wygląda?

-Trudno określić - stwierdził Skippy. - Błyszczący, powyginany. Chcesz zobaczyć?

-Chętnie - powiedział Roy - ale później. Teraz chciałbym, żebyś mi coś znalazł w komputerze.

-Darmowy komunikator telefoniczny?

Roy pokręcił głową. Jak to zgrabnie ujął?

-Chciałbym zajrzeć gdzieś, gdzie nie powinienem.

Skippy podniósł wzrok.

-Tak?

-Nie mam złych zamiarów - dodał Roy. - Muszę coś sprawdzić, żeby... rozstrzygnąć zakład.

-Co? - zapytał Skippy, podchodząc do komputera.

-Trochę to skomplikowane - odparł Roy i wdał się w długą, chaotyczną opowieść o hokeju na studiach, o satysfakcji z pobicia, dosłownie poturbowania drużyny z Harvardu, o procesie przygotowywania nekrologów, ze szczególnym uwzględnieniem "New York Timesa". Skippy zadał mu garść pytań... czemu drużyny z amatorskiej ligi seniorów przybierają takie dziwne nazwy, o ile się założył, czy fajnie było na studiach... ale słowem się nie zająknął o legalności ani o trudach hakerskiego włamania na serwer "New York Timesa". Cały proceder zabrał mu dziesięć minut.

-Proszę bardzo, panie... ups.

Drukarka zaterkotała leniwie. Skippy wręczył Royowi jego nekrolog.

RZEZBIARZ ROY VALOIS, LAT[WSTAWIC],

NIE ZYJE

Richard GoldWczoraj w [WSTAWIC] umarł rzeźbiarz ROY VALOIS, którego ogromne prace stoja wystawione w wielu miejscach publicznych w całym kraju oraz w licznych znakomitych muzeach. Miał [WSTAWIC] lat.

[WSTAWIC] podaje, że przyczyna zgonu był [WSTAWIC].

Valois, artysta samouk, tworzył niemal wyłącznie prace z odzyskanych materiałów, najczęściej złomowanych metali, chociaż nie był prymitywista, zdaniem Kurta Palmateera, byłego dyrektora Muzeum Mass MoCA w North Adams, w stanie Massachusetts, gdzie w skład stałej ekspozycji weszła pierwsza rzeźba należąca do późniejszego cyklu Neandertalczyków. "Elegancja stylu i głębokie zaangażowanie formalne wskazują na pokrewieństwo z Henrym Moore'em, a nawet z neoklasycystami dziewiętnastego wieku", twierdzi Palmateer.

Roy Valois urodził się w North Grafton na zachodzie Maine [UZUPELNIC], w szkole wyróżniał się w sporcie, jako wybitny hokeista dostał stypendium na Uniwersytecie Maine. Kiedy podjął wakacyjną pracę, która wymagała spawania i obróbki metali, znalazł swoje powołanie. Jego pierwsze dzieło, stojące obecnie w North Grafton przed biblioteką publiczną powstało latem na trzecim roku studiów, po godzinach. Wykonane z mosiężnych części wydobytych z zatopionego frachtowca, zatytułowane Finwal, zwróciło uwagę profesor Anny Cohen z Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Maine, dzięki czemu dostał dwuletnie stypendium Uniwersytetu Georgetown.

Tam zaczął przyciągać uwagę kolekcjonerów. Ceny wielu prac z cyklu Neandertalczyków "tragicznej epopei ze złomowanej stali", jak określił ją krytyk Hilton Kramer, przekroczyły 100 000 dolarów. W Georgetown Valois poznał Zonę, Delię Stern, ekonomistkę, która podjęła następnie pracę w ONZ. Zginęła w katastrofie lotniczej na granicy Wenezueli w [UZUPELNIC], Nie mieli dzieci, a Valois nie ożenił się ponownie [SPRAWDZIC], Zostawił matkę [SPRAWDZIC], Edne Valois zamieszkała w Sarasocie na Florydzie.

Roy przeczytał nekrolog dwa razy. Za pierwszym razem trochę mu się trzęsły, za drugim już nie. Tragiczna epopeja ze złomowanej stali - niech im będzie. Rozesmiał się w głos na to idiotyczne zestawienie. Nagle się zorientował, że Skippy na niego patrzy.

-Tak humorystycznie piszą nekrologi? - zapytał Skippy.

-Może nieswiadomie - wytłumaczył Roy.

Skippy pokiwał głową, jakby przyjął wyjaśnienie.

-I co, wygrasz zakład? - spytał.

Roy nie odpowiedział. Raptem jego wzrok padł na koniec ostatniego akapitu: poznał Zonę, Delię Stern, ekonomistkę, która podjęła następnie pracę w ONZ. Oczywisty błąd. Delia pracowała w Instytucie Hobbesa, a nie w ONZ. Wprowadzić to nieistotne w tym kontekście, ale Roy nie chciał, żeby jego nekrolog zawierał błąd. Poza tym przypomniał sobie, że Delia napisała bardzo krytyczną ekspertyzę praktyk budżetowych ONZ, na którą odpowiedział listem utrzymanym w protekcjonalnym tonie pewien urzędnik z Nowego Jorku. Postąpiłby niełojalnie, gdyby przytknął oko na taki błąd.

Spostrzegł, że Skippy wciąż mu się przygląda z dziwnym wyrazem twarzy.

-Co jest?

-Chyba krew ci leci z nosa.

Na nekrolog kapnela czerwona kropla.

-Drobiazg.

Roy poszedl do kuchni, przylozyl sobie do nosa papierowy recznik.

-Dobrze sie czujesz? - zapytal Skippy z za blatu.

Roy pokiwal glowa. Odsunal recznik. Kapnela kolejna kropla, tym razem na sosnowa posadzke.

-Na dzisiaj wystarczy - powiedzial. - Dzieki za pomoc.

-Nie ma sprawy - odparl Skippy. - A co z tym przedmiotem z elektrowni jadowej, o ktorym ci mowilem?

-Podskocz tam jutro - rzekl Roy. - I pamietaj, zeby ta mala przygoda komputerowa zostala miedzy nami.

-No tak, przygoda - powtorzyl Skippy. - Juz o niej zapomnialem.

Kiedy Royowi przestała lecieć krew, zadzwonił do "New York Timesa" i poprosił Richarda Golda do telefonu. Dostał połączenie.-Mowi Roy Valois. Czy mam przyjemność z panem Goldem?

-Słucham uprzejmie.

Czyby nie poznał nazwiska?

-O ile mi wiadomo, napisał pan o mnie do gazety - rzekł Roy.

-Byłby pan łaskaw powtórzyć nazwisko?

Roy powtórzył.

-Nic mi nie mówi - wyznał Gold. - A kiedy?

-Nie wiem dokładnie - powiedział Roy. - Bo materiał nie ukazał się jeszcze drukiem.

Dłuższa chwila milczenia. Royowi zdawało się, że słyszy ciche klikanie w klawiaturę. Po chwili Gold odezwał się znacznie bardziej zdecydowanym głosem.

-Pan jest rzeźbiarzem?

-Tak.

-Chodzi panu o nekrolog?

-Owszem.

-Wie pan od Palmateera?

-Od Palmateera?

-Cytowanego przeze mnie specjalisty z muzeum - wyjaśnił Gold. - Eksperti powinni dochowywać tajemnicy na temat udzielanych nam wywiadów.

-Nie rozmawiałem z nim od lat - dodał Roy. Raptem poraziła go myśl - nie wolno mu wpakować Skippy'ego w tarapaty. - Dowiedziałem się przypadkiem.

-A dokładnie?

-Nieważne.

-Przeciwnie - zaproponował Gold. - Jeżeli doszło do...

Roy nie dał mu dokończyć.

-Dzwonie dlatego, że do pańskiego nekrologu zakradł się błąd.

Gold przelknał głośno ślinę.

-Błąd?

-Ma pan tekst przed sobą na ekranie?

-Owszem.

-W trzecim zdaniu od końca, na temat mojej żony - powiedział Roy. - Nie pracowała dla ONZ. Na etacie pracowała jedynie w Instytucie Hobbesa.

-Mogłoby mi pan przeliterować?

Roy przeliterował nazwę.

Dłuższe milczenie.

-Nie mam wzmianki o nim w notatkach - powiedział Gold.

-Zatem oświadczam panu teraz, że...

-Wiadomość o pracy w ONZ otrzymałem z wiarygodnego źródła.

-Z wiarygodnego źródła? - spytał Roy. - Wolno wiedzieć z jakiego?

-Nie moge panu ujawnic - odparl Gold. - Sprawdze i oddzwonie.

-Tu nie ma co sprawdzac. - Roy sie obruszył. - Byla moja zona. Kto mialby wiedziec lepiej niz ja?

Gold puscil jego uwage mimo uszu.

-Mnie bardziej niepokoi panski rzekomy przypadek - oswiadczył.

-Jaki przypadek?

-Ktory pozwolil panu trafic na moj tekst. Bylbym wdzieczny za dokladne wyjasnienie.

Roy kilka razy udzielal wywiadow dziennikarzom i zawsze miło mu sie pracowalo. Ale teraz, kiedy sie rozlaczyl, a własciwie trzasnal sluchawka, uznal, ze Richard Gold bynajmniej nie przypadl mu do gustu. Poczul drapanie w gardle i pobiegl do umywalki.

Rozdzial 6

-Dobrze wygladasz - pochwalil go Freddy Boudreau, sierzant policji z Ethan Valley, znakomity srodkowy napastnik w druzynie Stringow. Sroda wieczor w szatni na lodowisku. Roy sznurowal lizwy na lawce, biedzil sie z suplem.

-Tak?

-Schudles troche - dodal Freddy. - Pakujesz na silowni?

Zanim zdazyl odpowiedziec, z drugiego konca szatni odezwal sie Turk.

-Nie kazdy opycha sie cheeseburgerami, Freddy. Mogl to powiedziec lekko, zarzem, ale nie powiedzial. W jego glosie brzmiala zlosc, ktora wychwycil Freddy. Lypnal zdziwionym okiem na Turka.

Roy nie chcial klotni.

-Zrezygnowalem z frytek - wyjasnil. - Ot i cala tajemnica.

Freddy pomilczal chwile i rozesmial sie.

-Ja nie potrafie - skomentowal. - Skad bym bral weglowodany?

Rozlegla sie syrena.

-Gramy - zakomenderowal Roy.

Wstal, siegnal po kij.

Freddy przydeptał łyżwa niedopalek papierosa i wyprowadził kolegów z szatni na lod. Dym buchał mu z nosa.

Pojazdy naprawcze lodowisk Zamboni już zjeżdżały, pozostawiając gładką, śliską powierzchnię. Roy od dawna nie zwracał uwagi na takie szczegóły, lecz teraz dostrzegł je świeżym okiem, jakim patrzy się na świat po burzy lub kiedy człowiek obudzi się w nowym miejscu. Drobne szczegóły, takie jak opakowanie batonika Mars zamrożone pod lodem, bożonarodzeniowy dzwoneczek przy pasku maski Turka, rysy od czarnego kraska na białej bandzie przypominającej abstrakcyjny obraz pełen dynamiki i przemocy. Roy uwielbiał hokej, uwielbiał również jego rytuały, na przykład kiedy pod koniec rozgrzewki wszyscy zawodnicy objeżdżają bramkę i każdy stuka bramkarza łopatką kija w naramiennik. Zawsze starał się uderzyć ostatni, przesadził przesadą, a teraz okrzyk dodatkowo lodowisko, zanim podjechał. Unosił kij i mijając Turka, uderzył go w prawy naramiennik.

-Nie przepuść nikogo - poprosił Turk za maski. - Bo mam nieziemskiego kaca.

Chociaż tracił Turka lekko, poczuł ból w lewym przedramieniu. Właściwie ułucie, nic wielkiego, powinien je zlekceważyć, tym bardziej że drobne kontuzje były w tym sporcie na porządku dziennym. Ból jednak nie ustępował, nie tylko dawał o sobie znać, ale przez cały mecz się nasilał. Nie pozwalał strzelać goli, obniżał jakość podania, a nawet jazdy na łyżwach. Roy przepuścił niejednego gracza. Stringi przegrały sześcioma czy siedzioma bramkami, większość padła z ich winy. Czy kiedykolwiek grał gorzej?

Po meczu nie zszedł z lodu, lecz okrazał samotnie taflę. Turk opuścił szatnię ostatni. Az się ugiął pod ciężarem ogromnej torby ze sprzętem bramkarskim, ale zawołał jeszcze do niego przez bandę:

-Wszystko w porządku?

Roy pokiwał głową.

-Idziesz do Walda?

-Później wpadnę.

Pojechal jednak do domu. Obejrzał dokładnie reke, zadnego sladu, nawet sinca. Przylozyl sobie lod, nalal drinka i zasiadl przed telewizorem. Po chwili zauwazyl mrugajaca lampke sekretarki automatycznej.

Sprawdzil.

-Mowi Richard Gold. Panie Valois, wykrylem niezgodnosc wersji. Prosilbym o dokumentacje poswiadczajaca podjecie przez panska nieboszczke zone pracy we wspomnianym przez pana instytucie.

I zostawil swoj domowy telefon.

Dokumentacje? Niby jaka? Roy chyba kiedys widzial legitymacje Delii ze zdjeciem, moze tez dowody wyplat pensji, ale wszystko dawno wyrzucil razem z jej ubraniami, ulubionym kubkiem i innymi pamiatkami, ktore przechowywal rok lub dwa, az w koncu uznal, ze przypominaja mu jej smierc, a nie ja sama.

Zadzwonil do Golda, nagral sie na poczcie glosowa.

-O jaka dokumentacje panu chodzi? Delia pracowala w Instytucie Hobbesa, nie w ONZ. Wiem to z cala pewnoscia. Nie chcialbym pana pouczac, jak wykonywac swoja prace, ale moze pan tam zadzwoni? Jej owczesny szef nazywal sie Tom Parish. Moze wciaz tam pracuje.

Wzial srodek nasenny i polozyl sie. Byl bardzo zmeczony, chcial zasnac i nie myslec przez kilka godzin, ale bol reki nie pozwolil mu zmruzyc oka przez cala noc. Rano pojechal do kliniki u podnoza gory. Z poczekalni widzial w oddali male sylwetki pierwszych narciarzy smigajacych zygzakiem po stoku, wzbijajacych tumany spadlego przez noc puchu. Mimo odleglosci w jednej dopatrzył sie znajomej osoby.

Wypelnil formularze, zaznaczyl "nie" we wszystkich rubrykach dotyczacych dawnych i obecnych chorob, jak zawsze u lekarza. Przeswietlono mu reke z przodu, z tyłu, z boku. Zaraz potem zjawil sie lekarz i oznajmil, ze Roy ma zlamana kosc lokciowa.

-Typowe złamanie bez przemieszczenia - oznajmil lekarz, oglądając klisze pod światło. - Widzi pan?

Roy potwierdził.

-Jezdził pan na desce? - zapytał lekarz.

-Grałem w hokeja - powiedział Roy.

-Brutalna gra. Ktoś pana uderzył kijem? Ktoś zagrał wysoko uniesionym kijem?

-Oberwałem przypadkiem - odrzekł Roy.

-Tuz nad rekawicą - skomentował lekarz. - Bez przerwy widuje takie złamania. - Zaprowadził Roya do gipsowni. - Ma pan ochotę wybrać kolor?

Czerwony, pomyślał Roy, ulubiony kolor Delii. Skąd ten pomysł?

-Nie - odparł.

Lekarz wybrał niebieski i założył Royowi. Gips kończył się kilka centymetrów pod łokciem.

-Mam dla pana dobrą nowinę. Złamanie jest proste - pocieszył pacjenta.

-A zła? - spytał Roy.

Lekarz zamrugal.

-Nie mam zlej - powiedzial. - Powinno zrosnac sie w poltora miesiaca. Wtedy zapraszam na badanie kontrolne. - Zauwazyl mine Roya. - I niech sie pan nie przejmuje. Wiosna wroci pan na lod. - Podal mu fiolke. - A to srodek przeciwbolowy.

-Nie, dziekuje - odmowil Roy.

W drodze powrotnej do domu zajrzal na zlomowisko.-Czesc - przywital go Murph. - Co to za gips?

-Od hokeja - powiedzial Roy. - Zdejma mi za poltora miesiaca.

-Ech, wy hokeisci hobbysci - powiedzial Murph. - Nie znacie umiaru.

-Czy to grzech? - spytal Roy.

-A nie?

Roy rozejrzal sie po kantorku.

-Jest Skippy? Mowil, ze przyjechalo cos z elektrowni jadowej.

-To tylko moj domysl - powiedzial Murph, wstajac zza biurka. - Obejrzyj sam.

-Skippy ma dzisiaj wolne?

Murph prychnal.

-Skonczony kretyn. Wolne? I tak, i nie.

-Jak to?

-Zapuszczowali cwaniaka w komisariacie - wyjasnil Murph. - Przylapali go wczoraj wieczorem na jezdzie po pijaku.

-Nic mu nie jest?

-Za diabla! Matka odchodzi przez niego od zmyslow. Ja zreszta tez. - Opuscili kantor, zeszli po schodach na zewnatrz budynku. Kiedy przemierzali zlomowisko, skute lodem bloto trzaskalo im pod nogami. - Zostawi go przez dwa dni na dolku, zeby dostal nauczke.

-Uwazasz, ze to dobry pomysl? - spytal Roy.

-A masz lepszy? Przecież to nicpon.

Roy minal w ślad za Murphem stos zardzewiałych rusztów do grillowania, rozbitego cadillaca escalade leżacego na boku, sterty mosiężnej blachy na wysokość człowieka.

-I co? - spytał Murph, wskazując konkretny obiekt.

-Jeszcze nie wiem - wyznał Roy.

Spojrzał w dół. Wypolerowany na błysk srebrny stożek, w przybliżeniu sześciometrowy, a na nim drugi, znacznie węższy, jeszcze bardziej błyszczący, zweżający się w szpic. Roy przeczytał nazwę Candu wypisaną czerwonymi literami u podstawy.

-Ile chcesz za górną część?

Murph wzruszył ramionami.

-Nawet, cholera, nie wiem, z czego ona jest - rzucił, przeciągając podkowiastym magnesem po metalu.

-Sto dolarów - zaproponował Roy.

-Za stówę dorzucę ci jeszcze Betty Lou - odparł Murph.

Betty Lou to jego żona.

Roy kucnął, dotknął czubka górnego stożka. Bardzo ostry, zimny jak lód.

Zaladowal waski stozek na tyl polciezarowki i wrocil do domu. Reke w gipsie trzymal na podolku. Bol nie ustapil. W telefonie zastal trzy wiadomosci. Pierwsza od Turka.-Nie widzialem cie wczoraj wieczorem u Walda. Zadzwon.

Druga od Jen.

-Czesc, Roy. Wpadlam dzis do przychodni, zeby sie pozegnac. Dowiedzialam sie, ze zlamales reke. Wszystko w porzadku?

Trzecia byla od Richarda Golda:

-Usiluje zweryfikowac nazwisko szefa panskiej zony, ktore mi pan podal. Tom Parish? Przez jedno "r" czy przez dwa?

Roy wysluchal drugi raz wiadomosc od Jen, ale nie oddzwonil. Podobnie zreszta jak do innych. Wyladowal i zaciagnal Isniacy stozek na srodek pracowni, ustawil obok Delii i zaczal mu sie przygladac. Czasami takie chwile przynosily natchnienie.

Ale nie tym razem. Mglisty obraz delikatnej, rozrzedzonej ciszy zarysowany w głowie nie chciał się skryształizować. Wyciągnął taboret, wyjął szkiecownik i miękki ołówek. Z początku nic. Roy zdążył przywyknąć, nauczył się cierpliwości w pracy. Nie ma pośpiechu, zawsze sobie powtarzał.

Ołówek jakby ożył, ale Roy raczej za nim nadązał, niż go prowadził. Pierwsze kreski nawet przypominały stozek, przywoływały na myśl rozrzedzenie, ciszę, potem jednak utworzyły złobioną kolumnę, następnie drugą, razem cztery, pośrodku dwuskrzydłowe drzwi, a u góry wieńczący je fronton. Roy właśnie kończył rysować szerokie, płytkie schody, kiedy zobaczył, co mu wyszło - fasada Instytutu Hobbesa na Constitution Avenue.

Przerwał pracę. Cisza znikła.

Podszedł do telefonu, zadzwonił do Richarda Golda, znowu nagrał się tylko na pocztę głosową. Roy zwykle nie przejmował się drobiazgami, ale teraz ku własnemu zdziwieniu podniósł głos.

-Tom Parish przez jedno "r". Czy to tak trudno sprawdzić?

Położył się na kanapie. Za oknem zaczął padać śnieg. Widział go przez świetliki w dachu, płatki widziane pod tym kątem wydały mu się ciemne, a śmigły jak napędzane silniczkami. Ułożył rękę w wygodnej pozycji, w której prawie nie czuł bólu. Zamknął oczy.

-Cos wspanialego! - zawolala Delia.-A nie mowilem? - powiedzial Tom Parish. - Roy, mamy jeszcze szampana?

Bylo go pod dostatkiem w lodowce na pokladzie Bellissimy, dziesieciometrowej, a moze nieco dluzszej, lodzi motorowej Toma. Roy, szczur ladowy, nie znal sie na jachtach. Wyjal dwie zimne butelki i podszedl do Toma, ktory stal przy sterze, a morska bryza rozwiewala mu blond wlosy. Delia siedziala na nadburciu, z reki zwisal jej pusty smukly kieliszek po szampanie. Lodz kolysala sie na fali, silniki pracowaly na jalowym biegu. Noc, zatoka Chesapeake, Dzień Niepodleglosci, co kilka sekund w roznych punktach nabrzeza wybuchaly fajerwerki. Roy podwazyl korek, rozlal szampana.

-Zdrowie - rzucil Tom.

Wypili. Delia ogladala pokaz, rozblyskujace swiatla odbijaly sie w jej oczach.

-Do czego bys je porownal, Roy?

Fajerwerki eksplodowaly jedne po drugich, puf, puf, puf, czerwone, biale, niebieskie, zielone, wielka feeria swiatel podrygiwala na falach. Roy pokrecil glowa. Nie potrafil ich okreslic slowami.

-To ja ci podpowiem - rzekl Tom. Zajrzal do kieliszka, a nastepnie go wychylil. - Przypominaja zabawe w wojne.

Delia spojrzala na Toma i rozesmiala sie. Roy nie zalapal, ale docenial inteligencje Toma.

Dzwonił telefon. Wysyłał elektryczne wibracje przez pokój wymierzone prosto w złamaną rękę. Roy wstał z kanapy i aż mu od tego małego wysiłku zabrakło tchu w piersiach. Odebrał.-Roy? Tu Freddy Boudreau. Dzwonie z komisariatu. Obudziłem cie?

-Oglądam telewizję - powiedział Roy.

-Posłuchaj - poprosił Freddy. - Siedzi tu u nas chłopak na dolku, który twierdzi, że pracuje u ciebie. Nie chcemy go zatrzymać, ale nikt się po niego nie zgłosił.

-Skippy?

-Aha.

Roy pojechał do komisariatu. Freddy w granatowym mundurze stał za kontuarem. Skippy siedział na krześle obok zapatrzony we własne kolana.

-Co ci się stało w rękę? - spytał Freddy.

-Złamałem sobie wczoraj wieczorem.

-Na meczu?

-Tak.

-Kiedy to sie stalo?

Roy wzruszył ramionami.

-W ogole sie nie zorientowalem.

-Twardziel z ciebie - pochwalil go Freddy. Wskazal kciukiem Skippy'ego. - Ten idiota naprawde u ciebie pracuje?

-Tak, czasem mi pomaga - potwierdzil Roy.

-Wczoraj w alkamacie dmuchnal jeden koma osiem. Poza tym nie mial ubezpieczenia i jechal bez swiatel stopu, dlatego zreszta go zatrzymano. Sprawe w sadzie wyznaczono mu w przyszłym miesiacu.

Skippy nie odrywal wzroku od kolan.

-Jaka kaucje trzeba wplacic, zeby wyszedl?

-Nic nie trzeba placic - powiedzial Freddy. - Moze go odebrac dowolna odpowiedzialna dorosla osoba.

-Sprobuje kogos takiego znalezc - powiedzial Roy.

Freddy sie rozesmial. Roy wyszedl ze Skippym z komisariatu.

-Zawiez ci do mamy? - spytal, kiedy wsiedli do polciezarowki.

Skippy pokrecil glowa.

-Do Murpha?

-On mnie nienawidzi.

-Nieprawda.

-Niech ci bedzie - zgodzil sie Skippy. Westchnal z rezygnacja. - Moze podruc mnie do Mlodego.

-Co to za Mlody?

-Kolega. Mieszka pod mostem.

-A jak sie nazywa?

-Cordero.

-Wiesz co - zwrocil sie do niego z propozycja Roy - przenocuj dzisiaj u mnie, w goscinnym. Rano musisz dojsc do ladu z mama.

Roy znal rodzine Cordero.

Skippy skinal lekko głowa. Nie pachniał najlepiej.

Rano obudził Roya telefon.-Mowi Honey. - Roy ostatnio rozmawiał z tyloma lekarzami, że w pierwszej chwili go nie poznał. - Doktor Chu, moj kolega z Hopkinsa, o którym panu wspominałem, zgodził się pana przyjąć. Nie obiecuje, że na pewno przyjmie pana do swojego programu badawczego, ale proszę się z nim jak najszybciej skontaktować w Baltimore.

-Ale ja...

Ni stąd, ni zowad Roy nagle zapragnął opowiedzieć doktorowi Honeyowi o swojej złamanej ręce, lecz się powstrzymał.

-Chciał pan o coś zapytać?

-Nie - odparł Roy. - Bardzo dziękuję.

-Przelacze pana do swojej asystentki - powiedzial Honey. - Poda panu niezbedne dane.

Asystentka Honeya podyktowala wszystkie namiary. Zapisal. Nastepnie wyszedl na korytarz, zajrzal do pokoju goscinnego. Skippy spal na golym materacu w ubraniu i w butach. Swieza posciel, ktora Roy mu dal, lezala zlozona na stoliku nocnym.

-Pobudka! - zawolal Roy.

Zero reakcji.

-Chyba dzwoni twoja mama...

Telefon zadzwonil ponownie. Roy wszedl do duzego pokoju. Slonce, jasne i srebrzyste o swicie, migotalo w Delii, przekuwajac sen o Dniu Niepodleglosci w mysl Roya na jawie. Podniosl sluchawke.

-Pan Valois? Mowi Richard. Beda mi potrzebne informacje na temat Toma Parisha.

-Pisze sie przez jedno "r" - odparl Roy. - Nie odsluchuje pan wiadomosci?

-Odsluchalem - powiedzial Gold. - Ale liczyłem na cos wiecej.

-Na milosc boska - uniosl sie Roy. - Czy panska gazeta do wszystkiego tak podchodzi? Delia pracowala w Instytucie Hobbesa. Jej szefem byl Tom Parish. Wlasnie on ja zatrudnil.

-A skad przeszla?

-Z Departamentu Stanu - poinformował dziennikarza Roy. - Ale pracowała tam zaledwie kilka miesięcy, stad nie bardzo rozumiem...

-Czy panska zona odbyła przeszkolenie wojskowe? - spytał Gold.

-Wojskowe? - zdziwił się Roy. - Oczywiście, że nie. Była ekonomistka. Miała doktorat z Georgetown i etat w Instytucie Hobbesa. Kropka.

-To nie takie proste - stwierdził Gold. - Chodzi o to... - Roy usłyszał jakies zamieszanie w tle. - Jedna chwileczka.

Roy odłożył słuchawkę. Usłyszał ciche, przytłumione głosy, potem brzek, jakby upadła szklanka. I cisza.

-Panie Gold? - Upłynęło jeszcze piętnaście, może dwadzieścia sekund. Następnie rozległ się trzask i przerywany sygnał zajętości. - Co jest, do cholery?

Zadzwoił do dziennikarza. Poczta głosowa.

-Niech pan sobie da spokój - zażądał. - I pisze, co się panu żywnie podoba.

Bo jakie to miało znaczenie?

Roy i Skippy spotkali sie z matka chlopca na parkingu paczkarni Dunkin' Donuts. Mama Skippy'ego siedziala w furgonetce na miejscu pasazera. Mezczyzna za kierownica jadal paczka z rozowym lukrem, ktory ubarwial swoim kolorem ten szary dzien.-Kto to? - zapytal Roy.

-Jej facet - odparl Skippy. - Nowy.

Nowy facet mial krzaczaste siwe wasy. Roy zaparkowal obok vana. Wszyscy patrzyli na wszystkich, ale nikt nawet nie drgnal. Nowy facet mial rowniez silne miesnie zuchwy. Uwydatnialy sie, kiedy gryzl paczka. Roy wysiadl z polciezarowki, podszedl do drzwi od strony mamy Skippy'ego.

Opuscila szybe do polowy. Roy nie dopatrzył sie w jej twarzy rysow chlopca.

-Witam - powiedzial. - Jestem Roy.

-Aha - odburknela mama Skippy'ego.

-Wyjezdzam na kilka dni w interesach - oswiadczyl. - Bardzo chcialbym, zeby Skippy zamieszkal u mnie w tym czasie i zaopiekowal sie domem.

Matka zerknela na swojego partnera. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia bez slow. Odwrocila sie do Roya.

-Placisz mu? - zapytala.

-Tak.

Zastanowiła się, jej partnerowi wyszły na wierzch mięśnie zuchwy.

-Ile? - spytała.

-Skippy sam musi zdecydować, czy wam powie - odparł Roy.

-Co? - warknął partner.

Matka spojrzała na Skippy'ego, który siedział w polciezarowce. Miał słuchawki w uszach, tępy wzrok wbity przed siebie.

-Dobra - zgodziła się. Popatrzyła surowo na Roya. - Ale jeżeli coś zmałuje, proszę nie przychodzić do mnie z płaczem.

Partner dokonał paczka.

-Za żadne szkody nie odpowiadam - dodała, kiedy Roy już odchodził. Zawołała więc jeszcze za nim podniesionym głosem: - Martw się sam.

Skippy usłyszał i skulił się jeszcze bardziej.

Delia była pochowana na cmentarzu za kościołem kongregacjonalistów. Roy nigdy tam nie chodził, ale teraz wybrał się przed wyjazdem do Baltimore. Niektóre nagrobki, te najbliżej kościoła, pochodziły z XVII wieku. Nowsze stały na zboczu wznoszącym się do lasu. Delia leżała w ostatnim rzędzie, pod lasem. Miała prosty, ciemnoszary granitowy kamień, a na nim wyryte tylko imię, nazwisko oraz daty. Roy odnalazł grob prawie cały zasniezony. Przypomnił sobie, jak kiedyś zimą w dzieciństwie w Maine zawalił się na niego śnieżny fort i jaki przeżył strach przed pogrzebaniem żywcem. Odgarnął jedną reka śnieg aż do zamrożonej ziemi. Ktoś inny w jego sytuacji pomyślałby, że niedługo połączy się z żoną. Za cztery miesiące, a najdalej rok. On jednak nie wierzył. Nie tylko nie wierzył, lecz nie sądził, że ktokolwiek w głębi duszy w coś takiego wierzy. Gdyby naprawdę wierzono, że gdzieś tam czeka nas usłane różami życie pozagrobowe, przy boku ponownie połączonych kochanków i rodzin, gdyby wierzono w nie z całą pewnością, śmierć nie budziłaby takich emocji. Tymczasem śmierć budziła strach, który kolatał się ludziom w głowach, i nie wyobrażano sobie nic gorszego niż śmierć bliskiej osoby.

-A może czegoś tu nie rozumiem? - powiedział Roy na głos.

Czy kiedykolwiek rozmawiał na ten temat z Delią? Właściwie nie. Próbował sobie wyobrazić, jak by skomentowała teraz sytuację, ale nie potrafił.

-Sprawdziłem doktora Chu w Internecie - dodał. Madry gość, ma dyplomy z najlepszych uczelni i nagrody naukowe z trzech krajów.

Madrych jest na peczki. Pytanie, czy mu się uda?

Usłyszał te myśli wypowiedziana tak wyraźnie przez Delię, jak gdyby wypowiedziała ją na głos. Naprawdę nie przysięgliby, że jej nie powiedziała. Czyżby zmysły aż tak go myliły? Oslupiał. Ukucnął przed grobem, a w drzewach zerwał się wiatr.

Pogrzeb nawet jakos zniosł. Największy cios spadł na niego z chwila, kiedy zadzwonił Tom Parish i przekazał mu wiadomość. Wspomnienie tamtej rozmowy telefonicznej nie zatarło się do dzisiaj. Instytut odesłał ciało z Wenezueli w ozdobnej białej trumnie, która nie spodobałaby się Delii. Przyszedł ją pożegnać tłum - dawni koledzy ze studiów, przedstawiciele środowisk artystycznych, hokeiści, ludzie z Waszyngtonu, wśród nich Tom Parish. Nikogo z nich Roy już nie widywał poza Krishna i chłopakami z drużyny. Tom opowiedział zabawną anegdotę o tym, jak Delia wydebila dotacje od pewnego malodusznego potentata. Siedzący na stolku przy grobie gitarzysta zagrał "For All We Know", jeden z ulubionych utworów Delii, zwłaszcza w wersji Billie Holiday. Zaraz potem nabrano pierwszą łopate ziemi, która spadła z miękkim pacnięciem na trumnę. Roy aż się wtedy wzdrygnął. Nikt nie zajaknął się słowem o dziecku w jej łonie. Do dzisiaj pozostało tajemnicą wyłącznie Roya, Delii oraz lekarza położnika.

Wiatr się nasilił. Zaczął padać śnieg, twarde grudki siekły Roya w twarz. Wstał, wyszedł z cmentarza, lecz w uszach wciąż dzwieczał mu jej głos. Pytanie, czy mu się uda. Pojechał polciezarówką na stację benzynową na południowym krancu miasta, stanął przy dystrybutorze. Zatankował, już odwieszał pistolet, kiedy zauważył po drugiej stronie samochód. Wyladowany po brzegi Subaru Kombi Jen z dwoma dużymi bagażnikami narciarskimi na dachu. Podniósł wzrok, ich oczy się spotkały.

Wyglądała wspaniale. Gdyby jej nie znalazł, na pewno chciałby poznać, oczywiście we wcześniejszym okresie życia. Do rzes przykleił jej się płatek śniegu. Twarz Isniła, jakby opromieniona słońcem.

-Cześć, Roy.

-Cześć.

-Wyjeżdżam - powiedziała.

A jeżeli doktor Chu dokona cudu? Serce zaczęło bić Royowi bardzo szybko. Już chciał powiedzieć: Nie zapominaj o mnie, nie podpisuj umowy najmu, wszystko może ulec zmianie, ale coś go złapało za gardło, więc skinal tylko głową.

Jen spojrzała na jego polciezarówkę, zobaczyła na przednim siedzeniu walizkę. Nawet przemknęła jej przez głowę romantyczna myśl, co poznał po jej minie - A może jedzie za mną?

-Wyjeżdżam w interesach - wyjaśnił przedko, żeby nie dopuścić do spotkania niewyrażonych na głos przez niego i przez nią myśli.

Usmiechnela sie.

-Bawisz sie teraz w biznesmena?

Poczul, ze sie rumieni.

-Objedzam zlomowiska - wyjasnil.

-Pracujesz nad czymś nowym?

-Mam pewien pomysl.

-Zawsze masz swietne pomysly.

-Bo ja wiem?

Popatrzyli na siebie.

-Dobrze sie czujesz, Roy?

-Bardzo dobrze.

-A reka w porzadku?

Pomachał nią, żeby pokazać, w jakiej jest dobrej formie. Zabolalo.

Za nimi podjechały już następne samochody. Podeszła, pocałowała go w policzek.

-Jedź ostrożnie.

-Ty też.

Roy odprowadził Jen aż do drogi między stanowej. Pozegnała go błysnięciem światłami stopu i skreśliła na autostradzie. On pojechał dalej, nie zbaczając.

-Zanim zaczniemy - rzekł doktor Chu - muszę panu coś pokazać. Wyszedł zza biurka, otworzył teczkę. Okna w gabinecie miał zasłonięte żaluzjami z papieru ryżowego, a wewnątrz pełne prostych drewnianych mebli przypominało Royowi centrum jogi, która próbował uprawiać po roku od śmierci Delii, ale nie wytrzymał ani jednego dnia. Chu wyjął zdjęcie z teczki i pokazał Royowi. Stał na nim z uśmiechem na twarzy, w szortach, podkoszulku i klapkach, obok jednego z Neandertalczyków. W tle Roy zauważył palme, musiał to więc być Numer Dwanaście na terenie uniwersytetu w Miami.

-Na dorocznej konferencji - dodal. - Dwa lata temu.

-Jakiej konferencji? - spytal Roy.

-Miedzynarodowego Stowarzyszenia Badan nad Mezotelioma - wyjasnil lekarz. - Ktorego jestem zalozycielem. Chcialem panu pokazac, ze nasze drogi skrzyzowaly sie przypadkiem wczesniej.

Roy pierwszy o tym pomyslal, ale bez entuzjazmu.

-Doktor Honey daje mi cztery miesiace do roku - powiedzial.

Chu schowal zdjecie do teczki, wrocil za biurko, usiadl w fotelu.

-Znam doktora Honeya - stwierdzil.

Popatrzyll na Roya, tym razem mniej zyczliwie. Prawie nie przypominal mezczyzny ze zdjecia. Masz go sobie zjednac, ty gluptasie - uslyszal glos Delii tak wyraznie, jak gdyby stala obok. Uznal, ze woli tego czlowieka w wersji powaznej i nie odezwal sie. Czekal na dalsze wyjasnienia Chu o Honeyu.

Ale sie nie doczekal. Lekarz po chwili zastanowienia rzekl:

-Przedstawie panu pokrotce swoje stanowisko na temat nieoperacyjnego miedzybloniaka oplucnej. Powszechna niewydolnosc wszystkich dostepnych metod chemioterapii i radioterapii polega na ich stosunkowo malej skutecznosci, ktora prawie na pewno utrzyma sie mimo prowadzonych obecnie badan nad pemetrekselem z cisplatyna, pemetrekselem z gemcytabina, gemcytabina z karboplatyna w polaczeniu z bewacizumabem lub bez, nad flawopirydolem z FR901228 lub bez albo nad innymi programami leczenia obecnie pozostajacymi w fazie prob. Powody sa rozne, albowiem podstawy biologiczne nowotworu sa bardzo zroznicowane. Moj obecny program badan pierwszej fazy nad nieoperacyjnym miedzybloniakiem w stopniu drugim i trzecim polega na zastosowaniu leczenia

neoadjuwantowego będącego leczeniem złożonym z antygenu nowotworowego oraz koktajlu z inhibitorem angiogennym opracowanym w moim laboratorium.

Pemetreksed, gemcytabina, flawopitydol, neoadjuwantowy - lawina dziwnych słów, a wszystkie odbiegały od znanego Royowi języka. Kompletnie się pogubił. Umykał mu teraz sens nawet znanych wcześniej słów takich jak antygen. Skupił się na koktajlu niosącym miłe skojarzenia. Brzmiał logicznie, przekonująco, podnosił na duchu, ale Roy uciekł myślą w inne rejony. Czy da radę? Hen daleko widział przez okno skrawek błękitu. Możliwe, że to zatoka Chesapeake.

Uswiadomił sobie zmianę w tonie głosu Chu. Lekarz wychylił się w jego stronę.

-Obie metody mają zabić komórki rakowe, a jednocześnie każąc im się zwalczać nawzajem, rozumie pan - ciągnął. - Ujmując rzecz najprościej, nie interesują mnie trzy lub cztery dodatkowe miesiące ani nawet rok czy dwa. - Sciszył głos, jak gdyby zdradzał sekret. - Chodzi mi o znacznie, ale to znacznie lepszy wynik.

Roy pokiwał głową. Jemu też. Chu odchylił się znowu w fotelu.

-Ma pan jakieś pytania?

-Jak do tej pory przebiegają badania?

-Ponieważ znajdują się w pierwszej, wstępnej fazie, mam dopiero pięciu uczestników, a właściwie czterech, jeżeli zaliczyć definicje do osób pozostałych przy życiu - wyjaśnił lekarz. - Obecny stan badań nazwałbym obiecującym.

-W takim razie proszę mnie przyjąć - rzekł Roy.

-Nie wspomnieliśmy jeszcze o ewentualnych skutkach ubocznych. - Chu wymienił całą ich listę: wysypka, mdłości, utrata włosów, zawroty głowy, ale żadne w najmniejszym stopniu nie dorównują grozie zgonu w ciągu czterech miesięcy do roku. - Jakies pytania?

-Nie.

Lekarz wstał, wziął stetoskop.

-Oslucham pana.

Roy nie bez pewnego trudu podniósł koszulę. Chu zobaczył na jego ręce gips, ale nie skomentował. Przyłożył Royowi delikatnie słuchawkę stetoskopu do nagiego torsu. Słuchał. Zbliżył twarz do jego twarzy. Patrzył nawiedzony, jak gdyby był w transie. Biła od niego mądrość. Roy poczuł się, jakby coś bardziej przenikliwego niż zwykły aparat pomiarowy zaglądało do jego wnętrza.

Lekarz się cofnął.

-Zacznijemy od wlewu dożylnego witamin, głównie B dwanaście i kwasu foliowego.

-Kiedy? - spytał Roy.

-Proszę zaczekać w poczekalni. Pielęgniarka zaraz pana wezwie.

-Czyli przyjmuje mnie pan?

-Owszem.

Zostal przyjety. Czy powinien nastapic uscisk dloni? Nie nastapil. Roy wrocil do poczekalni.

Siedzial sam. Wypelnił formularze. Napil się chłodnej wody z pojemnika. Obejrzał fotografie w ramce przedstawiająca mur chiński z lotu ptaka. Minela godzina. Co znaczy "zaraz"? Chwile przeglądał kolorowe czasopisma plotkarskie, ale zupełnie go nie interesowały. I wtedy zauwazył w koszu stronicze dziennika "New York Times". Sekcja D wczorajszej gazety, dział gospodarczy i sportowy, zalana kawa w prawym dolnym rogu. Roy przeczucil strony gospodarcze, szukajac felietonu Richarda Golda. Znalazł nazwisko, tyle że nie jako autora artykulu, lecz w kontekscie, który przyprawil go o gesia skorke.

RICHARD GOLD, DZIENNIKARZNYT, LAT 41

Myra BurnsRICHARD GOLD, zdobywca kilku ważnych nagród w ciągu piętnastu lat pracy w "New York Timesie", zmarł wczoraj w wieku 41 lat. Padł ofiarą napadu rabunkowego w swoim domu w północno-zachodniej dzielnicy Waszyngtonu, jak podaje śledczy Irwin Bettis z wydziału brutalnych przestępstw stołecznej policji. "To niesłychana strata dla naszego grona", mówi redaktor naczelny...

-Roy?

Podniósł wzrok. Nad nim stała pielęgniarka.

-Idziemy - powiedziała.

Rozdział 8

-Mam na imię Netty - przedstawiła się pielęgniarka. - Chyba nie muszę pytać, w którą rekę się wkluc? Co się stało?-Gralem w hokeja - odparł Roy.

-Cos podobnego!

Podwinal prawy rekaw.

-Jaka ładna zyla - pochwalila Netty.

-Dziekuje.

-Moze troche zaboiec. - Wbila wenflon. Roy nawet nie poczul. Poplynely wprowadzane dozylnie witaminy. Pielegniarka obserwowala kroplowke. - Skad pan jest?

-Z Vermontu.

-Slyszalam, ze to piekny stan.

-Potwierdzam.

Spotkali sie wzrokiem. Pielegniarka byla w srednim wieku, przysadzista, miala subtelną, ale zmeczona twarz.

-Doktor Chu jest madrym czlowiekiem - powiedziala.

Dziesiec minut pozniej Roy wrocil do poczekalni. Czul sie dosc dobrze. Czy to mozliwe, zeby witaminy zadzialaly tak szybko? Raz i drugi odetchnal gleboko, tak jak dawno juz nie oddychal.

Wlozyl kurtke, wrocil do fotela, na ktorym zostawil sekcje D "Timesa". W tej samej chwili uchylily sie drzwi na korytarz i wjechal mezczyzna na wozku pchanym przez druga pielegniarke. W nosie mial rurke tlenowa. Sadzac po wlosach szpakowatych na skroniach, mogl byc w wieku Roya, ale wygladal jak

kosciotrup. Miał ziemista cerę, tu i ówdzie niezagojone rany, metny wzrok, wychudzona szyja. Dygotał na całym ciele, chociaż był otulony kocem.

Czy uczestniczył w tych samych badaniach? Roy chciał uciec jak najdalej od pacjenta na wozku. Zostawił gazetę i wybiegł z gabinetu doktora Chu.

Zameldował się w hotelu, wszedł do baru i zamówił kolację. Chowder, stek z rostbefu z kością, pieczone kartofle, sałatka cesarska, szklanka mocnego piwa, potem druga, a na deser placek pekanowy z lodami. Suty posiłek, ale Royowi zawsze dopisywał apetyt, często jadł takie obiady, zwłaszcza po dniu wędrowki na rakietach śnieżnych. Tym razem wystarczyłaby mu sama zupa tak syta jak chowder. Resztę w siebie wmusił.

-Lubie, jak komus dopisuje apetyt - pochwaliła go barmanka. - Pan tu w interesach?

Roy pokiwał głową.

-A wolno spytać, czym się pan zajmuje? - zagadnęła.

Odpowiedzial tak, jak zawsze odpowiadał w podobnych sytuacjach.

-Zajmuje się metalami.

-Złotem? - zainteresowała się barmanka.

Często wysnuwano taki domysł.

-Raczej złomem - odparł.

-Ach, rozumiem. - Odsunęła się. Zwykła reakcja. Z rzadka jakiś mężczyzna zapytał, czy z tego są pieniądze. Roy jadł dalej. Po chwili znów się odezwała: - Nie przeszkadza panu telewizor?

Nie przeszkadzał. Włączyła.

Lokalne wiadomości. Dziennikarz stał przed niewielkim białym domem na wysadzonej drzewami ulicy w Georgetown albo w Chevy Chase.

-W dalszym ciągu nie znaleziono podejrzanych o zabicie waszyngtonskiego dziennikarza "New York Timesa", Richarda Golda, który zginął od uderzenia tym narzędziem w głowę.

Pokazano zdjęcie Golda - łysy, o wyraźnych rysach, wąskich ustach. Siegał po telefon.

-Śledczy podejrzewają, że motywem było włamanie. Zginął portfel Golda, a także telewizor plazmowy i inne cenne przedmioty. Osoby mające jakiegokolwiek informacje w tej sprawie uprasza się o telefon pod numer podany na ekranie.

Barmanka patrzyła, ujawszy się pod bok.

-Ci ludzie nigdy się nie uczą - skomentowała. - Kiedy tylko zaczną używać kart kredytowych, zaraz ich przyskrzynia. Wszyscy popełniają ten sam błąd.

Roy dobrze się wyspał. Rano wziął prysznic, ogolił się, przejrzał w lustrze. Wyglądał nieźle, pominiawszy złamaną rękę i cztery szwy na piersi, może jeszcze nieco czerwienisz, niż powinny być. Ruszył do szpitala na pierwszy kurs terapii doktora Chu. Nie zobaczył jednak lekarza. Netty zbadała mu puls i ciśnienie.

-Dobre wyniki? - spytał.

-W normie.

Pielegniarka pobrała mu krew do trzech probówek, każda opatrzyła inną naklejką. Potem kazała mu się rozebrać do bokserów i stanąć na wadze.

-Siedemdziesiąt osiem kilogramów - powiedziała. - Czy to pana normalna waga?

-Mniej więcej - odparł, chociaż "mniej" byłoby bliższe prawdy. Od drugiej klasy liceum nigdy nie wazył mniej niż osiemdziesiąt sześć kilogramów, a nieraz przekroczył granicę czterdziestu kilo. Zszedł z wagi, poczuł krople potu, który nagle wystąpił mu na górnej wardze. Netty, stojąc do niego tyłem, wkładała probówki do kopert. Roy przesunął ciężarkę na wadze o dwa karby w lewo do pozycji neutralnej, w nadziei, że prawe ramie podjedzie do góry. Oznaczałoby to, że waga jest źle skalibrowana, a on wazy co najmniej osiemdziesiąt jeden kilogramów albo i więcej o trzy lub cztery kilo. Ramie jednak nie drgnęło, lecz stało w idealnej równowadze, tworząc harmonijny obraz. W tej niezbyt stosownej chwili przyszedł mu do głowy wstępny nowy pomysł na Cisze. Czy sterująca jego twórczością część mózgu mogłaby żyć własnym życiem?

-Panie Roy, panie Roy!

Odwrocił się.

-Może się pan ubrać. Tylko proszę zostawić podwinieci rękaw.

Ubrany, z podwinieci rękawem, wyszedł z zabiegowego za pielęgniarką. Z korytarza weszli do innej sali na oddziale doktora Chu. Pomieszczenie wyglądało zgoła niemedycznie - ciepłe światło, fontanna igrająca po ułożonych warstwowo w dół kamieniach barwy miodu, zamszowa kanapa. Jedyne medyczne akcenty to stojak do kroplówki na kółkach.

-Sala do terapii - powiedziała Netty. - Doktor Chu zlecił jej urządzenie mistrzowi feng shui. Sprowadził go aż z Pekinu.

-Nie brzmi mi to szczególnie naukowo - przyznał Roy.

Netty uśmiechnęła się przebiegle.

-Proszę się położyć na kanapie.

Usluchal.

-Prosze przybrac wygodna pozycje.

Chwile sie wiercil, jakby szukal najwygodniejszej. Netty przysunela stojak z kroplowka.

-Moze pan poczuc niewielki bol.

Tym razem naprawde poczul. Tak go zabolalo, ze omal nie krzyknal. Czyzby popelnila blad? Spojrzal na reke, zobaczyl igle na swoim miejscu, ani sladu krwi. Czyli nie wiadomo dlaczego. Ale skora wydala mu sie biala jak nie jego. Z kroplowki sciekal bezbarwny plyn, kapal rurka wprost do reki. Wygladal jak woda.

-Teraz powinien sie pan odprezyc - poradzila pielegniarka. - Da pan rade?

-Jasne.

-Wroce za dwadziescia minut.

Lezal na kanapie, jakby odpoczywal. Patrzyl, jak powoli obniza sie poziom plynu w worku kroplowki. Plyn zawieral niewidzialne dla oka srodki chemiczne. Czy niektore od razu atakowaly komorki rakowe zebrane w silne formacje molekularne, gotowe podjac wyrafinowany atak, odciac dostawe krwi, zwrocic jeden guz przeciwko drugiemu i cokolwiek jeszcze Chu dla nich przewidzial?

Walcz jak sukinkoty. Glos Delii.

-Toczy sie we mnie wojna - powiedzial.

I zamilkł. Potem słuchał już tylko wody pluskającej po kamieniach. Fontanna wydawała całą gamę dźwięków - bulgotała, ciurkała, chlupotała, a na wiele innych nie znajdował określenia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby pracować z wodą. Gdyby chciał rzeźbić w wodzie, od czego by zaczął?

Fontanna stała w holu Instytutu Hobbesa. Widział ją raz niedługo przed wyjazdem ekipy do Wenezueli, fontanne z Neptunem, cherubinami i monetami błyskającymi na dnie. Wszystkie kobiety były ubrane na czarno poza Delia, która wystąpiła w czerwieni. Zawsze bez problemu krążyła wśród gości na przyjęciach, ale tego wieczoru nie odstępowała Roya na krok, prawie przez cały czas dotykała jego ręki. -To mój mąż. Royu, poznaj Paula Habiba.

-Milo mi.

-Mnie również - powiedział Habib. - Tyle o panu słyszałem.

-Ja też. Już pan sobie ostrzy zęby na wyjazd do Wenezueli?

-Do Wenezueli?

-Przepraszam - rzekł Roy. - Sądziłem, że wyjeżdża pan na ananasową eskapadę.

Paul Habib uderzył się w czoło. Był postawnym, krótko ostrzyżonym, brodatym mężczyzną, konsultantem Instytutu Hobbesa, który czasowo przeszedł tu do pracy z innej placówki, ale Roy nie pamiętał, a może nigdy nie wiedział z jakiej.

-No tak, na ananasową eskapadę, jak mogłem zapomnieć? - powiedział. - Jeszcze jestem trochę oszołomiony zmianą czasu po przelocie przez Atlantyk, ale rzeczywiście wybieram się do Wenezueli. I rzeczywiście ostrze sobie zęby. Delia wspaniale przygotowała wyjazd.

-Sądzi pan, że to kupia? - spytał Roy.

-Kto?

-Wenezuelczycy - wyjaśnił Roy. - Hodowle ananasów.

-A tak, Wenezuelczycy - powtórzył Habib. - Wszystko bez dwóch zdań rozkreciła pańska żona. Teraz wystarczy przekonać miejscowych. Chociaż nie będzie to łatwe, prawda, Delio?

Delia zacisnęła dłoń na ręce Roya.

-Co nie będzie łatwe?

-Przeprogramowanie ludzkich umysłów - rzekł Habib.

-Nie znam się - odparła Delia. - Czy to nie twoja praca? - Zwróciła się do Roya: - Napilabym się szampana.

-Paul, tobie tez przyniesc? - spytal Roy.

-Chetnie - powiedzial Habib.

Ale kiedy Roy wrocil z kieliszkami, Habib juz zniknal.

-Mialas jakis konflikt z Paulem? - spytal.

-Nie - odparla Delia. - Troche mnie tylko ostatnio irytuje.

-Czym?

-Jak to w pracy - odrzekla Delia. - Mniejsza z tym. Bawmy sie dzisiaj.

-Na prosbe i na rozkaz - powiedzial Roy. - Za Wenezuele.

-Nie - sprzeciwiła się Delia. - Za nas.

Wypili. Delia do dna.

-Masz centa? - spytala.

Roy wyjal monete z kieszeni, podal zonie. Wyrazila zyczenie, ruszajac bezglosnie ustami. Przez chwile zobaczyl w niej mala dziewczynke z dawnych lat. Wrzucila centa do fontanny. Pieniazek zakrecil sie powoli, jak to miedziak, i opadl na dno.

-Wracajmy - poprosila.

-Teraz?

Pojechali do domu.

W lozku zaproponowala:

-Dzisiaj mozesz robic ze mna, co tylko zechcesz.

-Czas minal.Roy zorientowal sie, ze patrzy w wode splywajaca po miodowych kamieniach fontanny doktora Chu. Odwrocil glowe i zobaczyl stojaca za nim Netty. Zupelnie jakby sie obudzil.

-Nie bylo tak zle, co? - spytala.

-Przyznaje - potwierdził. Spojrzał na prawie pusta kroplówkę. Ostatnie krople przywarły do plastikowej torby. Powstrzymał się, żeby nie poprosić pielęgniarki, aby wycisnęła je do rurki, bo chciał wprowadzić do organizmu wszystkich mikroskopijnych wojowników, co do jednego. - Było niezłe.

Pokiwała głową, jakby już wcześniej słyszała taką pochwałę.

-Jutro proszę przyjść o tej samej porze - powiedziała. - Na wszelki wypadek podam panu numer czynny po godzinach.

-Na wypadek czego? - spytał Roy.

-Gdyby źle pan znosił lek - wyjaśniła. - Ale to niemożliwe. Nigdy się nie zdarzyło.

-W każdym razie z tym koktajlem?

-To chciałam powiedzieć.

Roy wziął od niej kartkę, z której wyczytał, że naprawdę ma na imię Annette.

-Netty, mam pytanie.

-Słucham.

-Czy mężczyzna z maską tlenową, którego wczoraj spotkałem w poczekalni, też jest uczestnikiem tych badań?

Netty wciągnęła głęboko powietrze przez nos.

-Był.

Dopiero po chwili do niego dotarło, co mu powiedziała.

-Umarł?

-Wczoraj późnym wieczorem. Doktor Chu jest teraz z jego rodzina.

-Czyli program zawezil sie do trzech osob.

-Z panem czterech - sprostowała Netty. - Ale będzie was więcej, znacznie więcej. Doktor Chu jest mądrym człowiekiem. - Poklepała Roya po kolanie. - Proszę nie myśleć o innych. W ogóle o nikim. Proszę się skupić na sobie.

Wyciągnęła igłę, przetarła miejsce po ukłuciu wacikiem nasączonym spirytusem.

Kiedy wstał, zakreciło mu się w głowie, ale zaraz się pozbierał.

-Wiesz co, Roy? - dodała Netty. - On nie był taki silny jak ty.

Patrzyła na niego wzrokiem wspierającego rodzica albo trenera. Roy załomotał jak Tarzan piściami we własny tors. Rozesmiała się. Wyszedł na dwór, przemierzył parking. Rzeczywiście widział przepaść dzielącą go od mężczyzny na wozku. Podbiegł kilka kroków, żeby udowodnić sobie, że może. Prawie się nie zasapał. Rosły, silny mężczyzna. Walcz jak sukinkoty.

Kiedy ostatnio pił koktajl mleczny? Nie pamiętał, najprawdopodobniej jeszcze w ogólniaku. Znalazł koktajlbar, zamówił największy koktajl mleczny, jaki tam serwowano, o smaku czekoladowo-krowkowym z pianką zelową. Az go zemdliło, ale zmusił się, żeby wypić cały. Kończył go jeszcze, kiedy wjeżdżał do Waszyngtonu. Nie był w tym mieście od lat, a dokładnie od śmierci Delii. Niewiele się zmieniło. Kiedy skręcił w Constitution Avenue, wyszło słońce i oświetliło od wschodu kopułę Kapitolu, oblewając ją cytrynowym blaskiem. Minał budynki Senatu i stanął przed gmachem z czterema złoconymi kolumnami - Instytutem Hobbesa. Znalazł w bocznej uliczce parkometr, wrzucił kilka monet, wrócił. Mimo zimy tu, na południu, grzało słońce. Poczul jego miłe ciepło.

Wszedł po szerokich, kamiennych schodach, również lśniących cytrynowym blaskiem, i znalazł się pod dwuskrzydłowymi drzwiami. Były mosiężne, chociaż zapamiętał, że wtedy były z ciemnego drewna. I jeszcze jedno się zmieniło. Teraz pilnowało ich z obu stron dwóch strażników. Dawniej nikt nie stał na warcie, ale czy można się dziwić, skoro cały świat tak się zmienił?

-Dzień dobry - przywitał się Roy, sięgając do klamki.

Strażnicy zagrodzili mu drogę.

-Jest pan umówiony? - zapytał jeden.

-Nie - odparł Roy. - Ale pracowała tutaj moja zona.

-Nazwisko?

Roy podał nazwisko Delii. Drugi strażnik zajrzał do wykazu, pokręcił głową.

-Jasne, że teraz nie figuruje na liście - wyjaśnił Roy. - Bo pracowała tu dawno temu. Jej szefem był Tom Parish.

Patrzyli na niego.

-W dalszym ciągu tu pracuje? - spytał. - Parish przez jedno "r". Był bodajże dyrektorem do spraw naukowych.

Strażnik zajrzał do wykazu, znow pokręcił głową.

-A Paul Habib?

Jakie zajmował stanowisko? Roy chyba nigdy nie wiedział.

I znow kręcenie głowy.

Roy próbował sobie przypomnieć inne nazwiska ludzi związanych z Instytutem Hobbesa, ale nie mógł.

-Chciałbym tylko porozmawiać z kims z instytutu - powiedział. - Mam bardzo krótką sprawę. Do załatwienia od reki.

Chodziło mu wyłącznie o zwizne poswiadczenie, ze Delia tu pracowala, podpisane przez uprawnionego urzednika.

-Z instytutu? - upewnil sie pierwszy straznik. Roy podniosl nieco glos.

-Owszem, z Instytutu Hobbesa, ktorego wlasnie pilnujecie.

-Jak to?

Dopiero wtedy Roy zauwazyl z boku flage na drzewcu, ktora zapewne widzial wczesniej, ale nie umial rozpoznać. Nastepnie na jednym skrzydle drzwi zobaczył tabliczke: KONSULAT REPUBLIKI GRECKIEJ.

Cofnal sie, zszedl kilka stopni, zeby ogarnac wzrokiem fronton, na ktorym widniala wryta w kamieniu nazwa Instytut Hobbesa. Powierzchnia byla gladka, ani sladu po jakimkolwiek napisie.

-Dokad oni sie przeniesli? - zapytal.

-Kto taki?

-Oczywiscie Instytut Hobbesa - odparl. - Wlasciciele tego budynku. Sam juz nie wiem, moze byli wlasciciele.

-Nic mi nie wiadomo - powiedzial pierwszy straznik i zwrocil sie do drugiego: - A tobie?

Tamten kolejny raz pokrecil glowa.

Rozdział 9

Roy wycofał się spod drzwi greckiego konsulatu, ale postął jeszcze chwile na chodniku. Rozejrzał się. Czyżby naprawdę się pomylił? Może istnieje jakiś inny budynek z czterema złobionymi kolumnami i trójkątnym frontonem. Zdarzają się w architekturze takie bliźniacze budynki. Potoczył wzrokiem po długiej linii fasad i już mu się zdawało, że kilka domów dalej... ale nie. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył dużo okazałszy gmach, który miał sześć pilastrow, lecz niezłobionych, i prostokątny fronton, a na nim wyryty napis: WASZYNGTONSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE. Wykuty dawno temu, bo czas zatarł litery w zwietrzałym kamieniu. Poszedł dalej, minął kilka przecznic, ale po żadnej stronie nie wypatrzył siedziby instytutu. Wrócił do swojej pierwotnej myśli. Widocznie się przeprowadzili. Cofnął się, jeszcze raz sprawdził wszystkie budynki, wypatrując napisu Instytut Hobbesa na szyldzie, na mosiężnej tabliczce, gdziekolwiek. Na próżno.

Przecznice dalej szła, zadzierając co chwila głowy, grupka turystów z przewodniczką. Ruszali i przystawali niczym stado koczujących ptaków.

-Przepraszam - rzekł Roy.

Przewodniczka się odwróciła.

-Szukam Instytutu Hobbesa.

-Przykro mi.

Wskazał budynek.

-Kiedys znajdował się tutaj.

-Tu chyba się mieści grecki konsul - stwierdziła przewodniczka.

-Mówię o sytuacji sprzed lat.

-Odkąd pamiętam, tu jest grecki konsul - powiedziała. Turysci klebili się za nią, obstapili ją ciasną gromadką. Przewodniczka zmierzyła Roya wzrokiem, jakby coś z nim było nie w porządku. - Może tu pan znajdzie - powiedziała, wręczyła Royowi mapę i odeszła.

Mapa turystyczna z naniesionymi zabytkami. Niewielka, a właściwie żadna szansa na to, żeby zaznaczono na niej mały instytut badawczy w rodzaju Hobbesa. Roy jednak sprawdził, wyczytał się dokładnie w mapę. Nie znalazł.

Straznicy nie spuszczały go z oka. Odszedł, ot tak, przed siebie, ale po chwili znalazł się w bocznej uliczce, na której zaparkował. Wsiadł do polciezarówki. Spojrzał na zgnieciony kubek po koktajlu mlecznym na podłodze. Zahipnotyzował go powyginany kształt, balonowe liternictwo, obraz wesołej krowy. Dopiero po dłuższym czasie wpadł na oczywisty pomysł.

Otworzył schowek, wyjął telefon komórkowy. Nie lubił komórek, w głębi duszy uważał, że już w połowie dwudziestego wieku technika zaszła wystarczająco daleko, ale Krishna, mimo że często nie mógł się z nim skontaktować, kupił mu telefon w promocji dla znajomych. Oczywisty pomysł - zadzwonił do informacji i poprosił o numer Instytutu Hobbesa, najpierw w Waszyngtonie, potem w stanach Maryland i Wirginia, następnie w Nowym Jorku, aż wreszcie w całym kraju. Taki instytut nie figurował w żadnym spisie abonentów.

Kupil batonik i zjadł go w drodze do Baltimore. W hotelu przebrał się w dres i udał do siłowni na najwyższym piętrze. Niewiele czasu spędzał na siłowni, bo dzięki hokejowi, pieszym wędrowkom, wycieczkom na raketach śnieżnych i narciarstwu utrzymywał dobrą kondycję. Teraz wszystko się zmieniło. Stepper - trzydzieści minut. Najpierw trochę się zasapał, ale to się może każdemu zdarzyć. Przewycieżył swoją słabość. Następnie podnosił ciężary. Wycisnął w przysiadzie cztery serie po dziesięć, za każdym razem podnosząc sto trzynaście kilogramów, a potem, mimo gipsu, trzy serie po sześćdziesiąt pięć kilo. Następnie zrobił sto brzusków na skosnej ławce. Niezły. Dla każdego byłby to niezły wynik. Czyżby postawiono mu błędna diagnozę? A może to sen? Może spadł z drabiny, pracując z powyginanymi łopatkami smigłowca, i leży teraz w śpiączce, z której niebawem się ocknie zdrow jak ryba? Przejrzał się w lustrze. Czy to możliwe, że przeglądanie w lustrze również mu się sni? Dlaczego nie? Nieznajoma na rowerze stacjonarnym obok też sprawdzała jego wynik. Co podważało nieco koncepcję snu-śpiączki. Kobieta w lustrze uśmiechnęła się do niego.

Wrócił do swojego pokoju, wziął prysznic, zaczął się ubierać, żeby zejść do baru i zamówić to samo co poprzedniego wieczoru, a deser może nawet z dokładką. Za oknem zachodziło słońce, malując złotymi mazięciami górne okna najwyższych budynków. Usiadł na łóżku, żeby włożyć buty.

Otworzył oczy. Przez chwile nie wiedział, gdzie się znajduje. Zaraz jednak rzeczywistość spadła na niego jak seria ciosów przebiegłego boksera: był w hotelowym pokoju, w biały dzień, ubrany, tyle że bez butów, i coś się działo z jego płucami. Spojrzał na zegarek. Do spotkania z doktorem Chu zostały trzy kwadranse. Od wyjścia z kliniki minęło czternastie godzin. Włożył buty, umył zęby, spryskał sobie twarz wodą, zszedł do kawiarni.

-Proszę omlet z trzech jaj z plackami ziemniaczanymi, grzanka, sokiem pomarańczowym, kawa. Aha, do tego smażony boczek. I puchar owoców.

Nie jadł obiadu. Powinien umierać z głodu. Ale kiedy podano jedzenie, które zajęło pełną tacę, zrozumiał, że wcale nie jest głodny. Stracił apetyt. Zmusił się, żeby zjeść wszystko do ostatniego kęsa.

Mężczyzna przy sąsiednim stoliku podpisał czek i wyszedł, zostawiwszy gazetę. "Washington Post". Roy wziął ją i przejrzał. Na osmej stronie w prawym górnym rogu przeczytał: BRAK POSTĘPU W ŚLEDZTWIE DOTYCZAJĄCYM ZABÓJSTWA DZIENNIKARZA TIMESA.

Przeleciał wzrokiem. Nikt nie użył kart kredytowych Richarda Golda. Nigdzie nie znaleziono plazmowego telewizora ani innych przedmiotów. Nic też nie dało wielokrotne przeczesywanie okolicy. Z ostatniego akapitu dowiedział się o uroczystości żałobnej, która miała się odbyć po południu w synagodze w Georgetown. Oderwał ten kawałek gazety i schował do kieszeni.

Netty zbadala mu puls i cisnienie.-Dobre wyniki?

-W normie.

-Cos sie zmienilo?

-Zmienilo?

-Od wczoraj.

Sprawdzila w karcie.

-Jest troche nizsze - powiedziala. - Ale takie wahania...

-Nizsze to lepsze.

-W tym przedziale tak. - Spojrzala na niego. - Podac panu dokladne wyniki?

-Bardzo prosze.

-Puls szescdziesiat osiem. Cisnienie krwi sto osiemnascie na osiemdziesiat jeden.

-Niezle, prawda?

Znow na niego spojrzala.

-Owszem - potwierdzila i juz chciala cos dodac, ale sie powstrzymala. Podeszla z igla, pobrala mu krew do trzech probowek.

-Dokad ja zabieracie?

-Do laboratorium.

-A wczorajsze wyniki juz sa?

-Jeszcze nie. Ale za wczesnie na zmiany.

-W takim razie po co pobieracie krew?

-Panie Roy, czy moze cos powiedziec?

-Slucham.

-Prosze zostawic aspekty naukowe doktorowi Chu, a samemu zajac sie soba.

Niby sie z nia zgadzal, ale troche go to oburzylo. Pielegniarka odwrocila wzrok. Naklejala na probowki etykiety w roznych kolorach. Roy sie opanowal.

-Dzis tez mam sie zwazyc? - spytal.

-Oczywiscie - odrzekla Netty.

Rozebral sie do bokserek, wszedl na wage. Podeszla, ustawila ciezarki.

-Siedemdziesiat osiem kilogramow - oznajmila.

-I pol - dodal.

Spojrzala na podzialke.

-I pol - potwierdzila.

-A wczoraj? - spytal Roy, chociaz dobrze wiedzial.

Sprawdzila.

-Rowno siedemdziesiat osiem kilogramow.

A przeciez nie zjadl obiadu! Zachowal ten szczegol dla siebie, potraktowal jak asa w rekawie. Ubral sie, przeszedl z Netty do sali feng shui, polozyl sie na zamszowej kanapie. Netty podlaczyla mu kroplowke, a przed wyjściem zapowiedziala:

-Dwadzieścia minut.

Zamknął oczy, wsłuchał się w fontannę doktora Chu. Jego ciało stało się polem bardzo cichej bitwy. Jeszcze dużo za wcześnie, żeby przesadzać o skutkach terapii, ale wczorajszy dzień chyba miał pomyslny przebieg, skoro wyniki były dobre. A teraz, kiedy komórki rakowe zostały wytracone z równowagi - podobnie jak wiele drużyn, kiedy przeciwnik mknie, żeby wbić pierwszego gola - ponownie nadciągnęły miliony mikroskopijnych wojowników. Nic dziwnego, że dobrze się poczuł. Walcz jak sukinkoty.

I znów głos Delii tak wyraźny, jakby siedziała obok w pokoju feng shui. Milczała piętnaście lat, a teraz słyszał ją co chwila. Dlaczego? Roy nie wiedział, ale dodawało mu to otuchy. Pokusił się o eksperyment.

-Gdzie znajduje się Instytut Hobbesa? - zapytał na głos.

Usłyszał jedynie szum fontanny.

Otworzył oczy. Kroplówka była pusta, ostatnie uparte krople przyłgnęły do plastiku. Wstał, wycisnął worek, zmuszając je do skapnięcia w głąb rurki, na front. Weszła Netty.

-Wszystko w porządku?

-Tak.

Odlaczyła kroplówkę.

-W takim razie do jutra.

-Do jutra.

-Zachował pan naszą wizytówkę?

-Wizytówkę?

-Z numerem na wszelki wypadek. Gdyby doszło do reakcji.

Wzruszył ramionami. Wiedział, gdzie leży wizytówka - w portfelu. Ale na pewno mu się nie przyda. Kupił sobie batonik Hershey w automacie stojącym w holu przy wyjściu ze szpitala.

Nigdy przedtem nie był w synagodze. Wydawało mu się, że mężczyźni nie siedzą tam razem z kobietami, ale się mylił. Okazało się, że rabin jest kobieta, poza tym tylko kilku mężczyzn miało na głowach jarmulki, wśród nich on, bo wziął ją ze skrzynki przy drzwiach, przekonany, że taki jest wymóg. Uroczystość, o dziwo, odbywała się w języku angielskim. Po hebrajsku natomiast były napisy wyrzeźbione na ścianach. Roy zwrócił uwagę na kształt liter. Wysłuchał z tylnej ławki opowieści o życiu Richarda Golda. Najpierw zabrał głos ktoś wpływowy z "New York Timesa", kto mówił o niezwyklej rzetelności Golda. Następnie przedstawicielka organizacji praw gejów mówiła o ważnym wsparciu, jakie otrzymywali od Golda, i o jego wielkim oddaniu sprawie. Na końcu niejaki Jerry, zalewając się łzami, wyznał, że Gold był najcudowniejszym człowiekiem na świecie i że straszliwie pusto będzie bez niego w domu.

Po ceremonii Roy odczekał na parking, aż zalobnicy się pożegnają. Od tłumu odrywały się kolejne grupki, samochody odjeżdżały jeden za drugim. Zaczął siąpić deszcz, znacznie chłodniejszy od powietrza, i ostami krąg ludzi zebranych wokół Jerry'ego też się rozstąpił. Jerry ruszył sam do swojego auta, bardzo powoli, jak gdyby każdy krok kosztował go wiele wysiłku. Roy dogonił go przy samochodzie, starym, lecz wciąż eleganckim volvie. Jerry już wyjmował kluczyki.

-Przepraszam - zaczepił go Roy.

Jerry podniósł wzrok, oczy miał szkliste.

-Proszę przyjąć moje kondolencje - powiedział Roy.

-Dziękuję - odparł Jerry i zamrugał. - Niestety, nie poznaje...

-Bo się nie znamy - pośpieszył z wyjaśnieniem Roy.

-Jest pan kolega Richarda?

-Niezupełnie - wyznał Roy. - Kilka razy rozmawiałem z nim przez telefon. Nazywam się Roy Valois.

Chwila milczenia. Na łysinie Jerry'ego drzały krople deszczu.

-Rzeźbiarz? - upewnił się.

Roy skinął głową.

-Richard wspominał mi o panu.

Zmienił się na twarzy.

-Pewno nieprzychylnie? - spytał Roy.

-Nie, chyba nie - powiedział Jerry. - Przyznam, że nie pamiętam. Dzisiaj wszystko mi się maci.

Objął się ramionami, jakby chciał się utulić. Kluczyki upadły na mokry chodnik.

Roy podniósł je.

-Kontaktowałem się z nim w sprawie pewnego materiału.

-Zawsze miał tyle różnych tekstów na tapecie - przyznał Jerry. Zapatrzył się przed siebie. - I co z nimi teraz będzie?

-Nie wiem. - Roy podał mu kluczyki. Jerry spojrzał stropiony, ale opamiętał się i wziął. - Napisał mój nekrolog.

Na dźwięk tego słowa Jerry się wzdrygnął, jak gdyby coś go uderzyło.

-Richard nie znosił pisać nekrologów. Interesowała go przyszłość. Zawsze wypatrywał, co czeka za rogiem.

Jerry schylił się nad zamkiem, próbował włożyć do niego za duży klucz. Roy wskazał mu właściwy. Kiedy poznał Delie, jeździła takim samym autem.

-Dziekuje - powiedzial Jerry.

Wlozyl wlasciwy klucz, ale tez sobie nie poradzil.

-Wiem, ze chwila jest wyjatkowo niestosowna - ciagnal Roy - ale Richard szukal bledu w swojej dokumentacji na moj temat. Ciekawe, czy panu o tym wspominal.

Jerry wyprostowal sie, podniosl wzrok na Roya. Byl bardzo niski.

-Przypominam sobie. Twierdzil, ze musi pan byc megalomanem.

-Dlaczego?

-Bo wlamal sie pan do archiwum. W tak mlodym wieku interesowac sie ocena potomnych? Tak sie wyrazil.

-Blad nie dotyczyl mnie, lecz mojej zony - uscisлил Roy.

-Nie rozumiem.

-Moja zona nie zyje. Chcialem sprostowac fakty.

-Moj Boze! - zawolal Jerry. - Od niedawna?

-Od dawna.

Jerry zaslonil sobie na chwile twarz, ale zaraz sie pozbieral.

-Czego pan ode mnie oczekuje?

-Chcialbym wiedziec, czy Richard zdolal cos ustalic - odparl Roy.

-Nic mi nie mowil - powiedzial Jerry. Patrzyl na kluczyki. Roy wyjal mu je z reki i otworzyl drzwi. Jerry westchnal przejmujaco. - Moze znajde cos w jego notatkach.

Roy czekal. Wiedzial, ze powinien miec skrupuly, ale nie mial.

Jerry otworzyl drzwi.

-Moze pan pojechac za mna.

-Dziekuje.

-Prosze mi nie dziekowac. Tak postapilby Richard - rzekl gniewnie podniesionym glosem. - Bo tak mu zalezalo na faktach.

Elegancki piętrowy biały dom z czarnymi okiennicami stał w bocznej uliczce odchodzącej od Connecticut, niedaleko domu zajmowanego przez Roya i Delie po przeprowadzce z mieszkania w Foggy Bottom. Jerry zaparkował na podjeździe, Roy na ulicy. Przy drzwiach wejściowych pracował ślusarz.-Prawie skończyłem - oznajmił.

Jerry wprowadził Roya do środka.

-Nie wiem, po co w ogóle się w to bawie - rzekł.

-W co? - spytał Roy.

-W zmianie zamków.

Stali w kuchni. Panował w niej idealny porządek, nie licząc szczatków drewnianego krzesła w kącie.

-To nie było włamanie? - spytał Roy.

-Właściwie to nie - odparł Jerry. - Zdaniem policji ci ludzie albo mieli klucz, albo Richard ich wpuszczał. Ale jak ja tu teraz mam mieszkać? - Pokazał na podłogę, miejsce między blatem a połamanym krzesłem. - Tu go znalazłem. Jego skatowane zwłoki. Skurwiele.

I wybiegł z kuchni.

Roy podszedł do kata, szturchnął nogą kawałek roztrzaskanego krzesła. Przypomniała mu się ostatnia rozmowa z Goldem. Jedną chwileczkę, potem brzek, jakby upadła szklanka i sygnał zajętości. Przyszedł mu do głowy szalony pomysł. A gdyby tak posklejać razem te kawałki, pokracznie, niezdarnie, raczej podkreślając, niż maskując naprawę?

Wrócił Jerry. Zdjął krawat, miał zaczerwienione oczy.

-Gabinet jest na gorze. Chyba niewiele pan znajdzie. Laptop też ukradli. Ale mogłby pan zajrzeć do jego notesu.

-To się stało w czwartek? - upewnił się Roy.

-Między poł do osmej, kiedy wyszedłem do pracy, a dziewiąta, kiedy przyjechała po niego taksówka - odparł Jerry. - Zwykle w czwartki nie wychodzę tak wcześnie. Tym razem było inaczej.

-Czym się pan zajmuje?

Jerry zbył pytanie machnięciem ręki i zaprowadził Roya na górę. Roy zrozumiał, że mógł słyszeć przez telefon odgłosy napadniętego na Richarda Golda, a w każdym razie początek ataku. Czy mordercy otworzyli sobie sami z klucza? A może Gold podszedł do drzwi z telefonem w ręce? Czy powinien opowiedzieć to wszystko Jerry'emu? Nie widział powodu.

Weszli do gabinetu.

-To jego biurko - powiedział Jerry.

Stalo pod oknem wychodzacych na ogrod za domem z wielkim kamiennym grillem i dwoma lezakami. Smignal blekitnik, zlapal w dziob jakis biały strzepek i odrzucil. Jerry otworzył szuflade biurka. W srodku lezal telefon komorkowy i oprawny w skore terminarz. Wyjal go i podal Royowi.

Roy przekartkowal. Gold mial rowne, drobne pismo, zadnych skreslen. Kiedy Roy po raz pierwszy zadzwonil do Golda? Usilowal odtworzyc fakty na podstawie kalendarza meczow w hokejowej lidze. Gdzies z lewej strony u dolu pod zapiskami, takimi jak uklad NAFTA nie do ruszenia i akty oskarzenia w gornictwie, sprawdzic 2.30, zobaczyl nekr. Ostatnia notatka na tej stronie. Przewrocil na nastepna. U gory: mimo trudnosci prawnych spodziewane trzy kolejne akty oskarzenia, Edwards, bez dalszego ciagu, i znow powrot do artykulu o gornictwie. Dopiero po chwili zauwazyl wyszarpane strzepy w oprawie. Najwyrazniej wyrwano stad kartke.

Doszedl do konca. Ostatni zapisek - J... re kolacja, i znalazl slady wyszarpaniecia kolejnej kartki. Ani slowa o nim, o Delii, Instytucie Hobbesa, ONZ.

-I co? - spytal Jerry.

-Nic. - A nawet mniej. - Ale dziekuje za pomoc.

Roy podal mu reke.

Jerry ja uscisnal. Mial zimna, drzaca dlon.

-Jezeli chodzi o ten komentarz w sprawie megalomanii, nie chcialbym, zeby odniosl pan falszywe wrazenie.

-O czym?

-O stosunku Richarda do pana. Kiedy pan się z nim skontaktował, zapoznał się z pana twórczością i wywarła na nim spore wrażenie. - Wyjął z szuflady telefon komórkowy. - Nawet pojechał do Georgetown i sfotografował jednego z pana Neandertalczyków.

Jerry zaczął naciskać klawisze w telefonie.

-Nie bardzo się znam - wyznał. - Richard był...

Nie dokończył.

Zdjęcia w komorce Richarda Golda: na pierwszym miejscu Jerry z glupkowskim uśmiechem, w czapce drużyny Redskins. Dalej potężny, siwiejący blondyn stojący pod parasolem po drugiej stronie ruchliwej ulicy. I Neandertalczyk numer trzy sprezentowany przez Roya uniwersytetowi.

-O, mam - powiedział Jerry.

-Mógłby pan cofnąć? - poprosił Roy.

-Cofnąć?

-Do poprzedniego.

-Ale...

-Bardzo proszę.

Jerry wrócił do zdjęcia przed Neandertalczykiem numer trzy, do jasnowłosego mężczyzny.

-Kto to jest? - spytał Roy.

-Nie mam pojęcia - odparł Jerry.

Roy dobrze się przyjrzał. Zdjęcie nie było wyraźne, parasol ocieniał twarz mężczyzny, zresztą minęło blisko piętnaście lat. Ale poznał w nim Toma Parisha. Czas obszedł się z nim łaskawie.

-Czy Richard coś panu mówił o tym zdjęciu? - spytał Roy.

-Nie. Tylko pokazał mi pana rzeźbę. - Nagle Jerry'ego poraziła jakaś myśl, wyraźnie się stropił. - Dlaczego pan pyta? Co pan sugeruje?

-Nic - odparł Roy. - To pana nie dotyczy. Czy wie pan, gdzie on zrobił to zdjęcie?

Ale Jerry już się zdenerwował, pokręcił tylko przecząco głową, odwracając wzrok. Roy obejrzał dokładnie zdjęcie, żeby zapamiętać szczegóły. Zauważył stojak z gazetami przy kawiarni Starbucks, a w witrynie sklepu mieszczącego się obok butelki wina.

-Gotowe! - zawołał z dołu ślusarz.

Jerry aż podskoczył na jego krzyk.

Roy skierował kroki do wyjścia. Zatrzymał się. Wskazał rozbite krzesło.

-Chce pan, żebym je zabrał?

Nie mogli się powstrzymać.

Jerry obrzucił wzrokiem kawalki, wzruszył ramionami. Kiedy Roy się po nie schylił, zorientował się, że nie zdjął jarmulki. Złożył ją starannie i schował do kieszeni.

Rozdział 10

Deszcz się nasilił. Roy złożył narecze polamanych części krzesła na fotelu pasażera. Kiedy odjechał, jego miejsce zajął radiowóz. Roy okrzyknął cały kwartał. Pusty radiowóz w dalszym ciągu stał przed domem Jerry'ego. Roy zawrócił, znalazł miejsce po drugiej stronie ulicy z widokiem na drzwi wejściowe domu Jerry'ego i wóz policyjny. Czekał. Deszcz bebnął delikatnie w karoserię policyjarki, omywając Roya falami dźwięku.

-Nigdy tam nie byłem - powiedział Roy.-Gdzie? - spytała Delia.

-W Wenezueli - odparł. - Przecież rozmawiamy o twoim wyjeździe.

-To wcale nie jest mój ulubiony kraj.

-Co ci przeszkadza w Wenezueli?

-Nic.

-Nie przekonuje mnie twoja odpowiedź.

Przewróciła się na brzuch, położyła mu głowę na piersi. Musnęła ustami jego tors.

-A muszę ci przekonywać?

-O co ci chodzi?

-O nic. Może nie mam ochoty jechać.

Włożył ręce w pukle jej włosów.

-Dlaczego?

-Cała ta sprawa jest taka...

-Jaka?

Westchnęła. Poczuli ciepły, miły oddech na swojej piersi.

-Nie warto o tym mówić. Muszę jechać, i już.

-Sadziłem, że się cieszysz na ten projekt. A ananasy?

-Pieprzyć ananasy - uciela. Zaraz jednak rozesmiała się gardłowo, chrapliwie. Uwielbiał ten jej śmiech. Wyciągnęła rękę, wzięła w dłoń mosznie, zważyla ją na dłoni jak farmer, który szacuje towar. - Pieprzyć ananasy.

Otworzył oczy.-Co, do diabła? - spytał.

Deszcz ustal. Przestalo padac, dzien chylil sie ku zachodowi, konary drzew, czarne sylwetki dachow i kominow odcinaly sie od pomaranczowego nieba. Radiowoz z przeciwka zniknal, a dom Jerry'ego tonal w ciemnoscjach. Do drzwi podeszla kobieta, polozyla na ganku bukiet kwiatow i odeszla. Znikla w innym domu na tej samej ulicy.

-Co, do diabła? - powtorzyl do siebie. Chcial przeciez porozmawiac z policjantem. - Co sie ze mna dzieje?

Wrocil do Baltimore.

W hotelowym barze za kontuarem stala ta sama barmanka. Roy zamowil to samo co za pierwszym razem - chowder, stek, pieczone ziemniaki, salatke cesarska, piwo, placek z orzechow pekanowych z lodami. Teraz naprawde czul glod. Nagle, bez powodu, wpadl w dobry nastroj, jakby go ktos napompowal helem. Dawno juz nie mial dobrego humoru, niemal zapomnial, jak potrafi czlowieka uskrzydlic.-Dobrze dzis panu poszlo ze zlomem? - spytala barmanka.

-Niezle.

-Rozmawiałam ze swoim kuzynem - oznajmiła. - Twierdzi, że przy obecnych cenach zbytu na złomie naprawdę można zarobic.

Ciekawe, jak by to skomentował Murph? Nie potwierdzam. Roy powiedział te dwa słowa na głos.

-Oj, widzę, że przemawia przez pana skromność - powiedziała. Przechyliła się przez kontuar, ukazując duży dekolt. - A rzadko się ostatnio widuje skromnych ludzi. Chociaż zalecałabym te cechy wszystkim.

Roy się roześmiał.

Zmierzyła go wzrokiem. Wiele wyczytała z jej spojrzenia, może nawet za dużo.

-Jak panu na imię? - zapytała.

-Roy.

-Ladnie. Nigdy nie znalazłam żadnego Roya - stwierdziła, nalewając mu do pełna. - Za godzinę kończę pracę. Tak tylko mówię.

Czyli się nie pomylił. Barmanka była ładna, nieglupia, może trochę za dużo przy kosci, wrecz matronowata, co właśnie teraz bardzo mu odpowiadało. Już miał się uśmiechnąć, zrobić następny krok, kiedy dodała:

-Mam na imię Jennifer, ale przyjaciele mówią na mnie Jen.

Ten jeden szczegol przesadzil sprawie. Zakradly sie niezrecznosc, speszenie, dystans.

Po powrocie do pokoju Roy przejrzał numery w swoim telefonie, aż doszedł do Jen. Powinna już dotrzeć do Keystone. Może, biorąc pod uwagę różnicę czasu, jeszcze zjeżdża ze stoku. Uwielbiała schodzić z nart ostatnia. Czasem pokrzykiwała, wyskakując na muldach. Roy patrzył na numer, omal nie zadzwonił. Zrozumiał, że któregoś wieczoru na pewno się nie oprze. Dlatego go usunął. Zbudził się w nocy rozpalony, w pościeli mokrej od potu. Wziął zimny prysznic, przescielił łóżko. Na niebie za oknem wisiał księżyc w pełni, dosłownie na wyciągnięcie ręki, wyraźnie było widać szczegóły powierzchni. Ogromny okrąg sunący po niebie miał w sobie coś irytującego, przynajmniej tej nocy. Roy wrócił do łóżka i leżał z otwartymi oczami. W głowie klebiły mu się czarne myśli, do umysłu wtargnął chaos. Dobry humor dawno opuścił Roya. I przypomniał sobie obraz, którym usypiał się w dzieciństwie, choć dawno zarzucił ten zwyczaj. Widok igloo podczas zamieci śnieżnej, a w środku on, siedzący po turecku, opanowany, przed przytulnym kominkiem. Zobaczył naraz wszystkie elementy układanki - zamieć, igloo od środka i od zewnątrz, kominek widziany oczami małego Roya, małego Roya z zewnątrz - tak jak nikt nie może objąć wszystkiego jednocześnie wzrokiem. Ogarnął go doskonały spokój. Zasnął.

Rano czuł się dobrze. Jeszcze zanim wstał, z szuflady stolika nocnego wyjął książki telefoniczne - Baltimore, Waszyngtonu, stołecznych hrabstw w Marylandzie i Wirginii. Znalazł wielu Parishów, w tym piętnastu Thomasów, dwóch Tomów i jedenastu z inicjałem imienia T. Znalazł również czterech Paulów Habibów oraz osmiu ludzi o tym nazwisku i imieniu na P. Zaczął od Thomasa Parisha zamieszkałego przy Crestview Lane w Silver Spring. -Dzien dobry - przywitał się. - Szukam Toma Parisha, który pracował kiedyś w Instytucie Hobbesa, a może do tej pory tam pracuje.

-Co? - zapytała kobieta, wyraźnie bardzo leciwa.

-Szukam Toma Parisha - powtórzył. - Który pracował w Instytucie Hobbesa.

-Proszę mówić głośniej.

Roy podniósł głos.

-Mojego meza Toma? - zapytała. - Bedzie trzy lata, jak nie żyje.

-Bardzo mi przykro - powiedział Roy.

-Co takiego?

Znow podniosl glos.

-Bardzo mi przykro. Pracowal kiedys w Instytucie Hobbesa?

-Ale skad. Tom przez trzydziesci lat pracowal w General Electric. Chodzi o emeryture?

Przechodzac od Thomasow Parishow do Tomow, Roy udoskonalil swoja technike. Trafil na dwa wylaczone telefony, w jednym ciagly sygnal, trzy sekretarki automatyczne i odpowiedz "nie" udzielona na rozne sposoby. Zanim doszedl do osob jedynie z inicjalem T., wyszedl z domu i jechal do szpitala z wykazem pozostalych mozliwosci w reku. Dokonczyl w poczekalni, gdzie sporzadzil dodatkowa liste numerow, pod ktore powinien zadzwonic ponownie, bo nikt nie odebral telefonu. Do czterech Thomasow i trzech T.

-I jak sie dzisiaj nasz Roy czuje? - zapytala pielegniarka, pobierajac krew do trzech kolejnych probowek.-
Dobrze. Przyszly juz wyniki?

-Dzis doktor Chu spotka sie z panem - oznajmila Netty. - A potem wroci pan do nas dopiero za dwadziescia jeden dni.

-Jak to?

-Trzy dni z rzędu, a potem trzy tygodnie przerwy, to rutynowa terapia - wyjaśniła Netty. - Z pewnością doktor Chu pana uprzedził.

-Nie przypominam sobie.

-Na początku jest dużo szczegółów do zapamiętania - powiedziała Netty, wkładając mu rękaw ciśnieniomierza.

Puls: siedemdziesiąt trzy.

Cisnienie: sto dwadzieścia pięć na dziewięćdziesiąt.

-Podskoczyły - stwierdził Roy. Netty sprawdziła w karcie.

-Zawsze są wyższe w gabinecie lekarskim.

-Ale wczoraj też byłem w gabinecie.

-Teraz pana zważymy - zapowiedziała Netty.

Roy rozebrał się do bokserów, wszedł na wagę. Netty przesunęła ciężarki.

-Siedemdziesiąt dziewięć kilogramów. - Popatrzyła na skalę. - Czy może już osiemdziesiąt?

-Osiemdziesiąt - odczytał Roy. - Równo osiemdziesiąt.

Netty wpisała wagę do karty, w rubryce obok wczorajszej - 78,5 kilograma - i przedwczorajszej - 78. Roy czekał na komentarz pielęgniarki, ale się nie doczekał.

Roy wycisnął ostatnie krople z worka kroplówki i znowu usiadł wygodnie. Przyglądał się pulsującej, Isniacej wodzie w fontannie, kiedy wszedł doktor Chu.-Widzę, że patrzy pan okiem artysty - powiedział.

-Bo ja wiem? - oparł Roy. - Przyszły już wyniki z laboratorium?

-Wyniki?

-Badania krwi pobieranej przez Netty.

Chu otworzył teczkę.

-Sa wyniki z dwoch dni - oznajmil.

-I co?

-Mieszczą sie w spodziewanej normie.

-Co to znaczy?

-Co znaczy? - powtorzył Chu. - To znaczy, że normy statystyczne nie zostały przekroczone.

-Normy? - spytał Roy.

Pomyślał, że jeśli krew ma w normie, być może wraca do zdrowia.

-Normy w przypadku międzybłoniaka miesakowatego trzeciego stopnia - wytłumaczył Chu.

-Innymi słowy, terapia działa czy nie? - spytał Roy.

-Duzo za wczesnie, zeby odpowiedziec na to pytanie - oswiadczył Chu. - Usilujemy dopiero ustalac punkt wyjścia dla pana.

-Ale pod kazdym wzgledem czuje sie lepiej - pochwalil sie Roy. - Kaszel ustapil, oddech sie poprawil.

-To swietnie - pogratulowal Chu.

-Przybralem na wadze.

-To swietnie.

-Prosze sprawdzic w karcie.

Chu spojrzal.

-I to prawie dwa kilogramy! - zawolal. - A przeciez gips schnie i kruszy sie, wiec jest coraz lzejszy.

Roy zapomnial o gipsie, czyli wazy mniej, niz sadzil. Juz chcial zapytac lekarza o przyblizona wage gipsu, ale sie powstrzymal.

-Ma pan jeszcze jakies pytania? - spytal Chu.

-Owszem - powiedzial Roy. - Czy moglbym kontynuowac terapie?

-Oczywiscie - odparl Chu. - Czeka pana jeszcze kilka cyklow, nastepny za dwadziescia jeden dni.

-Myslalem o jutrze - przyznal Roy. - Jeszcze jedna dzialke, zanim wyjade.

-Dzialke?

-Koktajlu - wyjasnil Roy. - Antygenow i angioczegos.

-Nie ma mowy - rzucil Chu.

-Z pewnością dobrze bym go zniósł - stwierdził Roy i wyprostował się.

-Mam jednak wątpliwości - rzekł Chu. - Ale proszę pomyśleć, co by się stało.

-Co by się stało?

-Runelaby nam statystyka badania.

Chu głośno parsknął i wyrzucił ręce do góry, imitując wybuch bomby.

-A gdyby sytuacja uległa poprawie właśnie po czwartej dawce? - spytał Roy.

-Nie mam powodu tak przypuszczać - oznajmił Chu.

-Ale gdyby?

Lekarz pokiwał głową, jakby Roy wysunął celny argument.

-Wówczas rozpatrzylibyśmy taką ewentualność podczas kolejnego programu - stwierdził.

W głębi zabulgotała fontanna.

-W takim razie może wypisze mnie pan z tego programu - zaproponował Roy.

-Wypisze?

-Moglbym wtedy kontynuowac terapie sam - dodal Roy.

-Przykro mi - ucial Chu.

Roy nie chcial opuszczac pomieszczenia, bo kierowal sie dziwnym poczuciem, ze nic go nie zabije, dopoki ma podlaczona kroplowke. Zabraklo mu jednak argumentow.

Siedzial w polciezarowce, z lista pozostalych Thomasow i T. Parishow, a takze wszystkich Paulow i P. Habibow w reku. Ilez trudu wymagalo jedno male sprostowanie. A kiedy znajdzie Instytut Hobbesa i zdobedzie poswiadczenie zatrudnienia Delii, co wtedy? Czy musi wrocic na pole startu do innego dziennikarza, ktoremu bedzie musial wyznac, ze grzebal w komputerach gazety, co na pewno jest wykroczeniem, w dodatku obciazajacym Skippy'ego. A wszystko dla kilku slow, ktorych nie zobaczy w druku, chocby byl najdluzej. Tyle ze Delia nie pracowala dla ONZ. Pracowala w Instytucie Hobbesa, mozna by nawet powiedziec, ze oddala za niego zycie.

Wyjal telefon, zadzwonil do pierwszego Thomasa Parisha z pozostalych na liscie: Thomas i Carol, 94 Elder Road, Falls Church.

-Szukam Thomasa Parisha, który niegdys pracował w Instytucie Hobbesa.

-A ja zaczynam tego mieć po dziurki w nosie - powiedział mężczyzna przy telefonie. - I powiem panu to samo co tamtym. Nie słyszałem o żadnym Instytucie Hobbesa. Dotarło? I przestanie mnie molestować.

-Jakim tamtym? - spytał Roy.

-Najpierw dzwonił jakiś dziennikarz. Potem jakiś facet z ambasady czy Bog wie skąd.

-Z ambasady?

-Maroka? Mauretanii? Nie zapamiętałem. Ten palant nie chciał mi uwierzyć.

-Ze nie jest pan Tomem Parishem, którego szuka?

-No właśnie. W kolko powtarzał, że przypominam go z głosu. Miał gościa tupet! A sam nawet się nie przedstawił. Nawiasem mówiąc, pan też nie.

-Proszę wybaczyć - przeprosił Roy. - Nie chciałem pana niepokoić. Odpowie mi pan na jeszcze jedno pytanie?

-Mianowicie?

-Jaki ma pan kolor włosów?

-Zaden - odparł niewłaściwy Tom Parish. - Wylysiałem w wieku dwudziestu dwóch lat.

-Dziekuje i...

Trzask.

Roy wrocil do listy. Po godzinie wykreslil wszystkich Parishow poza jednym T. Parishem w Annandale, do ktorego wciaz nie mogl sie dodzwonic. Tak samo sprawdzil Habibow, eliminujac wszystkich Paulow. Zostalo mu tylko dwoch P. Habibow. Jego szanse bardzo zmalaly. A jezeli Tom Parish ma zastrzezony numer albo na przyklad mieszka w Delaware? Pora wracac do domu.

Przekrecil kluczyk. I wtedy przypomnialo mu sie zdjecie w telefonie komorkowym Richarda Golda. Tom Parish z grzywa siwiejacych blond wlosow stoi pod parasolem przed Starbucks. Z jednej strony widac witryne sklepu winiarskiego, a z drugiej stojak z gazetami. Roy mial dobra pamiec wzrokowa, potrafil niezle przywolywac obrazy. Stojak z gazetami byl zielony z zolтым napisem, taki, w jakich sprzedaje sie "Washington Post". Wyjechal z parkingu i ruszyl na poludnie, w strone Waszyngtonu.

Rozdzial 11

Czy mozna bylo podejsc do sprawy systematycznie? Zapewne, ale Royowi brakowalo systematycznosci, zawsze wolal eksperymentowac, a poza tym slonce swiecilo tak jasno, bylo tak cieplo, ze mogl otworzyc okna. Lagodne powietrze nawet w zimie przypominalo mu, jak sie tutaj mieszkalo z Delia. Zawezil swoje

sledztwo do szybkiego spisania kawiarni z sieci Starbucks w dobrych dzielnicach Waszyngtonu i zaczął objazd wszystkich w poszukiwaniu właściwej. Trwało to godzinę, aż wreszcie po drugiej stronie ulicy ukazał się jego oczom pozadany tryptyk. Przewinał się niczym kilka klatek filmu: stojak z gazetami, Starbucks, sklep winiarski. Teraz zobaczył całą witrynę, przeczytał napis na szybie: WINO, Spółka z o.o. Zaparkował. Gdzie się znajdował? Zobaczył tablice z nazwą ulicy: Dwudziesta Druga NW, przecznice albo dwie od Uniwersytetu George'a Washingtona, niedaleko wspólnego pierwszego mieszkania jego i Delii w Foggy Bottom. Wsiadł, przeszedł na drugą stronę ulicy, zobaczył swoje odbicie w szybie sklepu. Nie od razu się rozpoznał. Wyglądał jak swój nieco starszy i trochę szczuplejszy brat. Wszedł do kawiarni.

W środku nie zastał nikogo, kto przypominałby Toma Parisha - dwoje pracowników za ladą, w głębi grupka studentów, elegancko ubrana kobieta przeglądała wystawione płyty CD. Zamówił kawę i największe ciastko z kawalkami czekolady. Ciastko ze względu na kalorie, kawę, żeby znowu przypadkiem idiotycznie nie przysnąć.

Wrócił do samochodu i czekał. Z winiarni wyszła kobieta i rozstawiła przed drzwiami sztalugi. Zawiesiła na niej tablicę z reklamą: DZISIAJ DEGUSTACJA OD 17.00. DOSKONAŁE PINOT Z OREGONU I ŚRODKOWEGO WYBRZEŻA. Była wysoka, miała gładką cerę, kawę z mlekiem i proste, lśniące czarne włosy. Nie spodobało jej się rozstawienie sztalug. Zmieniała je trzy razy, aż zobaczyła, że tablica przekrzywiła się o kilka stopni i też ją poprawiła. Rozejrzała się po ulicy. Nerwowe ruchy nie dodawały jej wdzięku. Przez chwilę zatrzymała wzrok na Royu. Odwróciła się i wróciła do sklepu.

Dwie godziny później Roy, chociaż dawno zjadł ciastko i wypił kawę, w dalszym ciągu czekał. Co za sens tak sterczeć! Wiedział tylko, że mniej więcej z tego miejsca Richard Gold zrobił Tomowi Parishowi zdjęcie. Czy Tom regularnie odwiedza te kawiarnie? Możliwe, ale też nie można wykluczyć, że rzadko przychodzi. A może czekał na taksówkę albo...

Nagle z lewej strony nadszedł Tom Parish. Miał na sobie ciemny garnitur i krawat w szkocką kratę. Szedł bez pośpiechu. Roy dobrze mu się przyjrzał z profilu - wydatny nos i podbródek, blond włosy nie tylko siwiejące, lecz również rzednące. Nie miał wątpliwości, że to on. Tom minął stojak z gazetami i kawiarnię, wszedł do sklepu winiarskiego.

Roy wysiadł z samochodu, przeszedł na drugą stronę ulicy. Nagle zabrakło mu tchu. Nie ma powodu się denerwować, powiedział sobie w duchu. Zaraz zakończy całą sprawę. Uspokoił się. A może to nie były nerwy? Ale powietrza mu brakowało. Odetchnął głęboko, a w każdym razie spróbował, i otworzył drzwi do sklepu.

Było to długie, wąskie pomieszczenie z ladą po lewej stronie i rzędami drewnianych beczek z winem po prawej. Za kontuarem stała wysoka kobieta, a z drugiej strony Tom Parish, który z nią rozmawiał. Roy dosłyszał jedynie strzęp rozmowy: "Oczywiście nie na piśmie, Lenore".

-Śmieszny facet - powiedziała, ale się nie rozesmiała.

Z bliska wydawała się Royowi starsza, niż sądził. Pewno była jego rówieśniczką. Oboje zauważyli Roya.

Roy spojrział na Toma Parisha. To on, bez dwóch zdań. Teraz tym bardziej uwydatniał się wypisany na twarzy charakter - pewnego siebie światowca z wyższych sfer, absolwenta prestiżowych szkół i snobistycznej Ligi Bluszczowej, podobnie jak jego rodzina od pokoleń.

-Cześć, Tom - przywitał go.

Tom i Lenore, zapewne zdziwieni, szybko wymienili spojrzenia.

-Słucham? - powiedział Tom do Roya.

-Witaj, Tom. - Roy powtórzył przywitanie. - Dawno się nie widzieliśmy.

Tom zmarszczył czoło.

-Niestety, pan mnie z kimś myli - rzekł. - Nie mam na imię Tom.

-Thomas - uściślił Roy, podchodząc bliżej. - Thomas Parish. To ja, Roy Valois.

Pustka na twarzy Toma.

-Przykro mi, przyjacielu. Pomyłka.

I ten głos: chłodny, dystygowany, charakterystyczny, łatwo zapadający w pamięć.

-Oj, przestan - zmytygował go Roy. - Roy Valois, masz Delii Stern.

Tom rozłożył ręce.

-Niestety, nic mi to nie mówi.

Lenore ze zdumieniem na twarzy wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

-Delia pracowała u ciebie w Instytucie Hobbesa - dodał Roy. - Plywaliśmy razem twoim jachtem Bellissima.

Nawet przypomniał sobie nazwę.

-Nie słyszałem o Instytucie Hobbesa - powiedział Tom. Spojrzał na Lenore. Wzruszyła ramionami. - Nigdy też nie byłem właścicielem jachtu, chociaż Bog mi świadkiem, że chciałbym mieć tyle pieniędzy. A Bellissima to piękna nazwa.

Lenore pokiwała głową.

-Zginęła w Wenezueli. Osobście zawiadomiłem mnie przez telefon - ciągnął Roy.

-Wygaduje pan androny - rzekł Tom.

-Tom?! - zawołał Roy i postąpił o krok. - Co ty, do cholery, kombinujesz?

-Pan wybaczy - rzekł Tom, cofając się. - Trochę zaczyna mnie to nużyć.

Roy spurpurowiał na twarzy, chociaż nie czuł wstydu ani złości, raczej metlik w głowie.

-Na miłość boską, przecież wygłosiłeś mowę na jej pogrzebie. To nie jest śmieszne.

-Co do tego zgadzamy się obaj - podchwycił Tom. - Ale powtarzam po raz ostatni: nie mam na imię Tom. A teraz muszę pana przeprosić.

Odwrocił się i ruszył w głąb sklepu do drzwi z napisem: "TYLKO DLA PERSONELU".

Roy za nim.

-Proszę pana! - zawołała Lenore.

Tom pchnął drzwi i wyszedł.

Roy zaczął biec, ale zaraz oblała go fala gorąca, jakby zapaliła mu się skóra.

-Proszę pana. - Lenore go dogoniła. - Tam nie wolno. To jest wyjście tylko dla personelu.

Roy jednak się nie zatrzymał. Zwykle biegł dość szybko, ale nie dzisiaj. Trudno biec bez tchu, w dodatku kiedy skóra parzy. Zrzucił marynarkę, potem koszulę i tylko smignął służbowym wyjściem.

Magazyn: na jednej ścianie pojemniki do chłodzenia wina pod sufit, skrzynki z butelkami, plastikowe winorośle oplatające dekoracyjną kratę. Tom sięgnął do galki drzwi bez napisu na przeciwległej niewykonczonej ścianie z surowego drewna.

-Proszę pana.

Lenore chwyciła Roya z tyłu za ramię. Zdumiała go siła jej uścisku, a może niechcący trafiła na szczególnie wrażliwy nerw. Krzyknął z bólu, odrzucił ją.

-Tom!

Tom usłyszał, obejrzał się, pchnął na oścież nieoznaczone drzwi. Royowi tylko mignęło wewnątrz. Pomieszczenie było podzielone na małe boksy, w których siedzieli pracownicy w słuchawkach przed zwisającymi z sufitu monitorami, a na ścianach wisiały ogromne mapy przedstawiające Balkany, Bliski Wschód, północną Afrykę. Drzwi się zatrzęsły.

Roy podbiegł, chwycił galkę, znowu poczuł chwyt Lenore, tym razem silniejszy. Ból go rozjuszyl. Tom też doprowadzał go do szalu, podobnie jak teraz wszystko. Określił się, wyprowadził cios pięścią, na co nigdy nie pozwoliłby się wobec kobiety. Lenore się cofnęła, bez trudu zrobiła unik. Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy.

Roy skoczył do drzwi, ujął galkę. Zamknięte? Jasne! Szarpał, ciągnął, naparł ramieniem, kopnął, ledwo świadom głosu Lenore, która mruczała coś cicho do telefonu. Wtem, w przypływie furii, poczuł nieznaczące, prawie niezauważalne, laskotanie w gardle. Odkaslnął, żeby pozbyć się tego odczucia. A potem kaszel wgniotł mu dosłownie klatkę piersiową, jak gdyby Roy dostał taranem. Poczuł na języku krew. Spłynęła mu z ust. Najpierw cienka różowa strużka pociekła na nagi tors, potem zgęstniała, szczerwieniła, w końcu ściemniała do szkarlatu. Osunął się na podłogę.

Lenore patrzyła z góry, mrużąc oczy wyraźnie zdziwiona. Przy drzwiach wejściowych rozległ się głos kobiety:

-Halo? Czy ktoś mi tu może udzielić informacji na temat znakomitych pinot z... Halo! Co tu się dzieje?

W drzwiach ujrzał dwie kobiety. Jedna trzymała butelkę czerwonego wina. Nie mógł odpowiedzieć, bo odpowiedź wymagałaby powietrza w płucach, a tam go zabrakło.

-Pytam, co tu się dzieje - powtórzyła kobieta trzymająca butelkę.

Roy potrząsnął głową, a w każdym razie miał taki zamiar.

-Ten pan chyba źle się poczuł - wyjaśniła Lenore.

-Proszę się odsunąć - powiedziała kobieta z butelką. - Jestem lekarka.

Pieprz się, zaklął Roy. Ale tylko w myślach, bo z jego ust nie dobiegł się głos. Oczy zamknęły się same. Zasnęła je mgła, bardzo zimna mgła, która ochłodziła jego rozpalone ciało. Poczul ulgę.

-Tak lepiej.

-Czy on coś powiedział? - spytała druga kobieta.

-Reakcja w granicach normy. - Roy nie od razu rozpoznał głos, choć brzmiał znajomo. Meski, inteligentny. Język nieco sztywny, jak gdyby podręcznikowy. - Teoretycznie sięga trzydziestu procent. Doktor Chu, pomyślał Roy. Zaprzagnął otworzyć oczy.

-Reakcja na co? - spytał ktoś obok.

-Na obecną terapię - rozległ się znajomy głos. Szelest papieru. - Proszę, oto opis. Kiedy stan się ustabilizuje, proszę przysłać go do nas karetka.

-A jeżeli się nie ustabilizuje?

-Bez obaw - zapewnił Chu. - To dość łagodna reakcja.

Roy usłyszał miły dla ucha bulgot wody. Wyobraził sobie jej pulsująca, błyszcząca powierzchnie, opadające, pofalowane szalenstwo podlegające w końcu sile grawitacji. Zrozumiał, że nie złożył jeszcze w swojej twórczości holdu należnego tej sile. Przeraziło go to przeoczenie. Otworzył oczy. -Cześć, Roy. - Z góry patrzyła na niego Netty. Znajdował się w pokoju feng shui na wozku albo raczej łozku na kolkach, a nie na kanapie. - Jak się czujesz?

-Dobrze - odparł.

Podniósł głowę. Trochę niezgrabnie unosił się do pozycji siedzącej.

-Spokojnie.

Reke miał oplecioną rurkami.

-Co to jest? - spytał. - Koktajl?

Netty pokręciła głową.

-Płyny równoważące poziom elektrolitów - powiedziała. - Panski organizm zareagował na terapię.

-Czyli muszę ją przerwać?

-Przerwać?

-No, przerwać terapię.

-Ale skąd - zapewniła Netty. - Wciąż jest pan zapisany na dwudziestego czwartego. Takie rzeczy się zdarzają. Doktor Chu zbyt nie przeżył.

Roy się rozejrzył. W pokoju feng shui nie było okien, dlatego nie sposób było odróżnić dzień od nocy. Netty musiała wyczytać pytanie z jego twarzy.

-Spędził pan noc w szpitalu przy Uniwersytecie George'a Washingtona - wyjaśniła. - Ale pański stan już jest stabilny. Jak tylko poczuje się pan lepiej...

-Jaki jest dzisiaj dzień?

Powiedziała mu.

-Niech pan się nie martwi - rzuciła, wkładając rękawiczki chirurgiczne. - To całkiem normalna reakcja.

Odlaczyła kroplówkę.

-Byłem w Waszyngtonie?

Pokiwała głową.

Wspomnienia zakotłowały mu się w głowie, przyniosły dziwne, niezwykle szczegóły jak ze snu.

-Gdzie jest moja polciezarówka?

-Polciezarówka?

Roy wstal. Poczul sie wyzszy niz zwykle, jak gdyby urosl kilka centymetrow.

-Dobrze sie pan czuje?

-Dobrze. Moge juz isc?

-Nie ma pospiechu - odrzekla. - Kiedy pan bedzie gotow.

Byl gotow. Pol godziny pozniej siedzial w pociagu do Waszyngtonu. Pociag wlokl sie niemilosierne. Roy wciagal gleboko powietrze, zeby sprawdzic oddech. Rezultat go zadowolil. Deszcz zacinal w okna. Swiat na dworze ograniczal sie do dwoch kolorow - brazu i szarosci.

Polcietzarowka stala tam, gdzie ja zostawil. Za wycieraczka tkwilo piec mokrych mandatow z rozmazanym tuszem, ale nikt jej nie odholowal. Pozne popoludnie, deszcz sie rozpadal, z witryny sklepu winiarskiego bil cieply blask, w srodku krecili sie ludzie. Przed sklepem znow staly sztalugi, tym razem z napisem: SKOSZTUJ WIN ZE SLONECZNEJ HISZPANII! Roy przeszedl na druga strone ulicy, wszedl do srodka.-Dzien dobry - przywital go mezczyzna stojacy przy stoliku pod drzwiami wejsciowymi. Mial ksiezycowa,

zyczliwa twarz, sylwetkę osilka, może nieco sflaczały brzuch, jak gdyby co najmniej dziesięć lat dzieliło go od gry w uczelnianej drużynie futbolu. Na okrągłym znaczku wpiętym w marynarkę widniał napis: Jestem Westie. Spytaj mnie o wino. - Miałby pan ochotę na wino Rioja?

-Rioja? - powtórzył Roy, rozglądając się po sklepie. Znajdowało się w nim dziesięciu, może dwunastu klientów i jeszcze dwóch ekspedientów, jeden przy stoliku w głębi, drugi nabijał coś w kasie. Ani śladu Toma albo Lenore.

-Mam priorytet o bardzo przyjemnym bukietcie - zaproponował Westie. - Bardziej przyjemny smak od win Rioja, ale również przebija z niego mocny owocowy aromat.

-Chętnie spróbuję - powiedział Roy.

Westie nalał niewielką miarę do małego plastikowego kubeczka, który ginał w jego potężnej dłoni. I patrzył, jak Roy pociąga łyk.

-Przyjemne - potwierdził Roy.

-Teraz pan rozumie, co miałem na myśli, zachwalając owocowy aromat? - spytał Westie.

-Owszem - zgodził się Roy.

Popił kolejny łyk.

-Co się panu stało w ręce?

-Skutki hokeja.

-Moj ulubiony sport - wyznal Westie.

-Pan gra?

-Gralem w dzieciństwie. Potem przerzucilem sie na futbol. Ale tesknie za lodem. Brak mi tej predkosci! -
Otworzył nowa butelke. - To tez jest priorat, lecz stary rocznik - powiedzial. Sciszyl glos i dodal: - Nie jest
dzisiaj do degustacji, ale zdrowie hokeisty.

Nalal troche do nowego kubeczka i podal Royowi.

Roy skosztowal prioratu ze starych winnic.

-Czuje pan te taniny? - spytal Westie.

-Chyba tak - potwierdzil Roy.

-Zawsze uwazam, ze taniny czuje sie calym soba, nie tylko na jezyku. Tez pan tak uwaza?

-Trzeba byloby je zapytac - odparl Roy.

Westie zastanowil sie i parsknal smiechem. Siegnal po notes.

-Wpisac pana na nasza liste mailingowa?

-Moze pozniej - powiedzial Roy. - Czy zastalem Lenore?

-Lenore?

-Ekspedientke - wyjasnil Roy. - A moze to kierowniczka.

Westie zrobil zdziwiona mine.

-Tu nie pracuje zadna Lenore.

-Wysoka Murzynka - dodal Roy. - Olsniewajaca.

Westie podrapal sie po twarzy.

-Moze pan pomyilil ze Skladem Win przy Washington Circle?

Roy przyjrzel sie Westiemu - gladka, niepomarszczona twarz, na brodzie skaleczenie od golenia, mlodziutki.

-Widocznie - potwierdzil. - Dziekuje za wino.

-Bardzo prosze.

Z kubeczkiem prioratu ze starych winnic w rece przeszedl w glab winiarni Wino, dolaczajac do reszty gosci. Mezczyzna przy sasiednim stoliku zakrecil winem i zmierzyl je groznie wzrokiem, jak gdyby probowalo go oszukac. Roy, nie zatrzymujac sie, minal skrzynie poludniowoafrykanskiego sauvignon blanc i skierowal do drzwi z napisem: TYLKO DLA PERSONELU.

Rozejrzal sie, nikt nie patrzyl. Pchnal drzwi. Byly to wahadlowe drzwi, zabezpieczone tasma izolacyjna z jednej strony, bez klamki, idealne do wnoszenia towarow. Naparl na nie trzy dni temu, ale tym razem nie ustapily. Naparl calym ciałem. Bez skutku.

-Prosze pana.

Odwrocil sie. Westie.

-Pan szuka toalety? Jest tam. - Wskazal drzwi w kacie. - Koedukacyjna - dodal z usmiechem. - Wystarczy zapukac.

Roy zapukal i wszedl. Znalazl sie w zwyklej malej lazience bez zadnego innego wyjscia poza drzwiami, ktorymi wszedl. Stal, nie wiedzac, co myslec. Kiedy przejrzal sie w lustrze, na twarzy - jakze chudej! - zauwazyl nowa zmarszczke, plytka pionowa bruzde miedzy oczami. Jakby zobaczyl swoja kiepska, wymizerowana kopie.

Najwyrazniej stracil poczucie czasu. Po chwili rozleglo sie pukanie do drzwi i glos Westiego:

-Wszystko w porzadku?

Z odbicia w lustrze bila intensywnosc, jak gdyby pod powierzchnia toczyła sie jakas nader skomplikowana, wymagajaca walka.

Kolejne pukanie. Ktos dobijal sie znacznie glosniej.

-Prosze pana!

-Nic mi nie jest - odparl Roy.

Rozdział 12

Roy stanął za grubasem w barze szybkiej obsługi i zamówił to samo co tamten. Siegnął do kieszeni po pieniądze i poczuł w palcach jedwab. Wyciągnął - jarmulka z pogrzebu Golda. Nie jedwabna, lecz nylonowa. Skrawek taniego materiału z wypukłymi szwami i haftem, jako nakrycie głowy całkiem bezużyteczny. Złożył go w zgrabny trojkat i wsadził sobie do kieszeni koszuli na piersi. Za kierownicą zjadł tłusty posiłek. Spalaszował wszystko, hamburgery, frytki i skrzydelka, aż do ostatniego kęsa. Popił dużym koktajlem mlecznym, tym razem truskawkowo-waniliowym, który dokonał jednym haustem, kiedy skręcił z Connecticut Avenue i zaparkował przed domem Jerry'ego. Palilo się u niego światło, a na podjeździe stało jego volvo.

Podszedł do czarnych drzwi ze srebrną kolatką w kształcie słonecznika. Podnosząc ją, z wyglądu i dotyku, choćby po wadze, poznał, że jest ze srebra, ewentualnie z domieszka. Zachwycający przedmiot. Zawahał się. Nigdy przedtem nikomu się nie narzucał. Chyba powinien teraz pojechać do domu, wypocząć, poczytać, pocwiczyć, zacząć się pracą - jeśli nie nad Ciszą, to nad czymś innym - żeby w jak najlepszej formie przystąpić do następnego etapu terapii. Zalomotał piękną kolatką.

Chwile potem usłyszał kroki na schodach w domu. I głos Jerry'ego.

-Kto tam?

-Roy Valois.

-Czego pan sobie zyczy?

-Chcialem porozmawiac.

Jerry otworzył drzwi. Nie wyglądał najlepiej. Miał zaczerwienione oczy, zarost na twarzy, wydał mu się niższy niż poprzednio.

-O czym? O pańskim nekrologu?

-Nie tylko - odparł Roy.

-Dlaczego pan się tak przejmuje?

-Bo chodzi o coś więcej niż nekrolog.

-To znaczy? - spytał Jerry.

-Zajmie panu najwyżej kilka minut - obiecał Roy.

Jerry zamknął oczy, jak gdyby zbierał się w sobie, zrobił krok do tyłu. Roy wszedł. W domu unosił się zapach kwiatów. Stały wszędzie - w wazonach, szklankach, butelkach, nawet w puszcze po piłkach tenisowych - a pod każdym naczyniem leżała podpisana wizytówka. Roy dziwnie się poczuł. Przypomnił sobie zalew bukietów po pogrzebie Delii. Tak razila go ich krzykliwość, że wszystkie wyrzucił do śmieci.

-Prawda, że piękne? - spytał Jerry. - Ludzie wciąż je przysyłają.

Jerry zaprowadził Roya do kuchni. Na stole leżała wielka tablica, a na niej rozłożone kilkadziesiąt zdjęć - Gold z Jerryem, Gold sam, oni obaj z innymi.

-Tworzę kolaz - powiedział Jerry. - Żeby go potem oprawić. - Zaczął przesuwać zdjęcia. - Nielatwo je dobrze zestawiać. - Spojrzał na Roya. - Pan pewnie się na tym zna.

Kolazę nigdy Roya nie interesowały. Nie spodobała mu się aluzja, jeśli to była aluzja, że kojarzą się z jego pracą. Powiedział jednak:

-Mogłbym spróbować.

Usiadł z Jerryem przy kuchennym stole i zaczął układać zdjęcia. Rzeczywiście wymagało to zmysłu artystycznego, którego, mimo włożonego trudu, brakowało Jerry'emu. Roy od razu wpadł na pomysł.

-Niech pan je wytnie owalnie - poradził.

Jerry wziął nożyczki.

-Nie - powiedział Roy. - Owal po skosie.

Jerry wyciął kilka zdjęć w owal po skosie. Roy ułożył je na tablicy.

-Interesujący efekt - zauważył Jerry. - Chociaż pan nawet nie zna tych ludzi.

Roy nie odpowiedział.

Jerry zaczął przyklejać zdjęcia do tablicy. Już nie miał takiej złośliwej miny. Może trochę brakowało mu do radości, ale przynajmniej czymś się zajął.

-Jak śledztwo? - zapytał Roy.

Jerry zastygł na moment z nożyczkami w ręce.

-Dzwonili dziś rano - powiedział. - Sprawa utknęła w martwym punkcie.

Kapnął klej na zdjęcie Golda pozującego przy kaktusie.

-A karty kredytowe?

-Nikt ich nie użył - rzekł Jerry. Położył zdjęcie na tablicy, przycisnął rogi. - Laptop, komputer kieszonkowy BlackBerry się nie znalazły. Odciski palców doprowadziły jedynie do elektryka, który wykonywał tu w zeszłym miesiącu jakies prace.

-Ale uważają, że to było włamanie? - spytał Roy.

-Oczywiście, skoro tyle rzeczy zginęło - potwierdził Jerry. - A co mogłoby być innego?

Zadrżała mu ręka, w której trzymał za brzeg inne zdjęcie przedstawiające jego z Richardem w słomkowych kapeluszach.

-Nie wiem, ale coś się tutaj dzieje - odparł Roy, biorąc od niego zdjęcie i kładąc na właściwe miejsce.

Jerry odwrócił się do niego.

-W związku z Richardem?

-Tego tez nie wiem - rzekl Roy. - Kto prowadzi sprawe?

-Nie jestem pewien - powiedzial Jerry. - Rozmawiam tylko z sierzantem Bettisem. Czy mowil, jak ma na imie? Nie przypominam sobie.

-Chcialbym z nim porozmawiac.

-Po co?

Od czego zaczac?

-Chodzi o...

Nagle przeszył go ostry ból, wysoko, z prawej strony piersi.

Jerry nie spuszczał z niego wzroku.

-Co sie dzieje?

Ból ustąpił tak, jak się pojawił. Zostało po nim tylko kilka kropli potu na czole, jak gdyby nic się nie stało.

-Juz w porzadku - stwierdzil Roy. Wciagnal glęboko powietrze, az poczul sie, jak gdyby zawiązano mu nizsze partie pluc. - Sprawa dotyczy Toma Parisha, tego ze zdjecia w telefonie Richarda. Kiedys byl szefem mojej zony. Ale kiedy go znalazlem, nie poznawal mnie i twierdzil, ze jest kims innym.

-Nie rozumiem - przyznał Jerry.

Roy spróbował mu to wyjaśnić inaczej. Wymienił Instytut Hobbesa, grecki konsul, Wenezuele.

-Czyli co? - spytał Jerry.

-Podejrzewam, że odpowiedź tkwi w zdjęciu w telefonie Richarda - odparł Roy.

-Odpowiedź? Na co? - spytał Jerry nieco głośniejszym, coraz bardziej zredliwym tonem. - Co Instytut Hobbesa może mieć wspólnego z Richardem?

Roy nie wiedział, ale brakowało mu innych tropów.

-Chciałbym sprawdzić, co sądzi na ten temat sierżant Bettis.

Jerry obejrzał kolację, na jednym ze zdjęć dotknął łodzi na drugim planie.

-Zadzwoń do niego - zaproponował.

Sierżant Bettis przyjechał za dwadzieścia minut. Dorównywał wzrostem Royowi, tyle że był od niego potężniejszy, nawet porównując z jego sylwetką... przed tym wszystkim. Miał na sobie dzinsy i wiatrowkę, mizerna twarz mogłaby wskazywać na niedospanie. Kiedy usiadł, aż zatrzeszczało pod nim kuchenne krzesło. Roy opowiedział mu swoją historię podobnie chaotycznie jak Jerry'emu. Sierżant notował w milczeniu, dopóki Roy nie skończył. A właściwie nie skończył, lecz przerwał opowieść.

Bettis przejrzał notatki. Minęła minuta, może więcej. Spojrzał na Roya ciemnymi, bystrymi oczami, bezstronnie.

-Ile pan ma lat? - spytał.

Roy odpowiedział.

-Dlaczego zainteresował się pan swoim nekrologiem?

Tego pytania Roy się nie spodziewał.

-Po rozmowie z kolegą - odparł.

-Tak? - spytał sierżant Bettis. - A o czym?

-O hokeju.

-Na lodzie?

-Tak, ale...

Sierżant Bettis zapisał coś w notesie. Krótka notatka, możliwe że "hokej na lodzie".

-Słucham dalej.

-Zastanawialiśmy się, czy...

-Tak?

Pewno zabrzmiało to niewiarygodnie.

-Czy bramka, którą kiedyś strzeliłem, trafiła do mojego nekrologu - dokończył Roy.

-Musiała to być ważna bramka - skomentował sierżant Bettis.

-Nie aż tak bardzo.

-W profesjonalnej lidze?

Roy widział, że Jerry wodzi oczami między nimi dwoma, próbując się polapać w niezrozumiałej dla siebie grze.

-Na studiach - odparł Roy.

-Gdzie?

-Na Uniwersytecie Maine.

Bettis zapisał.

-Czy moglbym poznać nazwisko panskiego kolegi? - spytał.

-Moim zdaniem to szczegol bez znaczenia - odparł Roy. - Chodzi o... - Poza kilkoma mandatami za przekroczenie predkosci Roy nie miał żadnych doswiadczeń z policja. Szukał właściwego urzedowego slowa, ale przez chwile nie mógł znalezc. - O rozbieznosc w informacji dotyczacej zony...

Sierżant Bettis wpadł mu w slowo.

-Czyli można by rzec, że ciekawosc stanowiła motyw? - spytał.

-Motyw? - powtorzył Roy. - Czego?

-Włamanie do archiwum "New York Timesa" - wyjasnil sierżant.

Roy odchylil sie na krzesle.

-Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza.

Bettis rozložyl rece. Jak na tak rosłego mezczyznę dlonie miał zdumiewajaco male. Royowi przemknęła przez głowe szalona, nienormalna, jak na niego wrecz zaburzona myśl, że jeszcze niedawno, a

niewykluczone, że znowu niebawem (błagam, panie doktorze) mogłoby pokonać sierżanta Bettisa w walce na pieści.

-Na tym etapie po prostu zbieram fakty - wyjaśnił sierżant. - Jak pan tego dokonał?

-Czego?

-Jak pan się włamał do archiwum gazety.

-Panie sierżancie, chyba pan nie rozumie...

-Studiował pan informatykę na Uniwersytecie Maine?

-Informatykę?

-Programy zabezpieczające, te rzeczy - odpowiedział sierżant Bettis.

-Nie - odparł Roy.

-Czyli ktoś panu pomagał?

-Pomagał?

-We włamaniu na stronę.

-Nie - zaprzeczył Roy. - Nikt mi nie pomagał. Ale...

-Jak pan tego dokonał? - powoli pytanie sierżant.

Roy podniósł rękę do góry.

-Stop.

-Stop?

-Chyba odbiegamy od tematu - powiedział Roy.

Sierżant się uśmiechnął, jak gdyby uderzyła go zabawna myśl.

-Czym pan się zajmuje? - spytał.

-On jest rzeźbiarzem - wtracił Jerry.

-Ach tak.

-Sławnym - dodał Jerry.

Roy pokręcił głową.

-Jak by pan zareagował... - Sierżant podniósł wzrok znad notatek - panie Roy, gdybym zaczął pana pouczać, jak formować glinę?

Roy natychmiast przypomniał sobie trzecia klasę, zwłaszcza dzień, w którym pani LeClaire przyłapała go z zapalkami i co nastąpiło potem. Teraz tak samo jak wtedy milczał.

-Nie byłoby to panu w smak, co? - zapytał sierżant. - No więc ja też nie lubię, kiedy ktoś mi mówi, jak mam wykonywać swoją pracę.

-Gdyby takie rady miały poprawić efekt końcowy, chętnie bym ich wysłuchał.

W ten sposób dowiedział, że przynajmniej nauczył się czegoś od trzeciej klasy.

Bettis patrzył na niego. Pokiwał głową.

-Świetne słowa.

-Usiłuje tylko powiedzieć, że tu może istnieć powiązanie - rzekł Roy.

-A ja mówię, że to świetne słowa - dodał sierżant Bettis. Wrócił do notatek. - Sprawdźmy zdjęcie tego pana w komórkę.

Jerry poszedł na górę.

-Vermont - powiedział sierżant Bettis.

-Tak.

-Nigdy tam nie byłem. Bo zimno.

-Możliwe - przyznał Roy.

Jerry wrócił.

-Nie ma go tam.

Obaj zwrócili na niego wzrok.

-Czego nie ma? - spytał sierżant.

-Telefonu Richarda - oznajmił Jerry. - W którym były zdjęcia. Z całą pewnością zostawiłem go na biurku, ale zniknął.

-Sprawdzał pan w szufladzie? - zapytał Roy.

-Oczywiście - potwierdził Jerry. - Wszędzie szukałem.

-Może zaniósł go pan do innego pokoju - podsunął Roy.

-Nigdzie go nie przenosiłem - zapewnił Jerry.

Bettis uniosł brwi.

-Słyszysz w tym pewną sugestię.

Jerry spojrzał na Roya.

-Ja tez - powiedzial Roy.

-Ostatnio widziano telefon Richarda w panskich rekach - przypomniał Jerry.

Nie patrzył Royowi w oczy.

-Zostawilem go na biurku - oswiadczył Roy.

Sierżant natomiast nie zawahał się spojrzeć Royowi w oczy, które teraz nawet rozbłysły trochę, minimalizując zmeczenie na twarzy.

-Chciałbym sam poszukać - rzekł Roy.

-Pan mi nie wierzy? - zdziwił się Jerry.

Sierżant Bettis wstał.

-Rozejrzyjmy się wszyscy - zaproponował.

Poszli na górę - Jerry, Roy, sierżant Bettis. W gabinecie sierżant się rozejrzał. Na przeciwległej ścianie wisiało zdjęcie Dawida dłuta Michała Anioła. Czy panska żona pracowała w tym instytucie? - spytał.

-Tak. Delia.

Sierżant podrapał się w policzek.

-Poszukajmy tego telefonu.

Jerry wskazał biurko. Sierżant podszedł do niego.

-Stad zginał laptop?

-Tak - potwierdził Jerry.

Sierżant Bettis odsunął przewody. Z biurka sfrunął kłab kurzu.

-A telefon?

-Jerry wyjął go z górnej szuflady - stwierdził Roy. - Zostawiłem go tutaj.

Wskazał bibule.

Sierżant Bettis wysunął górną szufladę. Była pusta.

-Gdzie jest terminarz? - spytał Roy.

-Terminarz? - powtórzył sierżant.

-W którym Gold robił notatki do swoich artykułów - wyjaśnił Roy. - Widziałem w nim wydarte kartki na swój temat.

-Pan je widzial? - spytal sierzant.

-Ale co?

-Brakujace kartki.

-Nie - odparl Roy. - Niby jak?

-W takim razie skad pan wie, ze wydarte kartki dotyczyly pana - zaciekawil sie sierzant Bettis.

-Bo... - Jak by to ujac? - Wywnioskowalem.

-Aha, wywnioskowal pan.

-Nie z samego faktu wyrwania - wyjasnil Roy. - Lecz z notatek poprzedzajacych...

-Pokazywal je panu? - Sierzant Bettis zwrocil sie do Jerry'ego.

-Co? - spytal Jerry.

-Miejsca wydarcia - wyjasnil sierzant. - Z tego terminarza czy kalendarza.

-Nie - zaprzeczyl Jerry. - O co tu w ogole chodzi? Nie mam teraz ochoty na takie dociekania.

-Czy wspominal o brakujacych stronach? - zapytal sierzant.

-Nie rozumiem - przyznał Jerry.

-Nie! - zawołał Roy podniesionym głosem. - Nie wspomniałem, bo wtedy Jerry przyniósł komórkę. Ale wystarczy odszukać ten cholerny terminarz, a panu pokaze. - Spojrzał na Jerry'ego. - Widocznie gdzieś pan przelożył telefon i terminarz.

-Nie przelożyłem.

-Proszę sobie przypomnieć.

-Probuje - zapewnił go Jerry. Zamknął oczy i zaraz otworzył. - Nie, to bez sensu. Pamiętam tylko, że miał je pan w ręku.

Roy nachylił się, zajrzał pod biurko.

-Co mi tam, niech pan przeszuka cały dom, jak pan chce - zaproponował Jerry.

Sierżant Bettis ruszył w stronę drzwi.

-Proszę do mnie zadzwonić, jeśli panowie coś znajdą.

-Niech pan zaczeka - poprosił Roy.

Bettis zatrzymał się w drzwiach.

-Jeszcze jedno - dodał Roy. - Kiedy Tom Parish wyszedł, dosłownie przede mną uciekł, zniknął w dziwnym pomieszczeniu na zapleczu winiarni.

-Co to za dziwne pomieszczenie?

Roy opisał boksy, pracowników w słuchawkach, mnóstwo monitorów, wielkie mapy na ścianach.

-Tak? - rzucił sierżant.

Roy pojechał do sklepu Wino, Spółka z o.o., w nieoznakowanym samochodzie sierżanta Bettisa. Wszli do środka. Zastali tylko Westiego, który podszedł do drzwi.-Już zamykałem - powiedział. Zauważył Roya. - Witam... I co, zamówił pan w końcu któreś z naszych win Priorat?

Sierżant Bettis błysnął odznaką.

-Zabierzemy panu tylko chwilę.

Westie zrobił duże oczy.

-Zabierzemy? W czym problem?

-Nie dotyczy pana - zapewnił sierżant Bettis. - Chciałbym jedynie zajrzeć do waszego magazynu.

Westie lypnął okiem na Roya.

-Ale po co?

-Bo toczy się śledztwo - wyjaśnił Bettis.

-O kurcze, sam nie wiem! - zawołał Westie. - Chyba powinienem wezwać właściciela.

-Czyli Lenore? - spytał Roy.

-Przecież już panu mówiłem - odparł Westie ze złością. - Tu nie pracuje osoba o tym imieniu.

Sierżant Bettis obrzucił Roya wzrokiem i przeniósł go na Westiego.

-Nie musi pan fatygować właściciela - powiedział, kierując kroki w głąb sklepu.

Westie dreptał za nim, zagryzając wargę. Roy zamykał pochod.

Sierżant Bettis lekko pchnął drzwi dla personelu. Natychmiast gładko się otworzyły. Weszli do magazynu.

W srodku zobaczyli pietrzace sie pod sufit pojemniki do chlodzenia, skrzynki wina, dekoracyjna kratka opleciona plastikowymi winoroszlami, nieoznaczone drzwi w scianie z surowego drewna...

Nie. W glebi nie bylo zadnej sciany z surowego drewna. Magazyn konczyl sie ceglana sciana bez drzwi. Mur? Zadnych drzwi? Roy podszedl bez pospiechu, przejechal reka po ceglach. Typowa faktura cegiel. Postukal. Czul doslownie na plecach fizyczny nacisk spojrzez Bettisa i Westiego. Uderzyl piescia w sciane, jak gdyby miala sie zawalic, ale nic z tych rzeczy.

-Kiedy to sie stalo?! - wykrzyknal w strone ekspedienta.

-Co takiego?

-Kiedy postawiliscie te sciane?! Jeszcze wczoraj... - Urwal, bo nie mogl sobie przypomniec, ile czasu przebywal w szpitalu. - Stalo tu przepierzenie z surowego drewna. Widzialem na wlasne oczy. Kiedy wymurowano te sciane?

Westie przybral zdziwiona mine.

-Pracuje w tym sklepie od dwoch lat i zawsze tu byla.

-Klamstwo - powiedzial Roy. Walnal w sciane otwarta dlonia, po czym krzyknal: - Tom! Wiem, ze tam jestes.

Westie cofnal sie, podniosl rece do gory.

-Co tu sie dzieje? - zapytal stropiony, wrecz przerazony.

-Nic - uspokoił go Bettis. Położył rękę na ramieniu Roya. - Już skończyliśmy. Przepraszamy za kłopot.

Roy strzasnął jego dłoń.

-Jeszcze nie skończyliśmy.

Sierżant Bettis chwycił go za ramię, tym razem mocniej.

-Owszem, skończyliśmy - powtórzył i pociągnął Roya przez drzwi dla personelu. Roy patrzył na ścianę z cegły. Wyglądała solidnie.

Rozdział 13

-Co się panu stało w rękę? - zapytał sierżant Bettis. Stali na ulicy przed sklepem winiarskim. Światło na wystawie zgasło.

-Podczas gry w hokeja - odparł Roy.

-W dalszym ciągu pan gra?

Pokiwał głową.

-Lubi pan walczyć?

-To znaczy?

-Chyba w hokeju dużo się bijecie.

Sierżant Bettis wyprowadził w powietrze szybka serię ciosów. Royowi wróciła szalona myśl, żeby powalczyć z sierżantem na piasku w dogodnym dla niego czasie. Zaraz jednak wywietrzała mu z głowy.

-Może w telewizji - przyznał. - Bo w naszej lidze nawet nie dopuszczamy kontaktu cielesnego.

-A poza lodowiskiem? - spytał sierżant. - Nie bijecie się czasem na piasku, nie szarpiecie?

-Co to za pytanie? - obruszył się Roy.

-Usiłuje sobie tylko wyobrazić - powiedział sierżant. Westie wyszedł ze sklepu i zapalił palto. Rzucił na niego okiem i czmychnął w stronę Washington Circle. - Partner denata... Jerry?... twierdzi, że pan jest sławnym rzeźbiarzem.

Nieco dalej w jakimś samochodzie zapaliły się światła stopu. Srebrny sportowy wóz, bodajże porsche, zjechał na prawy pas, zatrzymał się na światłach. Westie wsiadł. Samochód odjechał.

-Powiedziałem - przypomniał sierżant Bettis - że Jerry określa pana jako sławnego rzeźbiarza.

Roy odwrócił się do niego.

-Trochę przesadza - odrzekł. - Ale co z tego wynika?

-Wiadomo, że sławni ludzie przejmują się własną reputacją - wyjaśnił sierżant.

-Do czego pan zmierza? - spytał Roy.

-Nekrolog świadczy o reputacji, prawda? - zapytał sierżant. - Nic dziwnego, że chciał pan do niego zajrzeć.

-Już mówiłem - powiedział Roy. - Chodziło mi o tę głupią bramkę.

-Wiem, co pan zeznał - stwierdził sierżant. - Przypuszcmy, że znana osoba z dowolnego powodu włamie się na odpowiednią stronę, żeby tam zajrzeć, i jej się nie spodoba, może nawet poczuje się trochę urażona, że przedstawiono ją w takim świetle. Może się wkurzy na autora nekrologu.

Milczenie. Sierżant Bettis spojrzał bezstronnym wzrokiem - ciemnymi, bystrymi oczami - w oczy Royowi. Ten się rozesmiał.

-Sugeruje pan, że zabiłem Richarda Golda?

Bettis nie podchwycił żartu.

-Chce mi pan coś jeszcze powiedzieć?

-Owszem - rzekł Roy. - Przede wszystkim przypominam, że byłem u siebie w domu w Vermontie, kiedy go zaatakowano. Niewykluczone, że, jak wspomniałem, rozmawiałem z nim wtedy przez telefon.

Sierżant pokiwał głową.

-Miałem taki przypadek - stwierdził. - Pewien dziany facet, chociaż nie z branży sztuki, tak właśnie rozegrał sprawę. Zadzwoił do ofiary tuż przed wybuchem bomby samochodowej. Dokonał napadu, a jednocześnie zapewnił sobie alibi.

Roy wziął głęboki oddech, a właściwie spróbował... bo znow się okazało, że dolne partie płuc ma scisnięte, niedostępne.

-Miałbym komus zapłacić? - spytał Roy.

Chwytał powietrze, sapal przy tym, jakby był winowajca.

Sierżant zwrócił się do niego łagodniejszym, niemal serdecznym tonem.

-Jeżeli pan to zrobił, na pewno dojdziemy do porozumienia. Ale musi pan teraz zacząć mówić prawdę.

-Marnuje pan swój czas - oświadczył Roy. Spróbował złapać oddech, co nie do końca mu się udało. - Moj zresztą też.

Z oczu sierżanta znikła bezstronność.

-Możliwe - powiedział. - Zdarzają mi się pomyłki. - Otworzył drzwi nieoznakowanego samochodu. - Kto by nie popełnił błędu w ciągu dwudziestu dwóch lat służby? - Wsiadł do auta, spojrzał na Roya przez dach. - Jedno się przez ten czas zmieniło. W tym kraju człowiek się już nie ukryje, już nie.

Wsiadł i powoli odjechał.

Roy ruszył w stronę Starbucks. Kawiarnie dzielił wąski zaułek od sklepu winiarskiego. Roy zapuścił się w głąb zaułka, minął kubły na śmieci i ramę rowerową bez koł przykuta łańcuchem do rynny na tyłach sklepu Wino, Spółka z o.o.

Za budynkami biegł kolejny, tyle że szerszy, zaułek. Mimo wieczornych ciemności Roy widział dość wyraźnie w światłach miasta. Znajdowały się tam dwa miejsca parkingowe zarezerwowane dla Wino, Spółka z o.o. I tablica na solidnej ścianie z cegły: ZAREZERWOWANE DLA PERSONELU WINO, SPÓŁKA Z O.O. INNE POJAZDY BEDA ODHOLOWANE. Solidna cegła. Próbował opanować pokusę, żeby przebiec ręką po ścianie, ale się nie powstrzymał.

Wrócił do wąskiego zaułka. Ściana boczna? Też z cegły. Ale wysoko, prawie w rogu, gdzie stykały się obie ściany, zobaczył kwadratową kratkę wentylacyjną z ukosnymi listewkami.

Jeden kubel na śmieci był pusty, nie licząc kilku centymetrów wody chlapiącej na dnie. Roy przechylił go, żeby wylać zawartość - wodę cuchnącą zdechłą rybą - i postawił do góry dnem pod wentylatorem. Nigdy przedtem nie wchodził na kubel na śmieci, ale przecież to żaden problem, biorąc pod uwagę jego poczucie równowagi, siłę, zwinność. Udało mu się jednak dopiero za trzecim razem, a wtedy kubel zakolysał się, omal go nie nakrył.

Roy stał na kuble i sapał. Człowieku, weź się w garść. Wspiął się na palce, zajrzał przez listewki wentylatora. Ciemności z drugiej strony, choć niezupełne, bo był jakiś blask... tylko od czego? To błyszczące pojemniki do chłodzenia wina piętrowe się do sufitu. Zobaczył jeszcze skrzynki wina, kraty z plastikowymi winoroślami, zakurzone butelki na stole, obok Isniacy korkociąg. Miał więc przed sobą magazyn za drzwiami dla personelu, a nie drugie pomieszczenie z pracownikami w boksach, monitorami i ściennymi mapami, pomieszczenie, w którym Tom Parish zniknął mu z oczu. A za magazynem jedynie zaułek z dwoma miejscami parkingowymi. Zamknął oczy, otworzył, widok się nie zmienił. Czyli to nie była halucynacja. A więc, na zdrowy rozum, tamto biuro, ośrodek dyspozycyjny, mapiarnia czy co to, do cholery, było, stanowiło tylko jego halucynację? Niemożliwe. Przypomniała mu się odpowiedź Delii, kiedy zapytał ją o pracę - że ma mieszane uczucia. Jak brzmiał dokładny cytat? Kiedy go wypowiedziała? Nie mógł sobie przypomnieć, ale odnosił dziwne wrażenie, że Delia już szła tym tropem, a nawet posunęła się dalej. Istny obłęd - bo Delia nie lubiła tropów ani szlaków wędrownych, w gorach najczęściej

zadowolalo ja kilka zjazdow na nartach - ale ta mysl troche go uspokoila. Zima lubila siedziec w stodole przy kominku i patrzec, jak pada snieg. W oczach migotaly jej wtedy plomienie, rozblyskiwaly zlote plamki. Jej wspomnienie uspokoilo go jeszcze bardziej. Zszedl z kubla.

Wrocil taksowka pod dom Jerry'ego. W oknie na pietrze palilo sie jedno swiatlo. Wsiadl do swojej polciezarowki i ruszyl w dluga droge do domu. Na tylnym siedzeniu za nim lezalo polamane krzeslo. Z czasem kawalki krzesla zaczely przykuwac jego uwage, nie dawaly mu spokoju, ukladaly sie w jego glowie w pewna konfiguracje. Przy zjezdzie z autostrady Garden State Parkway wypatrzyl Home Depot, w ktorym kupil polkilogramowy pojemnik kleju do drewna Elmera i jeszcze na parkingu skleil krzeslo, zadbawszy, zeby wszystkie spojenia wypadly w niewlasciwych miejscach. Ciag rozniacych sie nieznacznie od siebie omylek, ktore skladaly sie... no wlasnie, na co? Nie wiedzial.

Przyjrzel mu sie bacznie przechodzien z nowym przepychaczem toaletowym. Zaczepil go.

-Panie kolego, identyczne krzeslo dostanie pan tu w sklepie za trzydziesci piec dolarow dziewiecdziesiat dziewiec centow.

Deszcz w Hartforddzie, deszcz ze sniegiem na granicy z Massachusetts, snieg w Vermoncie, najpierw ciezkie, mokre platki, a potem drobna kasza zacinajaca w zoltych stozku swiatel. Roy minal jeden rozbity samochod, potem drugi i trzeci, ktore wskazywaly na grozne wypadki. Ludzie codziennie gina na

drogach, przechodzą od normalnego życia przez koszmar w nicosc. Kraksa w zwolnionym tempie - tak kierowca Krishny podsumował Delie. Prawdziwe kraksy na drodze rozgrywają się błyskawicznie, zatem akt drugi, czyli koszmar, zwykle trwa zaledwie kilka sekund w przeciwieństwie do wlokących się drugich aktów, kiedy ludzie umierają na przewlekłe choroby. Chorzy, którzy umierają w zwolnionym tempie, mają, cholera, za dużo czasu do myślenia. Za mało czasu do życia, a dużo za dużo do myślenia. I dlatego? Roy przemknął obok plugu śnieżnego, spojrzął na predkosciomierz - sto trzydzieści pięć. Pytanie, czy mu się uda? Zdjął nogę z gazu. Podjechał pod stodołę. Zerwał się wiatr, zawodził teraz piskliwie w drzewach. Podjazd był nieodsnieżony, nie stał na nim stary sedan Skippy'ego. Roy utknął w pol drogi i już piechota przebrnął przez śnieg do domu. Światło paliło się tylko w głównym pomieszczeniu. Przez wysokie okno widział Delie.

Otworzył drzwi kluczem, wszedł do środka. Usłyszał muzykę, dudnienie, powtarzające się basy tak lubiane przez raperów.

-Skippy?

Cisza.

Postawił torbę. Na pierwszy rzut oka wszystko było na swoim miejscu.

-Skippy?

Obszedł dom, sprawdził pokój gościnny na gorze. Na materacu nie było poscieli, tylko koc i porzucane ubrania, a obok grające radio. Żadnych butów. Wylaczył radio. Zostawił światło na ganku i położył się do łóżka.

Nareszcie do własnego. Odetchnął głęboko, prawie jak dawniej. Powieki zaciążyły mu niczym z ołowiu, zupełnie jakby ostatnio przybrały na wadze, tymczasem on z takim trudem walczył o każdy gram ciała... i zamknęły się. Od wielu godzin nie miał nic w ustach. Wiedział, że powinien zejść do kuchni i zrobić sobie coś do jedzenia. Ale nie czuł głodu, a poza tym nie mógł się zmusić do otwarcia oczu. Na dworze coraz przenikliwiej jęczał wiatr. Śnieg dudnił o szyby, cicho i szybko, jak gdyby ktoś bebniał palcami.

-Tu będzie sypialnia - oznajmiła Delia.-Nie za mała?

-Będziemy musieli wyburzyć te ściany.

-My?

-I trzeba powiększyć to okno. Wychodzi na wschód, prawda?

-Tak.

-Rano będzie wpadało słońce. A łóżko stanie tutaj.

-Może powinniśmy wstawić po jednym łóżku do każdego pokoju - zaproponował Roy.

Delia wszędzie szukała idealnego łóżka. Zwiedzała sklepy z antykami od Eastern Townships po Berkshires, ale nic jej nie odpowiadało. Kiedy wyjechała do Wenezueli, w dalszym ciągu spali na materacu. I Roy wciąż na nim spał.

Słońce z rana. Roy otworzył oczy. Czuł się dobrze. Wstał, podszedł do okna. Jak okiem sięgnąć, śnieg pokrył dolinę czystą bielą. Wyglądała teraz jak chmury widziane z góry. Przypomniały mu się ulubione komiksy rozgrywające się w niebie. Zadzwoił telefon.

-Roy? Tu Freddy Boudreau. Jadąc do pracy, zobaczyłem twój samochód na podjeździe. Jak podróż?

-Dobrze.

-A jak reka?

-Goi się.

-Mam świetną wiadomość. Bez ciebie złapali nas na spalonym na niebieskiej linii, musisz wracać jak najszybciej na lód - powiedział Freddy. - Ale dzwonię dlatego, że ten chłopak, który pilnował twojego domu...

-Skippy?

-Pewno dumales, gdzie się podział. Wiesz, że wczoraj go zamknąłem.

-Chyba nie prowadził znowu na gazie?

-Nie - odparł Freddy. - Chociaż lepiej by na tym wyszedł.

-Jak to?

-Siedzi za nielegalne posiadanie broni - powiedział Freddy.

-Nie wierze.

-To Smith Wesson, trzydziestkaosemka - dodał Freddy. - Zgrabny rewolwer z krótką lufą. Nawiasem mówiąc, zatarto numer seryjny, a to kolejne przestępstwo. Kaucje wyznaczono na dziesięć kawalków.

-O Boże! - zawołał Roy. - Czy jego matka...

-Już wie.

-A Murph?

-Murph ze złomowiska?

-To jego wuj.

-Nie kontaktował się.

Roy się ubrał, wyszedł. Na wszystkim, łącznie z polciezarówką, leżały miękkie białe czapy. Z kolka przy drzwiach zdjął szufle. Lubił odgarniać śnieg, bując się całym ciałem rytmicznie, słysząc pisk szufli przy wchodzeniu w śnieg, patrząc na bryły, które na chwilę zastygały w powietrzu. Czasem ludzie odsnieżali niechlujnie, odwalając tylko tyle białego puchu, żeby wyjechać, ale nie Roy. Zawsze odsnieżał cały teren, uklepywał równo śnieg na ziemi, wyrównywał hałdy u podstaw, dbał o katy proste. Dzisiaj jednak szuflował byle jak, lecz nawet ten pozalowania godny wysiłek zwałił go z nog. Złany zimnym potem oparł się o polciezarówkę i dyszał, z trudem łapiąc powietrze. Długa podróż, skutki uboczne koktajli doktora Chu, może nawet wolny dzień... mało to powodów? Zatrąbił na niego przejeżdżający samochód. Roy się wyprostował, uśmiechnął i pomachał, choć nie wiedział komu.

-Cześć, Roy - przywitał go Freddy zza biurka w komisariacie. - Fajnie, że jesteś. Wszystko w porządku? - W porządku. Mogę zapłacić czekiem?

-Od ciebie przyjmę - odparł Freddy. - Nie będziemy go realizować. A jeżeli podpiszesz teraz polecenie, wystarczy, że wpłacisz dziesięć procent.

Roy złożył podpis, wypisał czek na tysiąc dolarów. Freddy zamknął oba dokumenty w szufladzie i wręczył mu pokwitowanie.

-Zatrzymano go podczas rutynowej kontroli? - spytał Roy.

-Sam go zatrzymałem - powiedział Freddy. - Dzieciak miał gnata w schowku, na wierzchu. Zgodził się na przeszukanie bez szemrania. - Freddy otworzył kolejną szufladę, wyjął broń. - Dowód rzeczowy, idealny do noszenia w ukryciu. - Trzymał w ręce czarny rewolwer z zadartym nosem i wypolerowaną drewnianą kolbą. - Moim zdaniem to damski rewolwer. Zobacz, jaki lekki.

Roy nigdy nie trzymał w ręku broni.

-Nie, dziękuję - odparł.

-Widzisz, gdzie zdrapano numery? - wskazał Freddy. - Nawet nie wyszlifowano pilnikiem. Za dużo zachodu.

Odłożył rewolwer, wstał, otworzył niskie wahadłowe drzwi i poprowadził Roya za biurko, korytarzem do celu. Świecili pustkami poza ostatnią, w której na prycy leżał twarzą do ściany Skippy.

-Wstawaj, spiochu! - zawołał Freddy. Skippy jęknął. - Pan Valois wyciąga cię za kaucją. Kolejny raz.

Skippy przewrócił się na drugi bok, usiadł, przetarł twarz. Popatrzył spod palców na Roya, odwrócił wzrok.

-Rusz się! - zakomenderował Freddy. - Czekasz na Oscara?

Chłopak wstał. Miał świeże krosty na obu policzkach, zaropiałe oczy, tłuste czoło. Freddy przesadnie szarmanckim gestem otworzył na oścież drzwi do celi. Skippy ze spuszczonej głową, z rękami w kieszeniach, poczłapał na korytarz.

Wyszli na parking, otworzyli drzwi polciezarówki. Krzesło kuchenne Jerry'ego leżało na miejscu pasażera.

-Przełozę na tył - powiedział Roy.

Ale Skippy go powstrzymał.

-Nie, przecież...

I sam usiadł z tyłu na śniegu, w cienkiej kurtce, podartych dzinsach, rozsznurowanych adidasach.

Roy zaparzył kawy. Siedzieli przy kuchennym blacie. Skippy machał prawą nogą. Roy nie miał dzieci, nie wiedział, od czego zacząć. Cisnęło mu się na usta banały. Chłopak patrzył tępo w blat.-Napij się kawy - poradził Roy.

Skippy pociągnął łyk.

-Myslałem, że słodzisz. - Roy przysunął cukiernicę. Chłopak posłodził trzy łyżeczki, pomieszał, pociągnął kolejny łyk, tym razem dłuższy. Miał brud za paznokciami. - Jazda na gazie to całkiem inne wykroczenie.

Skippy'emu podskoczyła noga.

-Zgadzasz się? - Chłopak milczał. - Bo jeżeli nie, to wytłumacz.

-Nieważne - burknął. Włosy opadały mu na oczy. - Co ja tam powiem.

-Spróbuj.

-Po co? I tak mi nie uwierzysz.

-W co? - spytał Roy.

-W historii z rewolwerem - wyjaśnił Skippy. - Nie wiedziałem, że tam jest.

Roy usiłował sobie wyobrazić, jak wygląda człowiek mniej wiarygodny.

-A sądziłeś, że gdzie jest? - spytał.

-I widzisz? - podchwycił Skippy. Noga podskakiwała mu coraz szybciej. - Nie wierzysz mi.

Próbował wypić kawę, ale ręka tak mu się trzęsła, że wylał sobie na brode.

-Chcesz mi wmówić, że nie wiedziałeś o rewolwerze w twoim schowku? - zapytał Roy.

-Chybabym się tak nie zachował - rzucił Skippy, ocierając sobie brodę rękawem.

-To znaczy jak?

-Nie pozwoliłbym temu głupiemu gliniarzowi przeszukiwać schowka - powiedział Skippy. - Chyba tak by mi nie odbilo?

-Może na chwilę opuścił cię zdrowy rozsądek - rzekł Roy.

-Jak to?

-Na przykład, gdybys wprowadził coś do organizmu.

Chłopak bezradnie pokręcił głową.

-Twierdzisz, że niczego nie zżywasz - ciągnął Roy. - Ani narkotyków, ani alkoholu.

-Dopiero co się obudziłem - powiedział Skippy. - Dochodziła jedenasta rano. Usłyszałem pukanie.

-Jakie pukanie?

-Do drzwi.

-Do tych drzwi?

-Tak - potwierdził Skippy. - Spałem w gościnnym, bo pilnowałem domu, tak jak kazałeś.

-I kto przyszedł?

-Agentka ubezpieczeniowa.

-Jaka agentka?

-Twierdziła, że musi tu coś pomierzyć, bo należy się jakaś bonifikata.

-Co pomierzyć?

-Nie mam pojęcia - wyznał Skippy. - Kazałem jej przyjść, jak wrócisz.

-I nie weszła?

-Na twojej liście nie było nic o żadnych ubezpieczeniach - wyjaśnił Skippy, spoglądając na kartkę, która leżała na blacie. - Wyglądała jak nie z tego świata. Ubrałem się, pojechałem do Dunkin Donuts. Zatrzymali mnie, kiedy wracałem.

-Za światła stopu - powiedział Roy.

-Ale skąd! - zaprzeczył Skippy. - Poprzedniego dnia skoczyłem do warsztatu i naprawiłem.

-Czyli zatrzymał cię bez powodu? - spytał Roy.

-W naszym mieście to jest na porządku dziennym, panie...

-Freddy tak zatrzymuje?

-Kto to jest Freddy?

-Policjant, który cię zatrzymał.

-Jeden z najgorszych - przyznał Skippy.

Wzrok mu się ożywił, wydał się teraz Royowi znacznie wiarygodniejszy.

-Spytał, czy może przeszukać wóz? - zaniepokoił się Roy.

-Tak.

-Mogłeś się przecież nie zgodzić.

-Ale nie miałem nic na sumieniu, co właściwie próbuję ci powiedzieć - rzekł Skippy. - Pomyślałem, że jak chcę tracić czas, to proszę bardzo.

-I wtedy otworzył schowek.

-Nie mogłem uwierzyć. Sądziłem, że ktoś mi zrobił dowcip. - Spojrzał Royowi prosto w oczy. - Nie znoszą takich dowcipów.

-Ja też - stwierdził Roy.

-I wie pan... wiesz, Roy? Nigdy nie bawiłem się bronią i nie mam zamiaru. Bo gdyby stało się coś złego? Człowiek załatwiłby się na zawsze.

-W takim razie czyj to był rewolwer? - spytał Roy.

-Nie mam pojęcia.

-A skąd się tam znalazł?

Skippy wzruszył ramionami. Noga przestała mu podrygiwać, wstał.

-Turk?-Czesc, Roy. Wrociles? Jak ci poszlo?

-Dobrze. - Zamyslil sie. - Bardzo dobrze.

-Tak?

-Doktor Chu jest geniuszem.

-Co zrobil?

-Dal mi do wypicia koktajl.

-Jak smakowal?

-Oj, Turk, przeciez to nie jest prawdziwy koktajl. Podaja go przez kroplowke.

-Rozumiem.

-Dzwonie w sprawie Skippy'ego.

-Skippy'ego?

-Siostrzenca Murpha. Pilnowal mi domu.

Roy opowiedział Turkowi o chłopaku.

-Duzo jest broni w naszej dolinie - podsumował Turk.

-Naprawde?

-To dobrze uzbrojony zakatek kraju.

-Nie wierze.

-Caly ty. Bujasz w oblokach.

-Nie gadaj bzdur!

Milczenie.

-Wybacz, chodzi mi o to, ze...

-Chcialbym, zebys wzial te sprawe - poprosil Roy.

-Jaka sprawe?

-O nielegalne posiadanie broni czy jak ja tam zwal.

-Oszalales? - zdziwil sie Turk. - Przeciez to prosta sprawa.

-Podziwiam twojego ducha walki.

Znow milczenie.

-Widocznie mszcza sie na chlopaku - rzekl Roy. - Chociaz naprawil swiatla stopu, i tak go zatrzymali.

-Mial rewolwer w schowku.

-Moze.

-Jak to "moze"? - spytal Turk.

-Pogadasz z nim?

-Nie rozumiem, gdzie tu jest miejsce na "moze".

-O to jedno cie prosze - powiedzial Roy. - Na moj koszt.

-Nie chodzi o to, kto placi - wyjasnil Turk. - Ale szkoda pieniedzy. Codziennie slysze takie bujdy. Zawsze wciskaja te sama...

-Zgadzasz sie?

Westchnienie.

-Przyslij mi tu tego palanta.

Skippy poszedl na spotkanie z Turkiem. Pod jego nieobecność Roy przyniosl z samochodu krzeslo, ustawil w kacie glownego pomieszczenia, w ktorym swiatlo padalo pod dwoma roznymi katami. Oswietlilo wszystkie posklejane czesci, bo Roy uzyl tak duzo kleju, ze ociekal we wszystkich spojeniach, az znikl pierwotny ksztalt krzesla. Przyszedl mu do glowy pomysl na tytul: Sekcja zwlok. Chwile patrzyl zadowolony z siebie, po czym pomyslal: Stary, musisz zaczac pracowac szybciej. Cisza. Jak wygladaly postepy? Cisza jeszcze nie powstala, istnial jedynie mglisty zarys w jego glowie i dlugi srebrny stożek lezacy na podlodze duzego pomieszczenia, z dala od rzezby, jak gdyby niezwiązany. Roy znalazl szkicownik na blacie kuchennym, przylozyl miekki olowek do pustej strony. I natychmiast przypomniał sobie, ze kiedy ostatni raz probowal narysowac Cisze, wyszla mu fasada Instytutu Hobbesa. Rysunek powinien byc w szkicowniku, ale pierwsza strona pozostala czysta. Czyzby zabral go ze soba w podroz? Nie.

Mial jednak pewne watpliwosci. Rzucil w kat nierozpakowana torbe podrozna. Rysunku nie bylo. Podniosl szkicownik do swiatla, przekrzywil, dostrzegl slabe pionowe slady po rysunku kolumn na pierwszej stronie.

-W przyszłym tygodniu jade na rozmowe kwalifikacyjna - oznajmila Delia.-Jaka rozmowe?

-Do osrodka badawczego. - Przekartkowala terminarz. - Nazywa sie Instytut Hobbesa. Slyszales kiedys o nim?

Roy pokrecil glowa.

-Sadzilem, ze lubisz swoja prace.

-Owszem - przyznala. - Ale zglosil sie do mnie pewien czlowiek, niezwykle inteligentny. Nazywa sie Tom Parish. Chyba robia cos ciekawego.

-To znaczy?

-Cos podobnego do mojej pracy - powiedziala Delia. - Tyle ze majacego wieksze zastosowanie w praktyce.

-Nie zaszkodzi posluchac, co proponuja.

Roy siedział na taborecie w zalanym światłem kacie, kiedy wrócił Skippy.-I jak ci poszło?

Chłopak podszedł. Rece miał czerwone z zimna.

-Chyba dobrze.

-Co powiedział?

-Niewiele. Prosił, żebyś do niego zadzwonił.

-Ale co powiedział o twojej sprawie? - spytał Roy.

-Ze mogłbym trafić do więzienia.

-Nie dopuszcze do tego - rzekl Roy.

Skippy nie ruszal sie z miejsca. Nie sprzeczal sie, nie negowal, ale tez ani przez chwile nie wierzył Royowi. Najwyrazniej stracil ducha walki.

Roy wzial do reki szkicownik.

-Tu byl rysunek fasady pewnego budynku - powiedzial. - Widziales go?

-Podejrzewasz, ze ukradlem? - zapytal Skippy bez wzburzenia w glosie. Byl opanowany, zdystansowany, przybity.

-Ale skad! - odparl Roy. - Zreszta nie byl nic wart. Po prostu pytam, czy go widziales.

Skippy pokrecil glowa.

-Moge juz isc?

-Dokad?

-Na gore. Chyba ze mam sie wynosic.

-Skippy, co sie z toba dzieje? - spytal Roy.

-To znaczy?

Roy pamiętał siebie z podobnego, cielecego wieku, chociaż mglisto. Czy ktokolwiek kiedykolwiek tak go wdeptał w ziemię? Zawsze miał hokej... i matkę.

-W domu, w szkole, z kolegami.

-Nic - odparł Skippy. - Mogę iść na górę?

Roy skinął głową. Chłopak wyszedł z pokoju i powłókł się po schodach. Kiedy padł na łóżko w pokoju gościnnym, rozległ się przytłumiony łoskot. Poza wieloma różnicami, zapewne też utajonymi, była jedna zasadnicza - mieli inne matki.

-Turk? I co?-To, co zwykle - odparł Turk.

-Powiedziałeś mi, że idzie do więzienia?

-Nie ma sensu mydląc ludziom oczu. Dawno się nauczyłem mówić prawdę klientom.

-Ale to jeszcze dzieciak.

-Na szczescie - powiedzial Turk. - To znaczy, ze czeka go poprawczak w Colchester i wyjdzie gora za trzy lata.

-Nie moglbyś go jakos z tego wyciagnac? - spytal Roy.

-Musialby pojsc na wspolprace - zastrzegł sie Turk.

-Czyli?

-Przyznac sie, od kogo dostal bron - wyjasnil. - A chlopak zdecydowanie odmawia. No to nie ma rozmowy.

-Dlaczego odmawia?

-Pytasz, jaki podaje powod, czy o prawdziwy powod?

-Jaki podaje.

-Twierdzi, ze nie wie, jak rewolwer znalazl sie w aucie - oznajmil Turk.

-A jezeli to prawda?

-To nie jest prawda - rzekl Turk. - Zasiegnalem jezyka u Freddy'ego. Dzieciak uwiklal sie w wojne gangow.

-Jaka wojne?

-Najwyrazniej w dolinie dzialaja dwa gangi narkotykowe, ktore handluja kradziona bronia - wyjasnil Turk.
- Chlopak musial kupic spluwe od jednego gangu. No to drugi go zakablowlal.

-Nie pojmuje - powiedzial Roy.

-Zeby stalo sie dokladnie to, co sie stalo - wyjasnil Turek.

-Wciaz nie rozumiem.

-W komisariacie dostali anonimowy telefon. Dlatego chlopaka zatrzymali.

-Anonimowy telefon?

-Piec minut przed zgarnieciem - dodal Turk. - Urzadzili zasadzke w nadziei, ze w obronie wlasnej dzieciak wyda zrodlo. Wykorzystali gliny instrumentalnie, zeby zalatwic konkurencje. Cwane posuniecie.

-Skoro telefon byl anonimowy - stwierdzil Roy - skad Freddy ma pewnosc?

-Bo nie wiem, czy wiesz, ze jest nieglupim glina - odparl Turk. - A przy tym twardym.

Na lodzie wcale taki nie byl.

-Tylko nie bardzo rozumiem dlaczego...

-Freddy wcale nie chce uwalic dzieciaka. Wystarczy, że pusi farbe, natychmiast się ze wszystkiego wygrzebie.

Roy poszedł na górę. Skippy leżał w pokoju gościnnym na łóżku. Na widok Roya usiadł.

-Mam się stąd zerwać? - spytał.

-Nie - zaprzeczył Roy. - Chce ustalić fakty.

-Wszystko ci już powiedziałem.

-Czyli nie znasz żadnego nazwiska?

-Sądziś, że gdybym znalazł, tobym nie wydał człowieka? - zapytał Skippy.

-Mogłbyś go nie wydać - przyznał Roy.

Nagle poczuł zmęczenie w nogach, jak gdyby cały dzień wędrował na raketach śnieżnych. Oparł się o biurko. Skippy położył się, wbil wzrok w sufit.

-Przepraszam, że nie zdążyłem odsnieżyć - powiedział.

-Trudno odsnieżyć z celi - odparł Roy.

Skippy lekko się wzdygnął. Gdyby Roy bacznie go nie obserwował, mógłby to przeoczyć. Jego reakcja świadczyła wyraźnie o jednym - chyba po raz pierwszy uderzyła go wizja przyszłości.

-Ich wersje znamy - podjal Roy. - A jak brzmi twoja?

-Moja? Tej historii z bronia?

Roy pokiwal glowa.

Skippy popatrzył mu prosto w oczy.

-Ktos podrzucil rewolwer do schowka. Nie ma innej mozliwosci.

-Na przyklad kto?

Chlopak wzruszyl ramionami.

-Masz wrogow? - spytal Roy.

-Wrogow?

-Kogos, z kim sie wdales w bojke albo komu byles winien forse.

-Kilka miesiecy temu naparzałem sie z Billym Cordero.

-Tak?

-Ale spuscil mi lomot - wyznal Skippy i zamilkl na dluzej. A potem dodal: - Czyli to nie ten watek.

Roy sie rozesmial. Skippy tez po chwili parsknal smiechem.

-Gdybym to ja mu spuscil lomot, mielibysmy w garsci mocny atut.

Zaczeli smiac sie do rozpuku, jakby wlasnie zdarzylo sie cos zabawnego.

-Roy? - wtracil Skippy. - Znow ci leci krew z nosa.

Wyszli na dwor. Skippy pokazal Royowi, gdzie zaparkowal samochod. Przed wjazdem do garazu.-
Zamknales?

Skippy pokrecil glowa.

-Kupilem go z wylamanymi zamkami.

Wsiedli do polciezarowki, podjechali do Dunkin Donuts, a potem zawrocili do miejsca, w ktorym Freddy zatrzymal Skippy'ego, zaraz za salonem pieknosci Dee Dee.

-Szkoda, ze ta agentka ubezpieczeniowa nie przyszla wczesniej - powiedzial Skippy.

-Dlaczego?

-Bo zadzwonila piec minut przed moim zatrzymaniem, co nie? - wyjasnil Skippy. - Gdyby obudzila mnie dziesiec minut wczesniej, wrocilbym z paczkiem bez problemu do domu.

-Niekoniecznie - powiedzial Roy, zwracajac uwage na sformulowanie "bez problemu do domu".

-Dlaczego niekoniecznie?

Ale Roy juz nie sluchal, bo przegladal numery w telefonie. Doszedl do swojego ubezpieczyciela.

-Dzien dobry, panie Valois - przywital go agent. - Czym moze sluzyc?

-O co chodzi z ta bonifikata? - spytal.

-Z jaka bonifikata?

-Ktora wymaga dodatkowych pomiarow - wytlumaczył Roy. - Byla tu niedawno jakas kobieta.

-Pierwsze slysze. Prosze chwileczke zaczekac. Sprawdze. - Minelo dziesiec, moze dwadziescia sekund. Agent wrocil do telefonu. - Nic takiego sie nie dzieje. Pan ja wpuscil?

-Nie.

-Chwala Bogu - ucieszyl sie agent. - Tyle szumowin sie ostatnio kreci. Ostroznosc nigdy nie zawadzi.

Roy odlozyl sluchawke, zwrocil sie do Skippy'ego.

-Jak ta agentka wygladala?

-Powinienem byl ja wpuszczic?

Roy trafil cierpliwosc, ledwo sie hamowal.

-Pytam tylko, jak wygladala.

Skippy zagryzl warge.

-Po pierwsze, byla czarna.

-Czarna?

-Nie taka czarna jak wegiel, troche jasniesza... powiedzmy jak Portorykanczycy.

-Portorykanka?

-E, nie - zaprzeczyl Skippy. - Tylko miala podobny kolor skory. Ale mowila jak pan.

-Jak to?

-Jak ludzie z górnej polki - wyjaśnił Skippy. - Wykształceni. Była wysoka, miała proste lśniące włosy.

-Coś ty powiedział?! - spytał Roy podniesionym głosem.

-Że była wysoka i miała proste lśniące włosy.

Roy usiłował zapanować nad wzburzeniem.

-Narysowałbyś jej twarz?

Żeby zyskać pewność, musi zobaczyć ją na rysunku.

-Narysować? - Skippy był zmieszany, niemal wstrząśnięty. - Ale ja nie umiem.

-Spróbuj - poprosił Roy.

-Jak to? - zdziwił się Skippy. - Uważasz, że ona mogła mieć coś wspólnego z...

Wrocili do stodoły. Roy dał Skippy'emu szkicownik i miękki ołówek. Chłopak skulony nad kartką wysunął lekko język, postawił kilka chwiejnych kresek. Mówił prawdę, zupełnie nie umiał rysować. W końcu jednak coś mu wyszło, co Roy przyjął bez zdziwienia. Na tyle udatnie odwzorował wysokie czoło i smukłą, ładną szyję, że nie musiał się już nawet wysilać przy łśniących prostych włosach. Rysunek bez cienia wątpliwości przedstawiał Lenore, kobietę o żelaznym uścisku. Lenore? W Ethan Valley? Usiłowała dostać się do jego domu? Nie tylko usiłowała, lecz się dostała, nawet jeśli musiała przy okazji zrobić szesnastolatka. Po co posunęła się do takiej podłości?

Roy sprawdził szybko cały dom od parteru po strych. Nie znalazł żadnych oznak przeszukania. Niczego nie brakowało poza niedokończonym szkicem Instytutu Hobbesa. Zminiaturyzowana wersja prawdziwej sytuacji, pomyślał Roy, bo instytut również zniknął.

-Roy, dobrze się czujesz?

-Zalutw mu najlepsza obrone, jaka sie da - zazadal Roy.-Chodzi ci o zarzut posiadania broni przez chlopaka? - spytal Turk.

Siedzieli w jego kancelarii z widokiem na park. Na zasniezony czubek Neandertalczyka numer dziewietnascie sfrunal kruk.

-On tego nie zrobil - stwierdzil Roy.

-Ktos mu podlozyl rewolwer?

-Tak.

-Jeden z gangow? - spytal Turk. - I nie wiadomo, dlaczego obral za cel tego dzieciaka? Troche kosztowna taktyka, bo poswiecil rewolwer wart szesc stow.

-To nie byl gang - wyjasnil Roy.

-Nie? - zdziwil sie Turk. - W takim razie kto?

Roy wyjal rysunek Skippy'ego, podal Turkowi.

-Ta kobieta.

Turk wlozyl okulary do czytania.

-Portorykanka? - zapytal.

-Nie jest Portorykanka - rzekł Roy. - Ma na imie Lenore. Udaje ekspedientke albo kierowniczkę sklepu winiarskiego w Waszyngtonie.

-Nie rozumiem - wyznał Turk. - Jaki ma związek z tym chłopakiem?

-Zadnego - powiedział Roy. - Chciała go unieszkodliwić na czas, kiedy będzie buszować w domu.

-W twoim domu?

Roy skinął głową.

-Złodziejka dzieł sztuki?

-W każdym razie złodziejka - potwierdził Roy. - Ale nie tylko.

-Co zabrała?

-Szkic.

-Twój?

-Tak.

-Na ile oszacowałbyś z grubszą jego wartość? - spytał Turk, sięgając po długopis.

-Materialnie nie ma zadnej wartosci - odparl Roy. - Mozna by rzec, ze stanowi cos w rodzaju dowodu.

-Na co?

-Cala sprawa dotyczy Delii - wyjasnil Roy.

Turk rzucil okiem na rysunek Skippy'ego.

-Czy ta kobieta znala Delie, kiedy mieszkaliscie w Waszyngtonie?

-Nie - odparl Roy, ale zaraz pomyslal, ze wcale nie jest pewien. Chyba byla rowiesniczka Delii. - Chodzi o Instytut Hobbesa.

-Co to za instytut?

-Miejsce pracy Delii.

-Cos podobnego! - zawolal Turk. - A ja zawsze sadzilem, ze pracuje na panstwowej posadzie.

-Tak?

-Dziwi cie to? - spytal Turk. - Na pewno rzad zatrudnia tysiace ekonomistow.

-Nie powiedzialem, ze mnie dziwi.

-Ale zrobiles zdziwiona mine.

-Bo rzeczywiście mnie zaskoczyłeś - przyznał Roy.

-Czym?

-Ze nigdy nie rozmawiała z tobą o pracy.

-Rozmawiała - stwierdził Turk. - Wyjawiała mi kiedyś, że jej nienawidzi.

Roy pokręcił głową.

-Widocznie żartowała. Delia była bardzo oddana swojej pracy.

-Może - powiedział Turk. - Ale wyraźnie pamiętam jedną sytuację. Kiedy zasypał nas śnieg w schronisku.

-Podczas zimowego karnawalu?

-Tak - potwierdził Turk.

Roy pamiętał ten karnawał, jeden z ostatnich w Ethan Valley - radni zlecieli ekspertyzę, aby się dowiedzieć, czy karnawał opłaca się miastu, ale wkrótce kazali przerwać badanie. Roy z Delia, Turk ze swoją ówczesną żoną wraz z kilkoma innymi osobami wybrali się na raketach śnieżnych na drugą stronę góry, ale złapała ich śnieżnica. To było przed kampanią sieci kurortów narciarskich Ski America, zanim utworzono szlak na tylne zbocze. Prowadziła tam tylko jedna stroma, kręta ścieżka, zapewne przetarta jeszcze przez Indian, łącząca się ze Szlakiem Appalachów, a na przełęcz stało schronisko. Rozpalili piecyk na drewno, wszyscy dzielili się jedzeniem, którego mieli zadziwiająco dużo, znalazł się nawet bukłak z winem.

-Wyszliśmy po drewno złożone za schroniskiem - ciągnął Turk. - Klody były nieporabane, dlatego Delia zabrała się do rabania, a ja trzymałem latarnie.

-Delia rabala? - spytał Roy.

-Najpierw oczywiście ja chciałem rabac - odparł Turk - ale zabrała mi siekiere.

-Delia w życiu nie trzymała siekiery w rekach.

-W takim razie świetnie sobie radziła jak na nowicjuszkę - oświadczył Turk z błyskiem w oku. - I wyraźnie pamiętam, że chwaliłem ją przed tobą.

-Kiedy?

-Ktoregos wieczoru na lodowisku, między tercjami.

-Nie przypominam sobie.

-Nie?

Z pewnością bym zapamiętał.

-Widocznie uznałem, że żartujesz - rzekł Roy.

-Niewykluczone - stwierdził Turk. - Zmierzam do tego, że hula wiatr, zacina śnieg, kulimy się oboje za chatą w zacisznym zakatku, a ona nagle odwraca się do mnie i mówi: "Mogłabym tak żyć wiecznie". Chodziło jej o prymitywne życie w lesnej chacie, z wodą ze strumienia.

-Wcale mi to do niej nie pasuje - zauwazył Roy.

-Przytaczam jej słowa. Zrobiły na mnie wrażenie - ciągnął Turk. - Powiedziałem jej, że szybko by się znudziła, zateskniłaby za pracą. Wtedy wyznała, że jej nienawidzi. Zapytałem dlaczego, ale odpowiedziała od rzeczy.

-A dokładnie? - spytał Roy.

Turk się skrzywił.

-"Kiedy człowiek pozna wszystko od podszewki, szybko przestaje go to bawić", coś w tym rodzaju.

-Ale co pozna?

-Właśnie nie rozumiałem - przyznał Turk. - Światem rządzi ekonomia. Przynajmniej w teorii, prawda?

-Nie zawsze - odparł Roy, bo pomyślał o eskapadzie ananasowej, jak ją nazwał Paul Habib. Wymagała praktycznego podejścia. - Ale pasuje mi to do obrazka.

-Mianowicie?

-Do pracy Delii - wyjaśnił Roy. - Instytut Hobbesa jakby się zapadł pod ziemię.

-Jak to?

Roy opowiedział mu całą historię. O pomyłce w nekrologu, o Richardzie Goldzie i jego telefonie komórkowym, greckim konsulacie, Tomie Parishu, sklepie Wino, Spółka z o.o., Lenore, sierżancie Bettisie.

Kiedy skończył, Turk milczał dobre dwadzieścia sekund. Za oknem rozpostarł skrzydła kruk, który przycupnał na Neandertalczyku numer dziewiętnastu. Nie odfrunął, lecz siedział bez ruchu.

-Twierdzisz, że śmierć tego dziennikarza ma z tym jakiś związek? - zapytał Turk.

-Do tej pory nie wyrażałem głośno takiego przypuszczenia - wyznał Roy.

Nagle usłyszał własny, wyraźnie napięty głos. Czyżby zabrzmiał w nim strach?

-Smiała koncepcja - orzekł Turk. Spojrzał na rysunek Skippy'ego. - Ten chłopak to narysował?

-Tak.

-A to na pewno jest tamta kobieta ze sklepu winiarskiego?

-Lenore. - Roy wrócił do normalnego tonu. - Musi być.

Turk przez chwilę wpatrywał się w rysunek.

-Zalutujemy na początek jedno - zaproponował. - Wyjaśnijmy sprawę Instytutu Hobbesa. - Odwrócił się do komputera. - Jak się to pisze?

Roy przeliterował.

-Co ty wyprawiasz? - spytał.

-Slyszales kiedys o wyszukiwarce Google?

-Jestem tumanem komputerowym - rzekl Roy.

Kruk zlozyl skrzydla.

Turk postukal w klawiature. Mial grube palce, wykoslawione wskutek licznych zlaman, ale pisal szybko i sprawnie.

-Jestes pewien pisowni?

-Najzupelniej.

-Dziwne - powiedzial Turk.

-Co? - spytal Roy.

-Nie ma zadnych wzmianek.

-To znaczy?

Turk nie odpowiedzial, poklikal znow chwile.

-Spróbuj inaczej - zdecydował. - Czasem... Patrzył na ekran, krecił głową, wpisał coś jeszcze.

-I co? - spytał Roy.

-Też nic. - Odwrócił się do Roya. - Ten twój Instytut Hobbesa nie istnieje w sieci.

-Czyli?

Turk się uśmiechnął.

-Długo surfujesz po sieci?

-W ogóle nie surfuję.

-Nigdy?

-Chodzi ci o szukanie informacji?

-Tak, o surfowanie w Internecie.

Roy pokręcił głową.

-Czegoś nie rozumiesz - stwierdził Turk. - Spróbujmy. Na przykład Roy Valois. - Klik, klik. - Widzisz?

Roy spojrzał na ekran.

-Dwanastu tysięcy czterysta dwadzieścia wyników - oznajmił Turk. - Pewno wyświetlają się też inni ludzie o tym samym imieniu i nazwisku, ale i tak niezłe. Po prostu usiłuje ci powiedzieć, że wszyscy i wszystko trafia do Internetu.

-Spróbuj znaleźć Delie - poprosił Roy.

Turk pochylił się nad klawiaturą.

-Delia Stern - powiedział. - A inicjał drugiego imienia?

-Nie używała.

Klik, klik.

Roy się podniósł, stanął za Turkiem i zaczął czytać ponad jego ramieniem.

-Jedna wzmianka - rzucił Turk. Kliknął na link.

-Sądziłbym, że będzie więcej - rzekł Roy.

Na ekranie ukazała się długa lista nazwisk w porządku alfabetycznym. U dołu widniała Delia Stern podkreślona na czerwono.

-Co to? - spytał Roy.

Turk przewinął do góry, pokazał nagłówek. Byli pracownicy, sekcja gospodarcza UNESCO.

-UNESCO? - spytał Roy. - Czy to ONZ?

Turk pokiwał głową.

-Organizacja do spraw oświaty i czegoś jeszcze.

-ONZ?! - wykrzyknął mimo woli Roy. Przeczytał nagłówek jeszcze raz. A potem trzeci, czwarty i piąty. - Przecież to nieprawda.

Niemal bezwiednie odepchnął Turka, przejął myszkę, przewinął ekran w dół.

Delia Stern.

-Dlaczego jej nazwisko jest podkreślone?

-Tak zaznacza wyszukiwarka.

-A dlaczego na czerwono? - zapytał.

-Wybor twórcy programu - wyjaśnił Turk, wstając. Dotknął pleców kolegi. - Roy?

-Tak?

Roy przewinął do góry, żeby jeszcze raz zobaczyć nagłówek.

-Chodźmy na spacer.

-Nawet nie lubiła ONZ. Napisała artykuł na ten temat.

Roy kliknął na strzałkę Wstecz, wrócił do pierwotnego linku.

Jeszcze raz wszedł na stronę, znowu ukazała się lista UNESCO, identyczna z poprzednią. Zaczął przewijać z góry na dół, z dołu do góry...

-Roy?

Wyszli na spacer po parku. Po zawiei wszędzie piętrzyły się puchate białe zaspy śnieżne przypominające jednodniowe bezy.-Masz swojego faworyta? - spytał Turk.

-Faworyta?

-Wśród Neandertalczyków.

Roy spojrzal na Numer Dziewietnascie, kruk odlecial.

-Nie - powiedzial.

-Traktuje go jak starego przyjaciela - wyznal Turk. - Ma takie barczyste ramiona, a przy tym...

Urwał, podniósł wzrok na Numer Dziewietnascie. Roy spojrzal na niego ze zdziwieniem - czy Turk kiedykolwiek rozmawial z nim o jego tworczości, pominawszy kwestie wystaw i honorariów?

-A przy tym - ciagnal Turk - odwraca sie, jak gdyby cos uslyszal, moze cos niepokojacego nawet dla takiego olbrzyma jak on. - Turk dostrzegl mine Roya, opacznie ja zrozumial. - Moze to kwestia szyn, z pewnoscia nie jestem krytykiem sztuki - dodal z zawstydzieniem. - Wiele osob ma podobne wrazenie, czuje z nim wiaz. Ten posag strzeze niejako miasta.

-Nie wiedzialem - rzekl Roy.

Ich oczy sie spotkaly. Slonce, ktore juz swiecilo ostro, dodatkowo wzmocnione przez odbicie od sniegu, oswietlilo siatke drobnych zmarszczek na twarzy Turka. Roy wczesniej ich nie dostrzegal. Wyobrazil sobie Turka na starosc jako poczciwego staruszka z pyzata twarza, ktory niczego nie zaluje. Po chwili tknela go mysl - nie dozyje tego widoku.

-Teraz mi glupio - wyznal Turk - jakbym to ja ponosil wine.

-Ale za co? - spytal Roy.

-Za te historie z nekrologiem - wyjasnil. - Gdybym nie otworzyl jadaczki, teraz nie mialbys tych wszystkich klopotow.

-Nie szalej - zauwazyl Roy. - Nie jestem strusiem i nie wymagam ochrony.

-Wiem - powiedzial Turk. - Ale powinienes teraz dbac o siebie, a nie tracic nerwy... tracic energie na idiotyzmy. Tym bardziej ze to drobne nieporozumienie nie jest funta klakow warte.

-Drobne nieporozumienie? - spytal Roy. Nagle zabraklo mu tchu, z ledwoscia zadal nastepne pytanie. -
Bylbys laskaw powiedziec, co sie tu, wedlug ciebie, dzieje?

Z braku powietrza glos mial teraz piskliwy i skrzypiacy, jakim bedzie mowil albo moglby mowic za czterdziesti lat.

-Zastanow sie - poprosil Turk. - Ktos popelnil blad, cos zle zapisal, a ty wszystko teraz rozdmuchujesz. Pamiec bywa zawodna. Czy to az takie wazne?

-Pamiec bywa zawodna? - powtorzyl Roy. - Co to niby ma znaczc?

-Chodzi o sytuacje sprzed lat - przypomniał Turk.

-Delia pracowala w Instytucie Hobbesa, nie w ONZ - stwierdzil Roy. - Ten instytut istnial. Bylem w srodku. Znajdowala sie tam fontanna.

-Moze nalezal do ONZ - podsunal Turk.

-Byl osrodkiem badawczym.

-Moze finansowala go ONZ?

-Nie.

-W takim razie kto go finansował?

Czy Roy kiedykolwiek to wiedział?

-Prywatni fundatorzy - odparł, ale pewności nie miał.

-Na przykład? - spytał Turk.

-Pytasz o konkretne osoby?

-Tak. Prywatni fundatorzy to konkretni ludzie.

-Nie mam pojęcia - wyznał Roy.

Nigdy nie zastanawiał się nad finansami. Po raz pierwszy dotarło do niego, że konkretni ludzie musieli wyłożyć pieniądze.

Turk się uśmiechnął, jak gdyby myślał podobnie.

-Jestes artysta.

Roy się nie uśmiechnął.

-Dlatego miałbym się nie angażować? Tak brzmi twoja rada?

-Chcę powiedzieć, że nie ma się chyba w co angażować - wyjaśnił Turk. - Jeżeli doktor Chu się sprawdzi, jeśli jego terapia zda egzamin, będziesz miał mnóstwo czasu na swoje śledztwo. Ale na razie zajmij się sobą. Radzę ci to jako twój adwokat i przyjaciel. - Spojrzał na rękę Roya. - A skoro mowa o bramce dla Stringów, musimy cię znowu sciągnąć na lod. Jak twoja ręka?

-Dobrze. - Przez cały czas utrzymywał się tępy ból. Roy wciąż wazył w myślach swoje szanse. Jeżeli koktajl zadziała, ma przed sobą lata życia. Gdzie tu słaby punkt? - A co ze Skippym?

-Dostanie najlepszą obronę - zapewnił go Turk. - Masz to u mnie gratis.

-Na czym będzie polegała linia obrony?

-Nie ma powodu, żeby nie wykorzystać tego pomysłu z włamaniem, fałszywa agentka ubezpieczeniowa, wyciągnięciem chłopaka z domu - stwierdził Turk. - Tylko zatuszujemy... wszystkie niejasności.

Czyli nie było miejsca na słabe punkty.

Roy wrócił do domu. Skippy krztał się w dużym pomieszczeniu, zmiatał podłogę. Słońce wpadało przez okna, oświetlało wzbijany przez niego kurz. Drobiny wirowały wokół Delii, która wyglądała w ich roju, jak gdyby obracała się z wolna po orbicie. Kiedy człowiek pozna wszystko od podszewki, szybko przestaje go to bawić. Czy kiedykolwiek Delia powiedziała mu coś takiego? Roy miał dziwne uczucie, że sam też jest w ruchu. Pomyślał o ciemnej stronie księżyca.

Rozdział 16

Leżeli w schronisku. Delia i Roy zajmowali jedną z górnych pryczy. W powietrzu unosił się zatechły, ciężki, nieco dziwny zapach, może od tego tłoku, bo było ich osmioro albo dziewięcioro, a wszyscy spali blisko siebie na tak małej przestrzeni. Roy wsunął rękę pod włosy Delii, drugą położył na jej piersi. -Zadnych szaleństw, kolego - szepnęła mu do ucha.

Ale nakłoniła go, żeby zostawił rękę. Chociaż nie wykonała żadnego gestu, nie powiedziała słowa. Czyli jak? Nie musiała nic mówić. Roy wiedział.

Burza zawodziła w drzewach na wysoką nutę. Ogień trząskał w kominku. Wokół słychać było oddechy, a to lekkie, a to dyszące, jak gdyby schronisko miało płuca. Roy spał smacznie jak nigdy, dosłownie jak niemowlę, zatopiony w mlecznym śnie bez marzeń sennych.

Rano wciąż jeszcze padalo, choc juz slabiej. Wszyscy obudzili sie w radosnych nastrojach, ale odrobine stropieni. Wlozyli narty lub rakiety sniezne i niewiele mowiac, wyszli. Roy i Delia opuscili schronisko ostatni. Delia potoczyla wzrokiem po dolinie, caly swiat az po horyzont pokryl sie biela. Snieg zaokraglil wszystko - cedry, swierki, szalas. Wziela Roya za reke, mocno scisnela.

-Spotkajmy sie tutaj - poprosila. - Gdyby cokolwiek sie stalo, spotkaj sie ze mna tutaj.

-Na przyklad co? - zapytal.

-Cos zlego.

-Nic zlego sie nie...

-Gdybysmy sie rozdzielili, gdybys mnie nie mogl znalezc.

-Co ty wygadujesz?

-Roy, ja mowie powaznie - powiedziala. Z wszechobecnej bieli przebijaly jej ciemne oczy, skupione teraz na nim. - Spotkajmy sie tutaj.

Obudzil sie. Ranek w pokoju, chociaz swiatlo stracilo juz swoja swiezosc. Za kwadrans dziesiata? Na razie zajmij sie soba. Ale nie chcial przesytiac dnia, wolal codziennie cieszyc sie swiatlem o swicie, jesli tak wolno rzec, nietkniety. Wstal, poszedl do kuchni. Na gazie perkotala kawa, obok lezala kartka. Czesc, Roy. Wezwal mnie pan McKenny. Wroce pozniej.

I dzwonil jakis Krishna.

Roy otworzyl lodowke, niewiele w niej znalazl. Czy byl glodny? Nie. Ale wyszedl. Wsiadl do polciezarowki i pojechal do sklepu spozywczego Russo.

-Mam dzis ladny befszyk z poledwicy - przywital go Dickie Russo, sam w sklepie.

-Wezme dwa.

-Jak tam reka?

Dickie gral w Mieczech D, byl chyba najpoteczniejszym zawodnikiem w lidze. Na lodzie ujawniala sie jego agresja; gdyby nacieral cialem, moglby napiedzic nie lada strachu.

-Goi sie - powiedzial Roy.

-Omal wczoraj nie zdobyłem bramki - pochwalil sie Dickie.

-Tak dobrze szło ci szlajanie się po barach? - spytał Roy.

-Bardzo śmieszne.

Dickie nigdy nie wbijał krawka do bramki, potężny facet, który słabo strzelał. Zapakował befsztyki w pergamin. Roy obszedł sklep, załadował wózek tuczaczami artykułami.

-Polecam pomidory. Naprawdę smakuje jak pomidory - zachęcił go Dickie.

Roy zapakował je do torby. Przeszedł do jabłek, wziął pół tuzina mekintoszy, dotarł do ananasów. Z boku miały okrągłe nalepki z uśmiechniętym słońcem i palmą. A na opasce napis: Produkt z Wenezueli. Roy stanął jak wryty. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że przedsięwzięcie Delii odniosło sukces.

-Sprowadzasz ananasy z Wenezueli? - zapytał.

-O tej porze roku są równie słodkie jak nasze z Hawajów, a znacznie tańsze - wyjaśnił Dickie.

-Kiedy zacząłeś?

-Co kiedy zacząłem?

-Kupować ananasy z Wenezueli.

Dickie wzruszył ramionami.

-Odkąd pamiętam.

-Od dziesięciu lat? - spytał Roy, próbując obliczyć, jak długo może trwać założenie plantacji i jej rozwój.

-Oj, dłużej - powiedział Dickie. - Sprowadzaliśmy je, jeszcze kiedy tata prowadził sklep, a ja pracowałem tylko w weekendy.

-Jak dawno temu to było?

-Cholera, nie pamiętam - stwierdził Dickie. - Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu, może więcej. Wenezuela jest i zawsze była dużym producentem ananasów. Spróbuj jednego na koszt firmy.

Ponieważ Skippy jeszcze nie wrócił, Roy sam zjadł w kuchni z pudełka podwójne lody czekoladowe z kawałkami czekolady. Rozplywały się na języku, ale smak miały dziwny, miedziany. Wmusił w siebie dziesięć łyżek, jakby to było lekarstwo. Wokół cisza jak makiem zasiał, tylko odgłos jedzenia. Czas zwolnił tempo, co nie było takie złe. Na razie zajmij się sobą. Na zdrowy rozum trudno z tym dyskutować. Dlaczego zatem czuł się tak nieswojo? Bo zajmowanie się sobą oznaczało samolubność i bierność, jakby... Właśnie, jakby był kaleka. Owszem, przyplatała mu się choroba, ale nie był kaleka. To po pierwsze. Po wtóre, problem Delii nie zniknął. Wreć się rozrastał, bo teraz zahaczył o uprawę ananasów, z powodu której Delia pojechała do Wenezueli. Roy odstawił pudełko lodów do zamrażalnika i przeszedł do dużego pomieszczenia. Zadarł głowę, spojrzał na smigła helikoptera w Delii. Wróciły myśli, które nie

nachodzily go od lat, mysli o tym, jak Delia z twarza w oknie spada korkociagiem na ziemie, a zielona dzungla blyskawicznie sie zbliza.

Fakt - zawiadomil go telefonicznie Tom Parish. Nic tego nie moglo zmienic.

Fakt - Tom Parish rowniez przyjechal karawanem, ktorym przywieziono trumne z Waszyngtonu na stary cmentarz przy kosciele kongregacjonalistow.

Fakt - Roy znal Delie jak nikt inny.

Fakt - gitarzysta nad grobem zagrał "For All We Know".

Zszedl do magazynu w piwnicy, gdzie jeszcze po smierci Delii przez kilka lat trzymal jej rzeczy - ubrania, dokumenty, stopy butow - az wreszcie zmusil sie, zeby wszystko wyrzucic. Rzeczy nadajace sie do uzycia przekazal Armii Zbawienia. Papiery - referaty ze studiow, sprawozdania z pracy, dokumenty finansowe - spalil w kominku w prywatnej ceremonii, ktora sobie narzucil. Byly wsrod nich zielone dowody wyplat. Pamietal, jak brazowialy na brzegach i zwijaly sie w plomieniach. Nie pamietal natomiast, bo chyba nigdy nie zauwazyl, nadruku w rubryce platnika. Musial tam jednak widniec Instytut Hobbesa. Gdyby zachowal choc jeden, mialby teraz dowod dla sierzanta Bettisa. I czy dowody wplat mialy numer banku albo inne dane identyfikacyjne? Idz sladem pieniedzy, jak brzmi powiedzenie w wielu kryminalach. A co wlasnie uslyszal od Turka? Za prywatnymi srodkami stoja konkretni ludzie.

Przy ścianach piwnicznego magazynu z obu stron stały prymitywne regaly. Na polkach jednego leżały stare graty. Regaly z drugiej strony świeciły pustkami. A może chociaż jeden dowód wypłaty wypadł z pudełka i gdzieś tu się zawieruszył? Pod sufitem wpadało światło z okienka przy ziemi. Roy na czworakach sprawdził zakurzona betonowa posadzkę. Zajrzał pod dolną półkę, ale zobaczył tam tylko kleby kurzu, przejechał ręką w nadziei, że wymaca jakiś zmięty papier. Na próżno.

Kucnął, już chciał wstać. Przez chwilę nie mógł się dźwignąć, jak gdyby nagle uszła z niego cała energia. I wtedy zauważył ślad buta w kurzu. Nie jego, bo przyszedł tu boso, zresztą był to wyraźnie odcisk damskiego buta, a właściwie dwa oddzielne ślady, mały kwadratowy obcas i większy, owalny, dużego palca u nogi. Musiała tu myszkować Lenore.

-Niech to szlag! - zaklął na głos.

Mysł o jej wtargnięciu i jego bezradności doprowadzała go do szalu. Zerwał się targany większym gniewem niż kiedykolwiek, skierowanym na Lenore za to, że zrobiła Skippy'ego i obszukała dom, może nawet znalazła i ukradła dowód, dzięki któremu sierżant Bettis oraz cały świat uwierzyłoby w jego, Roya, wersję. A on tymczasem wylegiwał się w szpitalnym łóżku.

I co teraz? Znowu usłyszał głos Delii, ale efekt nie był tak kojący jak w pokoju feng shui.

-Przydałaby mi się twoja pomoc - rzekł.

Usłyszał chrzest śniegu na dworze. Spojrzał do góry w okno pod sufitem. Ktoś przeszedł. Roy zobaczył jedynie, że ten ktoś ma na sobie czarne futro z norek.

-Mam dobra wiadomosc - przywital Krishna Roya, gdy ten otworzyl mu drzwi. Limuzyna stala z włączonym silnikiem na podjezdzie, w zimnym powietrzu buchaly spaliny. - Ojej, co ci sie stalo w reke?- Od hokeja - wyjasnil.

-Nie mow, ze wciaz grasz od hokeja.

-Mowi sie "grac w hokeja" - poprawil go Roy.

-Co cie dzis ugryzlo? - Krishna przyrzal mu sie bacznie. - Dobrze sie czujesz?

-Dobrze - potwierdzil Roy.

-Czy ty ostatnio troche nie schudles?

-Nieznacznie - powiedzial Roy. - Cwicze przed powrotem na lod.

Krishna pokiwal glowa.

-Wszystko sie razem sklada - zauwazyl.

-Co takiego?

-Tezyzna fizyczna - wyjasnil Krishna - dobrze wpływa na twoja tworczość.

Roy sie zamyslil.

-Zimno na dworze. Nie zaprosisz mnie do srodka? - spytal Krishna.

-Oczywiscie. Przepraszam.

Weszli do kuchni.

-Nie dotarla do ciebie moja wiadomosc? - spytal Krishna. - Zebys do mnie zajrzal w drodze do Stowe?

Roy spojrzal na karteczke od Skippy'ego.

Czesc, Roy. Wezwal mnie pan McKenny. Wroce pozniej.

I dzwonil jakis Krishna.

-Dlaczego sie usmiechasz? - spytal Krishna.

-A, nic - zbyl go Roy. - Kawy?

-Chetnie - powiedział Krishna. - Nie ciekawia cie moje wieści?

-Zamieniam sie w sluch - odrzekł Roy.

Krishna wziął Roya za reke i zaprowadził do dużego pokoju. Stanął przed Delia.

-Moj Boże! - zawołał. - Jest jeszcze wspanialsza, niż zapamiętałem. Zapiera dech w piersiach.

-Dziękuję.

-Mam świetne wieści, bo znalazłem kupca. I to jakiego! I to za jaką cenę! Widząc tylko zdjęcia, zaproponował... jesteś gotów usłyszeć ile?

-Pewnie nie - odparł Roy.

Krishna się roześmiał, klepnął Roya w plecy. Niezbyt mocno, bo był drobnej postury, ale i tak zabolalo.

-Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Czwierć miliona.

-No, no.

-No, no? - zdziwił się Krishna. - I tyle? Dwa razy więcej niż kiedykolwiek wzięliśmy.

-Po prostu jestem zdumiony - stwierdził Roy. Skłamał, ale nie chciał psuć Krishnie zabawy. - To fantastycznie.

-Fantastycznie, cudownie, wspaniale - entuzjazmował się Krishna. Wziął Roya za rękę. - Moje gratulacje. Zasluguje na to co do centa. Stworzył niezrównane dzieło. Według mnie wkroczył na nowy poziom.

Roy spojrział na Delię - niemal za każdym razem widział kolejną wadę, co bynajmniej nie oznaczało, że Krishna mylił się w kwestii nowego poziomu. Sam natomiast się cieszył, że je dostrzega.

-Co to za kupiec? - spytał.

-I to jest najpiękniejsze - powiedział Krishna. - Jak gdyby ta okrągła suma nie była wystarczająco piękna. Chce to kupić Calvin Truesdale.

-Nigdy o nim nie słyszałem.

-Jak to? Calvin Truesdale, właściciel rancza Truesdale'a.

Roy pokręcił głową.

-Ma ranczo podobne do rancza Kinga, tyle że większe - dodał Krishna.

-Hoduje bydło? - spytał Roy.

-Najwyraźniej - odparł Krishna. - Poza tym jest właścicielem dwudziestu procent szybów naftowych nad Zatoką Meksykańską, kilkuset radiostacji, ma pakiet kontrolny w firmie teksaskich półprzewodników i Bog wie czego jeszcze. Dla nas najważniejsze, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat zainteresował się sztuką. Już zgromadził największą prywatną kolekcję Giacomettiego w kraju, a w kwietniu kupił Siedzącego Zole Rodina za czternacie i pół miliona dolarów. Nieraz próbowałem skontaktować się z jego ludźmi w sprawie niektórych dzieł, chociażby Tancerki Degasa, która miałem dwa lata temu, ale bezskutecznie. I wiesz, co się stało?

-Co? - spytał Roy.

-Wczoraj rano tak po prostu wszedł do mojej galerii.

-Kto?

-Calvin Truesdale - odpowiedział Krishna. - Roy, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Roy pokiwał głową. Kiedy słyszał te nazwiska - Giacometti, Rodin, Degas - nawet wymieniane bez większego z nim związku, czuł się nieswojo.

-Pokazałem mu kilka rzeczy. Od razu kupił małego Matisse'a z wystawy. Wyszedł z nim pod pachę. Następnie przejrzałem z nim katalog, w którym zauważył twoje dzieło. - Krishna wskazał Delie. - I zachwycił się.

-Jak?

-Pytasz, jak się zachwycił?

-Tak.

Roy usiłował sobie wyobrazić kowboja w snobistycznej galerii sztuki Krishny w Tribeca skaczącego z radości, i miał z tym pewne kłopoty.

Krishna wzruszył ramionami.

-Wykrzykiwał, że dzieło jest wspaniałe i niesamowite, zasypał mnie pytaniami, między innymi na temat rozmiarów i materiału, no i rzecz jasna wypytywał o ciebie. Chciałby przyjechać i je obejrzeć. Zaproponował uprzejmie, że się do ciebie dostosuje, ale podtrzymuje ofertę, nawet bez obejrzenia osobiście, co zagwarantował czekiem na dziesięć procent sumy.

Krishnie nie schodził uśmiech z twarzy, a przecież zawsze miał radosną minę.

-Zastanów się - obiecał Roy.

Uśmiech przybladł, marszandowi zrzedła mina.

-Ale dlaczego? - spytał. - Nad czym się tu zastanawiasz?

-Po prostu nie wiem, czy chce...

-Czy coś chcesz?

-Z nią się teraz rozstawać.

Krishna spojrzał na rękę Roya w gipsie, potem na twarz.

-Zartujesz?

-Niby dlaczego miałbym zartować?

-Może żeby podbić cenę? - powiedział Krishna. - Żeby utrudnić zdobycie pracy.

-Dlaczego miałbym cię zwodzić? - spytał Roy. - Cena już i tak jest zawyżona, i to znacznie.

-Ciii - uciszył go Krishna.

Roy się roześmiał. Krishna też, ale nie tak serdecznie.

-Dobrze, zastanów się - rzekł. - Ja rozumiem. Matka też nie lubi się rozstawać z dzieckiem. Tyle że możesz splodzić takich dzieł znacznie więcej. Ale pamiętaj o przestrodze Picassa.

-Jakiej?

-Żebyś się nie stał kolekcjonerem własnej sztuki.

Porazająca mądrość, która natychmiast zmieniała sposób myślenia człowieka, co zdarzało się nadzwyczaj rzadko. Roy pojął w lot, że od Picassa naprawdę dzieli go dalekie horyzonty.

Pili kawę przy blacie kuchennym, siedząc na taboretach.-Kierowca się nie napije? - spytał Roy.

Krishna zbył go machnięciem ręki.

-Zastanowiłeś się już?

Roy znów się roześmiał.

Krishna napił się kawy.

-Jak sobie życzysz - powiedział - ale wiedz jedno.

-Co takiego?

-Że Delia byłaby wniebowzięta.

Roy spojrzał na Krishnę. Już miał mu powiedzieć wszystko, począwszy od tego, jak obecnie mało znaczy dla niego ćwierć miliona dolarów i jak bardzo możliwe jest, że jego płodne dni są policzone. Wtedy przyszło mu do głowy coś innego.

-Pamiętasz Toma Parisha?

-Jak przez mgłę - odparł Krishna.

-Owczesny szef Delii. Przemawiał na jej pogrzebie.

-Byłem wtedy w Rzymie.

Roy pamiętał.

-Do dzisiaj wyrzucam sobie, że nie mogłem...

-Niepotrzebnie.

-I co z tym szefem Delii? - spytał Krishna.

-Chciałbym go odnaleźć.

-Po co?

-Muszę z nim pogadać.

Krishna spojrzał w głąb dużego pomieszczenia na Delii. Roy już sobie wyobrażał, jak wymyśli jakieś artystyczne wyjaśnienie.

-Skontaktuj się z tym jak-mu-tam - zaproponował Krishna.

-To znaczy z kim?

-Z facetem, który tam pracował - powiedział Krishna. - To była agencja państwowa, prawda? Delia przysłała go do mnie.

-Kogo do ciebie przysłała?

-Swojego współpracownika, który interesował się mozaikami z okresu mauretanskiego, a ja miałem wtedy bodajże marokańskie misy w zasięgu jego możliwości finansowych.

Roy zerwał się na równe nogi.

-Jak on się nazywał?

Krishna się wystraszył.

-To aż takie ważne?

Roy usiłował zatuszować starcze drzenie w głosie, uspokoił się.

-Podaj mi jego nazwisko.

Krishna zamknął oczy.

-Miał taką ekscentryczną zbitkę imienia z nazwiskiem - powiedział.

-Jak to?

-Wielokulturowa. - Krishna otworzył oczy. - Na imię miał Paul, na nazwisko Habib.

-Sprzedajes misy Paulowi Habibowi?

-Nie była zbyt cenna - powiedział Krishna. - Zarobiłem na niej tylko półtora tysiąca dolarów, najwyżej dwa. Inna sprawa, że to był niezły ruch, bo ten Habib kupił ją wiele lat temu, a od tamtej pory ceny wyraźnie poszły w górę. Po prostu usiłuję ci powiedzieć, że mam zamiary na niego w biurze. Mogą być nieaktualne, ale czy to wiadomo?

-Mogłbyś do niego zadzwonić teraz?

-Teraz?

-Zadzwoń do swojego biura. Niech ktoś ci odszuka dane.

-Roy, dziś jest piątek. W piątki mam zamknięte. - Spojrzał jeszcze raz na Roya, coś go tknęło. Wyjął telefon. - Philip? - powiedział do słuchawki. - Jak odbierzesz tę wiadomość, jedź do biura, otwórz archiwum i znajdź zamiary na Paula Habiba. Paul Habib. I oddzwon.

-Dzięki - rzucił Roy.

-Nie ma za co - powiedział Krishna, dopijając kawę. - Namysliłeś się?

Limuzyna Krishny cofnela sie z dlugiego, polksiezycowego zaułka, wyjechala zgrabnie na ulice i znikla. Starsza pani na spacerze z psem odwrocila sie i odprowadzila ja wzrokiem. Dwiescie piecdziesiat tysiecy - majatek dla czlowieka, ktory wychowal sie w tak zapyzialym miasteczku jak North Grafton w stanie Maine. Nie mogl nawet marzyc o takiej fortunie wyplaconej od razu. I oto znalazla sie w jego zasiegu, wystarczylo, zeby powiedzial "tak".

Roy zadzwonil do mamy.

-Jak miło, że dzwonisz!

-Wszystko w porządku, mamo?

-Super - powiedziała. - Nie mogłoby być lepiej. Matka Roya nie należała do tych ludzi polnocy, którzy przeprowadzili się na Florydę, choćby tylko na zime, tęsknią za domem. Uwielbiała Florydę... mały apartamentik kupiony przez Roya i minicoopera, którego sama wybrała w salonie, dokąd ją zabrał. Pierwszy raz w życiu miała nowy samochód. Lubiła też nowe grono przyjaciół, wspólne gry w karty i lekcje tańca. - Wiesz, jaka teraz u nas jest temperatura?

Lepiej niż zimą.

-Dwadzieścia stopni? - zapytał.

-Zartujesz?! - zawołała. - Brrr. Dwadzieścia siedem. A właśnie patrzę na termometr. Wiesz, o którym mówię, o tym na balkonie.

-Wiem, mamo.

-Hen na horyzoncie widze frachtowiec, chyba czerwony.

-To fantastycznie.

-Moj wlasny widok za milion dolarow - pochwalila sie. - A co u ciebie?

-Niezle.

-Dobrze ci idzie sprzedaz?

-O tak - potwierdzil i usmiechnal sie do siebie. Wiedzial, ze w glebi duszy mama boi sie, czy raj na Florydzie nie prysnie jak banka mydlana. - Nie mam z tym zadnych klopotow.

-Milo slyszec. - Zamilkla na chwile. - W takim razie masz z czyms innym klopot?

-Nie, nie - zaprzeczyl Roy. - Chcialem sie tylko pochwalic, ze interesy ida wyjatkowo dobrze.

-To swietnie - pogratulowala mama. - Sprzedales cos ostatnio? Jezeli nie uznasz, ze wsciubiam za bardzo nos...

-Wyobraz sobie, ze wlasnie dostalem najlepsza oferte w zyciu - powiedzial.

-To znaczy ile?

-Duzo.

-Teraz już przede mną nie ukrywaj.

-Przyrzeknij, że nikomu nie powiesz.

-Słowo honoru.

Wymienił kwotę.

-Boże! - zawołała. - Kto przy zdrowych...

Ugryzła się w język.

-Kto przy zdrowych zmysłach co? - zapytał rozbawiony Roy.

-Wiesz, że uwielbiam twoją pracę za ten jej rozmach. Zastanawiam się tylko, kto ma tyle pieniędzy.

-Właściciel rancza w Teksasie - powiedział Roy.

-Jak się nazywa?

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć.

-Truesdale - powiedział w końcu. - Clifton Truesdale.

-Chciales powiedziec Calvin Truesdale? - spytala.

-Tak, chyba tak - poprawil sie. - Slyszalas o nim?

-Czy slyszalam? Ty nie czytasz gazet? Chyba w zeszlym tygodniu w "People" pisali, ze polowal z prezydentem na swoim ranczu na ptaki. Podobno sie przyjaznia.

-Z jakim prezydentem?

-Na milosc boska, z prezydentem Stanow Zjednoczonych - rzucila zniecierpliwiona mama. - Tez go chyba raz spotkales.

-Kogo?

-Nie kpj sobie. Prezydenta, Roy, prezydenta Stanow Zjednoczonych.

-Powiedzmy - stwierdzil.

-Jak mozna "powiedzmy" kogos spotkac?

-Wtedy byl jeszcze wiceprezydentem - wyjasnil Roy. - Uscisnal mi tylko reke.

-Uscisk reki prezydenta to nie byle co, synu. Nie doceniasz, co ci sie przytrafilo.

-Mnie takie rzeczy nie ruszaja, mammo.

-A mnie ruszaja - oznajmila mama i zmienila temat. - Co u Jen?

-Dobrze.

-Wciaz uczy jazdy na nartach?

-Tak.

-Przeziebiles sie? - spytala juz innym tonem.

-Nie.

-Ale dobrze sie czujesz? Bo masz taka chrype.

-Dobrze - odparl. - Musze konczyc. Niedlugo sie odezwe.

-Pa, synku. Kocham cie.

Klik.

Odchrzaknal. Scislej rzecz biorac, wykonal cala serie dzwiekow i ruchow gardla, jakie wykonuje sie przy chrzakaniu, ale bez pozadanego skutku.

Stanal przed Delia. Choc juz nie wirowal dookola niej kurz, w dalszym ciagu wygladala, jakby sie krecila; moze nieswiadomie stworzyl zludzenie ruchu. Namysliles sie? Nie potrzebował pieniędzy, nie chciał jej sprzedawac. Ani teraz, ani nigdy. Ogarnela go dziwna, wrecz obrzydliwa chec, zeby wykopac wielki dol i pochowac Delie w ziemi obok siebie. Przypomnial sobie jednak o Skippym. Za dwiescie piecdziesiat tysiecy dolarow chlopak moglby wyjechac, urzadzic sie. Moglby skonczyc szkole srednia, pojsc do college'u, miec zabezpieczenie. Byle tylko zdolali obalic falszywy zarzut nielegalnego posiadania broni. Roy podszedl do okna. Ani sladu Skippy'ego. Wracala starsza pani ze spaceru z pieskiem w zgrabnym ubranku w kratke. Sama byla w wiatrem podszytym paletku, polatanym na lokciach, z wystajaca z tylu wiskozowa podszewka.

Na drzwiach do skladziku z miotlami wisial kalendarz: LEGENDY HOKEJA. Roy przekartkowal miesiace - Bobby On frunie w powietrzu, Gordie Howe jedna reka powstrzymuje obronce, a druga strzela, Guy LaFleur z wlosami do ramion, Glenn Hall bez maski na twarzy w bramce, Boom Boom Geoffrion sklada sie do strzalu z rozmachem, az do zamykajacego rok Rocketa Richarda z plomiennymi, hipnotyzujacymi oczami, jak gdyby buzowal w nim ogien. Roy wiedzial, jaka frajde sprawi mu grudzien, trzydziesci jeden dni z Rocketem. Byle dozyc.

Jego obowiazki sprowadzaly sie do odpoczynku, diety i cwiczen. Wszystko inne pozostawalo w rekach doktora Chu. Poszedl na gore, wyjal stroj sportowy - adidasy, bluze, suspensorium, biale bawelniane skarpetki, podkoszulke Stringow z dluga lista okreslen wydrukowana na plecach: zahaczanie, uderzanie kijem, atak lokciem, wrzucenie na bande, klucie kijem, spowodowanie upadku przeciwnika, trzymanie przeciwnika, nadmierna ostrosc w grze, niebezpieczna gra wysoko uniesionym kijem, niedozwolony udzial w grze, podcinanie, niesportowe zachowanie, a przy kazdym odhaczony ptaszkiem kwadracik. Pod spodem napis: KROLOWIE LAWKI KAR.

Roy usiadl na lozku, zdjal buty.

-Nienawidze hokeja - oznajmila Delia. - Ale wiesz, co jest najgorsze?-Co?

-Jak wy wszyscy cuchniecie. Nikt nie pierze ciuchow? Kiedy staje za lawka, smrod rozchodzi sie falami, omal mnie nie zwala z nog.

-To nie stawaj za lawka.

-Ale stamtad najlepiej widac gre.

Mknął po tafli, nieledwie frunął, muskając tylko lod. Osiągał prędkość nieznana nawet LaFleurowi, Kharmalovowi lub Perraultowi u szczytu kariery, a krząkał jak po niewidzialnym sznurku. Co ciekawsze, w ogóle go nie zatykało, wystarczyło, że raz na jakiś czas nabierał głęboko powietrza, które czuł w płucach tak wyraźnie, jak gdyby pochodziło z planety o bogatszej mieszance. I wtedy usłyszał syrenę, koniec meczu. Otworzył oczy. To dzwonił telefon. Po pokoju przesuwały się mroczne cienie. Leżał na łóżku, obok piętrzył się stos jego sklebionych ubrań do ćwiczeń.

Sięgnął po słuchawkę, upuścił ją na podłogę, wymacał ręką. Z oddali dobiegł go cichy głos.

-Roy, jesteś? Panie Valois?

Znalazł telefon.

-Skippy?

-To ty, Roy?

Odchrząknął.

-Tak. Skippy, co się stało?

-Mogłbyś tu przyjechać? - zapytał Skippy. - Jak najprędzej, najlepiej zaraz. - Mówił podekscytowanym głosem, ale cicho. - Znalazłem ją.

-Kogo?

-Te kobiety, Roy, ale musisz się pośpieszyć.

-Jaka kobiety?

-Oj, no wiesz która. Widzę ją teraz.

-Jaka kobiety?

-Te, która wdarła się do twojego domu.

-Która narysowałaś? Która cię zrobiła?

-Tak! Widzę ją, ale słabo. Jest z facetem, potężnym gościem...

-Skippy, gdzie ty jesteś?

-Aha. Musze...

Klik.

Sprawdził, czy w pamięci telefonu pozostał numer Skippy'ego. Owszem. Zadzwoił.

-Jol. Tu Skipster. Zostaw wiadomość albo nie. Wedle uznania. No to nara.

-Skippy, odbierz!

Ale nie odebrał.

Roy zbiegł po schodach, w pedzie włożył wysokie buty, wskoczył do polciezarowki. Na podjeździe poslizgnął się prawą nogą na szklistej koleinie. Był dobrym lyżwiarzem i niezłym narciarzem, szybko łapał równowagę, dlatego rzadko padał na lodowisku albo na stokach, a jeśli już, nie były to ciężkie upadki. Teraz jednak upadł, wylądował częściowo na twarzy, ale głównie na złamanej ręce, z bolesnym skutkiem. Z piersi wyrwał mu się niekontrolowany krzyk bólu. Zabrzmiało mu w uszach zupełnie jak głos kogoś obcego.

Leżał na podjeździe. Ból w ręce znalazł sobie drogę, żeby rozlać się po całym ciele. Stary, weź się w garść. Co z ciebie za facet?

Wyciągnął zdrową rękę, wymacał stopień z tyłu furgonetki, podciągnął się. Z góry dobiegł go miarowy warkot. Przerazający dźwięk. Odwrócił się, spojrzał w niebo, zobaczył przelatujący helikopter. Zwykle, biały z zielonym napisem: Transport Vrai na boku. Ani straszny, ani ciekawy. Stary, weź się w garść. Roy podciągnął się wyżej do przysiadu, wstał. Wsiadł do samochodu i odjechał. Dyszał i płytko łapał powietrze, ale odzyskał panowanie nad sobą, wziął się w garść.

Gdzie jest Skippy? Roy nie miał pojęcia, ale nie mógł być daleko, skoro jego wóz stał na parkingu policyjnym. Skreślił w Main Street, przejechał wolno trzy przecznice, rozglądając się na boki. Ani śladu Skippy'ego, a mrok szybko zapadał. Roy objechał park i wrócił inną drogą na Main Street. Zatrzymał się przed Dunkin' Donuts, wszedł do środka.

Za gablotką stała piętnasto- może szesnastoletnia dziewczyna i wbijała patyczek z tabliczką "Na sprzedaż" w posypany cukrem pudrem paczek.

-Przepraszam, znasz Skippy'ego Bedarda? - zapytał.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczył przerazenie w jej oczach.

-Co jest? Cos mu sie stalo?

-Ma pan zakrwawiona twarz - wyjasnila.

Dotknal policzka, obejrzał sobie reke - czerwona.

-Nic mi nie jest - zapewnil ja. - Znasz Skippy'ego?

Pokiwała energicznie glowa, ale w oczach miała strach.

-Byl tutaj?

Znow pokiwała.

-Kiedy?

Spojrzała na zegarek na pulchnej rece, a potem na zegar scienny.

-Kiedy?! - Tym razem bezwiednie krzyknal. Czyzby ja wystraszył? Sciszył glos. - W przyblizeniu.

-W przyblizeniu - powiedziała wolno, cedzac slowa, jak gdyby dopiero teraz zrozumiała - jakies dwie godziny temu. Kupil czekoladowego paczka z posypka.

-Sam czy z kims?

Pokrecila glowa.

-Nie towarzyszyła mu wysoka Mulatka po czterdziestce? Albo mlodszy, potezny mezczyzna?

Snul tylko domysly, ale na wszelki wypadek opisal Westiego.

-Nie - zaprzeczyla dziewczyna. - Skippy byl sam. Ale wie pan co?

-Co?

-Widzialam taka wysoka Mulatke.

Pokazala za okno.

-Kiedy?

-Nie jestem pewna, ale Skippy tu jeszcze byl. Gadalismy, bo oboje bralismy udzial w programie Swiatowa geografia, zanim nie wylecial. Bo on naprawde jest bardzo inteligentny, to jeden z najmadrzejszych chlopakow...

-Powiesz mi cos o tej kobiecie?

Dziewczyna wskazala za okno.

-Przechodzila tedy, moze szla do samochodu?

-I co?

-I co? I nic. Znikla mi z pola widzenia. Proszę spojrzec stad, zza lady. Moze gdybym sie przesunela, to...

-Czy Skippy skomentowal?

-Nie.

-Zrobil cos?

-Nic specjalnego. Zaraz potem wyszedl.

-Po jakim czasie?

Wzniosla oczy do nieba.

-Chyba od razu. - Wskazala na stoliku pod oknem nadgryzionego paczka w czekoladzie z posypka. - Teraz sobie przypominam, ze to jego paczek. Sadzilam, ze po niego wroci.

-W ktora strone ta kobieta poszla? - spytal.

Dziewczyna machnela reka w prawo, w kierunku parku. Roy wybiegl do drzwi, w progu przystanal.

-Do jakiego samochodu wsiadla?

-W ogóle nie pamiętam, czy wsiadła. Ale teraz przypominam sobie, że była spoko. A tu niedaleko stała zaparkowana taka spoko bryka.

-Jaka to jest spoko?

-Z kapitalną opływową sylwetką - powiedziała dziewczyna, pokazując opływowe kształty. - Chyba porsche. Wymawia się "e" na końcu? Srebrny wóz.

Roy otworzył drzwi.

-Czy Skippy znów się w coś wplątał? - zapytała. - Bo to chłopak super, jeden z najfajniejszych w naszym durnym mieście.

Na Main Street nie było ani Skippy'ego, ani srebrnego porsche. Roy już wsiadł do polciezarówki, kiedy w barze hamburgerów Raj Normiego po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi i wyszedł Normie Sawchuck z grubym cygarem w ustach.-Normie! - krzyknął Roy.

-Czesc, Roy. - Normie pomachal mu, przepuscil busik z narciarzami, przeszedl przez ulice. - Co u ciebie? Slyszałem, ze wycofales sie z hokeja.

-Czasowo - odparl Roy.

Normie przyjrzał mu sie uwazniej.

-Co z twoja twarza?

-Nic. - Roy go zbyl. - Potknałem sie i upadłem. Widziałes porsche zaparkowane tu kilka godzin temu?

-Nie - powiedzial Normie. - Ale bylem na gorze... - Normie, znany kobieciarz w miescie, w ktorym podobnych typow nie brakowalo, zmierzyl Roya chytrze wzrokiem. - Wskoczylem odebrac grupe, przed chwila wrocilem.

Roy usiadl za kierownica, juz zamykal drzwiczki.

-Koniecznie pojdz do lekarza, zeby opatrzył ci te obrazenia - poradził Normie.

-Pozniej.

Normiego jakby cos tknelo.

-Czy to porsche moze bylo srebrne?

-Dlaczego pytasz?

-Bo kiedy zjeżdzałem, widziałem jedno srebrne smigające pod górę.

Jechał górską drogą. W wyższych partiach łśniły ostatnie promienie, oświetlając niedziałające już wyciągi krzeselkowe. Wszystko inne spowijał mrok. Narciarze zjechali ze stoków, ale w barach i restauracjach u podnóża góry paliły się światła, a jedna czwarta miejsc na parkingu była zajęta. Roy przejechał między rzędami. Mijał różne samochody i polciezarówki, na próżno wyglądając porsche. Spróbował ponownie zadzwonić do Skippy'ego.-Jol. Tu Skipster. Zostaw wiadomość albo nie. Według uznania. No to nara.

Roy wrócił tą samą drogą, ale u podnóża zamiast skręcić w stronę miasta, pojechał w głąb doliny i zatrzymał się pod domem Murpha. Zastąpił go siedzącego samotnie w kantorku - nalewał sobie jacka danielsa do papierowego kubka.

-Roy! - zawołał Murph. - Co ci się stało?

-Nic - odparł Roy. - Widziałes Skippy'ego?

-Co znowu nabroił? - spytał Murph.

Może gdyby ból w ręce nie uznał za stosowne właśnie wtedy przeszyć Roya na wylot, zareagowałby inaczej. Miał jednak pecha. Machnął zdrową ręką, przez co zmiotł papiery z biurka i wytracił Murphowi kubek z ręki. Rozlała się whisky, Murph podskoczył.

-Co, u diabła?! - wrzasnął.

-Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia! - krzyknął Roy. - Odpowiadaj.

-Chryste, Roy, nie widziałem go od wielu dni. Myślałem, że jest z tobą.

Matka Skippy'ego mieszkała pięć kilometrów dalej, w Ethan Lower Falls. Nie była to dosłownie ruderka, ale prawie. W oknach wstawione plastikowe, dach pokryty brezentem, śnieg przed domem upstrzony psimi kupami, spod białej pokrywy wystawały żarzewiałe części. Roy nabrał garść czystego, zimnego śniegu i obmył sobie twarz. Zapukał do drzwi. Otworzyły się, wyjrzała mama Skippy'ego. Zmrużyła oczy, najwyraźniej go nie poznawała, ale kiedy jeszcze bardziej zweźliła je w szparki, w końcu poznała. Za nią leżał rozwalony na kanapie jej konkubin z krzaczastymi siwymi włosami, przy nim warował wielki kundel, a na twarzy i na pysku migotało światło telewizora. Ani śladu Skippy'ego. Wszędzie unosił się papierosowy dym.

-Widziała pani Skippy'ego? - spytał Roy.

-Ja? - zdziwiła się matka chłopaka.

-W ciągu ostatnich kilku godzin - uscisł Roy.

Matka przyjrzała się uważnie Royowi.

-Podniósł na pana rękę czy co?

Roy omal sam nie podniósł na nią ręki.

-Tak czy nie?

-Nie jest lekko, no nie? - rzuciła.

-Proszę mi tylko odpowiedzieć.

-Nie widziałam go - oświadczyła.

-Pewno handluje drogami - dorzucił konkubin, nie odrywając oczu od ekranu. Matka pokiwała głową.

Swoją drogą, konkubin aż się prosił, żeby go walnąć. Roy wszedł do środka. Natychmiast zaczął go dusić dym. Rozkasłał się. Bol w płucach, w okolicy serca, połączył się z bólem ręki. Roy dał krok do tyłu, zanosząc się kaszlem. Zawarczał pies. Drzwi się zamknęły.

Rozdział 18

-Chodzi o to - wyjaśnił Freddy Boudreau, bujając się na drewnianym fotelu za biurkiem - że chociaż mieszkasz już długo w naszej dolinie i wszyscy cie lubią, nie pochodzisz stąd.-Co to niby ma znaczyć? - spytał Roy.

Gdy kaszel wreszcie się od niego odczepił, Roy pojechał do komisariatu i złożył Freddy'emu zeznanie. Ograniczył się do opowiedzenia o fałszywej agentce ubezpieczeniowej i rzekomym włamaniu, na której Turk opierał obronę Skippy'ego, zachowując dla siebie mroczne szczegóły na temat Instytutu Hobbesa, sklepu Wino, Spółka z o.o. i Toma Parisha.

-Bez urazy - powiedział Freddy, biorąc go za rękę. - Może powinienem być dodać, że lubią cie tu i szanują. Bardziej niż jakiegokolwiek innego człowieka z nizin.

-Człowieka z nizin? - spytał Roy. - Pochodzę z Maine. Słyszałeś, jak mówię?

-Mówisz jak człowiek z nizin.

-Diabła tam - zniecierpliwził się Roy. - Ale co to ma wspólnego ze Skippym?

-Wszystko - odparł Freddy, wystukując papierosa z pudełka na biurku. - Wez kogos takiego jak ja. Urodzilem sie tutaj, chodzilem do ogolniaka Ethan. Podobnie jak moj tata, ktory potem zostal nauczycielem wychowania fizycznego. Mama byla przedszkolanka, trzy lata temu przeszla na emeryture.

-Skippy do niej chodzil?

-Mozliwe - rzekl Freddy. - Ale rozumiesz, do czego zmierzam?

-Nie.

Freddy poklepal sie po kieszeniach, jakby szukal zapalek.

Nie pal, pomyslal Roy. Skupil sie na tej mysli w nadziei, ze przeskoczy na druga strone biurka. Freddy przestal sie obmacywac.

-Probuje ci powiedziec - ciagnal - ze znam to miasto od podszewki. Znam tajniki duszy mieszkancow, wiem, co tu sie naprawde dzieje, kto co komu zrobil.

-To znaczy?

-To znaczy, ze mozesz sie pozegnac z tymi dziesiecioma kawalkami - oswiadczył Freddy.

-Jakimi dziesiecioma kawalkami? - spytal Roy.

Freddy sie rozesmial.

-Mowie o kaucji. Ale domyslalam sie, ze to dla ciebie pestka.

Roy wpadł w gniew.

-Bzdura! - wykrzyknął, chociaż rzeczywiście zapomniał o tych pieniądzach. - Co ty wygadujesz!

Freddy'emu stezała twarz.

-Dzieciak zwał. Forsa wyrzucona w błoto.

-Nieprawda - zaprzeczył Roy. - Mówiłem ci, widziałem tę kobietę, która go wrobiła. Chłopak może być w niebezpieczeństwie. Musimy tam po niego pojechać...

-Hola. Przystopuj. - Freddy buchnął się naprzód, aż zatrzeszczało krzesło. - Naprawdę uważasz, że ta kobieta poświęciła niewykrywalny rewolwer tylko po to, żeby się dostać do twojego domu? Jaki złodziej tak postępuje?

-Mam trochę cennych prac - zauważył Roy.

-Ale są ogromne. Zresztą nic nie zginęło poza małym rysunkiem, który, jak sam przyznajesz, nie jest wiele wart. Poza tym według mojego doświadczenia drobne złodziejczki nigdy nie noszą broni, bo po złapaniu straszliwie winduje wyrok. - Freddy rozsiadł się wygodnie. - W moim fachu człowiek od razu uczy się jednego. Kiedy istnieją dwie wersje, jedna prosta, druga skomplikowana, wybierz wersję A, bo sprawdzi się na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ten chłopak wie, że znam go jak zły szeląg. - Freddy znowu zaczął sobie oklepywać kieszenie. Tym razem znalazł zapalki, zapalił. - Teraz uważaj - rzekł, zaciągając się głęboko - ponieważ chłopak miał pozostawać pod twoją opieką do rozprawy sądowej, prokurator zaraz cofnie uchylene aresztu za kaucję. Wtedy dostaniemy nakaz i zanim się obejrzyś, ktoś go tu przywiezie. - Kłęb dymu przetoczył się nad biurkiem w stronę Roya. - Prawie zawsze, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, tak się kończy. Zrobię, co będę mógł w sprawie tych dziesięciu tysięcy, ale niczego nie obiecuję.

Roy poczuł nadciągający kaszel.

Wrocil do domu. Bylo juz pozno, wiekszosc budynkow na zboczach w wyzszych partiach tonela w mroku. Wszedl do srodka.-Skippy?! - zawolal. - Skippy?!

Sprawdzil wiadomosci w telefonie. Byla tylko jedna.

-Mowi Krishna. Zadzwon, jak bedziesz mogl.

Wybral znow numer Skippy'ego.

-Jol. Mowi Skipster. Zostaw wiadomosc albo nie. Wedle uznania. No to nara.

Pozyl sie do lozka. Ogarnela go sennosc, juz prawie zasypial, kiedy dopadla go jeszcze jedna mysl: Kiedy ostatnio jadal? Nie pamietal. W dodatku wcale nie czul glodu.

Wstal, poszedl do kuchni, zjadl troche lodow. Stanal przy oknie, wyrzal na dwor. Hen wysoko swiatla plugow snieznym omiataly szlaki u szczytu.

Wrocil do lozka. Wierny, przyjazny sen znow czekal, gotow go utulic. Jak miło! Zywoť nasz krotki w sen jest owiniety. Skad to cytat? A moze w sen jest otulony? Delia wiedzialaby, bo odebrala prawdziwe uniwersyteckie wykształcenie, a nie jego hokejowy wariant. Owiniety i otulony, oba okreslenia brzmią sympatycznie. W koncu przyszedł mu do glowy wlasciwy pomysl na Cisze - cos w rodzaju kosza lukow. Przez noc nawet najlepsze pomysly ulatuja z glowy, o czym Roy doskonale wiedzial, dlatego trzymal szkicownik na stoliku nocnym. Teraz jednak zanadto byl juz owiniety i otulony snem, zeby zapalic swiatlo, wziac olowek czy chocby otworzyc oczy.

Na laminowanym blacie lezal nadgryziony paczek w czekoladzie. Delia usiadła. Kiedy siegnela po paczka, zjawil sie Skippy z dozownikiem i zaczal pryskac posypka. Glownie, a wlasciwie tylko czerwona. Posypal tez glowe Delii, potem swoja. Nie wygladalo to na dowcip, blazenade albo mlodziencyz wyglup. Bardziej przypominalo obrzed. Tur, tur, tur.

Roy obudzil sie rozpalony. Rozpalony, a jednocześnie zlany potem. Wstal, poszedl do lazienki, przejrzał sie w lustrze. Na całym ciele miał czerwone plamy. Wztał dlugi, zimny prysznic, ochlonal. Zaczal latwiej oddychac. Lepiej sie poczul. Moze wystarczyloby stac tylko pod prysznicem. Po wyjściu wytarl sie. Plamy ustapily. Zorientowal sie, ze jest dzien. Wyjrzał przez okno.

Okno lazienki wychodzilo na ogrod za domem. Posesja Roya liczyła nieco ponad hektar ziemi, w większości wznoszącej sie, u gory zaś zwieńczonej płaską łaką. Latem rosło tu zatrzęsienie polnych kwiatów, ale teraz pokrywała ją biel. Na środku łaki stał helikopter - biały z zielonym napisem na boku: TRANSPORT VRAI.

Przez chwile nic sie nie dzialo. Roy zastanawial sie, czy helikopter sie nie rozbil, chociaz nie widac bylo zadnych uszkodzen. Zauwazyl jednak ruch w kokpicie, dostrzegl sylwetke mezczyzny, moze nawet dwoch. Po chwili drzwi kabiny sie otworzily. Opadla stalowa drabinka. W otworze zjawil sie wysoki opalony mezczyzna. Mial na sobie dlugi plaszcz, byc moze zamszowy, do ziemi, a na glowie kowbojski kapelusz.

Zszedl po drabince na snieg. Zapadl sie po kolana, co bynajmniej nie zdziwilo Roya, zdziwilo natomiast mezczyzne. Spojrzal do gory, w strone kabiny. W drzwiach zjawil sie drugi potezny mezczyzna w czarnym garniturze. Mezczyzna w kowbojskim kapeluszu cos powiedzial - z ust buchala mu para, wymachiwal ze zloscia rekami. Mezczyzna w czarnym garniturze gestykulowal przepaszajaco. Wyciagnal reke. Mezczyzna w kowbojskim kapeluszu odtracil ja i wspial sie po drabinie. Drzwi kabiny sie zamknely. Gorne smiglo zaczelo sie krecic, potem tylne. Helikopter wzbil sie w gore, zakolowal, przechylil sie i odlecial.

Przypominalo to sen, sen o helikopterze. Miewal juz takie wczesniej, kilka nawet pamietal, wloszcisci jednak nie, pozostaly mu w pamieci tylko ciemne, niepokojaace strzepy. Prawie jak sen, tyle ze helikopter zostawil w sniegu prawdziwe slady ploz. Bo chyba wzrok go nie mylil.

Roy sie ubral, wlozyl kurtke narciarska, traperki i wyszedl. Przy takiej zimnicy az zamrazilo czlowiekowi w nosie. Lubil to uczucie. Rakiety sniezne staly przy drewnianej skrzyni. Przypial je, obszedl dom, ruszyl w gore wysokiej laki.

Uwielbial wlozyc w rakiety snieznych. Czul uniesienie, kiedy szedl po niepewnym podlozu, uwielbial ten rytm, chrzest roznym odmian miazdzonego sniegu. Tego dnia pokrywa na zboczach wznoszacym sie za jego domem wydala mu sie dziwna - snieg skrzypial cicho jak suchy, ulezany puch, ale uginal sie pod Royem tylko kilka centymetrow, jakby byl ciezkim i bardziej mokry. Albo nacisk mniejszy. Roy posuwal sie do gory, oddychal powoli i bez trudu, znow normalnie, i przemierzyl hale.

W sniegu widnialy dwie rownolegle koleiny, mniej wiecej trzy i pol metra dlugosci, niecale pol szerokosci. Zobaczyl tez plytsze wglebienie tam, gdzie opadla stalowa drabinka i dwie okragle dziury po butach mezczyzny w kowbojskim kapeluszu. Czyli to nie byl sen. Spojrzal w gore na puste niebo, piekny srebrzysty blekit widoczny jedynie w najbardziej mroznym dni. Niedlugo po tym, jak zarozowil sie apteczny test ciazowy, co oznaczalo, ze Delia jest w ciazach, Roy sprawdzil naukowe wyjasnienie, dlaczego niebo jest niebieskie, zeby byc przygotowany na takie pytanie dziecka. Okazalo sie jednak tak skomplikowane i trudne do uproszczenia, ze nie znalazl odpowiedzi do dzisiaj.

Wrocil po swoich sladach do domu, oddychajac swobodnie. Postanowil w duchu, ze az do pierwszych slot codziennie bedzie chodzil na rakiety snieznych. Po powrocie znow wybral numer Skippy'ego.

-Jol. Tu Skipster. Zostaw wiadomosc albo...

Spojrzal na zegar. Juz pora obiadowa? Otworzył lodowke, zobaczyl dwa befsztyki, ktore Dickie Russo zapakowal mu w pergamin. Menu - befsztyk z lodami, dwa najwieksze frykasy jego dzieciństwa. Wrzucil jeden befsztyk na ruszt. Drugi zostawil dla Skippy'ego. W tej samej chwili rozleglo sie pukanie do drzwi. Niezbyt glosne, nienaturalne, zwykle ciche puk, puk. Tak wlasnie zapukalby Skippy.

Podbiegl do drzwi, otworzil. Nie, to nie Skippy. Stal tam mezczyzna w dlugim plaszczu, rzeczywiscie zamyszowym, i w kowbojskim kapeluszu. Na podjezdzie warczal silnik taksowki, jednej z dwoch w calym miescie, a wlasicielem obu byl brat Dickiego Russo. Z tyłu siedzial mezczyzna w czarnym garniturze.

-Roy Valois? - zapytal mezczyzna w kowbojskim kapeluszu.

-Tak - potwierdził Roy.

-Stokrotnie przepraszam, że nachodzę pana bez zapowiedzi. - Wyciągnął reke. - Nazywam się Cal Truesdale. - Uśmiechnął się smętnie. - Powiem bez ogródek. Przyjechałem zobaczyć Delie.

Roy patrzył na Calvina Truesdale'a. Musiał trochę zadrzeć głowę, bo mężczyzna był wyraźnie od niego wyższy. Miał wydatny nos, na czubku schodziła mu skóra od słońca, oczy srebrzystobłękitne jak dzisiejsze niebo.

Reke trzymał wyciągnięta.

-Mam wielką słabość do sztuki - powiedział. - To znaczy wielkiej sztuki. Zwłaszcza do rzeźby.

Roy uścił mu reke - długą z długimi palcami, a przy tym zimną od zimna na dworze.

-Zapraszam.

-Bardzo dziękuję - powiedział Truesdale.

Roy wszedł do środka. Truesdale wytarł nogi na wycieraczkę. Skóra jego kowbojskich butów aż lśniła. Przy wejściu zdjął kapelusz. W jednym uchu miał niewielką słuchawkę w cielistym kolorze.

-No, no - odezwał się. - Ale tu jasno i przestronnie. Z pewnością dla twórcy to spełnienie ma...

I wtedy zauważył Delie, i zamilkł. Wolno przemierzył kuchnię, wszedł do dużego pomieszczenia, zostawiając mokre ślady kowbojskich butów na drewnianej posadzce.

Obszedł Delie, zadzierając głowę do góry, aż zaszkliły mu się oczy, chyba że to światło plątało figła.

-Zdjęcia panskiego marszanda nie oddają jej sprawiedliwości - powiedział. - W najmniejszym stopniu.

Roy w głębi duszy zaproponował: Ejże, aż tak dobra nie jest.

-Ufam, że przedstawił panu moją ofertę - powiedział Truesdale.

-Owszem.

-Dzieło warte jest tej ceny. - Truesdale podszedł bliżej do rzeźby. - Wszystkie szczegóły są brzydkie, a razem tworzą tak piękny obiekt. Mogę dotknąć?

Roy skinął głową.

Truesdale wyciągnął rękę, dotknął Delii opuszkami długich palców.

-Co takiego jest w tej rzeźbie? - zapytał, odwróciwszy się do Roya.

-Nie wiem - odparł Roy.

Truesdale podniósł krzaczaste, siwe brwi.

-Przecież sam pan ją stworzył. Musi pan wiedzieć.

-Ale naprawde nie wiem, panie Truesdale - powtorzyl swoje Roy.

-Prosze mi mowic po imieniu. Cal. Wszyscy tak do mnie mowia. Ja tez moge mowic po imieniu?

-Bardzo prosze.

-W takim razie powiedz mi, z laski swojej, Roy, jak mogles stworzyc cos tak wielkiego i nie wiedziec, co daje temu moc?

-Ja tak nie pracuje - odparl Roy.

-Nie? - zdziwil sie Truesdale. - A jak?

-Trudno to okreslic - rzekl Roy. - I niezbyt ciekawie sie o tym opowiada.

-Mnie to ciekawi - sprzeciwil sie Truesdale. - Ciekawi mnie twoja praca. Ty mnie ciekawisz. A wszyscy, ktorzy mnie znaja, to potwierdza, ze kiedy trafie na cos ciekawego, wesze jak pies. Zaspokoj wiec ciekawosc starego kolekcjonera i uchyl rabka tajemnicy powiedzmy przy kawie...

Usmiechnal sie do Roya zachecajaco. Mial rowne, snieznobiale zeby poza jednym siekaczem, który byl nieco bardziej zolty.

-Pyszna kawa - pochwalil Cal Truesdale.-Dziekuje - odparl Roy.

Z parującymi kubkami kawy w rekach siedzieli na taboretach w dużym pomieszczeniu. Truesdale spojrzal na gips Roya.

-Wiem, że na studiach byles niezłym hokeista.

-Krishna ci powiedział?

-Jestem wielkim miłośnikiem hokeja.

-Naprawdę? - zdziwil sie Roy.

Akcent Truesdale'a rzucal cien na prawdziwosc tego stwierdzenia.

-Oczywiście nigdy nie miałem łyzew na nogach - wyznał Truesdale. - W moim dzieciństwie graliśmy tylko w futbol amerykański. Drużyny w takich małych szkółkach jak moja składały się z sześciu osób. Dlatego późno zainteresowałem się hokejem.

-To znaczy? - spytał Roy.

-Zaangażowałem się w Narodowa Lige Hokeja - powiedział Truesdale. - Za swoje grzechy.

-Jak to?

-Bo w przystępie szalenstwa kupilem udziały w Dallas Stars - wyjaśnił Truesdale. - Dokładnie pięćdziesiąt jeden procent.

-Komu trzeba więcej? - powiedział Roy.

Truesdale się roześmiał, ale zabrzmiało to jak szcęknięcie.

-Mój Boże - westchnął. - Należysz do tych nielicznych artystów, którzy mają głowy do interesów.

-Bynajmniej - zaprzeczył Roy.

-W dodatku skromnych. - Truesdale odwrócił się, żeby widzieć Delię. - Ale umiejętność stworzenia takiego dzieła to jedno, a głowa do interesów to drugie. Nieporównywalne wielkości, trzeba dostrzegać proporcje.

-Bo ja wiem? - rzekł Roy. Poczul się w tej rozmowie nieswojo. - Ludzie zwykle rozdmuchują różnice między...

-Zastanów się - wszedł mu w słowo Truesdale. - Nikt nie zgodzi się na pięćdziesiąt jeden procent Delii. Każdy będzie chciał mieć całość.

-Tyle że ja nie jestem pewien, czy w ogóle chce ja sprzedawać - zripostował Roy.

Truesdale pokręcił głową.

-O rany! - rzucil. - Zapiedziles mnie teraz w kozi rog.

-Nie rozumiem.

-Masz ty nosa do interesow - pochwalil. - Rzadko widuje lepsze wyczucie. Oszczedze nam obu czasu i atlasu, dam za wygrana i od razu przyznam, ze dwiescie piecdziesiat tysiecy zaproponowalem tylko na rozgrzewke.

Roy sie rozesmial.

-Nie chodzi o pieniadze - powiedzial.

-Niezly jestes - znow go pochwalil Truesdale.

-Wierz mi - zarzekal sie Roy. - Nie uprawiam zadnej gry.

-Kazdy tak mowi - stwierdzil Truesdale. - Wiesz, jaka byla moja pierwsza mysl?

-Ze to gra - odparl Roy.

Truesdale nachylil sie do Roya, dal mu przyjacielskiego kuksanca w prawa reke. Lekkiego, i to w zdrowa reke, zeby nie zabolalo.

-Zuch chlopak - pogratulowal mu Truesdale. - Od pierwszej chwili sie na tobie poznałem. - Wstal, obszedl Delie. Sciszyl glos, jak gdyby mowil do siebie. - A tak z ciekawosci, skoro to nie jest gra, nasuwa sie oczywiste pytanie. Czy istnieje prawdziwa Delia, ktora tłumaczy twoje opory?

Wypil lyk kawy, spoglądając srebrzystoniebieskimi oczami na Roya znad kubka.

-Nie - odrzekł Roy.

Truesdale pokiwał głową.

-Dziwne imię - stwierdził. - Dlaczego je wybrałeś? Jeżeli nie wściubiam za bardzo nosa, że użyję jednego z ulubionych powiedzonek mojej matki.

-Mojej również - powiedział Roy.

-Niemożliwe - zdziwił się Truesdale. - Czy ta zająca kobieta jest wśród nas?

-Owszem.

-Milo mi słyszeć. Moja mama od dawna nie żyje. Ale niech zgadnę, twoja ma na imię Delia.

-Edna - sprostował Roy.

-I mieszka gdzieś niedaleko?

-Na Florydzie.

-A gdzie dokładnie, jeśli wolno spytać?

-W Sarasocie - powiedział Roy.

-Piękna okolica - pochwalil Truesdale. - Dawno temu miałem ciotkę Ednę, straszliwą heterę. Kowboje na moim ranchu, starzy wyjadacze, trzesli przed nią portkami. Znasz trochę Teksas?

-Odwiedzałem ze dwa razy.

-Byłeś na prawdziwym ranchu?

-Nie.

-W takim razie wpadnij do mnie kiedyś w dogodnym dla siebie terminie. - Z wewnętrznej kieszeni wyjął notes, zapisał coś złotym piórem. - Tu jest mój prywatny numer telefonu. - Podszedł do Roya, dał mu kartkę. Roy spojrzał w dół i zobaczył, że wyraźna różnica wzrostu Cal zawdzięcza głównie kowbojskim butom na obcasach. - No to na czym polega sekret Delii?

Promieniujący ból po przyjacielskim kuksancu zaczął ustępować. Roy znów poczuł się dobrze albo prawie.

-Nie ma żadnego sekretu - powiedział. - Była moja żona.

-Rozwiodłeś się? - spytał Truesdale. - Nic więcej nie mów. Ja mam czwartą.

Miałby się rozwieść z Delią? Niemożliwe. Czy można sobie wyobrazić lepsze małżeństwo? Poza tym rodzina im się rozrastała, Delia była w trzecim miesiącu ciąży.

-Nie - zaprzeczył. Usłyszał wręcz gniew w swoim głosie, czego natychmiast pozalował. Skąd miałby Truesdale... zamożny amator, wręcz miłośnik jego sztuki, zapewne wedle oceny Krishny teraz nie najlepiej przez artystę traktowany... znac takie szczegóły z jego życia? - Umarła.

-Przykro mi - rzekł Truesdale.

Roy skinal głowa.

-Dawno temu - dodał.

-Mimo to najszczerze wyrazy współczucia. - Spojrzał na Delie. - Jak dawno temu?

-Prawie piętnaście lat.

-Ożenił się drugi raz?

-Nie.

Truesdale pokiwał głową, jak gdyby składał kawałki układanki. Zirykowało to Roya. Miłośnik był zarazem kolekcjonerem, może nawet koneserem, który wiązał jego życie z twórczością, i to w jego obecności.

-Chyba wyciągasz za daleko idące wnioski - powiedział.

Wciąż dudnił mu w uszach komentarz: Poharatany w środku wybrales jazde po bandzie.

-Ale skąd - zaprzeczył Truesdale. - Probuje cię tylko poznać. - Ułożył palce w trojkąt i cicho zapytał: - Jak umarła?

-Zginęła w katastrofie lotniczej.

Truesdale spojrzal na wykrecone smigla Delii.

-W helikopterze? - spytal.

-Tak.

-Nienawidze tych okropnych maszyn - stwierdzil Truesdale. Roy czekal, az powie cos o wlasnym helikopterze, ktory wyladowal na hali, ale nawet sie nie zajaknal. Spytal natomiast: - Gdzie to sie stalo?

-W Wenezueli - rzekl Roy.

-Piekny kraj - powiedzial Truesdale. - Prowadze tam interesy.

-Hodowle ananasow? - spytal Roy.

Truesdale zrobil zdziwiona mine.

-Mam zaklad przetworstwa krewetek i magazyny - odparl. - A dlaczego pytasz o ananasy?

-To dluga historia - odparl Roy.

-Mam czas.

-Jak dobrze znasz ten kraj?

-Wenezuele? Jezdze tam od czterdziestu lat.

-Duzo podrozujesz w glab kraju?

-Troche. A dlaczego pytasz?

Nie mial zielonego pojecia, od czego zaczac. Oto trafil mu sie bogaty, mozny klient z koneksjami, zaprzyjazniony z prezydentem Stanow Zjednoczonych, bo polowali razem na ranczu biznesmena. Kiedy los da mu taka druga szanse?

-Opowiedz mi o uprawach ananasow w Wenezueli - poprosil Roy.

-Nie wiem, co powiedziec - odrzekl Truesdale. - Hoduje sie ananasy.

-Czy to tradycyjna uprawa? - spytal Roy.

-Jak to?

-Pytam, czy kiedy zaczales tam jezdzic czterdziesci lat temu, widziales duzo plantacji ananasowych?

-Rozumiem. Nie, nie przypominam sobie.

-A teraz?

-Teraz widuje sie plantacje.

-Kiedy nastapila zmiana?

-Trudno powiedziec - stwierdzil Truesdale. - Rzadko tam jezdze. Chyba w ciagu ostatnich pieciu albo dziesieciu lat, ale glowy nie dam.

Roy sie zastanowil. Ananasowy projekt Delii nie mial sensu, jesli Wenezuela juz slynela z upraw, jak twierdzil Dickie Russo, mialby natomiast ogromny sens, gdyby nie slynela, jak twierdzil Truesdale. To wszystko kupy sie nie trzymalo. Gdzie tu blad?

-Rozjasnilem ci w glowie? - spytal Truesdale.

-Nie jestem pewien - odparl Roy.

Truesdale sie nachylil, opuszkami dlugich palcow dotknal kolana Roya.

-Zdradzisz mi, dlaczego tak cie nurtuja ananasy?

Roy spojrzal w srebzystoblekitne niebieskie oczy Truesdale'a. Skore wokol mial pociemniala, pomarszczona od slonca poludnia, pofaldowana w przyjazny, sympatyczny sposob.

-Delia zginela podczas misji w Wenezueli. Miala rozwinac tam uprawe ananasow - powiedzial.

-I teraz probujesz sie dowiedziec, czy misja sie powiodla - podsumowal Truesdale - zeby stanowic jej trwaly hold. Bardzo to wzruszajace.

-Niezupełnie - sprostowal Roy.

-Niezupelnie? - zdziwil sie Truesdale i usiadl wygodnie, zdejmujac jednoczesnie palce z kolana artysty. -
To mi wytlumacz, bo nie rozumiem.

-Slyszales kiedys o Instytucie Hobbesa? - spytal Roy.

Truesdale przewrocil oczami z zamysleniem.

-Nie przypominam sobie - powiedzial. - Jak go sie pisze?

Roy przeliterowal.

-Nie - rzekl Truesdale. - Co to za instytut?

-Centrum badawcze w Waszyngtonie, w ktorym pracowala Delia - wyjasnil Roy.

-W ogole nie znam tego swiata - stwierdzil Truesdale.

-Ale znasz prezydenta.

Truesdale sie rozesmial.

-Naprawde cie lubie. Czy znam prezydenta? Jasne, znam go bez mala trzydziesci lat, zanim jeszcze objal
urząd wiceprezydenta. Byl wtedy dopiero poczatkujacym kongresmanem z najbardziej zapyzialego
okregu w naszym stanie. Pozwol, ze teraz ja cie o cos zapytam. Poznales wielu politykow?

-Zadnego.

-Prawda wygląda tak, że polityków robiących karierę, zwłaszcza tych, którzy kilkadziesiąt lat obracają się na scenie politycznej, nie sposób przejrzeć. A wiesz dlaczego?

-Nie.

-Bo nie zostało w nich nic. To jedna z najważniejszych nauk, jakie wyniosłem w swojej karierze. Nie wyobrazasz sobie, ile mi dała. - Nachylił się do Roya. - Po dwudziestu, trzydziestu latach życia politycznego jest w nich jedynie pustka. Resztę sprzedali, przehandlowali lub roztrwonili na pochlebstwa.

-Jak to? - zdziwił się Roy.

-Artysta twojego pokroju nigdy tego nie zrozumie - stwierdził Truesdale. - Politycy to pochlebcy, od początku do końca. Zawsze tak było i będzie.

Rzeczywiście?

-Przecież prezydent, każdy prezydent, już dotarł na szczyt - powiedział Roy. - Czy nie mogłoby przestać się mizdrzyć?

Truesdale parsknął śmiechem znowu przypominającym szczek.

-Masz na myśli Washingtona i Lincolna - oświadczył. - Ale tamte czasy dawno minęły. Cofnelismy się do schyłku imperium rzymskiego, w którym wszyscy wyciągają szpony i pazury, żeby utrzymać, co się tylko da.

-Czyli co? - spytał Roy.

-Oczywiście globalna władza - wyjaśnił Truesdale. - A także bogactwa i wpływy, jakie się z nią wiąza.

Roy w ogóle się na tym nie znał. Ciekawe, co Delia powiedziałaby teraz? Mnóstwo by dał, żeby usłyszeć jej opinie. Z grubszą jednak się domyślał.

-Delia zajmowała się podziałem bogactwa - oznajmił.

Truesdale zmrużył sympatycznie oczy.

-Naprawdę? - spytał.

-To był jedyny cel Instytutu Hobbesa - powiedział Roy.

-Rozumiem - rzekł Truesdale. - I ten instytut finansował projekt uprawy ananasów?

-Owszem, to był pomysł Delii - stwierdził Roy.

Truesdale odwrócił się znowu, żeby spojrzeć na Delię, zupełnie jakby przyciągała go siła grawitacji.

-Nie potrafię wyrazić, jaki ci jestem wdzięczny, że poświęciłeś mi czas - podziękował. Spojrzał na wykrecone smigła u szczytu. - O wiele więcej teraz rozumiem. Wszystko układa mi się w spójną całość.

Cztery miesiące do roku. Może koktajl doktora Chu zadziała, może nie, ale czas Royowi nie sprzyjał. Czy w kwestii Instytutu Hobbesa zbliżył się do prawdy? Nie. Teraz natomiast siedział u niego człowiek, do którego wszyscy oddzwaniali, który mógł szybko nadąć bieg sprawom. Jakies przeciwwskazania? Roy nie widział żadnych. Podjął decyzję.

-Wierz mi, Cal - powiedział - że nie wszystko się układa.

Truesdale nie odrywał oczu od Delii.

-Nie wszystko? Jak to?

-Pewno cie to zdziwi - zapowiedział Roy.

Truesdale przeniósł wzrok na niego.

-Zgadniesz, ile mam lat?

Pytanie wymagało podobnej odpowiedzi jak pytanie o temperaturę na Florydzie, najlepiej zaniżyć. Roy postanowił wykorzystać tę samą taktykę co wobec mamy.

-Szescdziesiąt osiem.

Truesdale się uśmiechnął.

-Najlepszy dowód, że wciąż jesteś młody. Młodzi ludzie mają kłopoty z wielkimi liczbami przypominającymi o schyłku życia. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat, a w lipcu stuknie mi osiemdziesiątka. Kiedy człowiek żyje tak długo, nic go już nie dziwi.

-W takim razie może coś zrozumiesz - powiedział Roy. - Instytut Hobbesa zapadł się pod ziemię.

-Czyli został zlikwidowany?

-Też tak z początku sądziłem - stwierdził Roy. - Teraz jednak odnośże wrażenie, że nigdy nie istniał.

-Jak to?

-Począwszy od samej siedziby - wyjaśnił. - Wybrałem się tam kilka tygodni temu w nadziei, że znajde kolegów Delii z tamtych czasów i...

Truesdale uniosł palec wskazujący.

-Po co? - spytał.

-Po co?

-No właśnie, po co ich szukałeś? - zapytał Truesdale.

Roy milczał.

-Co cie zainteresowało po tylu latach? - dodał.

Doktor Chu, międzybłoniak oskrzelowy, miesakowy, nieoperacyjny, a dalej cała litania łacińskich nazw. Czy Roy chciał się wdawać w takie szczegóły? Nie.

-Ostatnio dużo o niej myślałem - odparł.

Natychmiast pojął, jak prawdziwe jest to stwierdzenie, prawda żyjąca własnym życiem, niezależnie od Instytutu Hobbesa.

-To zrozumiałe - rzekł Truesdale, wskazując Delie. - Słucham dalej.

Również nie chodziło tylko o pracę. Ale Roy nie miał czasu tego zanalizować - żeby wykryć, dlaczego Delia tak go zajmuje - bo teraz on, uczciwy mężczyzna, znalazł się w sytuacji, w której nie bardzo się sprawdzał. Pominiecie doktora Chu wymagało pominienia nekrologu, a zarazem "New York Timesa", Richarda Golda, Jerry'ego, nawet sierżanta Bettisa. Jednakże przyjęta przez niego skrócona wersja i tak zawierała wiele szczegółów: konsulatu greckiego, wyparcie się znajomości z Royem przez Toma Parisha, zniknięcie pomieszczenia na tyłach sklepu winiarskiego, przekonanie o wtargnięciu Lenore do jego domu oraz zniknięcie Skippy'ego, który prawdopodobnie trafił na Lenore i Westiego, a teraz może znajdować się w niebezpieczeństwie. Truesdale słuchał i nie odezwał się ani nie wydał żadnego dźwięku. Nie poruszył się też - dosłownie nie mrugnął srebrzystobłękitnymi oczami, których nie odrywał od Roya. Nawet kiedy Roy skończył, milczał przez chwilę.

Potem zaczerpnął głęboko tchu.

-Zaraz ci powiem, co o tym myślę - rzekł - ale chciałbym wiedzieć, z czym się na ogół spotykasz.

-Nie rozumiem.

-Jak ludzie zwykle reagują na twoją opowieść?

-Nikomus jeszcze tego nie mówiłem - wyznał Roy. Początkowo kłamstwo już wciągało go w labirynt, przed czym matka przestrzegła go we wczesnym dzieciństwie. - Pominawszy adwokata.

-Z Waszyngtonu? - zapytał Truesdale.

-Nie, stąd - odparł Roy. - To mój przyjaciel.

-I co ci poradził?

-Wlasciwie, zebym o tym zapomnial - powiedzial Roy.

Truesdale pokrecil glowa.

-Ech, ci prawnicy - jeknal.

Roy musial przetrawic jego komentarz.

-Czyli nie popierasz?

-Jasne, ze nie!

-Tez uwazasz, ze cos jest na rzeczy?

-Jak najbardziej - potwierdzil Truesdale. - Historia to moj konik i wynioslem z niej wazna lekcje, ze czasem najbardziej szalone opowiesci okazuja sie prawda, zwlaszcza z pewnymi szczegolami. A juz zwlaszcza, jesli pochodza od kogos obdarzonego takim darem obserwacji jak ty.

-Czyli, co sie, twoim zdaniem, dzieje?

-Za wczesnie wyrokowac - powiedzial Truesdale. - Ale podejrzewam machlojki finansowe. Z pewnoscia zamierzam je wykryc.

Roy poczul, jak mu sie prostuje kregoslup, jak gdyby ktos zdjal mu z barkow ciezar, ktory przyginal go do ziemi.

-Co zamierzasz? Chcesz sprawdzic ich finanse?

-Miedzy innymi - odparl Truesdale. - Kiedy przyszedl ci do glowy ten pomysl?

-To pomysl mojego adwokata - rzekl Roy. - Twierdzi, ze za prywatnymi srodkami stoja konkretni ludzie.

Truesdale rozesmial sie z zachwytem.

-Za prywatnymi srodkami stoja konkretni ludzie - powtorzyl. - Ten twoj adwokat naprawde jest nie w ciemnie bity.

-Owszem.

-Jak sie nazywa?

-Mike McKenny - rzekl Roy. - Ale wszyscy nazywaja go Turk.

-Zapewne tak sie przyjelo w srodowisku hokeistow - stwierdzil Truesdale. - I daleko posunales sie w badaniu finansow?

-Nie wiedzialbym, od czego zaczac - przyznal Roy.

-I bardzo dobrze - podsumowal Truesdale, wstajac. Mial ruchy znacznie mlodszeo mezczyzny. - Tym lepiej dla mnie. Spokojnie czekaj i pozwol mi sie wszystkim zajac.

-Moge ci podac rysopisy tych ludzi: Toma Parisha, Lenore, Westiego - zaproponowal Roy.

-Zalozę sie, że wierne - powiedzial Truesdale. - Ale nie beda konieczne.

-Nie sa potrzebne?

-W kazdym razie nie na tym etapie - uscisil Truesdale. - Badzmy w kontakcie.

-Doceniam twoj...

Truesdale powstrzymal go uniesieniem palca.

-Cala przyjemnosc po mojej stronie - odparl. - A wlasciwie moj obowiazek wobec sztuki. Twój czas jest za cenny, zebys marnowal go na tak przyziemne sprawy.

-Wcale nie uwazam...

Ale Truesdale juz nie sluchal.

-A na koncu - podjal, podchodzac do Delii - kiedy wszystko sie juz wyjasni, mam nadzieje, ze podasz mi jakas cene mozliwa do przyjecia dla nas obu. Nawet nie bede cie tym trudzil osobiscie. Po prostu okresl te sume marszandowi w dogodnym dla siebie czasie.

Roy nie chcial sie rozstawac z Delia, ale jak mialby sie teraz wycofac?

-Wracaj do pracy, nie zaprzataj sobie glowy takimi problemami - zachecil go Truesdale cieplym glosem przypominajacym troche Williigo Nelsona w gwiazdkowym albumie. - Ja sie wszystkim zajme. - Jeszcze raz dotknal rzezby. - Nie myslales, zeby zainteresowac sprawa dziennikarzy?

Owszem. Musialby jednak opowiedziec o Richardzie Goldzie, nekrologu, chorobie, dlatego zaprzeczyl.

-Nie.

-Na razie chyba słusznie - pochwalili Truesdale. - Ale z czasem możemy to rozważyć. Mam kilka nieocenionych wtyczek w mediach. - Odwrócił się do Roya i dodał z szelmowskim mrugnięciem: - Zwłaszcza w mediach, których jestem właścicielem.

Roy się roześmiał. Truesdale mu zawtórował.

Rozdział 20

Wróć do pracy. Brzmiało zachęcająco. Sek w tym, że Royowi odechciało się pracować nad Ciszą. Nie chciał już nawet patrzeć na długą srebrną zakrzywioną tuleję. Skąd? Naprawdę z elektrowni jądrowej? Schylił się, ale nie miał siły jej podnieść. Dziwne, bo przecież przyniósł ją tu bez trudu. Czy to możliwe, że ma zmienny ciężar atomowy? Roy ciągnął ją do drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

-Cześć, Roy - przywitał go Krishna.

-Wybacz, że nie oddzwoniłem - przeprosił Roy. - Ale przed chwilą mnie tu odwiedził.

-Nie bardzo rozumiem - przyznał Krishna.

-Calvin Truesdale - wyjaśnił Roy. - Chyba po to dzwoniłeś, żeby mnie uprzedzić, że tu jedzie?

-Calvin Truesdale był u ciebie w domu?

-Dziesięć minut temu. Chciał zobaczyć Delie.

-Boże! - zawołał Krishna. - Czy ty wiesz, co to znaczy? Dwadzieścia pięć tysięcy to tylko jego wstępna propozycja.

-Owszem, dał mi do zrozumienia - rzekł Roy.

-Ale co dokładnie powiedział?

-Co dokładnie?

-Tak, tak.

-Właściwie nie pamiętam - odrzekł Roy. - Ze dwadzieścia pięć daje na początek.

-Tak się dosłownie wyraził?

-Albo bardzo podobnie.

-Jasno to powiedział? Kawa na lawe? Bez niedomowien?

-Chyba uważał, że twardo negocjuje.

Krishna się roześmiał.

-Nieźly dowcip. Będziemy bogaci, Roy. Bardzo bogaci.

-Ty już jesteś bogaty.

-Bogactwo to rzecz względna - pouczył go Krishna. Spowaźniał. - Ale dostrzegam wyraźną ulomność w człowieku, który przestaje się emocjonować takimi sumami jak pół miliona dolarów, a może i więcej. Zapominasz, że w dzieciństwie znałem biedę.

-Twoi rodzice byli lekarzami.

-Lekarzami w Indiach, a to zupełnie inna sprawa.

-Studiowałeś w Exeter.

-W Loomis, i to częściowo na stypendium - sprostował Krishna. - Ale chodzi o coś więcej niż pieniądze. Twoja kariera rzeźbiarza wkracza w nową fazę. Otwiera się przed tobą droga na szczyt. Pomyśl, jak daleko możesz zajść w dziesięć lat.

Roy milczał.

Krishna znów się roześmiał.

-Zajarzyles, jaka to ma wage? Nie przejmuj sie, ja sie wszystkim zajme. A jezeli Truesdale skontaktuje sie z toba bezposrednio, najlepiej od razu odeslij go mnie, zgoda?

-Zgoda - powiedzial Roy.

-Doskonale - odparl Krishna. - No to do uslyszania.

-Krishna?

-Tak?

-W jakiej sprawie dzwonisz?

-Racja, zapomnialbym - powiedzial Krishna. - Pamietasz klienta, o ktorym rozmawialismy? Tego, ktory kupil mise almorawidzka? Nawiasem mowiac, zaplacyl tysiac dwiescie dolarow, bo zapomnialem o wyzszej cenie z powodu glazury. Ale i tak zrobil dobra inwestycje. Nie zdziwilbym sie, gdyby...

-Mowisz o Paulu Habibie?

-Owszem. - Zaselescily kartki papieru. - Wyslalismy ja pod adres dziewiecset dziewietnascie Eliot Street, Cambridge, Massachusetts.

-Poczekaj - poprosil Roy, podchodzac do blatu. Pamietal, ze Habib byl wowczas konsultantem oddelegowanym skadinad. Zanotowal adres na swistku papieru, na ktorym Skippy napisal: Wroce pozniej.

-Podaje ci numer telefonu - dodal Krishna.

Numer też zanotował.

Roy zadzwonił pod podany numer. Odebrał mężczyzna.-Halo?

-Czy to Paul Habib?

-Pomyłka.

Klik.

Zadzwonił ponownie.

-Halo? - powiedział mężczyzna.

-Proszę się nie rozłączać - poprosił Roy. - Mam ważną sprawę.

-Co?

-Czy mieszka pan w Cambridge, Eliot Street dziewięćset dziewięćnaście?

-Nie. Co tu się dzieje? Czy to jakiś...

-Od jak dawna ma pan ten numer?

-Nie odpowiadam na takie pytania przez telefon.

-Ale...

Klik.

Roy wybrał jeszcze raz ten sam numer. Cisza. Po dziesięciu dzwonekach dał za wygraną.

Dziesięć minut spędził przy internetowej mapie. Następnie spakował torbę, przykrecił temperaturę w domu do trzynastu stopni. Wyciągnął długą srebrną tuleję na dwór. Śnieg chrzescił mu pod nogami i dodatkowo skrzypiał od siarczystego mrozu polnocy. Władował ją na tył polciezarowki. Podrzucił Murphowi w drodze do miasta, oparł o stos zardzewiałego zelastwa w kacie złomowiska, bardzo się przy tym nachrzakał i zasapał. Widocznie za mało ostatnio ćwiczył. Murph przyglądał mu się z okna kantorka, ale nie wyszedł ani nie zamachał. Roy wsiadł z powrotem do polciezarowki i skierował się na południe. Ale ziało. Nastawił ogrzewanie na cały regulator. Prawie od razu zrobiło się za gorąco. Przykrecił dmuchawę, lecz nie pomogło. Otworzył okna. Zaczął padać śnieg, wirujące płatki trafiały do kabiny, ale Royowi w dalszym ciągu było za gorąco, jakby włączył się niewidoczny piec.

-Głodna?-Nie mam czasu! - odchrząknęła Delia.

Krzatali się po kuchni ich małego mieszkania. Nie tego pierwszego w Foggy Bottom, które Roy wynajął, kiedy jeszcze mieszkał sam, lecz drugiego, trochę dalej na północ. Roy stał przy kuchence, Delia wrzucała ubrania do walizki.

-Jajka na bekonie - zaproponował Roy.

-Nie zdaje.

Delia uwielbiała jajka na bekonie, zwłaszcza smażone przez Roya. Rozbił dwa duże jajka, położył plastry boczku na patelni. Natychmiast zaczęły skwierczeć, a po chwili rozszedł się smakowity zapach. Roy niemal widział, jak unosi się w stronę nosa Delii.

-Nie mam, cholera, czasu! - zaklela.

-Zawsze jest czas na jajka na bekonie - stwierdził Roy. - Bez nich życie straciłoby sens!

Przerwała pakowanie, spojrzała na niego. W złotych plamkach jej oczu zaigrało światło. Roy zawsze wtedy myślał, że to dyskretne wabiki dla poszukiwacza złota, podpowiedź, że w środku kryje się kopalnia.

-Lada chwila tu będzie - powiedziała.

-Kto?

-Habib. Ma po mnie przyjechać.

-Z jakiego lotniska odlatujesz?

-Nawet nie wiem.

Wrzuciła do walizki szczotkę do włosów, która odbiła się i wylądowała u stóp Roya. Podniósł ją i podał Delii.

-Co się dzieje?

-Nic.

Objął zębami.

-Trzy dni na Karaibach - powiedział. - To taka straszna perspektywa?

-Na Karaibach?

-To Wenezuela nie leży na Karaibach?

-Nie jedziemy tam.

Otworzyła usta, jakby chciała coś dodać, ale milczała. Nikt nie miał takich ust, można z nich było czytać jak z oczu. Roy ją pocałował.

-Prześlan - poprosiła.

Porwał ją w ramiona, zakrecił, delikatnie posadził na krześle przy stole.

-Jajka na bekonie - oznajmił.

Przez chwile miała zagniewana mine. Zaraz sie jednak rozesmiała.

W milczeniu jedli jajka na bekonie, dotykając się stopami pod stołem. Nawet nie usłyszeli pierwszego klaksonu z ulicy.

Roy podszedł do okna, wyrzła. W Waszyngtonie panowała wiosna. Ich wisnia rosła na kawałku trawy na chodniku przed domem. W pełni rozkwitu przypominała zastygły wybuch rozu. Na włączonym silniku stał odkryty kabriolet - biały z białą tapicerką, za kierownicą siedział Paul Habib. W dziwnej skróconej perspektywie Roy widział kanciastą głowę, barczyste prostokątne ramiona, pulchne dłonie na kierownicy.

-Zaczyna lysiec - stwierdził Roy, odwracając się do żony.

-No dobrze - powiedziała Delia.

Klezczała przy walizce, próbowała zaciągnąć suwak.

-Nie zapomniałaś kostiumu kąpielowego? - spytał Roy.

-Nie jadę na urlop.

-Ale tam jest gorąco - rzucił Roy, bo przypomniał sobie, że nie widział, żeby pakowała szorty lub bluzki z krótkimi rękawami.

-Gorąco jak diabli - przyznała. Na skroni pulsowała jej błękitna żyłka w kształcie błyskawicy. Delia mocowała się z suwakiem. - Cholera, złamałam paznokiec.

Wlozyła palec do ust. Oczy jej się zaszklily? Nie, to do niej niepodobne, może zamigotało w nich po prostu subtelne światło wiosennego poranka, które wpadło przez okno. Roy zamknął walizkę na suwak. Ich ręce się zetknęły. Delia zamarła.

-Mam już dość - powiedziała.

-Czego?

-Spodziewamy się dziecka. - Wyczuł, że drży jej dłoń. - A to wszystko zmienia.

Roy słyszał, że ciąża powoduje czasem huśtawkę nastrojów, zastanawiał się, czy tak jest w wypadku Delii.

-Jak to? - spytał.

Habib zatrabiał ponownie.

Zył na skroni pulsowała.

-Porozmawiamy po moim powrocie.

-O czym?

Delia uśmiechnęła się do niego.

-Tylko o dobrych rzeczach.

Cofnela dlon.

-Na przykład? - spytał. - Habib może zaczekać pięć minut.

Ale Delia pokręciła głową. Roy zniósł walizkę do samochodu.

-Cześć, Paul.

-Witaj, co słychać? Wrzuc na tył.

Habib miał wisniową koszulę. Pod obiema pachami wykwitły plamy potu.

Roy postawił walizkę na tylne siedzenie. Pocałował Delię. Tym razem go nie powstrzymywała. Przez ułamek sekundy popatrzyła mu głęboko w oczy, a potem zamknęła swoje. Roy poczuł smak jajek. Delia wsiadła do samochodu.

-Do zobaczenia w piątek - pożegnał ją. Poklepał bagażnik. - Szczęśliwej podróży.

Odjechali, Habib z wyprostowaną kanciastą głową, Delia swoją owalną głowę przechyliła nieco w prawo.

Dzwonek. Telefon. Roy siegnął do stolika nocnego. Nie wymacał słuchawki. Otworzył oczy. Nie leżał w łóżku, ale siedział skulony za kierownicą polciezarówki, której fotele, podłogę, deskę rozdzielczą pokrywała kilkucentymetrowa warstwa śniegu.

Dryn, dryn.

Obejrzał się, może trochę rozkojarzonym wzrokiem zobaczył, że stoi w kacie dużego parkingu. Po drugiej stronie znajdowała się restauracja McDonald, stacja benzynowa Mobil, długie sznury samochodów za plugami śnieżnymi w obu kierunkach. Autostrada Mass Pike, miejsce obsługi podróżnych, zapewne następne po zjeździe numer 14.

Dryn, dryn.

Gdzie to dzwoni...

Wyjął telefon z kieszeni.

-Halo?

-Roy? Mówi Cal Truesdale. Mam nadzieję, że cie nie obudzilem.

-Nie - powiedział Roy, spoglądając na zegar. - Oczywiście, że nie.

Na autostradzie zatrabiła długo i głośno ciężarówka.

-A co to za hałas na twojej małej uliczce? - spytał Truesdale.

-Bo ja...

Truesdale się roześmiał.

-Piękna dolina, Roy. Niedaleko mieszka Tom Thompson.

-A kto to jest? - spytał Roy.

-Kanadyjski malarz, którego kolekcjonuje - wyjaśnił Truesdale. - Ale nie dlatego cię niepokoję. Pamięć nie dopisuje mi jak dawniej. Zapomniałem spytać cię o najważniejsze.

-Mianowicie?

Zimno w kabinie. Włączył silnik, zamknął okna.

-Wspomniałeś pewnego mężczyzny - przypomniał Truesdale. - Bylego szefa Delii, którego goniłeś w sklepie winiarskim.

-Nazywa się Tom Parish.

-O właśnie - powiedział Truesdale. - Po co go tam szukałeś?

Odpowiedz: Wykorzystał zdjęcie w telefonie komórkowym Richarda Golda. Komórka zniknęła, kiedy trzeba było ją pokazać sierżantowi Bettisowi. To była pierwsza komplikacja. A druga: Wiadomości o telefonie Golda nie da się oddzielić od nekrologu, doktora Chu ani pozostałych informacji, które zataił w wersji opowiedzianej Truesdale'owi.

-Roy, jesteś tam?

Nagle zdał sobie sprawę, dlaczego tak się wzdryga przed powiedzeniem prawdy. Z tego samego powodu, z którego wyjawiał swoją diagnozę tylko Turkowi, a i to niechętnie. Bo wypowiedzenie tych słów na głos urzeczywistniało sytuację.

-Miałem szczęście - powiedział.

-Szczęście?

-Kreciłem się po okolicy, bo kiedyś tam mieszkalem, kiedy go zauważyłem.

-Rzeczywiście, szczęście - przyznał Truesdale. - Los się do ciebie uśmiechnął.

-Aha. - Przez chwilę rozważał, czy przekazać Truesdale'owi nowy zamiar na Paula Habiba. Ale zamiar był niepewny, a poza tym sam nie chciał czekać z założonymi rękami. Sprawa Instytutu Hobbesa coraz bardziej go nurtowała. Z drugiej strony podgryzała go choroba - rozumiał, że toczy wyścig, dlatego nie może czekać. Bo stawka jest bardzo...

Jednocześnie uderzyła go ważna myśl - sprawa dotyczy nie tylko jego. Dotyczyła również Toma Parisha, Lenore, Westiego i Bog wie kogo jeszcze, wszystkich, którzy zadali sobie dużo trudu, żeby zatrzeć ślady po Instytucie Hobbesa. Po co? Co by się stało, gdyby informacja o jego istnieniu przedostała się na zewnątrz? Po co tyle staran? Komu by to zagrażało? O jaką stawkę grają tamci?

-Coś cie nurtuje? - spytał Truesdale.

-Nie - odparl Roy. - Dziekuje za pomoc.

-Nie ma za co - powiedzial Truesdale. - I trzymaj sie.

W Cambridge, na wschod od drogi 495, snieg przeszedl w deszcz, a kiedy Roy zaparkowal przed Eliot Street 919, padal juz tylko kapusniaczek i nad zaspami snieznymi unosily sie wstegi mgly. Znal troche okolice, kilka przecznic od Harvard Square, bo zawsze swietowal tam z kolegami z druzyny po wygranych meczach z Harvardem, w barach, ktore zawsze wyzwalaly w nich najgorsze instynkty, niezaleznie od tego, czy wygrali, czy przegrali. Z obu stron staly rzedem wysokie, waskie, murowane szeregowce, jedne odnowione, inne nie. Numer dziewiecset dziewietnascie znajdowal sie prawie na koncu. Wszedl po schodach. Nalepka na drzwiach naklaniala do postawienia prezydenta w stan oskarzenia. Podobne naklejki widywal na zderzakach w Ethan Valley. Czy prezydent zwracal uwage na takie napisy? Moze omawial je z Calvinem Truesdale'em, kiedy czekali, az zerwie sie stado kuropatw? Nacisnal dzwonek.

Drzwi sie otworzily. Wyjrzala piecio- moze szescioletnia dziewczynka. Natychmiast spojrzala na jego gips.

-Czesc - przywital sie Roy. - Czy ktoreś z rodzicow jest w domu?

Pokiwała głowa.

-Moglbym z ktoryms z nich porozmawiac?

-Mama jest w pracy. Tata smazy chinszczyzne.

-Moglabys go poprosic?

-Taaa-tooo.

Zjawil sie mezczyzna. Zapewne rowiesnik Paula Habiba, ale nie on. Wysoki, szczuply, o koscistej, ascetycznej twarzy.

-Anya, przeciez wiesz, ze nie wolno ci nikogo wpuszczac.

-Nie wpuscila - zaperzyla sie Anya.

Ojciec dziewczynki obrzucil Roya wzrokiem, wzial ja za reke, pociagnal za siebie.

-Przepraszam, ze przeszkadzam - powiedzial Roy. - Szukam Paula Habiba.

-Nikogo takiego tu nie ma - odparl mezczyzna.

-Jestem pewien, ze tu mieszkal.

Cos sie zmienilo w oczach mezczyzny.

-Habib, powiada pan?

-Paul.

Mezczyzna pokrecil glowa.

-Nie pamietam zadnego Paula - stwierdzil - ale kupilismy ten dom od niejkiej pani Habib. Mieszkala tu sama.

-Kiedy to bylo? - spytal Roy.

-Prawie czternascie lat temu - powiedzial mezczyzna.

Anya zza jego plecow dopowiedziala:

-Przed moim urodzeniem.

-A pamietam, jak miala na imie? - spytal Roy.

-Nie pamietam.

-Moze ma pan w akcie notarialnym zakupu - podsunal Roy.

Mezczyzna spojrzal na niego, ale nic nie powiedzial.

-To ważne - dodał Roy.

-Dlaczego?

Roy nie miał się czego uchwycić, co najwyżej nalepki na drzwiach.

-Moja żona pracowała z Paulem Habibem w projekcie rolniczym dla Trzeciego Świata. Tamten kraj chce mu dać nagrodę.

Roy się zdumiał, jak łatwo przyszło mu to kłamstwo. Może wystarczy odrobina wprawy.

-Jaki kraj? - spytał mężczyzna.

Nic prostszego.

-Kuba - powiedział Roy.

Po dwóch minutach znalazł już imię - Janet.

-A tu ma pan adres, pod który się przeprowadziła - powiedział mężczyzna, wręczając mu wizytówkę. - W Cape Cod. Dawno temu, ale nic nie wiadomo. Powodzenia.

Rozdział 21

Nie wiadomo, dlaczego Roy zawsze uważał, że to był chłopiec. Ale przecież mogła być dziewczynka. Jeszcze nie zdecydowali, ile prenatalnych informacji chcą poznać, zanim Delia wyjechała do Wenezueli. Teraz, kiedy zobaczył Anyę, tknęło go, że mógł mieć córkę podobną do tej dziewczynki. Mógł mieć małą Delię. Dziecko mogło być chłopcem lub dziewczynką. Nie wolimy niespodzianki? - spytał Delie. Zawahała się. Znal te jej mine; kiedy nie była czegoś pewna, zaraz marszczyła czoło, jak gdyby złościła się na siebie. Im bliżej Cape Cod, tym bardziej niebo się przejasniało, a ruch na drodze był niewielki, mógł więc napawać się obrazem Delii i tą jej miną, którą widział z najdrobniejszymi szczegółami, jak chociażby pociemniałe nieco złote plamki w oczach. Czy ta mina zostanie jej na całe życie, czy Delia by z niej wyrosła? Bardzo chciałby usłyszeć teraz jej głos, najchętniej rade: Walcz jak sukinkoty. Albo: Czy mu się uda? Albo cokolwiek. Roy przejechał przez most Bourne'a. W dole plonęło zachodzące słońce, odbijając się na powierzchni kanału. Z drugiej strony po ścieżce rowerowej jechał chłopak na rolkach, a za nim wlokł się jego długi cień. Zjeżdżając z mostu, Roy okrążył rondo i skierował się na południe. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer Skippy'ego.

-Jol. Mówi Skipster. Zostaw wiadomość albo nie. Wedle... - Trzaski. A po chwili: - Halo?

Męski głos, ale nie Skippy'ego.

Roy szarpnął kierownicą w prawo, stanął na poboczu.

-Halo? - powtórzył mężczyzna.

-Kto mówi? - zapytał Roy. - Gdzie jest Skippy?

-Nie znam zadnego Skippy'ego - powiedzial mezczyzna. - To nie jest moj telefon. Znalazlem go dziesiec minut temu.

-Gdzie? - spytal Roy.

-W Ethan Valley, w Vermoncie - powiedzial mezczyzna.

-Ja tam mieszkam - rzekl Roy. - Gdzie pan znalazl ten telefon?

-Jak pan sie nazywa? - spytal mezczyzna. - Czy ja pana znam?

-Roy Valois - przedstawil sie Roy. - Gdzie pan...

-A, to pan jest... byl przyjacielem Jen, nie myle sie?

-Zna pan Jen?

-Pracuje w patrolu narciarskim - powiedzial mezczyzna. - Wlasnie teraz jestem w pracy. I znalazlem telefon.

-Gdzie?

-Jak dobrze zna pan nasza gore?

-Niezle.

-Z drugiej strony też?

-Dlaczego pan pyta?

-Bo tu ja znalazłem - odrzekł mężczyzna. - Zna pan schronisko na bocznej grani Szlaku Appalachow? Telefon wystawał z zasy snieżnej przy drzwiach. Ma krótka antena, ale błyszczala, dlatego zauważyłem.

-Należy do Skippy'ego Bedarda - poinformował Roy.

-Nic mi to nazwisko nie mówi.

-To dzieciak, szesnastolatek. Chudy, długie włosy, miał na sobie brązowo-żółta kurtkę.

-Nikogo takiego nie widziałem.

-A wysoka Mulatka po czterdziestce? Albo młodszego mężczyzna metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ponad sto kilogramów wagi?

-Też nie - powiedział strażnik z patrolu. - Nikogo zresztą nie widziałem. Właśnie skończyłem ostatni zjazd. Na całej gorze nikogo nie ma.

-Zajrzał pan do schroniska?

-Jasne. Zawsze zaglądamy. Nikogo tam nie było.

Roy siedział w polciezarowce na poboczu. Moze powinien wrocic? Czy wiadomosc o komorce Skippy'ego jest dobra, czy zla? Skippy nie poradzi sobie z takimi wygami jak Lenore czy Westie, zreszta chyba z nikim. Roy probowal szukac plusow tej sytuacji. Druga strona, bo nie watpil w jej istnienie, nie zostawiala rozgrzebanych spraw, a wiec telefon lezacy w sniegu moze oznaczac, ze chlopak jest bezpieczny. Poza tym Roy juz znajdowal sie na Cape, blisko domniemanego miejsca zamieszkania Janet Habib, cztery do pieciu godzin jazdy od Ethan Valley.

-Wlasnie wchodze do schroniska - powiedzial straznik. - Mialem zamiar oddac ten telefon do biura rzeczy znalezionych.

-Niech pan tego nie robi - poprosil Roy.

-Nie?

-Bardzo pana prosze - rzekl Roy. - Teraz jestem poza miastem. Zna pan Freddy'ego Boudreau?

-A kto to taki?

-Sierzant policji.

-Ten grozny z wasami?

-Przy blizszym poznaniu okazuje sie, ze wcale nie jest grozny - zapewnil Roy. - Moglby pan mu oddac telefon?

-No dobrze.

-Ale zaraz? - spytal Roy.

-Jak to zaraz?

-Zaplace panu za poswiecony czas.

-E, nie trzeba - rzekl straznik z zazenowaniem.

-Dzieki - powiedzial Roy. - Niech pan mu powie, gdzie go znalazl. I wspomni, ze prosilem, zeby pofatygowal sie na gore do schroniska i dobrze sie rozejrzal.

-Nie urwie mi glowy?

-W razie czego to mnie urwie - zapewnil go Roy.

-O co tu chodzi? - zapytal straznik. - Czy temu chlopakowi cos grozi?

Roy poczul delikatny prad w ramieniu. Przebiegl, ale znikl. W miejscu, w ktorym Lenore trafila na wrażliwy nerw.

Nigdy nie był na Cape. Wyobrażał sobie plażę, ocean, mewy, ale nie zobaczył nic z tych rzeczy. Pod podanym adresem - Hatchville, Kettle Lane 1 - znalazł dom położony w głębi sosnowych lasów, ostatni przy polnej drodze. Trzy razy musiał pytać o drogę i dlatego dom znalazł dopiero o zmroku. Żółte światła błyskały pomiędzy drzew, z komina sypały się złote iskry. Mała chalupa kryta gontem, do której prowadził ceglany podjazd w oplakany stan. Podchodząc do drzwi, usłyszał dzwoneczki wietrzne. Już miał zapukać, kiedy z drugiej strony drzwi rozległ się kobiecy głos:

-Kto tam?

-Roy Valois.

-Nie znam nikogo o tym nazwisku.

-Szukam Janet Habib.

-Po co?

-Moja żona pracowała z Paulem Habibem. Chciałbym z nim porozmawiać.

Cisza.

Roya coś tknęło.

-Jeżeli państwo nie są już razem, może pomogłaby mi się pani z nim skontaktować.

-Pracowała z nim w MIT? - spytała kobieta.

-Nie - odparł Roy. - W Instytucie Hobbesa.

Znow cisza.

-Jak panska zona ma na imie?

-Delia - powiedzial Roy. - Delia Stern.

Nie minelo pol minuty, a kobieta zareagowala w zdumiewajacy sposob.

-Czy ta zdzira jest z panem?

-Slucham?

Cisza. Royowi zdawalo sie, ze slyszy oddalajace sie kroki. Nastepnie ich powrot. Cichy szczerk odsuwanej zasuwki. Drugi, glosniejszy. Na ostatku brzeknal odpiety lancuch. Drzwi sie uchylily. Stala za nimi siwa kobieta z wlosami w nieładzie. Z tylu za nia trzaskal na kominku ogien. W uszach miala duze kola, byla w dzinsach i kolorowym skandynawskim swetrze. Calosc tworzyła spojny obraz, podobne kobiety widuje sie rowniez w gorach Vermontu. Jeden szczegol nie pasowal do obrazka, mianowicie pistolet w rece, tak zaskakujacy, ze Roy musial spojrzec dwa razy. Dominowal nad cala scena - zwlaszcza ze byl wiekszy od rewolweru znalezonego w schowku Skippy'ego i bardzo sie od tamtego roznil, chociaz Roy, calkowity ignorant w dziedzinie broni palnej, nie umialby okreslic czym - nadawal ton.

Roy podniosl odruchowo rece do gory, w gescie zaprogramowanym w zakamarkach mozgu.

-Ma pan przy sobie bron? - spytala.

-Oczywiscie, ze nie. I prosze we mnie nie mierzyc.

Pistolet nawet nie drgnal. Kobieta omiotla spojrzeniem Roya, jego samochod, ktory stal na obrzezu swiatla padajacego na dom, i otaczajacy go las.

-Jest pan sam?

-Tak - potwierdzil Roy. - Czy pani pytanie dotyczylo mojej zony?

Machnela lufa, oddalajac pytanie.

-Jak mnie pan znalazl? - spytala.

-Przez marszanda Krishne Madapana. Sprzedal panstwu marokanska mise.

Janet Habib spojrzala znnow na niego.

-Pan jest tym rzezbierzem?

-Tak.

-Czego pan chce?

-Juz mowilem. Chce porozmawiac z Paulem.

-Chyba nie mówi pan poważnie.

-Jak to?

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, a potem opuściła pistolet i odsunęła się. Roy wszedł do środka. Od progu zauważył wiszący nad kominkiem szkic węglem przedstawiający Paula Habiba. Podszedł bliżej, twórca złagodził rysy Habiba, przez co portret wypadł mniej interesująco. Usiłował odczytać podpis w prawym dolnym rogu, kiedy usłyszał odgłos ryglowanych za nim drzwi i szczerk zasuwanego lancucha.

Odwrocił się. Janet nie trzymała już pistoletu w drobnych, kościstych dłoniach. Prawie na wszystkich palcach miała pierścionki, dlatego trzeci palec lewej ręki wydawał się osamotniony.

-Czy to niedawny szkic? - spytał Roy. - Bo maż prawie się nie zmienił.

-Pan ze mnie kpi? - spytała. Twarz zapłonęła jej blaskiem ognia z kominka, chociaż oczy pozostawały w cieniu. - Czy jest pijany?

-Co pani wygaduje?

-To ja pytam, co pan wygaduje! - zawołała Janet podniesionym głosem. - Paul zginał piętnaście lat temu. Równy piętnaście będzie na wiosnę.

Roy usiadł, a właściwie zorientował się, że usiadł, kiedy już siedział na murowanym palenisku. Nogi miał jak z waty.

-Leciał tym samym helikopterem?

-Jakim helikopterem?

-Tym, który rozbił się w Wenezueli - uściślił Roy.

Janet zbliżyła się o krok. Zmrużyła oczy, twarz jej paląca gniewem.

-Powiedziała panu, że helikopter rozbił się w Wenezueli?

-Kto?

-Delia - rzuciła Janet z odrazą, jak gdyby brzydziła się tym imieniem.

-Delia nic mi nie powiedziała - odburknął Roy. - Przecież sama zginęła w tej przeklętej katastrofie.

Janet pokręciła głową.

-Teraz pan gada o rzeczy.

-Co też pani mówi! - zdziwił się Roy. - Chodzi mi o projekt uprawy ananasów.

-O żadnej uprawie nie słyszałam - stwierdziła Janet.

-Jak to? - zapytał Roy. - Przecież mieli nauczyć Wenezuelczyków hodować ananasy. Pani też przyjechała po Delię, żeby ją zabrać na lotnisko. Polecieci do Wenezueli, gdzie zginęła w katastrofie lotniczej. Tylko nie rozumiem, dlaczego nikt mnie nie powiadomił, że Paul również zginął.

Janet stała z rozdziawionymi ustami.

-Skąd pan ma takie rewelacje?

-Przecież to fakty.

-Kto tak twierdzi?

-Ja - powiedział Roy. - Ja tak twierdze.

-Był pan w Wenezueli? Widział pan ten wypadek?

-Nie.

-To skąd pan wie? - spytała Janet. - Kto pana poinformował?

Kto? Musiał go ktoś informować? To było wydarzenie historyczne, jak pożar w Chicago albo lądowanie w Normandii. Czy w przypadku śmierci Delii istniał tylko jeden informator? Tak.

-Tom Parish.

Janet prychnęła.

-Wszystko jasne.

-Co pani sugeruje? - spytał Roy. - Był ich szefem.

Janet spojrzala na niego spode lba. Nastepnie wyjela chusteczke z pudelka na kominku i mu podala.

-Leci panu krew z nosa.

Roy przylozyl chusteczke do nosa, obejrzal ja. Wykwitly na niej czerwone plamy.

-Niech pan odchyli glowe do tyłu - poradzila Janet. Ale Roy nie mial teraz czasu na glupstwa. Chcial jak najszybciej zrozumiec, co ta kobieta do niego mowi. Osuszyl niecierpliwie, wrecz z wsciekloscia, nos i wrocil do tematu.

-Tom Parish przywiozl jej cialo. Przemawial na pogrzebie.

-Co pan kombinuje? - spytala.

-Nic nie kombinuje - odparl. - Dlaczego pani tak sadzi?

-Bo opowiada mi pan dyrdymaly. Jakas katastrofa lotnicza, Tom Parish, ktory przywozi cialo. Wierutne bzdury.

-Jak to?

-Przeciez Delia wrocila do domu cala i zdrowa - stwierdzila Janet.

-Delia?

-Delia.

-To jakis obled.

-Nasuwa sie mnostwo negatywnych okreslen, ale akurat nie obled - sprostowala Janet. - Chociazby obrzydliwosc, cynizm, okrucienstwo, ale nie obled.

Royowi zakrecilo sie w glowie. Wokol twarzy Janet pojawila sie nikla, pulsujaca aura.

-Co pani usiluje mi powiedziec? - spytal.

-W takim razie niech pan poslucha - rzekla Jane. - Tom zapukal do moich drzwi. "Zdarzyl sie wypadek. Bardzo mi przykro. Paul nie zyje". Powtarzam slowo w slowo.

-Do pani domu w Cambridge?

-Zgadza sie.

-Po tamtej podrozy?

-Owszem.

-Wiosna?

-Przeciez mowimy o jednej podrozy - powiedziala Janet. - Spytalam Toma: "Jaki wypadek?". Dowiedzialam sie, ze samochodowy. Podobno Delia jechala za szybko i samochod runal w przepasc.

Delia rzeczywiście jeździła za szybko. Ten jeden szczegół się zgadzał. Ale co za różnica, czy to była katastrofa lotnicza, czy wypadek samochodowy? Coś innego natomiast stanowiło dla Roya zasadniczą różnicę.

-Dlaczego pani twierdzi, że Delia wróciła do domu cała i zdrowa?

-Tom przyjechał limuzyną - oznajmiła Janet - z zaciemnionymi szybami z tyłu. Ale kiedy wyszedł ode mnie na ulicę, obserwowałam go zza zasłony. Otworzył tylne drzwi i zobaczyłam ją siedzącą w środku.

Ktoś popełnił kolosalny błąd... ale przecież błąd zawsze oznacza, że gdzieś czai się wyjaśnienie, które wystarczy znaleźć.

-Jak pani poznała, że to ona? - spytał Roy.

Janet wzruszyła ramionami.

-Tak jak poznaje się wszystkich znajomych - powiedziała. - Spotkałyśmy się wiele razy.

-Gdzie?

-Raz czy dwa w Cambridge, potem na obiedzie w Waszyngtonie. To na pewno była ona. Siedziała z tyłu na środku, obok jakiegoś mężczyzny. Miała zabandażowaną głowę, ale i tak ją poznałam. Przecież pan wie, że miała charakterystyczną urodę.

Chociaż Roy nie wierzył w aury, wiedział, że zwiastują kłopoty. Teraz aura Janet zaczęła się rozrastać w jego stronę.

-Miała zabandażowaną głowę? - spytał cichym, dochodzącym jakby z daleka głosem.

-Ale jak najbardziej zyla - zapewnila go Janet.

-Nie wierze - powiedzial Roy.

-Jak pan uwaza - odburknela Janet. - Skoro uwierzyl pan w bajki o Wenezueli, we wszystko pan uwierzy.

-Jak to?

-Dlaczego mialaby jechac do Wenezueli akurat z Paulem? - zapytala Janet.

-Nie rozumiem.

-Takie to trudne? Przeciez nie nazywal sie Hernandez ani Rodriguez, lecz Habib.

-Chodzi pani o to, ze nie znal hiszpanskiego? - spytal Roy. - Delia tez nie znala.

-Bo to nie do niej nalezalo - stwierdzila Janet.

Roy pokiwal glowa.

-Byli ekonomistami.

-Paul byl historykiem, a nie ekonomista.

-Nie wiedziałem.

-Specjalizował się w Afryce Północnej i biegł w dialektami Maghrebu - wyjaśniła Janet. - Dlatego go zatrudniono.

-Do sekcji Toma? - spytał Roy.

-Jakiego tam Toma! - Janet się zachnęła. - Co się pan tak uczył tego Toma? Do sekcji Delii.

-Delia go zatrudniła?

-Była jego szefowa - powiedziała Janet.

Dosięgła go aura drzaca na obrzeżach.

Rozdział 22

Roy nie słyszał burzy, ale wiedział, że szaleje obok. Nie miał się czego bać, siedział bezpiecznie w ciepłym igloo. Czy musiał wysuwać stamtąd nos? Nie przychodził mu do głowy żaden powód. Niech wiec sobie dużej. Odpreżył się. Wsłuchał się w ogień trzaskający nieopodal. Robiło mu się coraz cieplej. Tyle że... no właśnie. Igloo buduje się z lodowych brył. Dlatego rozlewające się ciepło mogło oznaczać tylko... no właśnie. Nieszczęście. Nieszczęście takie jak topnienie, przeciekanie, bezdomność. Otworzył oczy.

Ogień rzeczywiście trząskał nieopodal. Roy się odsunął.

-Nic panu nie jest?

Rozejrzył się, może nawet z odrobiną strachu. Zobaczył nad sobą twarz kobiety z siwymi włosami w nieładzie i podkrążonymi oczami. Janet Habib.

-Zemdlał pan - powiedziała.

-Niemożliwe! - zawołał.

Zerwał się, a w każdym razie jego mózg wysłał taki sygnał. W rzeczywistości jednak wstał powoli, z trudem, bez tchu. Miał czas, żeby wszystko sobie przypomnieć.

-Nic panu nie jest? - powtórzyła pytanie.

-Widziała ja pani żywa? - spytał.

Pytanie zabrzmiało mu dziwnie, podobnie zresztą jak własny, nieoczekiwany starchy głos.

-Tak jak powiedziałam - zapewniła go Janet. - Ale pan zbladł!

-Delie?

-Delie.

-Przecież to niemożliwe - stwierdził Roy. - W takim razie dlaczego...

-Dac panu wody?

Pokrecil głowa. W takim razie dlaczego nie wrocila do domu?

Janet poszła do kuchni i przyniosła szklanke wody. Podala mu upierscieniona reka. Brakowalo tylko obraczki na serdecznym palcu. Wypil najpierw lyk, potem dwa, a reszta zachlannie, jak gdyby wrocil z pustyni. Doslownie przelknal jednym haustem. Na wlasnej skorze odczul, ze woda rowna sie zyciu.

Janet nie odrywala od niego wzroku.

-Prosze sie nie bac - powiedziala. - Jest zdatna.

-Nie bardzo rozumiem.

Poczul wyraźny przyływ sił, wrocila dawna forma.

-Woda - wyjasnila. - Zanieczyszczenie rozlewa sie po wodach podziemnych, ale moja studnie sprawdzano tydzien temu i nic nie wykryto. - Wziela od niego pusta szklanke. - Chcialabym cos panu pokazac.

-Co?

-Na dworze.

Roy wlozył kurtke. Janet wzięła latarkę, poprowadziła go na zewnątrz, za szope na tyłach domu. Na niebie zjawil się księżyc, wprawdzie tylko rogalik, ale odbijał się niezliczona ilość razy w pomarszczonej tafli pobliskiego stawu.

-Piekna okolica - stwierdziła Janet. - Jezeli ktos lubi zaciszę.

Otworzyła szope, oświetliła latarka wnetrze. Roy zobaczył stary biały kabriolet z odsuniętym dachem pokryty kurzem i pajęczynami.

-Samochod Paula? - upewnil się, chociaż wiedział. Biały z białą tapicerką, czekał na Delie pod ich kwitnącą wisnią.

-Uwielbiał go - oznajmiła Janet.

Roy podszedł, położył rękę na zagłówku od strony pasażera. Zimna, spekana skóra, ale kiedy jej dotknął, poczuł, jakby dotknął Delii. Jezeli do tej pory zdarzały mu się takie rzeczy, czy to nie znaczy, że znalazł ją na wylot?

-Chciałam go nawet pochować w tym wozie - powiedziała Janet. - A potem ogarnęły mnie wątpliwości, czy on by sobie tego życzył? Byliśmy młodzi. Tylu rzeczy nie zdążyliśmy omówić.

Roy pokiwał głową.

-Najdziwniejsze, że w końcu właściwie go w nim pochowałam - dodała.

-Nie rozumiem.

Podeszła, sięgnęła do samochodu, otworzyła schowek. Wyciągnęła owalną, spłaszczoną na końcach urnę wykonaną z matowego srebrnego metalu, być może cyny.

-Przysłano mi ją po kilku dniach kurierem - wyjaśniła. - Nie zdobyłam się na ostatni krok, żeby pogrzebać samochód. Uznałam to za przesadę.

Trzymała urnę na reku, tak jak się trzyma niemowlę.

Jak to się mówi? Kiedy prawda wyjdzie na jaw. Kiedy Delia wyjdzie na jaw? Chyba już niedługo, co? I wtedy uderzyła go, niemal fizycznie, pewna myśl. Jeżeli Janet Habib mówi prawdę, możliwe, że prawda o Delii w końcu wyjdzie na jaw. Albo nie tylko prawda... Wreć niewyobrażalna dalsza sekwencja zdarzeń kazała mu się oprzeć o samochód i przez chwilę, na wszelki wypadek, przytrzymać.

-Czy mogłaby mi pani powtórzyć - poprosił.

-Ale co?

-Jak Delia przyjechała pod pani dom w Cambridge.

-Nie mam powodu pana przekonywać - stwierdziła Janet. - Nie obchodzi mnie, czy pan wierzy.

-Bardzo pania proszę.

Zerwał się wiatr, zatrzasnął drzwi szopy. Janet zapaliła światło, rozbłysła żarówka zwisająca z belki sufitu, oświetlając jaskrawo jej twarz. Janet zmrużyła oczy. Przed jakim widokiem?

-Naprawdę nie widział jej pan już po tej podróży?

-Zadzwonil Tom Parish z informacja - powiedzial Roy. - I przyjechal na pogrzeb. Jest pochowana na miejscowym starym cmentarzu.

-Widzial pan na wlasne oczy? - upewnila sie Janet.

-Oczywiscie. Bylem na pogrzebie.

-Nie zostala spopielona?

-Nie, pochowalem ja w trumnie.

Bialej, zdobionej zlotymi liscmi. Na koszt Instytutu Hobbesa, a w kazdym razie odniosl takie wrazenie, bo nie przyslano mu rachunku.

-Nie rozumiem - rzekla Janet.

-Wlasnie dlatego dopytuje, czy na pewno Delia siedziala wtedy w limuzynie?

-Nie mam cienia watpliwosci.

-Czy Tom Parish powiedzial pani, gdzie zdarzyl sie wypadek samochodowy?

-Nie pytalam.

-Dlaczego?

-Nie chciałam wiedzieć - odparła Janet. Znowu sciszyła głos, zupełnie jakby mówiła do siebie. - Nie chciałam znać szczegółów. I chciałam, żeby Tom o tym wiedział.

-Wiedział, że pani nie chce wiedzieć? - upewnił się Roy.

Spojrzała na niego. Oczy miała ciemne, zamglone.

-Proszę wyjaśnić - powiedział.

-Czy wszyscy artyści są tacy jak pan? - spytała. - Powinien pan rozumieć dlaczego. Żeby uniknąć takich sytuacji jak ta.

-Czyli jakich?

-Ze zjawia się obcy człowiek i zadaje niebezpieczne pytania. - Odwróciła wzrok do urny, potem popatrzyła w dal. - Paul powiedział mi tylko, że jedźcie do Waszyngtonu. Ale domyśliłam się, bo widziałam, jak się denerwuje.

Habib miał wisniową koszulę. Pod obiema pachami wykwitły plamy potu.

-Czego się pani domyśliła? - spytał Roy.

-Poza tym mówił przez sen - ciągnęła, spoglądając Royowi w oczy. - Mruczał coś po arabsku.

-O czym?

Odwrocila wzrok.

-Nie znam tego jezyka.

-Chyba pani wie, dokad pojechali - zauwazyl Roy.

Pokrecila glowa.

-Prosze mi powiedziec.

Cofnela sie, tulac w ramionach urne.

-Co pan wyprawia? - Zarowka zamrugala, zgasla, ponownie sie zapalila. Strach malowal sie na twarzy Janet. - Co pan wyprawia?

Co wyprawial? Probowal znalezc wyjasnienie bardziej wiarygodne od wersji, w ktora swiecie wierzyla Janet, ze Delia pojechala z Paulem do arabskojezycznego kraju, a nie do Wenezueli. Czy to znaczy, ze nigdy nie miala Wenezueli w planach, ze go oklamala? A moze zmiana nastapila w ostatniej chwili, bo informacja czekala na lotnisku?

-Po co pan tu przyjechal? - spytala Janet. - Czego pan chcial od Paula?

-Instytut Hobbesa zapadl sie pod ziemie - wyjasnil Roy. - Jak gdyby nigdy nie istnial.

-No wiec?

-Co pani o nim wie?

-Nic.

-Niemożliwe - powiedział.

-A niech pan sobie myśli, co chce.

-Czego pani się tak boi?

-Niczego - odparła. - Pana.

-Z mojej strony nic pani nie grozi - zapewnił ją. Byli zupełnym przeciwieństwem. - Chciałbym zobaczyć jego dowody wypłat.

-Jakie dowody?

-Wszelkie dowody pobranych należności.

-Nie trzymam takich rzeczy - oświadczyła.

Został jednak samochód, nieustawiony na koźlach, niezabezpieczony, po prostu porzucony. No i prochy, niepogrzebane ani niewystawione na kominku, jakby wdowa nie przesadzała sprawy. Roy nie wierzył tej kobiecie. Bardziej prawdopodobne, że czepiała się wszystkich ewentualności, bo nie pogodziła się ze stratą Paula. Roy doskonale to rozumiał.

-Gdzie pani trzyma dowody wypłat? - spytał.

-Nigdzie - odpowiedziała. - Wyrzucilam dawno temu. Przed wielu laty.

Roy pokręcił głową. Uswiadomil sobie coś ważnego. Ze ta szopa - z samochodem, którym odjechała Delia, i z prochami ostatniej osoby, która ją widziała - stanowi jego pole startowe. Trafił na właściwy trop, choćby dlatego, że Janet pierwsza nie wytrzeszczyła oczu na wzmiankę o Tomie Parishu i Instytucie Hobbesa. Ta świadomość wywołała natychmiastowy fizyczny skutek. Bol ustąpił, tlen wypełnił Royowi płuca - poczuł się silny, mocny, trzeźwy na umyśle tak samo jak rok, pół roku albo nawet trzy miesiące temu.

-Janet, zamierzam poszukać tych dowodów - zapowiedział. - Wolalbym, żeby mi pani pomogła, ale i bez pomocy nie odstępia od zamiaru.

-Grozi mi pan? - spytała.

-Nie musi się to odbyć w niezgodzie - powiedział Roy. - Ale jeżeli nie...

Wolna ręka sięgnęła pod sweter, za pasek spodni. Roy przypomniał sobie poniewczasie o pistolecie. Sprawy nabrały tempa. Pistolet na widoku, lufa w gorze. Roy, zaprawiony w takich sytuacjach na lodowisku, niewiele myślał, rzucił się na nią, jak gdyby frunął w powietrzu. Odległość nie była duża, a nogi zawsze miał silne, ale nie wiadomo dlaczego, nie doskoczył, tylko pacnął Janet słabo w rękę i upadł.

Wyladował z loskotem na złamanej ręce, gips pękł. Krzyknął z bólu, zabrakło mu tchu w piersiach. Janet, straciwszy równowagę, potknęła się o puszkę farby i też runęła dość niefortunnie. Pistolet i urna również upadły na podłogę. Wieczko urny odskoczyło.

Roy podczołgał się do pistoletu, z trudem chwytając powietrze. Chwycił broń, odwrócił się. Janet kłęzała i wpatrywała się w niewielką kupkę grafitowego pyłu - prochy.

-O Boże! - zawołała.

Zaczela sie kolysac.

Roy wstal, zerwal pekniety gips z reki, bol wcale sie nie nasilil, moze nawet odrobine zelzal, i podszedl do kobiety. Schowal pistolet do kieszeni, uklakl przy niej. Janet nie zwracala na niego uwagi.

-O Boze - powtarzala w kolko. - O Boze.

Siegnal po urne i polozyl ja na podlodze, tak jak podstawia sie szufelke, i zaczal zgarniac reka prochy. Krematorium, moze nawet za granica, nie bardzo sie postaralo, chyba ze zwykle w prochach mozna znalezc male odpryski kosci. A co to? Co tu moze blyszczec?

Wyluskal to cos. Janet za jego plecami zamilkla. Metalowy przedmiot z wysokogatunkowej stali weglowej - bo przeciez znal sie na metalach - pieciocentymetrowa blaszka nierowna na brzegach, czesciowo szerniala z jednej strony, zakonczona w szpic z drugiej. Odlamane ostrze noza.

Janet zakryla usta. Oczy jej sie rozszerzyly i pociemnialy.

-Zostal zamordowany? - spytala.

Roy nie odrywal wzroku od ostrza. Nawet odczytal wryte na nim litery: caria.

-Potwierdza pan? - dociekala. - Tak mam to rozumiec? - Wbila mu paznokcie w reke. Nie wiadomo dlaczego, nic nie poczul. - Niech pan mi powie, co to znaczy.

-To wszystko - powiedziała Janet. Po powrocie do domu siedzieli przed kominkiem. Wyciągnęła tekturowe pudła... trzy, cztery i kolejne... i wysypała ich zawartość na dywan. - Więcej nie mam. Spędził nad nimi wiele godzin. Znalazł trzy dowody rzeczowe.

Pierwszy: Wśród wielu dowodów wyplaty tylko jeden nie pochodził z MIT. Czek z Inwestycji Verdadero na sumę 783,56 dolara dla Paula Habiba.

-Co to za spółka? - zapytał.

-Nie mam pojęcia - odparła.

Drugi: Kolorowe zdjęcie z lotu ptaka, a dokładnie z lecącego wysoko samolotu lub z satelity, przedstawiające ogromną kanciastą budowlę z wieżami we wszystkich rogach. Wydruk komputerowy był na dole opatrzony podpisem: "Operacja Ananas". Ale nie mogło być zrobione w Wenezueli. Dookoła ciągnęła się pustynia, i to nietypowa dla południowego zachodu Ameryki, lecz klasyczna, z wydmami rzucającymi czarne faliste cienie.

-Gdzie to jest?

-Nie mam pojęcia.

Trzeci: Kolejne zdjęcie, tyle że czarno-białe i nieostre. Paul, młodszy i szczuplejszy, niż zachował się w pamięci Roya, siedzi na płocie i się śmieje. Za nim stoi bokiem mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Też

sie smieje. Chociaz zdjecie bylo niewyrazne, a twarz mezczyzny ginela pod rondem kapelusza, wlosy zas miał szatynowe, nie siwe, to byl prawie na pewno Calvin Truesdale.

-Pani go zna? - spytal Roy.

-Nie - powiedziala Janet. - Nigdy tego zdjecia nie widzialam. - Przyjrzała mu sie uwaznie. - Kto to jest?

Roy czul, ze czeka niecierpliwie na jego odpowiedz. Uznal, ze chyba zbyt niecierpliwie.

-Nie wiem - sklamal.

-Ale uwaza pan, ze to wazne? - Nagle cos ja tknelo, moze nawet przestraszylo. - Z powodu osoby, ktora zrobila to zdjecie?

-Moze.

-A kto je zrobil?

Roy nie chcial powiedziec. Jezeli to wszystko bylo prawda, dlaczego Delia do niego nie wrocila? Przypomniala mu sie znowu odpowiedz Delii, kiedy zapytal ja o prace i kiedy wyjawila mu, ze ma mieszane uczucia. Przerazil sie na to wspomnienie.

-Co sie dzieje? - zapytala Janet.

Spojrzala w okno, potem na Roya.

-To ja pania pytam - odparl.

Ogień wygasł, jeszcze kilka węgli zarzyło się w palenisku, i to słabiej niż oczy Janet.

-Zawsze w głębi duszy czułam niepokój, bo tylko tam mogłam spuścić zasłone na całe swoje małżeństwo.

- Podala mu zdjęcie. - Pan też?

-Nigdy - zaprzeczył Roy.

Oczy zaszyły jej łzami, przepelnily się.

-Sadziłam, że już do końca wyplakałam oczy.

-Nie odzyska pani spokoju, dopóki pani nie wyjawí wszystkiego, co ukrywa - powiedział Roy. Wtem coś mu przyszło do głowy. - Czy Paul kiedykolwiek wspominał o kobiecie imieniem Lenore?

-Nie.

-Wysokiej Mulatce, obecnie po czterdziestce?

Janet wybaluszyła na niego oczy.

-Widziałem ją - dodał Roy. - Kim ona jest?

Janet się cofnęła.

-Nie wiem, o kim pan mówi.

-Oczywiście, że pani wie.

Potrzasała tylko przecząco głową, uparcie jak dziecko.

-Niech pan już idzie - poprosiła.

-Proszę mi pomóc - rzekł Roy. - Razem to rozwiłamy.

-Jasne! Też mi współnik!

Spojrzała na jego zakrwawioną rękaw, pozostałość po krwotoku z nosa.

-Bardzo proszę.

Ona jednak nie przestawała kręcić głową. Wyszedł.

Roy jechał na północ, przecinał kanał Cape Cod, na tylnym siedzeniu wioził trzy dowody rzeczowe. A: dowód wypłaty Paula Habiba z Inwestycji Verdadero. B: fotografie z lotu ptaka przedstawiająca dużą budowlę na pustyni. C: czarno-białe zdjęcie Habiba z Calvinem Truesdale'em. Trojkat ABC. W szkole nie był najlepszy z geometrii, co z perspektywy czasu bardzo go dziwiło, ale teraz zajmował się trochę trójkątami, zwłaszcza kiedy pracował nad cyklem Neandertalczyków. Ponieważ w nocy na drodze nie było ruchu, jechał sam w słonecznym naprzód żółtym tunelu światła własnego samochodu, obracał intensywnie trójkąt ABC w myślach, przy czym ta chwiejna, a zarazem mroczna, niejasna figura nie tyle kreciła się w przestrzeni, ile w czasie, zwłaszcza przeszłym. Wiedział, że zaraz natknie się na twarde orzechy. Całe swoje artystyczne życie spędził na rozwiązywaniu problemów przestrzennych, natomiast czasowe stanowiły dla niego nowość. A przecież, na Boga, też go dotyczyły. Nieosłonięta gipsowa ręka pulsowała mu na kolanach, w jednym rytmie z wielkim silnikiem V8 i mocno profilowanymi oponami śnieżnymi na suchej nawierzchni. Włączył radio, znalazł stację jazzową. Puszczała wolny, senny kawałek, głównie delikatny kontrabas i lekki szmer na miotłach perkusyjnych. Następnie odezwał się prezydent cichym, sennym głosem. Zapewne lepiej zarobiłby jako hipnotyzer. Powieki Roya stały się ciężkie. Zastanawiał się, czy nie zjechać na pobocze, kiedy usłyszał "For All We Know" w wykonaniu Billie Holiday.

Od razu się ocknął. Niemal czuł, jak w różnych częściach mózgu zapalają mu się obwody elektryczne. Te piosenki zagrał nad grobem Delii jej znajomy gitarzysta, podstarzały hipis, który w piątkowe wieczory grał w pubie Ethan, jej ulubionym lokalu w całej dolinie, głównie ze względu na koktajl z krewetek, bo zawsze go zamawiała, jeżeli tylko był w karcie. Po jednym czy dwóch drinkach zaczynała go prosić o coraz bardziej romantyczne kawałki - "Every Time We Say Goodbye", "My Romance", "I'll Be Seeing You", "Here's That Rainy Day", "It Never Entered My Mind", "Little Girl Blue". Znała wszystkie teksty, miała wielki zbiór takich piosenek, co zaskoczyło Roya. Gitarzysta z rozkoszą spełniał jej prośby. Na jej pogrzebie wystąpił w krawacie; tylko wtedy Roy widział go w takim stroju.

Był pierwszy dzień w tym roku, roku śmierci Delii, kiedy zapachniało wiosną, słońce przygrzało mocniej, a wiatr przyniósł ciepło, którego brakowało od miesiąca. Kto stał nad otwartym grobem? Roy z przodu, za nim pastor, dalej Turk ze swoją ówczesną żoną, tamten gitarzysta, jeszcze kilka osób, ale nie mógł sobie przypomnieć kto. Tom Parish? Z pewnością był na nabożeństwie żalobnym w kościele, ale na cmentarzu? Chyba nie. Roy pamiętał tylko ciepły wiatr, "For All We Know", złote liście na białej trumnie, huk, z jakim pierwsza symboliczna łopata wilgotnej wiosennej ziemi spadła na wieko.

Kiedy Roy wjechał do Vermontu, zaczął przyszczyć śnieg, małe płatki wisiały nieruchomo w świetle reflektorów. Wyjął telefon. W spisie miał wszystkich zawodników Stringów. Wybrał numer Freddy'ego Boudreau.-Roy? Odbiło ci? Jest trzecia nad ranem.

-Wiem - powiedział, chociaż, prawdę mówiąc, na śmierć zapomniał o zegarze. - Zastanawiałem się, czy facet z patrolu śnieżnego oddał ci telefon Skippy'ego.

-Nie mogłeś się zastanawiać kilka godzin dłużej?

-Przepraszam - powiedział Roy. - No to oddał czy nie?

-Oddał. Ale przedyskutujemy...

-I pojechałeś tam?

-Dokąd?

-Do schroniska, żeby się rozejrzeć - wyjaśnił Roy.

-Uczysz mnie, jak mam wykonywać swoją robotę? - spytał Freddy.

-Nie o to chodzi - sprostował Roy. - Tylko...

-Sądziś, że mamy środki na przeszukiwanie lasu po nocy? - rzekł Freddy. - To się grubo mylisz!

-Nie sądzę - odparł Roy.

-Dlatego czekam na światło dnia.

-Po prostu martwie się, czy on...

-Idź spać, bo zaczynasz mnie już wkurzać.

Roy zaparkował pod stodołę. Wyjeżdżając, zostawił zapalone światło. Fragmenty Delii zobaczył w kilku wysokich oknach, bardzo podobne do fragmentów układanki. Wszedł do środka. Wszystko było

normalnie, ale ogarnelo go osobliwe uczucie, jak gdyby to miejsce przestalo do niego nalezec. Kiedy po raz ostatni jadal? Nie pamietal. A przeciez jego obowiazkiem bylo teraz jesc, odpoczywac i nabierac sil. Czysms wiecej niz obowiazkiem, celem w zyciu. Jak to swiadczy o czlowieku, jezeli zapomina o zyciowym celu? Otworzył lodowke, niewiele znalazł - kilka butelek piwa, sok pomarańczowy, befsztyk kupiony dla Skippy'ego, ananas - produkt wenezuelski - od Dickiego Russo. No i lody w zamrazalniku. Ale nie miał na nie ochoty. Odciał czubek ananasa, pokroił owoc na tuzin plasterów, bardzo dokładnie, jak gdyby pracował nad nowym dziełem. Następnie zaczął jesc, najpierw powoli, potem zwiększył tempo, pochłaniał ananasa coraz łapczywiej jak wygłodzone zwierze, aż sok sciekł mu po brodzie.

Wszedł do sypialni, położył się na łozku. Na ostatnich nogach, jak brzmiało powiedzonko; tak mówiła jego matka, kiedy wracała do domu z nocnej zmiany, a Roy szykował się do szkoły. Sam nieraz był zmęczony, ale nigdy nie czuł się na ostatnich nogach. Teraz rozumiał różnicę między baterią wymagającą doładowania a kompletnie zużyta, która należy wymienić. Zamknął oczy. Najpierw porządnie się wyspi, a potem...

Oczy jednak otwierały mu się same. Jedna część mózgu, niekoniecznie racjonalna, doceniająca mądrość stwierdzenia: Sądysz, że mamy środki na przeszukiwanie lasu po nocy? nie chciała się wyłączyć.

Nagle zmroziło go określenie przeszukiwanie lasu. Niosło fatalne skojarzenia.

Poszedł do łazienki, obejrzał sobie złamaną rękę. Wychudła, ale to chyba normalne? Pulsowanie oznaczało, że się do końca nie zrosła. Nic dziwnego. Odkrecił kran, przemył ostrożnie przedramię ciepłą wodą. Kojąca ciepła woda dobrze mu zrobiła. Marzył, żeby lala się tak w nieskończoność.

W apteczce znalazł bandaż elastyczny, obwiązał sobie starannie rękę. Włożył kalesony, spodnie narciarskie, polar, czapkę, buty, zdjął kurtkę z haczyka przy drzwiach. Śnieg padał w dalszym ciągu, ale wiatr ustał. Spojrzał na termometr obok drzwi. Minus trzynastcie stopni. Przypiął rakiety śnieżne, wrzucił kijki do polciezarówki i ruszył w stronę podnoża góry.

Pokusa, żeby chodzić nocą po górach, nawet taka bezkieszcowa, bezgwiezdna jak ta, wcale nie świadczyła o głupocie - jak mogłoby sądzić człowiek z nizin - jeżeli ktoś znał tak dobrze okolice jak Roy. W każdym razie tak sobie powiedział, kiedy ruszył na szlaki: z Bananowej Łodzi na Trasę Lubego, z niej na Morderczy Szlak i dalej na przełęcz. Mimo ciemności szlaki odcinały się jasniejszym światłem niż odwrócone cienie. Wciąż prosił śnieg. Roy wprowadził go nie widział, ale czuł płatki zsuwające mu się po twarzy. Wokół bezwietrzna, spokojna noc, wśród której narastało tylko coraz głośniejsze sapanie. Roy parł naprzód w kierunku przełęczy, żeby przejść na drugą stronę góry, kiedy zrozumiał, że to on tak sapie. Zawstydzil się, że tak hałasuje w lesie. Przystanął, oparł się o armatkę śnieżną i próbował uspokoić oddech. Chwile to trwało, zwłaszcza że znowu poczuł się tak, jakby mu ktoś odciał u dołu dostęp do trzeciej części, może nawet połowy płuc. Następnie się przeciągnął, wypiał piers, wciągnął tyle powietrza, ile mógł, nie unikając przy tym bólu, żeby złamać w sobie te blokady. Trochę pomogło. Kilka razy normalnie, głęboko odetchnął, kijkami zepchnął śnieg z czubków rakiet i poszedł dalej.

Przełęcz wyrabana przez Ski America po długiej batalii z państwowymi oraz miejscowymi towarzystwami ochrony środowiska zwała się wzdłuż grani, zgodnie z warunkami końcowej umowy. Roy bardziej czuł, niż widział zbliżające się drzewa, co przyniosło mu ulgę i otuchę. Na tej wysokości rosły już prawie tylko świerki. Na ostatnie, jak się potem okazało, Boże Narodzenie Delii ściał taka choinka i zawłokł do domu.

Roy, czy to zgodne z prawem? Szara strefa.

W niej zaczynają się problemy.

Zrobiła anioła z papier mache i zatknęła na czubku choinki. Wyglądał dziwnie, bardziej przypominał diabelka, bo Delia nie miała za grosz talentu artystycznego.

Temperatura spadła o kilka stopni, faktura sniegu uległa zmianie. Bardziej szorstki chrzescił teraz na zboczu góry pod raketami. Zerwał się wiatr. Roy nie od razu go poczuł, bo najpierw usłyszał cichy świst w wierzchołkach drzew. Z górnej gałęzi spadła gruda sniegu. Roy siedł przed siebie wpatrzony w ciemności. Boczna gran Szlaku Appalachów, szerokości najwyżej półtora metra do dwóch, trudno było wypatrzeć nawet za dnia. Odchodziła w bok od przełęczy na samym grzbiecie, gdzie deskarze urządzili sobie pole startowe. Roy pisał się coraz wyżej. Wiatr dał silniej, schodził niżej z wierzchołków drzew i dopadł go. Roy słyszał dziwny gwizd wzmagającej się wichury. Już sądził, że musiał przegapić skręt, gdy wtem zobaczył przed sobą stromą ścieżkę. Ruszył naprzód, dzwignął się na kijkach, wspinał na gran. Posuwał się w

slimaczym tempie, co z toba, chłopie. Kiedy zbliżał się do szczytu, co poznał po nagłym podmuchu, który uderzył go na nieosłoniętej przestrzeni w twarz, usłyszał loskot, jak gdyby kolejna bryła śniegu spadła z hukiem z galezi, tyle że głośniejszy. Odgłos bardziej przypominał trzask niezabezpieczonych drzwi.

Roy źle stąpił, pięta jednej rakiety nadeptał przed drugiej. Co za niezgrabność, zupełnie do niego niepodobna. Przecież od małego chodzi na raketach. Stracił równowagę, upadł, przełożył kolano do podnoża grzbietu i turlał się tak, nabierając śniegu za kołnierzyk, aż uderzył nogami w drzewo.

Leżał teraz na wznak. Śnieg zaczął lodowatymi igielkami, siekł mu twarz. Nietrudno sobie wyobrazić, że zatyka dziurki w nosie, zasypuje go całego; nie trzeba by długo czekać. Podobno śmierć przez zamarznięcie nie niesie bólu, a nawet pod koniec czuje się ciepło.

Roy chrząknął gniewnie. Sam do siebie poczuł obrzydzenie. Co z toba, chłopie? Siegnął do wiązań, sprawdził, czy trzymają. Pomacał dookoła, żeby znaleźć kijki, ale bez skutku. Podkulił nogi, wstał, zaczął schodzić. Coś twardego uderzyło go w złamana rękę. Nie poczuł bólu. Co to było? Jego kijek sterczący w śniegu. Poprawił mu się nastrój. Roy złapał kijek i ruszył dalej.

Pisał się coraz wyżej, podpierając kijkiem, wolną ręką obmacując śnieg, na samej grani siedział już na czworakach. Tak na oko lekko nie jest, chłopie. Kleczał chwilę zasapany. Wiatr wzmożył się jeszcze bardziej. Roy zorientował się, że zgubił czapkę. Niedobrze.

Gdzie jest ta odnoga grani? Powinna być po prawej, chyba że całkiem pomylił drogę. Spojrzał w tamtą stronę, wypatrując w ciemnościach niewielkiej przecinki, i zobaczył nagle żółte światełko, wprawdzie chybotał, ale pewne.

Skierował się w jego stronę, a już kilka kroków dalej znalazł się poza zasięgiem wiatru, na bocznej grani, na bardzo wąskiej ścieżce z obu stron zasypanej szyszkami. W kopnym śniegu posuwał się wolno z jednym kijkiem, ale brnął przed siebie w ciszy przerywanej jedynie dudnieniem rakiet. Wtem ponownie rozległ się tamten dziwny gwizd. Co to, do diabła, za dźwięk? Zatrzymał się, nasłuchiwał. Cisza. Znow ruszył, i znow ten gwizd. Musiał przejść jeszcze kilka kroków, żeby pojąć oczywistą prawdę.

Żółte światło jasniało, stabilizowało się. Po chwili zobaczył wielką bryłę schroniska odcinającą się od kompletnie czarnego nieba. Zbliżał się do celu. To tam jasniało żółte światło. Roy zobaczył kwadratowe

okna, za którymi spodziewał się ciepła i bezpieczeństwa. Czyżby Skippy się tam ukrywał? Niezła kryjówka, zwłaszcza w zimie, kiedy turyści nie chodzą po szlakach. Niezła kryjówka. Lebski chłopak, chociaż nikt się na nim nie poznał. Ale jak jego komórka znalazła się w zaspie śnieżnej? Coś tu nie grało.

I wtedy Royowi przyszła do głowy zdumiewająca myśl, niczym pierwszy szkic cudu religijnego. Spotkajmy się tutaj. Gdyby cokolwiek się stało, spotkaj się ze mną tutaj.

W całkowitym milczeniu, wstrzymując oddech, żeby nie świszczec, podkradł się do schroniska. Uchylił nieco drzwi. Światło oświetliło ślady butów narciarskich w śniegu na schodach. Narty stały oparte o ściany. Roy odpiął rakiety, wszedł do środka. Stapał cicho po śladach.

Na przykład co?

Coś złego. Gdybyśmy się rozdzielili, gdybyś mnie nie mógł znaleźć.

Serce mu waliło. Słyszał je niczym loskot bebnów w nocy. Siegnął do drzwi, pchnął. Otworzyły się.

W głębi schroniska, przy ławkach piętrowych, tyłem do niego klęczała kobieta w kombinezonie narciarskim. Tak jakby czegoś szukała pod ławką. Miała na sobie czerwony kombinezon, czerwoną czapkę, czerwone buty narciarskie. Żaden cud, lecz chłodna, logiczna kalkulacja. Brakowało jedynie kilku faktów, żeby wszystko ułożyło się w sensowny łańcuch.

Wszedł do środka.

-Delia?

Rozdział 24

Odwrocila sie. Nie, to nie Delia.

Roznila sie od Delii pod wieloma wzgledami, ale przede wszystkim sniada karnacja, kawa z mlekiem, a spod narciarskiej czapki wystawal jej rabeek Isniacych czarnych wlosow.

Lenore. Druga strona: to sie dzialo na jawie.

Wstala opanowana, bez pospiechu. Zmienil jej sie wyraz twarzy. Znikl z niej strach, ustapil miejsca zaskoczeniu, a moze jeszcze bardziej stonowanej reakcji. Przeniosla wzrok z Roya na otwarte drzwi za nim, na kijek narciarski w jego rece, ponownie na twarz.

-W tych stronach wchodzi sie bez pukania? - odezwala sie.

-Gdzie jest Skippy? - zapytal Roy.

Uniosla brwi.

-Skrzywdzilas go?

-Nikogo nie skrzywdzilam - odparla Lenore. - Nie wiem, o czym pan mowi.

-O szesnastolatku, który natknął się na ciebie przy paczkami Dunkin' Donuts - powiedział Roy. - Ciebie i Westiego. - Poczul na karku chłodny powiew, kopniakiem zatrzęsł drzwi, nie odrywając oczu od kobiety. Drażnił go jej spokój, który mu się jednak udzielił, mroząc gniew w nieznane dotąd uczucie. - Opowiedz mi o tamtym pokoju.

-Jakim pokoju? - spytała Lenore.

Cofnęła się w stronę łozek, rzucała teraz długi cień na podłogę. Jedyne światło pochodziło z małej, prostokątnej lampy u jej stóp.

-Na zapleczu sklepu winiarskiego - wyjaśnił. - O pokoju, w którym zniknął Tom. Co tam się dzieje?

Lenore milczała. Roy wskazał kijkiem podłogę pod łozkami.

-Czego tam szukałaś?

-Niczego.

Zrobił krok w jej stronę. Lenore cofnęła się jeszcze o krok, stała już oparta plecami o łozko.

-Lepiej się wytłumacz - powiedział. - Bo teraz wszystko się wyda.

-Co miałyby się wydąć? - spytała.

-Siadaj - zazała.

Nawet nie drgnęła. Nie dorównywała Royowi wzrostem, była drobniejszej postury i nie tak silna.

-Zacznij od Instytutu Hobbesa - polecił.

-Nigdy o nim nie słyszałam.

-Wiedz, że widziano cie w Ethan Valley. Mam świadków.

Wyraznie zaczęła myśleć. Roy też zaczął zachodzić w głowę, czy to możliwe, że gdzieś tu jest Westie, może nawet w pobliżu? Nadstawił ucha, ale usłyszał jedynie wiatr swiszczący na dworze. Przełożył kijek do zdrowej ręki.

-Siadaj - powoli zadanie.

Spojrzała na kijek, usiadła na dolnym łozku.

-Czego szukasz?

-Koca. - Patrzyła mu prosto w oczy, może nie spodobało jej się jego spojrzenie. - Utknelam w tym miejscu. Szukałam koca, w razie gdybym musiała tu nocować.

Roy wskazał stos szarych wojskowych koców na gornym łozku.

-Utknelas? A co cie tu przywiodło? - spytał.

Nie odpowiedziała.

-Pokaz mi bilet z wyciagu.

Spojrzała na swój czerwony kombinezon. Nie było na nim biletu. Czyli weszła tu po ciemku tak samo jak on, tyle że w butach narciarskich i z nartami na ramieniu; ciężkie podejście.

-A może coś tam chowałaś? - dociekał. - Tak?

Patrzyła na niego bez słowa.

-Odsun łozko od ściany - zazała.

-Sam sobie odsun - odparła.

Postąpił krok naprzód, wymierzył do niej kijem. Wiatr się rozhulał, płatki śniegu bombardowały okna. - Zrobie, co będę musiał - zagroził.

Po jej oczach poznał, że mu uwierzyła; zmieniła ton.

-Dokąd mam odsunąć?

Pokazał.

-Chcę zajrzeć pod spód.

Pod łozkiem było wystarczająco dużo miejsca, żeby się zmieścił dzieciak, zwłaszcza tak chudy jak Skippy.

Lenore chwyciła dwa pionowe słupki łóżka i pociągnęła. Przesunęło się gładko. Co zobaczył pod nim? Jedynie kleby kurzu na nieheblowanych sosnowych deskach, mniej wydeptanych niż reszta podłogi. Roy spojrzął na łóżko. Czyżby w nim właśnie spał z Delia tamtej nocy podczas Zimowego Karnawalu? Tak mu się zdawało. Gdybysmy się rozdzielili, gdybys mnie nie mógł znaleźć. Poraziła go nieprawdopodobna, wręcz szalona myśl, ale taka właśnie była Delia.

-Zerwij te deski - polecił.

Już wiedział, co Lenore robi w schronisku, czego szuka.

-Po CO?

-Oszczędze ci czasu.

-Nie rozumiem - wyznała.

-Bo odsłonię kryjówkę - powiedział Roy.

-Co tam ma niby być?

Czyżby przez twarz przemknął jej nikły uśmiech? Roy uderzył bardzo mocno kijkiem w materac, tuż koło niej, aż zadudniło w całym schronisku.

-List - powiedział. Serce znów zaczęło mu łomotać z podniecenia, które ledwo wytrzymała jego piers. - Czy cokolwiek mi zostawiła?

-Ale kto? - spytała Lenore.

-Dobrze wiesz, kto. Delia.

-Nic mi to imie nie mowi - stwierdzila.

Jak najbardziej mowilo. Zobaczył to w jej oczach. Jeszcze jak mowilo!

Podszedł, spojrzal na podloge, zauwazyl obluzowana deske pod sciana, od ktorej dzielila ja polcentymetrowa szpara.

-Zaczniij tam - polecil, wskazujac kijkiem.

-Ale co?

-Juz powiedzialem. Zrywac deski.

Lenore ani drgnela. Zmierzyła go chłodnym wzrokiem od stop do glow.

-Ja tez chce o cos spytac. Co ci jest?

-W jakim sensie? - zainteresowal sie Roy.

-Najpierw miales atak, napad kaszlu czy jak go tam zwac - powiedziala. - Jesteś chory?

-Nie - zaprzeczyl Roy.

-To powazna choroba?

-Na nic nie jestem chory - zaprzeczył. Ale drzał na całym ciele i nie mógł tego powstrzymać. Wycelował kijek narciarski w jej twarz. - Zrywaj te przeklęta podłogę.

-Jak? - spytała.

Pierwsze właściwe i uczciwe słowo padło z jej ust. Rozejrział się, zauważył przy piecyku na drewno pogrzebacz. Oczywiście nie mógł pozwolić, żeby go wzięła do ręki, ale...

Kattem oka dostrzegł nagły ruch, błysk czerwieni. Rzuciła się na niego jednym susem, wyrwała mu kijek i przygwozdziła do podłogi chwytem, którego nie zdążył odeprzeć. Złapała go z tyłu za szyję, zaczęła zaciskać ręce. Chłód zniknął z jej oczu, teraz zapalały ogniem. Z lubością wykonywała swoją pracę. Miała zamiar zabić Roya. Wil się pod nią, wykrecał, usiłował wywinąć, i w tym momencie wyczuł w prawej kieszeni kurtki twarde przedmiot, pistolet Janet Habib, o którym całkiem zapomniał. Wyszarpnął rękę, sięgnął, wyciągnął broń. Oczy Lenore zrobiły się okrągłe. Rozluźniła nieco uścisk. I wtedy rąbnął ją pistoletem w twarz.

Krzyknęła, upadła na wznak. Roy, jeszcze na podłodze, wycelował w nią pistolet. A jej broń? Z przyjemnością uswiadomił sobie, że jej rewolwer jest w komisariacie, w biurku Freddy'ego Boudreau.

-A teraz odpowiedz mi na kilka pytań - powiedział. - Zaczniemy od Skippy'ego.

-Dobrze - odparła, mimo że z ust ciurkała jej krew. - Tylko pozwól mi...

Po czym kopnęła butem narciarskim, tyle że nie w Roya, lecz w przenośną lampę, która poszybowała do góry i zgasła pod sufitem. Pociągnął za spust. Usłyszał cichy trzask. Bezpiecznik? Roy nie znalazł się na broni. Zaczął majstrować przy niej po ciemku, ale drzwi schroniska otworzyły się z hukiem i Lenore wybiegła na dwór.

Zerwał się, zobaczył we framudze mrok nocy trochę jaśniejszy od ciemności w schronisku. Wiatr się wzmożył, skowytał wśród drzew. Roy ujrzał ciemną sylwetkę Lenore smigającą na śniegu. Doleciał go

stukot niesionych nart. Wybiegl. Schyliła się. But z trzaskiem wpasował się w wiązanie. Podniosła się, schyliła nad drugą nartę. Odkopnął ją w bok. Lenore syknęła wściekle, usiłowała wyrwać mu pistolet, ale jej się to nie udało.

Roy wymierzył do niej i zawołał, przekrzykując wiatr:

-Czekam na odpowiedzi!

Lenore również podniosła głos.

-Jeszcze nie zrozumiałe?! - odkrzyknęła. - Nigdy ich nie poznasz.

I wtedy nieoczekiwanie odepchnęła się wolną nogą. Za późno się zorientował, co robi Lenore. Odjechała na jednej nartę. Strzelił. Wichura zagłuszyła odgłos wystrzału. Lenore prawie natychmiast znikła mu z oczu spowita mrokiem nocy i zamiecia śnieżna. Stał jak wryty. Usłyszał jeszcze ostry, krotki chrzest na zakrecie brany z wprawa, bez poślizgu. Kolejny chrzest. A potem już tylko wycie wiatru.

Sluchał z przejęciem, modlił się o odgłosy upadku. Ale się nie doczekał. Pewno była już na przełecy. Gonic ją w rakietach? Bez sensu. Jeżeli znalazła go albo choćby przez pięć minut studiowała mapę szlaków, to wiedziała, jak dotrzeć na skróty do Swobodnego Jezdca - szerokiej, równej nartostrady na sam dół. A jego telefon komórkowy? Został w polcizarowce.

Wrocil do schroniska, zamknal drzwi. Kiedy szedl przez sale, wpadl na piecyk. Obszukal wierzch po omacku, znalazl zapalki. Zapalil jedna i chwile potem zaplonely dwie grube swiece. Z pomoca pogrzebacza i szczypiec wywazyl obluzowana deske przy scianie pod lozkiem, w ktorym spal z Delia podczas Zimowego Karnawalu. Nic tam nie bylo. Podwazyl kilka kolejnych desek z podobnym skutkiem. I na wszelki wypadek jeszcze jedna. Nic. Zadnego znaku.-Delio, blagam cie - poprosil.

Usiadl na podlodze miedzy dwiema swiecami oparty o sciane. Nigdy w zyciu nie mial klopotow z plecami, a teraz raptem poczul bol posrodku miedzy lopatkami, w miejscu, gdzie ktos moglby celowac. Przemyslal wszystko, sprobował ulozyc spojna wersje zdarzen na podstawie widzianych i zaslyszanych faktow. Nie ukladaly sie w logiczna calosc powiazana od A do Zet. Inna sprawa, ze nie wiedzial, co oznacz Zet. Ale czy aby mogl byc pewien A?

Owszem, to druga strona stanowila A. Przypuszczalnie zatem poznal juz czesc pozostalych spraw miedzy A i Zet. Zastanawiala go najistotniejsza - obstawanie Janet przy tym, ze widziala Delie na tylnym siedzeniu limuzyny. Czy byla to informacja prawdziwa, czy falszywa? Miala zabandazowana glowe, ale i tak ja poznalam.

Roy musi odkryc prawde.

Nic wiecej nie mialo dla niego znaczenia. Serce, ktorego nigdy wczesniej nie byl tak bardzo swiadom, ponownie zaczelo walic. Tym razem lomot zatykal mu dech w piersiach, bo zachlanne serce zuzywalo caly dostepny tlen. Przez chwile sadzil, ze juz nie zdola zaczerpnac tchu. Najadl sie strachu, zrozumial, co czuje tonacy. Powoli jednak oddech wrocil, z poczatku slaby, stopniowo glebszy, normalniejszy, w kazdym razie wedle obecnych norm Roya. Wstal, przypial rakiety do nog, zdmuchnal swiece.

Przyszlo mu do glowy, zeby zostawic wiadomosc. Delio, odszukaj mnie. Jednakze nie zdazyl sie jeszcze dowiedziec, czy ta prosba w ogole ma sens. Na razie przypominalo to pytanie o litere alfabetu wykraczajaca poza Zet. Musial zdobyc dowod. Wiedzial, gdzie szukac, ale najpierw musial sie odpowiednio uzbroic, bo nie wiadomo, co tam go moze czekac. Zeby sie uzbroic - to okreslenie kojarzylo sie z metalem - wyprostowal sie, zebral w sobie, jak gdyby rzezbil wlasne cialo. Naplynela tez energia,

moze falszywa, ale nie mniej przydatna od prawdziwej. Napędzała ją wściekłość - wściekłość na ucieczkę Lenore, która tak łatwo pokonała go w walce fizycznej, a co gorsza, była kobieta.

Wiatr ucichł, śnieg przestał padać, lecz dolina tonęła jeszcze w ciemnościach, kiedy Roy zaparkował na placu za kościołem kongregacjonalistów. Na nogach znowu miał rakiety, na ramieniu śnieżna szufle i łopate oraz latarkę wiszącą przy pasku. Przemierzał cmentarz. Ziemię pokrywał kopny śnieg, w który dodatkowo obciążony Roy zapadał się z każdym krokiem o kilka centymetrów głębiej. Wiedział, że jest na ostatnich nogach, ale nogi jakby nie przyjmowały tego do wiadomości. Parły naprzód jak para nożyc. Ciemności zasnuwały niebo, w dole rysował się jeszcze ciemniejszy las, ale śnieg na cmentarzu lśnił nikłym blaskiem, dlatego Roy nie potrzebował latarki, dopóki nie doszedł do ostatniego rzędu z grobem Delii. Uporządkował go, zanim pojechał do kliniki doktora Chu, lecz teraz znowu spadł śnieg, toteż nagrobek ledwo wystawał spod warstwy puchu. Plastikowa szufle delikatnie odgarnął śnieg z kamiennej płyty, zapalił latarkę, żeby sprawdzić. Przeczytał wyryty tam napis: Mary Ann Little. Podeszedł do sąsiedniego grobu, powtórzył próbę.

Delia Stern.

Zgasił latarkę, zaczął odsnieżać. Odgarnął szufle pół metra puchu, spychając go na bok, między drzewa. Potem trafił na ubity śnieg, z którym poszło mu wolniej. Zdjął kurtkę, zaciągnął mocniej bandaż elastyczny, wrócił do szufli. Mózg wydawał rozkazy, a ciało mimo uszczerbku na zdrowiu je wykonywało.

Fontanna w Instytucie Hobbesa pięknie szemrała, pluskając i bulgocząc.-Zainstalujmy sobie podobną.

-Ale co zainstalujemy, Roy?

-Taka fontanna w stodole. Mniejsza, ale fajniejsza. Moglibyśmy napuścić dużych miedzianych ryb.

-Pełen pomysłów, co?

-Przepraszam.

-To komplement.

Delia odchyliła głowę, wypila szampana. Roy zauważył, że przygląda jej się jakiś mężczyzna.

-Spójrz - powiedział. - Czy to wiceprezydent?

-Co ta gadzina tutaj robi? - spytała.

-Gad miałby być wiceprezydentem? - zaszotał Roy. Głupi żart, ale takie zwykle śmieszyły Delię. Tym razem jej nie rozbawił.

Wiceprezydent z kims rozmawiał, jeszcze raz spojrział na Delię.

-Znasz go? - zaciekawił się Roy.

-Dlaczego miałabym go znać?

-Nie wiem, ale chyba idzie w naszą stronę.

Wiceprezydent szedł ku nim po marmurowej posadzce. Kilku mężczyzn w czarnych garniturach za nim. Roy ciszył głos.

-Jak mam się do niego zwracać?

-Chyba lubi "jego wysokość" - powiedziała Delia, nie cisząc głosu, a może nawet ciut podnosząc.

-Delia Stern? - zwrócił się do niej wiceprezydent z szerokim uśmiechem. - Podobno znakomicie się pani spisuje w pracy. Moje gratulacje.

Uściskał jej dłoń oburącz; ten gest skojarzył się Royowi z pastorami z południa, choć w rzeczywistości nigdy go nie widział.

-Dziekuje - powiedziala Delia. - Pan pozwoli, moj maz Roy Valois.

Royowi wiceprezydent uscisnal reke normalnie.

-Szczesciarz z pana, mlody czlowieku - pogratulowal. Na chwile oslepil Roya blysk swiatla odbity od okularow wiceprezydenta. Zaczal mowic:

-Alez to bardzo...

W tym momencie zjawila sie grupka waznych na pierwszy rzut oka osobistosci i odciagnela wiceprezydenta na bok.

-No, no! - zawolal Roy. Byl pod wzrazeniem.

-Sprawdz dlon, czy nie dostales kurzajek - poradzila Delia.

Szufła uderzyła w twarda ziemię, aż ból przeszył złamana reka. Roy się wyprostował, wygiął ręce do tyłu, wyprzył tors, bo ostatnio taka pozycja pozwalała mu zaczerpnąć głębiej powietrza. Chwile tak oddychał. Zamienił szufelę na łopate i zaczął kopać. Dopiero teraz rozpocznie się prawdziwa praca. Kopanie skutecznym mrozem ziemi nie mogło się równać z odgarnianiem lekkiego śniegu. I tu zaskoczenie! Łopata wchodziła prawie bez oporu. Ziemia nie była zamrznięta, nawet nie stwardniała. Kopał dość szybko, mimo zimna odciekał potem, co go rozluźniło. Czy ten wysiłek zmobilizował armię mikroskopijnych wojowników do ataku? Żył tak nadzieje. Doktor Chu to geniusz. Choć przed Royem jeszcze daleka droga, ale już poczuł się dobrze, spróbował nawet przyspieszyć rytm, wbijał łopate głęboko w...

Lup.

Lup? Zupełnie jakby trafił na coś twardego, na przykład drewno. A przecież zszedł niewiele ponad pół metra. Dół był z pewnością znacznie głębszy. Roy usiłował przywołać jego obraz, konkretne wymiary, z pogrzebu Delii, ale bezskutecznie. Ziemia nigdy nie stoi w miejscu, zawsze trochę się przesuwa. Ukląkł, odgarnął reka wzruszona ziemię, zapalił latarkę. Ujrzał ornament w rogu białej drewnianej skrzyni, nikły blask złotego listka.

Kopał wolno, ostrożnie jak archeolog, z latarką opartą na świeżo usypanym kopcu. Najpierw usunął ziemię z trumny. Potem wykopał z boku miejsce pod nogi. Odrzucił łopate, rozejrzał się, zobaczył perliste światło na niebie od wschodu, zorientował się, że już od dłuższego czasu nie potrzebuje latarki.

Wszedł w wykopany dołek, odchylił się, wsunął ręce pod wieko trumny. Następnie się wyprostował, pociągnął, unosił powoli wieko, odłożył na bok.

Zajrzał do środka. Nie zobaczył tam Delii, co nie znaczy, że trumna została pusta. No tak, sprawy wykroczyły poza Zet. W środku leżał twarzą do ziemi ktoś inny. Miał długie, zmierzwiłone włosy i cienką kurtkę, dużo za lekka na zime. Roy przestał oddychać, a raczej zamurowało go, jak gdyby nagle ktoś mu zabetonował płuca. Ledwo starczyło mu powietrza, żeby przewrócić ciało na wznak. To był Skippy.

Sprawy wykroczyły poza Zet? Tak.

Rozdział 25

Tur, tur, tur. O nie. Znow ten helikopter. Tylko tego brakowało! Helikoptery oznaczają śmierć. Śnieg mienil się w słońcu.

Hej, Bobby, wyglądasz jak balwan. Mów za siebie, Roy.

Cieli jak szaleni pilami łańcuchowymi, rozwalali worki złożone na stosach w starym betonowym budynku w odległym kacie złomowiska Kinga, zasmiewając się, zarabiając krocie i dobrze się przy tym bawiąc.

Tur, tur, tur. Do nosa? Do gardla? O nie, moj drogi, za cholere.

Nic jednak nie mogli poradzić.

Powietrza!

Tur, tur, tur.

Wszystko ucichło. Wokół niego wznosiło się igloo. W sercu rozbłysnął mu mały płomyk. W pierwszej chwili Roy się przestraszył, że ogień z igloo nie idzie w parze. Przecież lód nie wytrzyma. Ale ciepło dobrze mu zrobiło. Poddal mu się bez reszty. Świat skurczył się do wdechów i wydechów. Czas stanął. Bardzo miłe uczucie. Jak gdyby w końcu dotarł do celu.

-Roy, obudziles się? Pokrecil glowa.

Smiech... cichy, ale zadowolony. Roy otworzył oczy. Z góry patrzył na niego doktor Chu. Uśmiechał się, lecz oczy miał poważne, czujne.

-Juz widze, ze mozg nie doznal uszczerbku - powiedzial.

Roy chcial zapytac, dlaczego mialoby byc inaczej, ale sie zorientowal, ze nie moze mowic.

-Na razie prosze sie nie odzywac - zalecil doktor Chu. - Jest pan podlaczony do respiratora, ale wktotce na pewno go odlaczymy. Zdarzylo sie chwilowe pogorszenie, jednakze nie ma powodu do paniki, sytuacja niebawem sie ustabilizuje. - Spojrzal na monitor na scianie. - Teraz prosze odpoczywac.

Roy pokrecil glowa.

-Cos pana boli? - spytal doktor Chu.

Roy znow pokrecil glowa.

-Nie chce pan odpoczywac?

Z glebi gardla dobyl mu sie charkot. Zabolalo.

-Prosze sie uspokoic - poradzil Chu. - Podalem panu srodek przeciwbolowy, zeby pan zasnal, zeby nie musial sie pan niczym martwic.

Jeszcze energiczniej pokrecil glowa. Bol sie rozprzestrzenil.

Katem oka zobaczyl blysk. Iglu?

-Teraz najwazniejszy jest sen - rzekl Chu.

Sen nadchodzil szybko. Roy uniosl bardzo ociezala teraz reke, wykonal ruch, jakby cos pisal.

-Chce pan cos napisac?

Skinal głowa bardzo delikatnie, żeby nie zabolalo, ale i tak przeszył go bol. Chu podal mu długopis i receptariusz. Kiedy Roy wyciagnal po nie reke, zorientowal sie, ze druga ma znów w gipsie, tym razem białym, grubszym i ciezszy niż poprzednio. Przytrzymał receptariusz i napisal dużymi literami: Delia żyje.

Lekarz pochylił się nad nim.

-Kim jest Delia? - spytał.

Moja żona - napisal Roy.

-Pan ma żonę? - spytał Chu ze zdziwieniem.

Roy chrząknal potwierdzajaco. Chu przyjrzał mu się badawczo, po czym bardzo delikatnie položyl mu reke na czole.

-Nie przypominam sobie tego z pańskiej karty - powiedział.

Roy warknal, probowal też stracic reke Chu z czola. Czujac dotyk lekarza, pomyslal, że ten człowiek ma przed sobą długie życie.

-Z pańskich akt wyczytałem, że jedyny kontakt, jaki pan podal, to adwokat, mecenas McKenny.

Chu zdjął reke z czola Roya i poprawil zawor w rurce.

Roy zaczął pisac na receptariuszu: Dlatego tak powiedziałem. Przekreslil i napisal: Bo nie wiedziałem. Bardzo skomplikowane. Oczy Chu - nieublagane podobnie jak choroba Roya - przeswidrowaly go na

wylot. Roy postanowił więc tylko podkreślić dwa słowa - Moja zona. Nie dokończył, bo receptariusz wysunął mu się z rak, długopis też. Upadł z cichym stukiem i poturlał się po podłodze.

Royowi zamknęły się oczy. Mimo spuszczonej powieki czuł jeszcze przez chwilę przenikliwy wzrok lekarza. Czyżby lekarz czymś się niepokoił? I nagle koszmarne wspomnienie przebiło się przez mgłę spowijającą jego umysł: Skippy. Za późno. Znowu bowiem, blok za blokiem, wznosiło się nad nim igloo.

Nie odczuwał głodu, pragnienia ani bólu, bo jakiś środek w organizmie podnosił mu nastrój, a w piersiach czuł tony powietrza, które sięgały dna płuc. Czego więcej chcesz? Może to jeszcze nie niebo, ale jest bliżej nieba niż piekła. A może już nie żyje? Raptem otworzył oczy. Zobaczył nad sobą Freddy'ego Boudreau. Freddy miał dziwny wyraz twarzy, zupełnie jakby czegoś się przestraszył, chociaż nie to było najważniejsze. Najważniejsze, że dzięki Freddy'emu, szczegółom jego szorstkiej twarzy, takim jak cienka wystająca blizna dzieląca łuk brwiowy na dwoje, Roy się upewnił, że żyje.

-Cześć - przywitał go Freddy.

Roy usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł. Coś mu uwieszło w gardle, w nosie, w nim całym. Jest pan podłączony do respiratora. Żyje, ale stoczył się po równi pochyłej bliżej piekła.

-Lekarz pozwolił mi z toba chwile porozmawiac - wyjasnil Freddy. - Jezeli czujesz sie na silach.

Kciukiem do gory Roy pokazal, ze sie zgadza.

-Chyba na cos cie tu lecza - rzekl Freddy. - Niewiele mi chcieli powiedziec. Ale pol godziny po tym, jak doktor Bronstein obejrzal cie w Szpitalu Okregowym Ethan Valley, przewiezli cie tu helikopterem, stad uznalem... - Przerwal, oblizal usta. - Wiesz, gdzie teraz jestes?

Roy nie odrywal wzroku od twarzy Freddy'ego.

-W Baltimore - rzucil Freddy.

Znow gest kciukiem, bo Roy do tej pory nie byl pewien.

-Lezysz tu juz kilka dni.

Kilka dni? Niemozliwe. Nawet sie nie zorientowal.

Freddy podszedl blizej.

-Doktor twierdzi, ze bierzesz silne leki - powiedzial. - Ktore moga niezle ci namieszac w glowie. Ciekawe, czy to one zawazyly...

Roy tylko patrzyl.

-...na twoich niedawnych posunieciach. A wlasciwie obecnych tez - dodal. - Wezmy chocby sprawe Skippy'ego Bedarda.

Twarz Freddy'ego widziana przez Roya straciła kształt, zamazała się, jak gdyby patrzył na nią przez tafle wody. Ale to jego twarz stała się mokra. Roy poczuł w ustach smak soli.

-Czekamy na wyniki sekcji zwłok - ciągnął Freddy - ale wygląda na to, że umarł z wychłodzenia. Mamy kłopot z odtworzeniem twoich poczynan. Na przykład, dlaczego miałeś przy sobie bron, dlaczego chowałeś go w tym samym... dlaczego właśnie tam go chowałeś. I co zrobiłeś z drugim... ciałem.

-Nie! - próbował krzyknąć Roy.

Z ust wyrwał mu się rozdzierający dźwięk. Nie było to "nie" ani żadne inne słowo, lecz głośny skowyt.

-Co tu się dzieje? - Zjawiała się kobieta w bieli. Netty. Ostatnim razem wyglądała inaczej, teraz miała głębokie bruzdy na czole i gniewny głos. - Przecież doktor Chu wyraźnie podkreślił, żeby pod żadnym pozorem nie denerwować pana Valois.

-Ale ja... - zaczął mówić Freddy i... zniknął. Netty również.

Roy zamknął oczy. Mokre, jakby gumowe rzęsy zaczęły mu się kleić. Poczul się tak, jak gdyby ktoś go składał do grobu lub nawet mumifikował. Nie mógł jednak nic na to poradzić.

Fontanna bulgotala i tryskala. Przez chwile Roy sadzil, ze znajduje sie w holu Instytutu Hobbesa i ze w koncu uzyska odpowiedzi na niektore pytania. Fontanna jednak szemrala zbyt cicho, zbyt lagodnie. Otworzyl oczy i zobaczyl strumyki wody sciekajace po miodowych kamieniach. Wokol przycmione, kojace swiatlo jak w planetarium przed rozpoczeciem pokazu. Znow znajdowal sie w pokoju feng shui, lezal na zamszowej kanapie. Obok stal stojak z kroplowka; wenflon mial zalozony na rece.-Panie Roy? - Podeszla Netty. Twarz miala juz normalna, sympatyczna, pyzata, ladna, choc mine chyba nieco chlodna. - Jak pan sie czuje?

Patrzyl na nia.

-Juz moze pan mowic - zachecila go. - Teraz oddycha pan samodzielnie.

Zaczerpnal tchu. Dobrze sie poczul.

-Musze... - Zdziwil go jego wlasny glos, cienki, piskliwy glos starca. Odchrzaknal. Zabolalo. Netty podala mu tekturowy kubek. Napil sie orzezwiajacej, zimnej wody, sprobował ponownie. - Musze porozmawiac z Freddym.

Ujelo mu to kilka lat, ale nie odzyskal dawnego, normalnego glosu.

-Z sierzantem Boudreau? Wrocil do Vermontu.

-Ale ja musze...

-Prosze posluchac. Pan musi tylko odpoczywac, nie przemeczac sie, reszta nalezy do terapii.

-Przecież nie minelo dwadziescia jeden dni - powiedzial Roy.

-Nawet wiecej - zapewnila go Netty. - Ale doktor Chu musial najpierw ustabilizowac panski stan.

-Jaki jest dzisiaj dzien?

-Sroda - odparla Netty. - Dwudziestego szostego.

Wyrzal przez okno, liczac na podpowiedz. Ale zobaczyl tylko zachmurzone niebo.

-Luty? - spytal.

Skinela glowa.

-Nie ma powodu do obaw. Mamy tylko jeden dzien opoznienia. Pan doktor uwaza, ze to nie powinno wplynac negatywnie.

Roy sie zastanowil.

-Sa jakies postepy? - zapytal.

-Ale w jakiej dziedzinie?

-W badaniach. Chcialbym na przyklad wiedziec, jak inni... - juz mial powiedziec "koledzy", ale ugryzl sie w jezyk, bo przeciez nie stanowili druzyny - pacjenci sie czuja.

-Nie powinien pan sobie zaprzatac tym glowy - poradzila Netty.

-Czyli w dalszym ciagu jest nas czworo? - spytal Roy.

-Liczba pacjentow znacznie teraz wzrosla - poinformowala Netty. - Prawie codziennie zgłaszaja sie nowi ze skierowaniami. Proszę spokojnie lezec. Zaraz konczymy.

Potrzasznela plastikowym workiem na stojaku kroplowki.

Roy opadl na zamszowa kanape. Po chwili jednak spytal:

-Ilu nas zostalo z poczatkowej czwórki?

Milczenie. Rozejrzal sie po pokoju feng shui. Netty znikla. Zauwazyl, ze ma na sobie flanelowa, szpitalna pizame, a nie codzienne ubranie. Denerwowal go kwiecisty, pastelowy desen.

Fontanna natomiast koila. Sprobował sobie wyobrazic, tak jak dawniej, miliony mikroskopijnych wojownikow doktora Chu, ktorzy biora glodem komorki rakowe i zwracaja jedne przeciw drugim. Tym razem mu sie nie udalo, nie potrafil wywolac w glowie zadnego obrazu.

Wszedł doktor Chu, zacierając z wawo ręce, jak gdyby chciał wykrzesać ogień. - Nareszcie dopielismy celu - oznajmił.

- Jak to? - spytał Roy.

- Postawiliśmy pana na nogi - wyjaśnił Chu.

- Na nogi?

- W porównaniu ze stanem, w którym tu pana przywieziono - dodał Chu.

- Chciałbym z panem o tym porozmawiać - powiedział Roy. - Poza tym domagam się zwrotu ubrań. I telefonu.

- Mamy mnóstwo czasu - odparł Chu.

Spojrzał na prawie pusty worek kroplówki.

- Naprawdę? - spytał Roy.

- Zapewniam pana - rzekł Chu. - To dopiero pierwszy dzień drugiego cyklu.

Podszedł, wyjął igłę z ręki Roya. W worku pozostało jeszcze wiele kropli, co dreczyło Roya. A jeżeli jego los zależał od kilkuset wojowników w tych kroplach? Spojrzał lekarzowi w oczy.

-Musze wiedziec, jak pan ocenia moj stan.

Chu przystawil sobie krzeslo.

-Zacznijmy od tego, jak sie pan czuje.

-Dobrze. Czasem tylko brakuje mi tchu.

-Mniej niz podczas ostatniej wizyty? Bardziej? Czy tak samo?

-Moze mniej - powiedzial Roy. - Pytam o swoje postepy w porownaniu z innymi.

-Znakomicie sie pan spisuje - pochwalil Chu. - Pierwszorzednie.

-Cos nowego - rzucil Roy.

Chu sie rozesmial i z zenujacych w tej sytuacji rozbawieniem spytal:

-A odczuwa pan bole?

-Nie jest zle.

-Wiksze? Mniejsze? Takie same?

-W tej chwili zadnego.

Nie bardzo mijal sie z prawda.

-Wybornie - ucieszył sie Chu. - Brak tchu. Czasem boli, ale nie teraz. Cos jeszcze?

-Nie.

-A zmiany psychiczne?

-Zmiany psychiczne?

-W trakcie naszych badan zdarzylo sie kilka epizodow halucynacyjnych - oznajmil Chu.

-Nie - zaprzeczyl Roy. - Niczego takiego nie doswiadczyłem.

-Nie chodzi wyłacznie o wyobrazanie sobie czegos, czego nie bylo - ciagnal Chu - chociaz i to sie dzarżalo. Ale dochodzilo rowniez do dziwnego pomieszania zmyslow, odtwarzania dawnych zdarzen, a nawet przezywania poniekad nowych ich wersji.

-Nie rozumiem - rzekl Roy.

-Sa to prawie na pewno skutki uboczne naszej terapii, chociaz wciaz nie potrafimy ustalic ich etiologii - przyznal Chu. - Mielismy na przyklad pacjenta, ktorego przed laty wyrzucono z brygady murarskiej. Przyjal prace w stoczni, gdzie mial kontakt z azbestem, co niewatpliwie stanowi istotny szczegol. Po trzecim rzucie terapii wrocił do domu, wlozil kask i zglosil sie do pracy na dawnym placu budowy, chociaz w tym miejscu od dawna znajduje sie ukonczone osiedle. - Lekarz przekrzywil lekko glowe, zapewne zeby lepiej przyjrzec sie Royowi. - Jak gdyby chcial odwrocic bieg czasu, tym razem lepiej sie spisac, nie dac sie wyrzucic.

-Nic takiego mi sie nie zdarzylo - oswiadczyl Roy.

-Na pewno?

-Na pewno.

-Bo to nie powod do wstydu - zapewnil go Chu.

-Do jasnej cholery... - Jego slowa zabrzmialy donosnie w pokoju feng shui, tyle ze skrzekliwie, jakby krzyczal rozgniewany starzec. Odchrzaknal, opanowal sie. - Wiem, ze to nie powod do wstydu. Ale ja nie mialem halucynacji.

-Halucynacje bywaja bardzo przekonujace - rzekl Chu. - Dlatego czasem tak trudno...

-Niech pan da spokoj - ucial Roy. - Nie mialem zadnych halucynacji.

Chu znow zatarl rece, teraz mniej energicznie.

-Badania to nie to samo co terapia - powiedzial.

-Zdaje sobie sprawe.

-To dopiero eksperyment - dodal. - Nikogo nie powinien dziwic nieprzewidziany bieg wydarzen.

-Ale nie doszlo do nieprzewidzianych wydarzen. Sam pan przyznal, ze jestem w swietnej formie.

Chu zapatrzył się w fontannę. Nagle Roy odniósł wrażenie, że lekarz przestał słuchać.

-Na niewielkim obszarze ludzkiego ciała dochodzi do starcia potężnych sił. - Chu wrócił do przerwanej wataki. Wstał, aż zatrzeszczało mu w kolanach, co zdumiało Roya, i podszedł do miodowych kamieni. Usunął stamtąd zwitek papieru przypominający opakowanie gumy do żucia. Z surową miną powiedział: - Policjant z pńskiego miasta, jeśli się nie mylę, sierżant Boudreau, wyraził zdziwienie ostatnimi wypadkami. Probowałem mu wytłumaczyć, co się dzieje, ale chyba nie rozumiał.

-O czym pan mówi? - spytał Roy.

-O nieprzewidywalnych wypadkach - odparł Chu. - Zwłaszcza o niezamierzonych reakcjach psychicznych.
- Odwrócił się do Roya. - W tym wypadku silne emocje przeżywane w teraźniejszości mieszają się z silnymi emocjami z przeszłości.

-Nie rozumiem - wyznał Roy.

-Skutkuje - wyjaśnił Chu - zachowaniami przypominającymi poniekąd zachowania wspomnianego przeze mnie robotnika, tyle że bardziej złożone i na większą skalę.

-W dalszym ciągu nie rozumiem.

-Wykopał pan szczątki swojej żony, podmienił na ciało tego nieboraka - rzekł Chu. - Mówię o zaburzeniu psychicznym. Sierżant Boudreau znacznie bardziej interesuje się miejscem złożenia zwłok niż zrozumieniem...

Roy zerwał się na równe nogi, jednym susem przemierzył pokój. Chu był drobnej postury i z natury flegmatyczny. Ledwo zdążył się cofnąć, zanim Roy chwycił go za polityki.

-Sek w tym, że nie ma żadnego ciała. Oni wiedzieli, że to miejsce jest puste. Pomysł był w ich mniemaniu genialny, w moim... diaboliczny.

Roy krzyczał coraz głośniej, aż wykrzyczał ostatnie słowo. Zamilkł.

-Bardzo proszę - powiedział Chu.

Roy widział, że lekarzowi wali serce. Chu miał przerażoną minę. Przez sekundy Roy nawet poczuł satysfakcję, po chwili jednak odezwały się w nim skrupuły. Opuścił lekarzowi.

-Przepraszam - powiedział już dużo ciszej, bo uszła z niego cała energia wykrzesana w nagłym wybuchu.

Chu utkwił wzrok trochę poniżej oczu Roya.

-Ja to rozumiem - powiedział. - Wszystkiemu winien stres. Wracamy do naszego badania?

Netty zbadala mu puls i cisnienie.-Wyniki dobre?

-W normie.

-Czyli?

-Puls siedemdziesiat trzy. Cisnienie sto dwadziescia piec na dziewiecdziesiat.

-A ostatnio?

Sprawdzila.

-Mial pan dokladnie takie samo.

-Czyli dobre, prawda?

Czyzby nastapilo przesilenie?

Netty sie usmiechnela. Stabilne, czyli dobre. Wbila mu w reke igle, pobrala ciemniejsza niz poprzednio krew do trzech probowek, ktore oznaczyla roznokolorowymi naklejkami.

-Prosze wejsc na wage - poprosila.

-Zdjac pizame? - spytal.

-Moze pan nie zdejmowac.

-No to odejmijmy poł kilograma, żeby było dokładnie - powiedział.

Wszedł na wagę. Netty przesunęła ciężarki. Poprzeczka spadła, potem zakolysała się, podniosła, stanęła. Ważyl szesćdziesiąt pięć kilogramów.

W głowie miał klebowisko myśli. Pozostał jedynie widok Netty wzruszającej ramionami. Odwrócił się do niej.

-Ilu zostało nas z pierwszej czwórki? - zapytał.

-Nie mogę udzielać informacji na temat badań - powiedziała Netty. - Tylko pan doktor...

-Troje? Dwoje?

Karta zadrzęła jej w ręce, ale odpowiedziała opanowanym głosem.

-Tylko pan.

Doktor Chu zajrzał na sale Roya.-Jak smakuje obiad? - spytał.

Roy jadł obiad z plastikowej, trojdziennej tacki - lasagne, chleb kukurydziany, sałatkę owocową.

-Jem dokładnie - pochwalił się.

-Kucharz się ucieszył - rzekł Chu.

Roy się roześmiał.

Lekarz się uklonił.

-Taki zarcik - dodał. - Ale chleb kukurydziany cieszy się u nas dobrą sławą.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Roy znowu pomyślał, że Chu pisane jest bardzo długie życie, a jednocześnie wyobraził sobie siebie jako obiekt malejący we wstecznym lusterku.

-Proszę się zbytnio nie przejmować spadkiem na wadze - poprosił Chu. - W końcu to tylko skutek.

-Terapii?

-Nie. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że choroby. Ale skutek odległy, niekoniecznie proroczy. Rozumie pan różnicę?

Roy nie miał pewności, ale potwierdził.

-Różnica jest istotna - powiedział Chu. - Mam też dobrą wiadomość, że wczoraj w pańskiej krwi pojawiły się wyniki napawające optymizmem.

-To znaczy?

Chu wdał się w długi wywód, który Roy najpierw śledził, a potem przestał. Nieznajome określenia, skomplikowane powiązania, mnóstwo liczb, ale z wypowiedzi Chu tknęła wiara, która wystarczyła pacjentowi. Roy chciał żyć, a jeszcze bardziej, jeśli takie powiedzenie ma sens, musiał. Instytut Hobbesa, który teraz zapadł się pod ziemię, wtedy przysłał mu pustą trumnę. To go przede wszystkim nurtowało, a nie żadna teoria na temat nakładania się dawnych emocji na obecne. Na rozwikłanie tego problemu trzeba czasu. Musi więc żyć. W przeciwnym razie umarłby w niewiedzy.

Kiedy został sam, a jego cień zaczął sunąć wolno po ścianie, zawołał: "Jestem głodny", chociaż to było kłamstwo. Powtórzył. Nikt się nie zjawił. Wskoczył z łóżka, wybiegł na ulicę, kupił długą kanapkę od ulicznego sprzedawcy i pochłonął ją w trzech kesach. Ta ostatnia scena rozegrała się tylko w jego głowie.

Nazajutrz wazyl szescdziesiat szesc kilogramow. A nastepnego dnia, czyli trzeciego dnia drugiego cyklu, przytyl do szescdziesieciu siedmiu.-Pani to zapisuje? - spytal Netty.

Pokiwala glowa.

-Sa juz wyniki wczorajszych badan krwi?

Zapoznal sie juz z procedurami, zupełnie jakby tam pracowal, jakby nalezal do personelu.

-Wlasnie przyszly - stwierdzila Netty.

-I co?

-Znakomite - pogratulowal Chu. - Jeszcze lepsze niz wczoraj.

-Sam moglbym zaswiadczyc - powiedzial Roy. - Bo czuje sie lepiej.

Chu i Netty patrzyli na niego.

-Duzo lepiej.

-Ciesze sie - rzekl Chu.

-Mam kilka pytan.

-Slucham.

-Naprawde czuje sie znacznie lepiej - zapewnil Roy. - Czy widzial pan przedtem u kogos taka poprawe?

-Poprawe? - powtorzyl Chu.

-W trakcie badan - wyjasnil Roy. - Wiem, ze wszyscy inni umarli, ale czy przedtem ktos doswiadczył takiej poprawy?

Oczekiwal zaprzeczenia. U niego przebieg byl inny.

-Czy doswiadczył poprawy? - jeszcze raz powtorzyl Chu.

-Takiej, jaka odczuwam teraz - wyjasnil Roy. - Mam dobre wyniki, przybieram na wadze, lepiej oddycham... juz nie pamietam, czy wspominalem. Ogolna poprawa.

-Bardzo dobre pytanie - rzekl Chu. Zastanowil sie. Netty przygladala mu sie uwaznie. - Zeby udzielic panu wiazacej odpowiedzi, musialbym przejrzec wszystkie dane.

-A co panu podpowiada intuicja? - spytal Roy.

-Nie moge polegac na intuicji - odparl Chu. - Jestem naukowcem. Ale kiedy pan wroci za dwadziescia jeden dni, przygotuje dla pana szczegolowe porownanie.

-I jeszcze jedno - dodal Roy. - Skoro tamci juz odeszli, co by pan powiedzial na czwarta dawke?

-Dawke?

-Koktajlu.

Albo piata, szosta, siodma, tyle, ile trzeba, zeby po kilogramie dziennie wrocic do wagi osiemdziesieciu szesciu kilogramow.

-Zapomina pan o nowych osobach - powiedzial Chu. - Mamy teraz pietnascioro pacjentow.

Netty pokrecila glowa.

-Czternascioro - sprostowal Chu.

-Kolejny zgon? - spytal Roy.

Netty scisnela go za reke.

-Niech pan sie skupi na sobie - poradzila.

Roya tknela pewna mysl. Choc mial skrupuly, nie mogl sie powstrzymac, zeby nie zadac tego pytania.

-Czy mozna kupic panski koktajl? - zwrocil sie do lekarza.

-Slucham?

-Moglbym panu zaplacic. - Roy byl gotow pertraktowac do dwustu piecdziesieciu tysiecy lub wiecej. - Litr albo dwa.

Chu przekrzywił nieco głowę, jak gdyby patrzył w dół po swoim nosie.

-Oznaczałoby to kres nauki - powiedział. - Do zobaczenia za dwadzieścia jeden dni.

Roy wynajął samochód i pojechał do Waszyngtonu. Był w niezłej formie, oddychał bez trudu, prawie nie czuł bólu. Zastanowił się. Rzeczywiście trudno liczyć na to, że przez dłuższy okres będzie mu codziennie przybywał kilogram na wadze, ale nawet pół kilograma dziennie zbliżyłoby go do osiemdziesięciu kilku już za... Obliczył w głowie, po czym zaplanował różne rzeczy w kalendarzu, uwzględniając przybywanie na wadze w różnym tempie. Wyznaczył sobie docelową datę przy absolutnie minimalnym tyciu - piętnastu dekagramów tygodniowo - kiedy skręcił w Dwudziestą Drugą Avenue i zaparkował naprzeciwko znajomego tryptyku: kawiarni Starbucks, stojaka z gazetami i sklepu Wino, Spółka z o.o. Wszystko wyglądało tak samo poza witryną sklepu, teraz wyklejona od środka szarym papierem i opatrzona tabliczką na drzwiach z napisem: DO WYNAJECIA. Wcale to nie wstrząsnęło Royem, nawet go nie zdziwiło. Może wręcz uspokoiło. Zniknięcie sklepu przekonało go nie wiadomo dlaczego, że znajduje się na właściwym tropie. Ow ten trop z całą pewnością prowadził aż do pogrzebu z pustą trumną i do jeszcze wcześniejszych wydarzeń. Mimo to nie wiedział, co robić dalej. Wrócić do domu? Przycisnąć znowu Janet Habib, żeby wyciągnąć od niej to, co zataiła? Może jedno i drugie, począwszy od...

Zadzwoń na komórkę.

-Roy Valois? Mowi Jerry. Pamietasz... przyjaciel Richarda Golda...

-Jasne.

-Ciekaw jestem, czy udalo ci sie cos ustalic w sprawie korekty nekrologu.

-Nie bardzo.

-Ale szukasz?

-Owszem - przyznal. - Dlaczego pytasz?

-Chodzi o komorke Richarda.

-Znalazla sie?

-Nie - powiedzial Jerry. - Sprawa dotyczy mezczyzny ze zdjecia, o ktorego pytales. Blondyna, sadzac z wygladu, zamoznego faceta. Szefa twojej zony.

-Toma Parisha?

-Obecnie uzywa innego nazwiska - powiedzial Jerry. - Ale widzialem go.

-Gdzie?

Roy sciskal teraz kurczowo telefon.

-W Raketach Tenisowych i Innych.

-Co to takiego?

-Sklep. Prowadze im ksiegowosc - wyjasnil Jerry.

-Nie rozumiem.

-Jestem ksiegowym - rzekl Jerry. - Zostawil u nas rakiete do naciagniecia.

-Kiedy?

-Wczoraj. Ma przyjsc po nia dzisiaj.

-Gdzie jest ten sklep? - spytal Roy.

-W Chevy Chase - odparl Jerry. - Moge ci pokazac, kiedy nastepnym razem bedziesz w Waszyngtonie.

-Jestem w Waszyngtonie - powiedzial Roy.

Biały dom Jerry'ego z czarnymi okiennicami nadal był nienagannie zadbane, ale na trawniku stała tablica: NA SPRZEDAŻ, podobna do tej z napisem: DO WYNAJECIA w sklepie winiarskim, chociaż Roy nie umiałby określić podobieństwa. Z okna na parterze przyglądał mu się Jerry. Miał bladą owalną twarz. Wyszedł, dygocząc, chociaż nie było zimno, prawie dziesięć stopni Celsjusza. Zapalił prochowiec pod szyję. Wsiadł do samochodu.

-Cześć - przywitał się, spoglądając na Roya.

Zatrzymał na nim spojrzenie chwilę dłużej, zdziwienie odmalowało się w jego oczach. Roy zrozumiał, ale się nie przejął.

-Sprzedajesz dom? - spytał.

-Tutaj wszystko mi go przypomina - powiedział Jerry. - Na końcu ulicy skręć w lewo.

Roy usłuchał, przejechał przez Rock Creek Park.

-Odzywał się do ciebie sierżant Bettis?

-Nie - odparł Jerry. - Przez cały ten czas nie dostałem żadnych informacji.

-Ale on wciąż uważa, że to było włamanie?

Jerry pokiwał głową.

-Zginęło kilka przedmiotów - przypomniał.

-Dwukrotnie - powiedział Roy.

-Jak to?

-Za pierwszym razem zapomnieli o komorce - wyjaśnił Roy. - I o tych kartkach, które potem wyrwali z notesu Richarda.

-Nie rozumiem - rzucił Jerry.

-To nie było żadne włamanie - stwierdził Roy. - Richard pracował nad pewnym materiałem, a to komus nie odpowiadało.

-Jakim materiałem?

-Nad moim nekrologiem.

Roy poczuł na sobie wzrok Jerry'ego.

-Sierżant Bettis podejrzewał, że ta zbrodnia może mieć związek z tobą - wyjął Jerry. - Ale nie wierzyłem mu ani przez chwilę.

-Dlaczego?

-Ze wzgladu na to, jak pomogles mi przy kolazu - wytlumaczył Jerry. - Musialbys byc potworem. - Przytknal reke do wywietrznika. - Pracowal nad nekrologiem... Chodzi ci o ten instytut, w ktorym pracowala twoja zona?

-To zaledwie poczatek - powiedzial Roy, wlaczajac ogrzewanie.

Jerry mimo to postawil kolnierz plaszcza. Znajdowali sie w Chevy Chase, na ulicy pelnej ekskluzywnych sklepow.

-Jak to? - spytal Jerry.

Jak to? Przede wszystkim Delia zyje. Roy mial co do tego pewnosc. Ale gdzie w takim razie przebywa? I dlaczego do niego nie wrocila? Nie znal na te pytania odpowiedzi, nie mial zielonego pojecia.

-Jacys ludzie ukrywaja cos waznego - powiedzial. - Sa gotowi na wszystko.

-Masz na mysli morderstwo? - spytal Jerry.

-Wszystko.

-Richard zostal zamordowany, zeby cos ukryc?

-Nie tylko on - powiedzial Roy.

Opowiedzial Jerry'emu o Skippym.

-Boże! - zawołał Jerry. - Może powinniśmy zawiadomić sierżanta Bettisa?

-Próbowałem - rzekł Roy.

Jerry chwile milczał.

-Co to za oni? - spytał. - Kto tu co ukrywa?

-Chodzi o jakąś Operację Ananas.

-Nie brzmi szczególnie groźnie.

-Mają nosa do sprytnych kamuflaży - przyznał Roy i natychmiast zrozumiał prawdziwość swoich słów. Drugi dowód stanowiła nazwa instytutu. - A tożsamość sprawców właśnie próbujemy ustalić.

Jerry się obejrzał. Zobaczył tylko codzienny ruch uliczny na przedmieściach.

Z prawej strony Roy dostrzegł sklep Rakiety Tenisowe i Inne. Zatrzymał się. -Ladny sklep - powiedział cicho Jerry, jak gdyby się bał, że ktoś usłyszy. - Ale przynosi straty, pięć tysięcy miesięcznie, a przy tym właściciel nie pobiera pensji.

Roy spojrzał na Jerry'ego.

-Jakim jesteś księgowym? - spytał normalnym tonem.

-Jakim? Licencjonowanym, jeżeli o to pytasz - odparł w dalszym ciągu cichym głosem.

-Dobrym?

Zamrugnął oczami.

-Staram się - powiedział już normalnym tonem.

-Chętnie bym cię zatrudnił.

-Do czego?

-Żebyś się dowiedział, czego tylko możesz o firmie Inwestycje Verdadero.

-Po co?

-Chyba wystawiali dowody wypłat dla Instytutu Hobbesa.

Jerry wyjął notes.

-Po hiszpańsku verdadero znaczy "prawdziwy" - wyjaśnił i zapisał.

-Tak? - Roy znalazł trochę francuski, bo osłuchiwał się z nim w dzieciństwie, ale nie hiszpański.

-Sprawdź - obiecał Jerry.

Siedzieli w samochodzie. Do sklepu weszła wysoka kobieta z kóńskim ogonem. Wyszła po kilku minutach z rakietą tenisową opakowaną w plastik pod pachą. Następnie wyszedł mężczyzna znacznie młodszy od Toma Parisha, z pudełkiem piłek.

-Mówił, kiedy odbierze rakietę? - spytał Roy.

-Nie słyszałem - odrzekł Jerry. - Już był w drzwiach, kiedy wszedłem. Miał mnie w progu. Dobrze mu się przyjrzałem. Właściciel pożegnał go: "No to do jutra, Ned".

-Ned?

-Prawie jestem pewien.

Czas mijał. Nikt nie wchodził ani nie wychodził.

-Straci ostatnią koszulę - odezwał się Jerry.

Roy otworzył oczy.

-Co?

Jerry patrzył na niego.

-Dobrze się czujesz?

-Dobrze - zapewnił Roy.

-Bo zbladles.

-Wydaje ci się.

Roy się wyprostował.

Obserwowali fasadę sklepu. Jakiś mężczyzna podszedł do wystawy.

-Właściciel - powiedział Jerry.

Mężczyzna zarzucił sweter tenisowy na ramiona manekina, rozejrzał się po ulicy, schował w głąb sklepu.

-Cholera, jak to długo trwa - niepokoił się Roy.

Chciało mu się krzyknąć, dosłownie, nie mógł już nad sobą zapanować. A jednocześnie coś jakby się w nim otworzyło. Walnął w kierownicę, aż zatrzesła się cała kabina.

Jerry spojrzal wystraszony.

-Moglbym tam wejsc - zaproponowal.

-I co bys zrobil? - spytal z rozdrazzeniem Roy.

-Udawal, ze musze cos sprawdzic - odparl Jerry. Usmiechnal sie przelotnie, ale dalo to Royowi wyobrazenie, jakim wczesniej byl czlowiekiem. Opanowal sie. - A w rzeczywistosci poweszylbym troche.

-Dlaczego nie?

Jerry wszedl do sklepu na rekonesans. Roy patrzyl, jak rozmawia z wlascicielem. Obaj znikli za regalem z obuwiem. Roy wyjal batonik z kieszeni, zjadl polowe: 145 kalorii. Koktajl doktora Chu dzialal w trakcie samej terapii. Ale on musi sie bardziej przykladac podczas dwudziestojednodniowych przerw.

Jerry wyszedl ze sklepu, wsiadl do samochodu, zamknal drzwi.

-Dobrze, ze tam poszedlem - powiedzial. - Ten facet odebral swoja rakiete dzis rano. W ksiazce zamowien figuruje jako Ned Miller. - Podal Royowi kartke ze swojego notesu. - Masz adres. Farma Dzikiej Rozy, Meadville Rd., Meadville, Maryland.

-Gdzie to jest? - spytal Roy.

-Droga na Wirginie Zachodnia - wyjasnil Jerry. - Tereny hodowli koni. Adres zdobylem w dziesiec sekund - dodal sciszonym glosem. - Wlasciciel niczego nie podejrzewal.

Jerry popadł w zadumę. Roy zastanawiał się, czy chodzi o Richarda, bądź co bądź dziennikarza, i frajdę, z jaką Jerry opowiedziałby mu te historie. Oczywiście Jerry'ego nabiegły łzami. Odwrócił się. Kiedy Roy podwiozł go pod dom, czekał już tam agent handlu nieruchomościami z klientem.

Rozdział 27

W Vermontcie w pobliżu Roya znajdowało się mnóstwo farm, ale żadna nie przypominała Farmy Dzikiej Rozy. Rozciągała się na łagodnym wzniesieniu przy zakolu rzeki Potomac, a od strony Wirginii Zachodniej wznosiły się wyższe góry. Całość prezentowała się okazale: dom, stajnia, nawet szopy i inne zabudowania gospodarcze - stare, dostojne, świetnie urządzone, jak gdyby właśnie wyszedł stamtąd projektant wnetrz nieograniczony budżetem. Wokół kompletny bezruch, pominawszy stado ptaków, które przyfrunęło przez rzekę i przysiadło w nagich gałęziach drzew w sadzie za ujeżdżalnią. Kiedy Roy jechał długim podjazdem, pod kołami chrząścił żwir. Zaparkował przed domem. Chwilę posiedział w wynajętym samochodzie, jedynym po horyzont, i próbował obmyślić przynajmniej pierwsze kroki jakiegoś planu. Przyszło mu tylko do głowy, żeby zapukać w ogromne dwuskrzydłowe drzwi, białe ze złotą kolatką w kształcie konskiej podkowy, i czekać, aż ktoś otworzy. Na szybie spadła duża kropla deszczu, wzbijając obłoczek kurzu. Wysiadł i zastukał kolatką.

Nikt nie podszedł.

Zapukał jeszcze raz, mocniej. Nastawił ucha, ale usłyszał jedynie rzenie konia w pobliżu. Czyli nawet pierwszy krok mu nie wyszedł. Nie miał czasu na takie podchody. Maniery, ceregiele, konwenanse. Jakież mogą mieć teraz znaczenie? Szarpnął drzwi. Zamknięte.

Cofnął się, rozejrzył. Przez trawnik przetoczyła się ściana deszczu przypominająca unosząca się kurtynę. Deszcz bebnął cicho o ściany stodoły trzysta do czterystu metrów dalej. Może nawet więcej, bo kiedy ruszył w jej kierunku, zorientował się, że w pierwszej chwili bardzo zanizył jej wielkość.

Obszedł budynek. Z przodu znajdowała się ogromna, podnoszona do góry brama, zamknięta, nie do ruszenia. Podobna była na tyłach, skąd rozciągał się widok na rzekę, również zamknięta. Nad górami od strony Wirginii Zachodniej wisiały czarne chmury. W głębi błysnęła niesmiało błyskawica. Nurt rzeki się wzburzył, nadciągał ulewny deszcz.

Z boku stajni znalazł drzwi. Też były zamknięte, ale miały niewielkie okno z pojedynczą szybą. Zajrzał do środka. W drugim końcu przestronnego, mrocznego pomieszczenia stał olbrzymi, kanciasty pojazd. Wyglądał jak wielka przyczepa kempingowa.

Ponownie zarzął konia, tym razem głośniejszym głosem. Roy zrozumiał, że rzenie dobiega ze stajni. Zdumiał się, a jednocześnie wpadł na pomysł. Wziął z boku ścieżki pomalowany na biało kamień i rozbil okno. Po chwili znalazł się w środku.

W ciemnościach unosiły się typowe zapachy, od siana przez gnoj po smar do siodeł. Ruszył przejściem między boksami, które stały teraz puste, z otwartymi drzwiami. Poza ostatnim. Znad bariery patrzył na niego duży czarny koń z rozbieganymi nerwowo, wielkimi, szklistymi oczami. Roy pogłaskał go po pysku.

-Już dobrze - powiedział.

Kon koń cofnął się na sztywnych nogach, rąbnął mocno zadem w tylną ścianę.

-Spokoj - zakomenderował Roy.

Kon unosił łeb, parsknął, a potem stał już spokojnie, tylko nozdrza mu falowały.

Roy przemierzył drewniana, wydeptana na gładko podłogę i przeszedł na drugi koniec pomieszczenia. Wzrok go nie mylił, stał przed olbrzymią przyczepą na niskim podwoziu na kolkach. Była piaskowego koloru, w oknach nie miała żadnych zasłon ani żaluzji. Roy obejrzał ją ze wszystkich stron. Wszedł na podwozie, spróbował otworzyć wąskie drzwi z owalnym zakończeniem w kadłubie przyczepy. Ustąpiły.

W środku panowały niemal zupełne ciemności, dopiero po chwili wzrok Roya się przyzwyczaił. Zaczął rozróżniać szczegóły - biurowe boksy z komputerami na biurkach, monitory magnetowidów zwisające z sufitu, na ścianach wielkie mapy, tyle że wszystkie szczegóły tonęły w mroku, bo sprzęt elektroniczny był całkowicie wygaszony. Żadnych ludzi, odgłosów, kompletny bezruch, ale Roy już widział to miejsce przedtem, za pomieszczeniem służbowym w sklepie Wino, Spółka z o. o. Próbowal je nawet pokazać sierżantowi Bettisowi, ale mu się nie udało. Przenosne biuro. Tom Parish, Lenore, Westie, wszyscy bez trudu wpuścili go w kanał. Dlaczego? Bo zabrakło mu wyobraźni, chociaż niby stanowiła jego mocną stronę. Nie wierzył wówczas w istnienie - jak by go nazwać? - równoległego świata. Teraz uwierzył. Co Delia powiedziała Turkowi w rozmowie za schroniskiem? Kiedy człowiek pozna wszystko od podszewki, szybko przestaje go to bawić. Dlaczego nigdy nie powiedziała nic podobnego jemu? Może wówczas... Zaraz jednak przypomniał pewne inne sformułowanie: Pieprzyć ananasy. Czy potrafił znaleźć inne przykłady? W głębi duszy czuł, jak wypływają na powierzchnię wszystkie sytuacje, w których próbowała mu coś powiedzieć.

Znalazł się w przyczepie. Wszedł do pierwszego boks, usiadł przy komputerze, nacisnął guzik. Nic. Znalazł wtyczkę, włożył ją do gniazdka. Otworzył szufladę biurka. Pusta. Sprawdzał inne szuflady, macał w nich po ciemku; były puste.

Wstał, zaczął obchodzić wszystkie boksy - włączał pstryczki, naciskał klawisze, otwierał szuflady i zatrząskiwał z hukiem.

-Niech to szlag trafi.

Musiał poznać odpowiedzi, i to szybko. A ścienne mapy? Podszedł do najbliższej - w ciemnościach ledwo rozpoznał Bliski Wschód - przejechał po niej ręką. Mapa, która pod palcami wydawała mu się plastikowa, zadrzęła i zaczęła zsuwać się ze ściany. Próbowal ją złapać, ale okazała się zadziwiająco ciężka, spadła na podłogę i stuknęła się. Nie była z plastiku, lecz ze szkła. Loskot go ogłuszył. Roy nerwowo się rozejrzał, ale nic się w ciemnościach nie poruszyło. Znowu słyszał tylko dudnienie własnego serca, za szybkie i za lekkie.

Spojrzał na sciane, na ktorej przed chwila wisiala mapa. Okazalo sie, ze ukrywala biala tablice, na ktorej pisze sie scieralnym markerem. Widnial na niej napis. Moze jesli podejdzie blizej, zdola go odczytac. Podszedl blizej. Przeczytal: Roy Valois.

Nizej kilka linijek drobniejszym pismem, tak drobnym, ze Roy nie mogl przeczytac. Wrocil do drzwi przyczepy, znalazl deske rozdzielcza z wlacznikami, zaczal pstrykac, ale bez skutku. Czy gdzies w stajni znajdzie latarke albo zapalki? Otworzył drzwi. Znow zarzal kon. Roy zatrzymal sie z noga na podwoziu, gdy wtem otworzily sie drzwi, przez ktore sie wlamal, i w prostokacie swiatla z zewnatrz ujrzal sylwetke mezczyzny. Za nim padal ulewny deszcz, zacinajac ostro. Potezny mezczyzna wszedl do stajni. Roy cofnal sie w glab przyczepy i cicho zamknal drzwi.

Stal i nasluchiwal. Slyszal krople deszczu na dachu, zupełnie jakby bebnily niezliczone palce. Uslyszal cichy stukot; moze to tylko kon w boksie przestapil z nogi na noge. Roy cofnal sie jeszcze glebiej. Wpadl na kant biurka. Jakis przedmiot spadl na podloge, na tyle lekki, ze w ogole albo prawie w ogole nie spowodowal halasu. Roy schowal sie za sciane boksu.

Cisza. Po chwili odezwal sie i ucichl prawie nieslyszalny szmer. Roy wylowil go uchem tylko dlatego, ze dolecial z tak bliska, a dokladnie z jego piersi, dal sie slyszec z kazdym oddechem. Mniejsza z tym, bo oddychal juz bez trudu, czul przyplyw sil, wciaz chroniony koktajlem doktora Chu. Przestal sie bac tego, co zaraz moze sie wydarzyc. Zmiana nastawienia nie wymagalala zadnego wysilku, po prostu nagle nabral odwagi lub przynajmniej odrzucil strach, bo zapewne jedno nie rowna sie drugiemu. Czyzby to skutek uboczny koktajlu? Roy podniosl z biurka maly ciemny przedmiot. Okazalo sie, ze to zszywacz. Czekal.

Zero akcji. Powstal kolejny trojkat, tym razem z dwoma punktami stalymi - on i kon - i trzecim ruchomym - mezczyzna w drzwiach stajni. Roy czul, jak trojkat zmienia ksztalt. Tak dluzyl mu sie czas w tej ciszy przerywanej jedynie delikatnym, miarowym szmerem, ze nabral pewnosc, iz ruchomy punkt wycofal sie ze stajni i oddalil. Nagle drzwi przyczepy sie otworzily.

Zaswiecila latarka. Snop swiatla szperal po katach, po czym zaczal omiatac cale wnetrze, od tylu do przodu. Przez chwile padl na jakis blyszczacy przedmiot, bo nagle w slabym odbitym swietle zamajaczyła twarz mezczyzny, okragla, ktory to ksztalt zwykle kojarzy sie z serdecznoscia, lecz w tej twarzy nie bylo krztyny serdecznosci. Westie. Snop swiatla zblizil sie, a gdy przejechal po scianie boksu, Roy kucnal.

-Wylaz! Rece do gory! - krzyknal Westie.

Roy wyrzwał z zaściany. Snop światła trafił na strząskaną mapę. W blasku latarki zalsniły odłamki szkła.

-Jestes w potrzasku - oznajmil Westie. - Stad jest tylko jedno wyjście.

Roy ani drgnal. Westie wszedł do przyczepy, stapal bardzo cicho jak na tak poteznego mezczyzne.

-Wyrostek z obozu? - spytal. - Naprawde chcecie, zebym wezwal policje?

Okrecil sie, skierowal swiatlo na boks obok Roya, ktory sie uchytil, ale dopiero kiedy dostrzegl rewolwer w drugiej rece Westiego. Snop swiatla zaczal omiatac zygzakami sciane w glebi boks, szybko i sprytnie, jakby mial wlasny rozum, lecz chybil doslownie o wlos.

-Nic ci zlego nie zrobie - obiecal Westie. - Jakos sie dogadamy.

Podszedl blizej. Roy za sciana sluchal cichych, ostroznnych krokow. Westie zatrzymal sie pol metra od niego.

Czy czas sprzyjal Royowi? W glebi duszy swietnie znal odpowiedz na to pytanie. Jesli nie teraz, to kiedy? Wstal, choc nie tak szybko, jak zamierzal, siegnal gora przez sciane i zszywaczem rabnal mocno Westiego w glowe. Nigdy w zyciu nic podobnego nie zrobil, nie zaatakowal z ukrycia, ale przypomnial sobie Skippy'ego i natychmiast wszelkie opory ustapily.

Poszlo latwo, co nie znaczy, ze skutecznie. Po pierwsze, zszywacz tylko odbil sie od glowy Westiego, a wiekszosc sily ciosu poszla w ramie lub moze nawet w przedramie. Po drugie, wypalil pistolet. Po trzecie, Roy Stracil rownowage i upadl na scianke dzialowa, ktora przewrocila sie, nakrywajac Westiego. Roy lezal na wierzchu. Niemal w tym samym czasie rozlegl sie obrzydliwy odglos uderzajacej w twardy przedmiot glowy.

Roy lezał pokrzywiony, wcisnięty między podłogę a kant przewróconej ścianki działowej. Powinien zareagować, ale nie mógł. Zziębnięty z trudem łapał oddech. Westie mógł zatem ruszyć do czynu. Ale rewanz nie nastąpił. Oddech Roya się uspokoił. Przewrócił się na brzuch, ukląkł na czworakach. Na podłodze leżała latarka wymierzona w Westiego. Piers mu falowała, ale oczy miał zamknięte. Roy podniósł latarkę, wstał.

Polysk światła zatrzymał się na rewolwerze leżącym w kacie przy sąsiednim boksie. Smith wesson z krótka lufa i drewniana kolba. Ten sam model Lenore podrzuciła Skippy'emu do schowka. Roy zdjął pasek Westiemu, przetrzął go i związał mu ręce na plecach.

-Obudz się - zazał, podnosząc broń.

Brak odpowiedzi. Westie oddychał spokojnie i głęboko.

-Obudz się.

Mężczyzna jęknął cicho, ale się nie ocknął. Roy przestąpił leżącą ściankę działową, podszedł do tablicy, oświetlił ją latarką.

Roy Valois

1. Co R.V. wie na temat Operacji Ananas?
2. Skąd jego nagle zainteresowanie po tak długim czasie?
3. Powiązanie między R.V. a Goldem.
4. Związek ze schroniskiem.

Roy przeczytał cztery punkty wypisane na białej tablicy. Poslinił palec, potarł jedną literę. Tusz się rozmazał. Roy zrozumiał, że trafił do równoległego świata, całkiem realnego. Serce znów zaczęło mu bić w znanym rytmie - za szybko i za płytko. Żeby je uspokoić, spróbował nabrać więcej powietrza w płuca, wyprezyl piers, odgiał do tyłu łokcie. Wcześniej to zadziałało, przynajmniej trochę, ale tym razem nie. Poczul nagły ból głęboko w piersi, i to silny, jak gdyby ktoś go kopnął od środka. Za jego plecami Westie ponownie jeknął. Roy chwycił się podłokietników, dzwignął, na co zużył całą siłę. Skierował snop światła na Westiego. Mezczyzna otworzył oczy i teraz mruzył je przed światłem.

-Cos ty za jeden? - spytał.

Roy oświetlił latarką białą tablicę, przez chwilę zatrzymał na niej światło, żeby Westie mógł przeczytać, po czym ją odwrócił.

-Znalazłem Skippy'ego - powiedział Roy.

Westie się nie odezwał.

-Odpowiadaj - zazał Roy.

-Co mi zrobiłeś w nogę? - spytał Westie.

-Nic.

-Bo krwawi.

Roy unosił latarkę, zobaczył na nogawce Westiego, na wysokości uda, mokra plamę.

-Postrzeliles sie - wyjasnil. - Zawioze cie do szpitala, ale najpierw odpowiesz mi na kilka pytan.

-Na jaki temat?

-Zacznijmy od Instytutu Hobbesa.

-Nigdy o nim nie slyszalem.

Roy stanal nad nim.

-Nie widzisz, ze gra skonczona? Zabiles niewinnego chlopaka.

-Nie wiem, o czym mowisz.

Roy omal go nie kopnal. Westie sie wzdrygnal, chociaz Roy w ogole sie nie poruszyl.

-Krwawie.

Roy spojrzal na mokra plame na nodze Westiego, chyba wieksza niz przed chwila.

-Kto napisal te punkty na tablicy? - spytal.

Westie pokrecil glowa.

-Tom Parish? Ned Miller czy jak on sie tam nazywa? Roy dostrzegl blysk w oku Westiego.

-Czym byla Operacja Ananas? - spytał.

-Nie najlepiej sie czuje.

-Zawioze cie do szpitala - obiecal Roy. - Czym byla Operacja Ananas?

Brak odpowiedzi.

-Co oznacza zwiazek ze schroniskiem?

Westie pokrecil glowa.

-Dlatego zabiles Skippy'ego? Co tam robiles?

-Nikogo nie zabilem. Jego...

Ugryzl sie w jezyk.

-Chciales powiedziec, ze jego zabila Lenore?

Westie milczal. Czas uciekal. Roy kopnal Westiego, chociaz nie z calej sily, w noge. Nawet nie zwrocil uwagi, czy kopie w postrzelona, czy w zdrowa. Chyba jednak w krwawiaca, bo Westie zawyl z bolu. W stajni na zewnatrz ponownie zarzal kon.

-Czyli Lenore? - spytał Roy.

Westie podniósł rękę, spojrzał na dół. Mokra plama powiększyła się, rozlała się na podłogę. Twarz mu się zmieniła, wydał się teraz Royowi młodszy. Sam niedawno wyrosł z dzieciństwa.

-Może umrzeć - powiedział.

-Twój wybór - odparł Roy.

Pod tym względem Westie i tak miał więcej szczęścia z nich dwóch.

-Jak to?

-Jak zaczniesz gadać, zawiozę cię do szpitala - wyjaśnił Roy. - Naprawdę warto umierać za te tajemnice?

Westie się zastanowił.

-Gdzie jest Delia? - zapytał cicho Roy.

Westie podniósł na niego wzrok. Z każdą chwilą jak gdyby młodził. Roy przestał zwracać na to uwagę.

-Nie wiesz, z czym walczysz - uprzedził go Westie.

-Czekam, że ty mi powiesz.

-Z historia.

-Walcze z historia?

Westie pokiwał głową.

-Jak to?

-Albo wiesz, albo nie.

-Co to ma wspólnego z Delia?

Długa chwila. Royowi zdawało się, że słyszy powolne kapanie na podłogę.

-Nic o niej nie wiem - odparł Westie, a potem dodał: - W każdym razie nie z pierwszej ręki. Pracuje tu dopiero kilka lat.

-Tu, czyli gdzie?

-U Lenore. - Znowu długa chwila i wyjaśnienie: - Ona jest szefem ochrony.

-Czyjej?

-Organizacji.

-Jakiej organizacji?

-Bez nazwy.

-Ale kiedyś nosiła nazwę Instytut Hobbesa? - spytał Roy.

Znow odgłos kapania. Westie skinal głową. Widocznie podjął decyzję, za które tajemnice warto umierać. Roy odłożył broń, zdjął kurtkę, oddał podszewkę, obwiązał nią jak krepulcem nogę Westiego. Pomógł mu wstać.

-Nie z pierwszej reki, to znaczy, że coś wiesz - powiedział, łapiąc Westiego za pasek wiązający mu ręce. Pchnął go między łopatkami. Ruszyli do otwartych drzwi przyczepy.

-Wiem tylko, że to była porażka - rzekł Westie.

-Ale co?

-Operacja Ananas.

-Co się stało? - zapytał Roy. Poslizgnął się na mokrych śladach zostawianych przez Westiego.

-Nie czuje się najlepiej.

-Skippy też nie czuł się najlepiej - uciął Roy. Ale już nie popychał Westiego, tylko położył mu rękę na plecach. - Co się stało?

-Złe poszło.

-Dlatego zamknięto Instytut Hobbesa? - spytał Roy. - Po co te wszystkie tajemnice?

Westie pokiwał głową.

-Zeby sprawa nie wydostała się na zewnątrz.

-A gdyby się wydostała?

-Nastąpiłaby katastrofa.

-Dla kogo?

-Dla całego kraju.

-Dlaczego? - spytał Roy. - Czy Instytut Hobbesa należał do CIA albo podobnej organizacji?

Westie roześmiał się cicho.

-Co cię tak bawi?

-Właśnie o to chodziło - powiedział - żeby uniknąć porażek w stylu CIA.

-Komu o to chodziło? - spytał Roy.

-Nie czuję się najlepiej - powtórzył Westie.

Roy spojrzał na nogę Westiego. Przestała zostawiać mokre ślady.

-Wyliziesz sie.

-Kiedy?

-Jak tylko odstawię cie do szpitala - stwierdził Roy. - Czy z powodu porażki zadzgał Paula Habiba? - Royowi nasunęła się okropna odpowiedź na to pytanie. - To był powód?

Westie odwrócił się do niego.

-Zadzgał? - spytał. - Nikt Habiba nie zadzgał. Wypadł z helikoptera.

-Prześnij ten helikopter - warknął Roy. - I z Wenezuela. Nie wcisniesz mi już tego kitu. Spróbuj czegoś nowego.

-Myślisz się - zapewnił Westie. - Rzeczywiście wypadł z helikoptera. Tyle że miejsce...

W drugim końcu stajni podniosła się do góry cicho, lecz szybko frontowa brama. Do środka wpadło oslepiające niemal światło. Wkroczyła Lenore, za jej plecami szalała ulewa. Na widok Roya z Westiem zamarła z karabinem w ręku. A Smith Wesson Westiego? Leżał na podłodze tam, gdzie Roy go zostawił, kiedy obwiązywał Westiemu nogę.

Roy schował się za Westiego, jedną ręką trzymając pasek.

-Gra skończona - oświadczył. - Wszystko wyszło na jaw. Dalsza przemoc nie ma już sensu. Zabieram go do szpitala.

-Przepraszam - rzucił Westie.

-Co mu powiedziales? - spytala Lenore.

Roy mylnie wzial to pytanie do siebie.

-Co mu powiedzialem? To jest bez...

Blysk swiatla, huk. Przypominaly blyskawice i grzmot, tyle ze w mniejszej skali, dolecialy z lufy. Roy poczul straszliwa sile wystrzalu, ktory poderwal Westiego i cisnal na niego, przewracajac i opryskujac krwia.

Ale krwia Westiego. Roy podniosl sie na czworaki. Obok lezal na wznak Westie z dziura w piersi i patrzyl na Roya. Poruszył ustami.

-Miejsce - powiedzial i zastygl w bezruchu.

-Rece do gory! - krzyknela Lenore.

Roy nie podniosl rak. Rzucil sie do najblizszego boksu, otworzyl bramke, to znaczy skoczyl do jedynego zajetego, i wpadl do srodka. Kolejny huk z broni Lenore. Roy uslyszal tuz kolo siebie trzask rozlupywanego drewna. Kon z bliska wydal mu sie ogromny. Rzal dziko i przebieral nogami w miejscu, przygniatajac Roya do sciany.

W pewnej chwili zamarl i tylko drgaly mu miesnie, a sile mial ogromna. Roy widzial jedno oko nie dalej niz metr od siebie, wytrzeszczone ze strachu. Czul smrod potu zwierzecia, wsiakal mu w koszule.

-Wychodz - zazadala Lenore. Podeszla blizej, nie wiecej jak kilka krokow od bramy. - Musimy porozmawiac. Mozemy jeszcze sensownie z tego wybrnac.

Roy odwrócił głowę, widział ją przez szparę między bramką a ścianą boksu. Lenore trzymała karabin wycelowany w wyjście. A więc tak chciała z tego wybrnąć.

Odwrócił się, musiał odeprzeć masywne cielsko. Wcisnął ręce między konia a siebie, położył dłonie tuż przy konskim uchu. Takie potężne zwierzę, a duże, spiczaste ucho miało takie miękkie i wrażliwe. Ucho drgnęło. Roy ostro klasnął.

Kon stanął dęba, wypełniając stajnię dzikim rżeniem, i wyskoczył z boksu. Roy miał nadzieję, że zwierzę osłoni jego ucieczkę. Tak się jednak nie stało. Wystraszony kon grzebnął przednim kopytem w powietrzu i kopnął Lenore w głowę. Upadła. W kilku sprzyszystych susach zwierzę wyrwało się ze stajni i zniknęło w deszczu.

Rozdział 28

Zjawili się obcy i zadają groźne pytania. Roy obudził się z tym zdaniem w myślach i poczuciem, że powtarzał je wielokrotnie we śnie. Wstał, nie wiadomo dlaczego z wielkim wysiłkiem, i zobaczył, że razi go oslepiające światło, jak gdyby miało się zacząć przesłuchanie. Sen przeszedł w jawę.

-Proszę opuścić okno.

Opuscic okno? Gdzie on jest? Chyba nie zasnal znow w polciezarowce? Niestety, tak. Przyslonil oczy, przekrecil kluczyk, opuscil okno. Na zewnatrz stal policjant. Nachylil sie do niego.

-Co jest?

-Nic - odparl Roy.

-Pil pan?

-Nie.

Policjant pociagnal nosem. Oswietlil latarka wnetrze kabiny. Swiatlo padlo na trzy przedmioty na siedzeniu obok: dowod wypłaty Paula Habiba z Inwestycji Verdadero, zdjecie z Operacji Ananas i zdjecie przedstawiajace Habiba z Calvinem Truesdale'em.

-Co to za zdjecia? - spytal policjant.

Dowody straszliwej zbrodni. Odpowiedz natychmiast nasunela sie Royowi, bo w glowie zaswitala mu wielka prawda. Ale odparl:

-Tylko zdjecia.

-Tak? Chcialbym zobaczyc.

Roy wreczyl mu je. Policjant rzucil okiem, oddal. Na rekawie mial naszywke waszyngtonskiej policji.

-Tu nie wolno spac - oswiadczył.

-W porzadku - odparl Roy.

-Dobrze sie pan czuje?

-Tak.

-Bo spocil sie pan jak swinia.

Roy przejechal reka po czole. Mokre.

-Nic mi nie jest - zapewnil.

-Nie wyglada pan najlepiej - stwierdzil policjant. - Bral pan cos?

-Nie wiem, o co pan pyta.

-O narkotyki.

-Nie.

Policjant znow poswiecil, moze szukal narkotykow.

-Tu nie wolno spac - powtorzyl.

-I tak nie mam czasu - powiedział Roy.

-Co?

I tak nie mam czasu - wyrwalo mu sie. Wyrzala, zobaczyl, ze stoi na parkingu przed sklepem w nie najlepszej dzielnicy.

-Juz jade - powiedzial.

-I slusnie - odparl policjant.

Roy wyjechal z parkingu slabo oswietlona, nieznana sobie ulica. Po prawej zobaczyl autostrade. Ruszyl w jej strone. Policjant jechal za nim przecznice albo dwie, a potem zawrocil. Nagle piers Roya przeszyly silny, ostry bol, jak gdyby wtargnelo tam zywe stworzenie, zeby go skrzywdzic. Przez chwile sadzil, ze nie wytrzyma, ale znalazl dogodna pozycje. Wypial piers tak mocno, ze stykaly mu sie lopatki i od razu lepiej sie poczul. Kiedy wjezdzal na autostrade, z brody kapaly mu krople potu.

W oddali zobaczyl pomnik Washingtona. Jego widok go zdenerwowal, chociaz nie mial pojecia dlaczego. Nigdy przedtem nie widzial umierajacego czlowieka. A dzisiaj zobaczyl z bliska dwie okrutne smierci, nawet do jednej przylozyl reke, a moze nawet do obu. W glowie mu sie rozjasnilo, wszystko sobie przypomnial, niektore fragmenty dokladnie, na przyklad wszystko, co sie zdarzylo w stajni. Inne mniej wyraznie - na przyklad nie pamietal, jak uciekl, bo na pewno nie w poplochu, ani jak znalazl sie na parkingu przed sklepem, ale przynajmniej wiedzial, dokad zmierza. Zjechal najblizszym zjazdem.

Schludny biały dom z czarnymi okiennicami był ciemny, nie paliło się ani jedno światło. Roy miał złe przeczucie, zląkł się, że przyjechał za późno. Wysiadł z polciezarówki, rzucił się biegiem do drzwi. Ale przystanął w poł drogi, bo musiał oprzeć się o drzewo, zasapany. Chociaż nie miał bzika na punkcie czerpania energii z drzew, bo wychował się w pobliżu tartaku, poczuł wielką siłę bijącą od tego drzewa, która przypominała mu pokój feng shui i kropelkę. Ale nie czas teraz się rozklejać, bawic w takie dyrdymale, skoro Delia żyje. Operacja Ananas, cokolwiek kryło się pod tym kryptonimem, nie powiodła się, ale Delia przeżyła, wróciła i widziano ją w limuzynie pod domem na ulicy Eliot 919 w Cambridge. Miała zabandażowaną głowę. Nie mógł marnować czasu. Wciągnął głęboko powietrze, choć dotarło jedynie do szczytów płuc, i odepchnął się od drzewa. Przemierzył jeszcze kilka kroków, zastukał elegancką srebrną kolatką.

Nikt nie otworzył. Roy przyłożył ucho do drzwi, ale nic nie usłyszał. Zapukał ponownie, tym razem mocniej.

-Jerry! - zawołał. - Jerry!

Zapaliło się światło w domu po drugiej stronie ulicy. Zaraz potem zza drzwi dobiegł go głos.

-Kto tam?

-Roy. Wszystko w porządku?

Drzwi się otworzyły. Stał w nich Jerry w ciemnej piżamie zapiętej pod szyję, cały i zdrow.

-Po raz pierwszy od wielu tygodni smacznie zasnalem - pozalil sie.

-Przepraszam - powiedzial Roy. - Ale sporo sie wydarzylo. Nie chcialem, zeby tobie stalo sie cos zlego.

Jerry zamrugal.

-Nie rozumiem. Co sie wydarzylo?

Roy wszedl do srodka, zamknal za soba drzwi, zasunal rygiel.

-Gina ludzie.

-Tak jak Richard?

-Tak - potwierdzil Roy.

Podszedl do najblizszego okna, wyjrzal na ulice. Nie zauwazyl zadnego ruchu. W domu naprzeciwko zgaslo swiatlo.

-Rozmawiales z tym blondynem? - spytal Jerry. - Tomem Parishem, Nedem Millerem czy jak mu tam.

-Nie - powiedzial Roy.

-Dlaczego? - z irytacja w glosie spytal Jerry.

-Wszystko sie pogmatwalo - odparl Roy. - Nie moglem go znalezc.

-Co się pogmatwało? - zainteresował się Jerry. Na jego twarzy odmalowała się troska. - Złe się czujesz?

-Dobrze.

-Usiadzmy.

Jerry zapalił światło, zaprowadził Roya do kuchni. Roy usiadł przy stole. Jerry zaparzył herbaty. Roy założył ręce na piersi. Zauważył, że różni się kolorem. Prawa była normalna, lewa znacznie bielsza.

-Z cukrem i z mlekiem? - spytał Jerry.

-Poproszę czarna.

Jerry postawił na stole dwa kubki, do swojego nalal dużo mleka, posłodził. Roy przypomniał sobie, że po czarnej nie czuje się najlepiej, dlatego sobie też nalal mleka.

-Z cukrem i mlekiem jest smaczniejsza - powiedział Jerry.

Roy wypił. Herbata dobrze mu zrobiła, nawet trochę po niej ochłonił, aż dziwne. Odtąd tylko słodzona i z mlekiem.

-Jaka rolę odgrywają Inwestycje Verdadero? - rzucił Jerry.

-Sprawdzales?

-Tak - odparł. - Nie znam się na pracy śledczej, ale czasem pomagałem Richardowi. Zwłaszcza raz...

-Znalazles cos?! - przerwal mu Roy, nieoczekiwanie dla siebie stanowczo.

Jerry az rozlal herbate. Odstawil kubek.

-Nic waznego - powiedzial. - Inwestycje Verdadero przestaly istniec. Byla to spolka z ograniczona odpowiedzialnoscia zarejestrowana na Kajmanach, ale dokumenty likwidacyjne zlozono prawie czternascie lat temu.

-Co to znaczy?

-Ze ja zlikwidowano, rozwiazano, zamknieto jako korporacje.

-A kim byli wspolnicy?

Jerry pokrecil glowa.

-Przykro mi, ale wszyscy byli obwarowani prawami o zachowaniu tajemnicy - powiedzial.

-Czym sie zajmowali? - spytal Roy.

-Kto?

-Jaki byl cel Inwestycji Verdadero.

-To akurat moge ci powiedziec - rzekl Jerry. - To byl fundusz inwestycyjny.

-A w co inwestował?

-W różne rzeczy.

-Na przykład?

-Głównie w bezpieczne akcje giełdowe wiodących przedsiębiorstw - powiedział Jerry. - I w nieruchomości na Karaibach, przynajmniej sadząc z nazw, i jeszcze w kilka innych spółek. Sporządziłem listę, gdyby cię to interesowało.

Roy się zawahał. Czy był sens sprawdzać listy wiodących spółek i kurortów na Karaibach? Jemu chodziło o nazwiska wspólników. Za prywatnymi środkami stoją konkretni ludzie.

-To dla mnie żadna fatyga - zapewnił go Jerry.

Poszedł na górę. Roy oddychał ciężko. Jerry wrócił z wydrukiem.

Roy się zorientował, że osuwa się na krzesło. Usiadł prosto i wziął od Jerry'ego wydruk. Długi wykaz bezpiecznych akcji czołowych spółek, takich jak: Microsoft, Bank of America, Honda, Exxon, Home Depot, firmy deweloperskie na Dominikanie, w Saint Lucia, Gwadelupie, na Grenadynach, uzdrowiska i hotele na Barbados i Jamajce, a także pod nagłówkiem Jerry'ego "Pozostałe" kilka małych firm - Skora i Zamsz Import, Zabawki Dziecięce, Usługi Biurowe Lone Star. Roy odwrócił kartkę, żeby przeczytać na następnej, ale jej nie było.

Jerry spojrzał na niego.

-Powinny być jeszcze dwie, widocznie się nie wydrukowały - powiedział.

Jeszcze tylko dwie. Roy poczul wate w nogach, jak gdyby mialy juz na zawsze odmowic mu posluszenstwa. Zmusil sie jednak, zeby wstac.

-Moze przeczytam je na monitorze.

-Jasne - powiedzial Jerry. - Komputer stoi w gabinecie. Nie jestem tylko pewien, czy...

Roy poszedl na gore do dawnego gabinetu Richarda Golda. Usiadl przed komputerem, przetarl oczy i kontynuowal czytanie listy udzialowcow Inwestycji Verdadero: Bajgle i Bagietki, Transport Vrai.

Transport Vrai?

Tur, tur, tur.

Zrobil wydruk. Kartka drzala mu w rece. Zszedl na dol. Jerry mieszal herbate, podniosl na niego wzrok.

-Przypomnij mi, co znaczy verdadero po hiszpansku? - spytal Roy.

-Prawdziwy - powiedzial Jerry.

-A po francusku vrai - rzekl Roy, kladac kartke na stole.

Jerry przeczytal nazwe ostatniej firmy.

-Czyli Inwestycje Verdadero byly wlascicielem Transportu Vrai - stwierdzil. - I obie firmy nosza "prawde" w nazwie, ale poza tym...

-Transport Vrai istnieje po dziś dzień - zapewnił go Roy. - Maja helikoptery. Przynajmniej jeden... sam widziałem.

-A jaki to ma związek z Instytutem Hobbesa? - spytał Jerry.

-Wiąże go z chwilą obecną - wyjaśnił Roy.

Przypomnił sobie słowa sierżanta Bettisa. W tym kraju człowiek się już nie ukryje, już nie.

-Chyba nie bardzo cie...

Roy poczuł, że wracają mu siły w nogach, powoli i nie całkiem, ale doceniał i to.

-Z Inwestycji Verdadero dokonywano wypłat w Instytucie Hobbesa. - Na pewno? Widział tylko jeden dowód. Ale Roy snuł domysły dalej. Przecież nie byli na sali sądowej. Przeciwnie. Wszystko w tej sprawie było bezprawiem... decyzje podjęto dawno temu, i to nie on ja podejmował. Decyzje, żeby uniknąć porażek. - Do tego funduszu należała również firma Transport Vrai.

-Czyli można teraz cofnąć się po nitce do kłębka? - dopytywał się Jerry.

-Mam nadzieję.

Chociaż w duchu miał pewność na podstawie dowodu C, czarno-białego zdjęcia, a także przez człowieka, który wyszedł z helikoptera na zasneżoną halę za jego domem.

Jerry oblizal usta.

-Czy Richard tym sie wlasnie zajmowal? Powrotem do przeszlosci?

Roy pokiwal glowa.

-Co odkryl?

-Moze nic - odparl Roy. - Moze wystarczylo, ze zadawal pytania.

Jerry'emu zaszkilily sie oczy.

-Zeby go zabic? - Pokrecil glowa. - Wciaz trudno mi uwierzyc, ze cos takiego moglo sie wydarzyc.

Roy tez przez cale zycie byl latwowierny. Ale to sie skonczylo. Kiedy czlowiek pozna wszystko od podszewki, szybko przestaje go to bawic. Czy ludzi mozna bylo podzielic na dwie grupy - niewielka garstke poinformowanych i pozostalych? A jesli tak, to dlaczego Delia utrzymywala go w niewiedzy podobnie jak wszystkich innych?

Wstal, podszedl do okna, odsunal zaslone. Na ulicy panowal spokoj, lsnil czarny asfalt. Zadnego ruchu, pominawszy jedna krople deszczu splywajaca zygzakiem po szybie zaparkowanego samochodu.

-Czy szukajac Inwestycji Verdadero, zostawiles jakies slady? - zapytal Roy.

-Slady? - zdziwil sie Jerry.

-Dowody poszukiwan.

-Nie wiem - odrzekł Jerry. - Zasięgałem informacji wyłącznie w urzędach publicznych. Codziennie na pewno sypływają tam tysiące podobnych pytań. Kto by to wszystko sprawdził?

Roy zasunął zasłone.

-Pewnie masz rację - powiedział. - Ale może powinienem mimo wszystko...

-Szczerze mówiąc, Roy, przeszkadza mi ta cała konspiracja - przerwał mu Jerry.

-Co ty wygadujesz? - spytał Roy.

Jerry zrobił zakłopotaną minę.

-Chyba istnieje wiele prostszych sposobów wyjaśnienia, dlaczego...

Zadzwonił telefon Roya. Wyjął go z kieszeni.

-Halo.

-Witaj, Roy. Mówi Calvin Truesdale. Co u ciebie?

-Dziękuję - odparł Roy.

Ale natychmiast znów go zatkalo, niemal rozrywało mu płuca, a wszystko przed oczyma zaszło się na obrzeżach.

-Brzmisz, jakbys walczył z przezebraniem - powiedział Truesdale. - Zle sie czujesz?

-Nic mi nie jest.

-Milo slyszec. Nie bede cie zatrzymywal. Dzwonie tylko, zeby ci powiedziec, ze sprawdzilem ten twoj Instytut Hobbesa.

-Tak?

-Z natury jestem dociekliwy - wyznal Truesdale. - Nawyk starego ranczera. Potwierdzily sie z grubsza moje podejrzenia poza jednym czy dwoma szczegolami.

-To znaczy?

-Tak jak sadzilem, instytut byl uwiklany w finansowe machlojki - oznajmil Truesdale. - Do tego dodaj kilka brudnych, ohydnych spraw sadowych dotyczacych klebowiska zmij, jakim sa azjatyccy inwestorzy, dlatego calemu przedsiwzieciu zgodnie z umowa urwano leb, co wyjasnia, dlaczego nigdzie nie mozesz znalezc wzmianek na temat instytutu.

-Chcesz powiedziec, ze wlascicielami Instytutu Hobbesa byli azjatyccy inwestorzy?

-Jako organizacja non profit - powiedzial Truesdale - do spolki z agencja ONZ zamknieta w nastepstwie skandalu z embargo na rope naftowa.

-ONZ?

-Maja taki balagan w dokumentacji, ze trudno sie dokopac prawdy - wyznal Truesdale. - Ale jezeli sobie zyczysz, chetnie sprawdzę ci, co tylko zechcesz. Jesteś teraz w domu?

-Dlaczego pytasz? - spytał Roy. - Jesteś w pobliżu?

Truesdale się roześmiał.

-Wszędzie mogę dotrzeć w kilka godzin.

-Helikopterem z firmy Transport Vrai? - dociekał Roy.

Jerry wytrzeszczył oczy.

Nastąpiła chwila milczenia.

-Chociażby - potwierdził Truesdale.

Teraz Roy chwilę milczał.

-A co z Delia?

Cisza w słuchawce trwała tak długo, że Roy podejrzewał Truesdale'a o przerwanie rozmowy. Sam jednak milczał. W końcu Truesdale powtórzył:

-Z Delia?

-Tak - powiedział Roy. - Pytam z związku z tym, kiedy ostatni raz ją widziałeś.

-Nie rozumiem, przyjacielu - rzekł Truesdale.

Powiedział to zupełnie innym tonem i Roy usłyszał ciche bzyczenie.

-Pytam o rzeźbę, Cal. Która stoi u mnie. Chciałem wiedzieć, czy w dalszym ciągu ci na niej zależy.

-Oczywiście - potwierdził Truesdale znowu normalnym głosem. - Bardziej niż kiedykolwiek. Sądziłem, że wiesz.

-Postanowiłem ją sprzedać - oznajmił Roy.

Raptem znowu oddychał bez trudu, normalnie.

-Alleluja!

-Za zaproponowana przez ciebie cenę.

-Umowa stoi - rzekł Truesdale. - Już wybrałem dla niej miejsce u siebie na ranchu.

-To może wpadnij do mnie - zaproponował Roy. - Umówimy się w kwestii transportu, a ty przekażesz mi wszystko, co wiesz o Instytucie Hobbesa.

-Odpowiada ci jutro? - spytał Truesdale.

-Okolo czwartej?

-Bede punktualnie.

Roy sie rozlaczyl.

-O co chodzi? - spytal Jerry.

Roy sie usmiechnal. Czul sie znakomicie. Z lodowiska znal sytuacje, ktore czlowiekowi rozpalaja krew w zylach.

-Musze pedzic, Jerry - powiedzial. - Jestem ci zobowiazany.

-Ale...

-I jeszcze jedno. Wynies sie z domu na jakis czas. Powiem ci, kiedy bedziesz mogl wrocic.

-Dokad?

-Do hotelu. Najlepiej z przyjacielem.

Jerry rozejrzal sie po kuchni, zawiesil wzrok na kacie, w ktorym kiedys lezalo polamane krzeslo.

-Naprawde uwazasz...

-Obiecuj mi - poprosil Roy.

Rozdział 29

Z początku wszystko szło dobrze. Ped się zmieniał, porywał Roya. Za każdym razem, kiedy spoglądał na predkosciomierz, widział, że jedzie za szybko, sto dwadzieścia, sto trzydzieści, a nawet więcej, jak gdyby pchała go jakaś siła. Przypomnił sobie bramkę strzeloną Harvardowi, nie tyle szczegóły fizyczne - chociaż i te pamiętał dokładnie, ile widok bramkarza przeciwników, który obejrzał się, żeby sprawdzić, czy naprawdę krążek leży w bramce - ale jak ta bramka podniosła na duchu całą drużynę! Teraz czuł podobne uniesienie. Najważniejsza strzelona przez niego bramka, a ponadto, jak teraz sobie uświadomił, jedno z najważniejszych wydarzeń w całym jego życiu. Gdyby nie zastanawiał się na głos przy Turku, czy zamieszcza mu informacje o bramce w nekrologu, nigdy nie dowiedziałby się... no właśnie, czego? Tego, czego się zaraz dowie. W głowie już układał plan. Kilka kilometrów przed Baltimore zatrzymał się, żeby zatankować. Przyszło mu na myśl, że warto by zadzwonić do Freddy'ego Boudreau, co stanowiło punkt pierwszy planu, ale tak zaparkował, że musiał nalewać lewą ręką, która nie miał siły utrzymać weza. W rezultacie oblał sobie ręce benzyną. Wszedł do środka i umył je w umywalce. I wtedy zobaczył swoją twarz w lustrze. Zamarł. Wyglądał jak żywy portret namalowany przez jednego z ekspresjonistów, do których nigdy się nie przekonał, a którzy lubowali się w asymetrii, ciemnych konturach i odcieniach skóry niewystępujących w rzeczywistości, takich jak fiolet pod oczami, zielen na policzkach, wszędzie indziej kredowa biel.

Kiedy ostatnio jadł albo pił? Nawet nie mógł sobie przypomnieć. W ogóle nie czuł głodu, ale nagle zaczęło mu doskwierać pragnienie. Wszedł na stację, kupił dwie kanapki w folii, jedna z indykiem, druga z szynką, i litrową butelkę wody. Wrocil do polciezarówki, wypił całą butelkę, a potem ugryzł kęs kanapki z indykiem. Nie miała żadnego smaku. Spróbował drugiej z szynką. To samo. Zawinał je z powrotem, położył na siedzeniu obok i zadzwonił do Freddy'ego Boudreau.

-Wiem, że jest późno, ale...

-Nie szkodzi - stwierdził Freddy. - I tak siedze w pracy. Zreszta tez chcialem z toba pogadac.

-O czym?

-Przede wszystkim powiedz, jak sie czujesz.

-Dobrze - zapewnil go Roy.

Freddy milczal.

-Nie wiem, co ci doktor Chu naopowiadal - dodal Roy. - Pewno wszystko wygladalo znacznie gorzej, niz jest w rzeczywistosci.

-Milo mi to slyszec - powiedzial Freddy. Odchrzaknal. - Winien ci jestem przeprosiny.

-Za co?

-Za swoja teorie na temat twoich lekarzy, ze wypaczyli ci myslenie. Grubo sie mylilem.

-Ciekawe, dlaczego zmieniles zdanie? - zainteresowal sie Roy.

-Przyjrzałem się lepiej telefonowi - odparł Freddy.

-Skippy'ego?

-Tak.

-I co znalazles?

-Wolalbym ci pokazac osobiscie - odrzekl Freddy. - Moglbym wpasc do ciebie rano?

Roy spojrzal na zegarek.

-O dziesiatej?

-Dobra.

-Jeszcze jedno. Przynies sprzet do... - Musial sie zastanowic nad okresleniem tego urzadzenia. - Zebys
mogl mnie okablowac.

-Okablowac?

-Chcialbym nagrasc kogos z ukrycia.

-Kogo? - spytal Freddy.

-Wyjasnie ci - obiecal Roy.

-Nie moze sie doczekac.

Owszem, ped sie zmienial. Prawo - w osobie Freddy'ego Boudreau, niepopularnego prowincjonalnego gliniarza, ktory czesto gral na lodzie zaskakujaco lagodnie, ale mimo wszystko reprezentowal prawo - stalo teraz po jego stronie. Roy nigdy nie zastawil na nikogo pulapki, nawet nie przyszlo mu cos takiego do glowy. Teraz zastawianie pulapek zaczelo mu sprawiac frajde. Chyba nawet istnieje takie powiedzonko, ze jak ktos raz zapoluje na czlowieka, to juz nie chce robic w zyciu nic innego. A moze przestaje sie wtedy nadawac do czegokolwiek innego? Roy wrocil na droge i przypomnil sobie, od kogo i kiedy uslyszal te slowa.

Chciala jechac na jarmark.-Na jaki jarmark?

-Jak to jaki? W Mad River.

-Skad o nim wiesz?

-Od tygodnia nikt nie mowi o niczym innym.

-A kto dokladnie?

-Turk, Normie, wszyscy chlopcy.

-Bedziesz rozczarowana.

-Zobaczysz, ze sie w nim zakocham.

I rzeczywiście, zakochała się w jarmarku Mad River. Obstawiła jak szalona wyścig zaprzęgów wołów, zjadła się wszystkim, co serwowano, łącznie z polską kielbasą, paczkami i poutine z Quebecu, zdobyła trzecie miejsce w podrzucaniu na patelni pokonana przez dwie rywalki, z których każda ważyła co najmniej pięćdziesiąt kilogramów więcej od niej, i nie zauważyła, że ma keczup na brodzie. Nawet zmierzyła się z Turkiem na strzelnicy. Turk przed Dartmouth chodził do wyższej szkoły wojskowej, gdzie był kapitanem drużyny strzeleckiej. Strzelnica była starswiecka i pływały w niej na różnych poziomach kaczki, a zwycięzcom nagradzano pluszowymi maskotkami. Turk tylko raz chybił. Delia ani razu.

-Litosci! - zawołał Turk. - Gdzie ty się tak nauczyła strzelać?

Delia w końcu się zorientowała, że ma keczup na brodzie, wytarła i powiedziała:

-Szczęście początkującego.

-Rozumiem. Roy, wiedziałeś, że ożeniłeś się z wielką białą łowczynią?

-Oczywiście - odparł Roy. - Przecież mnie zловиła.

Delia się roześmiała i objęła go. Właśnie wtedy zacytowała tamto powiedzonko o polowaniu na ludzi.

Ale co dokładnie powiedziała? Nie wiadomo dlaczego rozróżnienie między stratą ochoty na jedne zajęcia a nienadawaniem się do innych wydało mu się takie istotne. Jeszcze ważniejsze były okoliczności. Strzelanie do celu. Pieprzyć ananasy. Nawet słowa rzucone tamtego ranka kwitnącej wisni: Mam już dosyć. Czyż nie próbowała mu czegoś powiedzieć? Jak mógł te wszystkie znaki przeoczyć? Czy dlatego, że dzieliła ich zasadnicza, nieoczekiwana różnica, bo on nie umiał pogodzić w głowie dwóch sprzecznych myśli naraz, tymczasem ona... Roy nieoczekiwanie nagle wymiotował całą zawartość żołądka. Niewiele tego było, tylko dwa niestrawione kęsy kanapek z indykiem i z szynką oraz kwasny płyn, ale wstrząsały nim mdłości. Zatrzymał się na poboczu, niepomyślnie na klaksony za plecami, wysiadł z samochodu. Stał przy barierce, oparł ręce na kolanach, wciąż targany mdłościami, ale już nic nie poszło, bo zwrócił ostatnie cierpkie krople. Nudności męczyły go, aż zaczęło mu brakować tchu, na przemian szarpało nim albo zatykało dech w piersi, jakby przeistoczył się w koszmarny dwusuwowy tłok. Wtem w klatce piersiowej obudził mu się demon bólu, na dodatek w bardzo złym humorze. Roy zatoczył się na polciezarówkę. Zobaczył wytrzeszczone ze zdziwienia oczy kobiety w przejeżdżającym samochodzie.

Wsiadł do polciezarówki, chwycił się kierownicy. Nudności minęły, ale nie mógł nabrać powietrza w płuca. Demon bólu, który nie potrzebował powietrza, może wręcz żywił się jego brakiem, zyskał na sile. Roy w ogóle nie mógł zaczerpnąć tchu. Co to znaczyło? Ze tonię? Tonie na suchej ziemi? Młocił rękami i wtedy przypomniał sobie tamtą dziwną pozycję. Wygiął łokcie do tyłu, wypiał piersi i spróbował z całej siły zrobić to, co wszystkim przychodzi bez trudu, czyli zaczerpnąć powietrza, którego nabrał odrobine, tyle, ile się zmieści w dziurce od nosa. Następnie druga, potem jeszcze kilka.

Najwyraźniej rozjuszył demona. Poczul w środku ucisk, jakby ktoś go tam chwycił w szpony. Wzniósł się na wyższy poziom bólu, a jednocześnie wiedział, że jest dopiero u podnóża góry. Przekrecił kluczyk, wjechał na szosę, ruszył w stronę domu. Wygiął do tyłu łokcie, wypiał piersi, krople potu kapaly mu z brody, kabine wypełnił kwasny odor, a z gardła dobył mu się cichy charkot wymierzony w demona. Nie

zatrzymywał się jednak. Musi dotrzeć do domu, choćby nie wiem co, bo inaczej cały plan straci rację bytu.

Nie mógł jednak nabrac wystarczającej ilości powietrza, jedynie odrobina. Ponadto w środku płonął, a demon wraz z nim. Kiedy sytuacja stała się nie do zniesienia, zobaczył przy zjeździe z drogi drogowskiej: Szpital Uniwersytecki Johns Hopkins.

Jego ręce przejęły inicjatywę, skreciły kierownicę. Próbował się opierać, walczyć, choćby z powodów ambicjonalnych. Nie miał jednak siły, w kilka sekund przegrał ważną bitwę. Wreszcie zrozumiał, jak ludzie mogą rezygnować ze zdrowego rozsądku na rzecz wiary w zbawiciela, oddawać się w ręce dalekiego obcego. Jego zbawicielem był doktor Chu.

-Panie Roy? Panie Roy? Owinięty, otulony w sen o igloo. Dobrze się czuł.

-Panie Roy? Proszę otworzyć oczy.

Dobrze się czuł. Czy mogłby się czuć lepiej?

-Poznaję pan mój głos? Jestem Chu. Jeżeli pan mnie słyszy, proszę podnieść palec wskazujący prawej ręki.

Owinięty i otulony.

-Albo wykonać dowolny ruch.

Wolał pozostać w bezruchu. Urządzenia piszczały miarowo, kojąco.

-Nie może pan teraz mówić z powodu respiratora. Ale to stan przejściowy, być może nastąpiła poprawa.

Poprawa?

-Chyba poruszył palcem, panie doktorze.

-Poruszył pan? Mogłoby pan to dla mnie powtórzyć, bo przeoczyłem.

Na czym polegała ta poprawa? Przede wszystkim miał powietrze, i to do woli. Co za rozkoszna planeta pokryta bezmiarem miękkiego powietrza. Czuję, jak powietrze rozchodzi mi się po całym ciele, wyraźnie zapewnia mi życie na ziemi, chociaż nigdy przedtem tak o tym nie myślałem.

-Niech pan tylko podniesie szybko palec.

Pip, pip, pip.

-Mamy notatnik na podkładce. Z pewnością ma pan jakieś pytania, panie Roy.

Pytanie: Dlaczego nie rozumiał, kiedy próbowała mu coś powiedzieć, jeżeli nawet nieswiadomie, to w wymykających jej się aluzjach. O dziwo, takie pierwsze pytanie przyszło mu do głowy. Ona cierpiała katusze, a on nie kiwnął palcem, bo nawet o tym nie wiedział. Otworzył oczy, usiadł, a w każdym razie usiłował, i spróbował powiedzieć: "Delia".

-Pomalu, panie Roy.

Rozejrzał się, zobaczył doktora Chu, Netty i drugą, nieznaną pielęgniarkę. Przez okno wpadło światło. O Boże, co z jego planem? Wykonał gest pisania. Netty podała mu długopis i notatnik. Napisał: Czy to jutro?

-Czy co jutro? - spytał Chu.

Machnął niecierpliwie ręką i napisał: Dzisiaj.

-Nie rozumiem - powiedział Chu.

-Może pyta, czy dzisiaj jest jutro - odpowiedziała Netty.

-Czy dzisiaj jest jutro? - powtórzył Chu. - Wciąż...

-Licząc od dnia przyjazdu tutaj - wyjaśniła Netty.

Roy postawił ptaszek na papierze.

-Rozumiem. - Chu spojrzał na Roya. Czyżby dziwnym wzrokiem? Royowi nie spodobało się jego spojrzenie. - Jest pan tutaj od trzech dni. Miał pan szczęście, że trafił tu w porę.

Roy napisal: 3 dni?

-Nie ma powodu do obaw - rzekl Chu. - Duzo widzielismy, znamy gorsze przypadki. Wyniki wskazuja na poprawe.

Panski stan poprawia sie doslownie z godziny na godzine. Szybko postawimy pana na nogi.

Roy napisal: Teraz.

Chu rozesmial sie z zazenowaniem.

-Niedlugo - obiecal.

Roy spojrzal Netty w oczy, nie zobaczyl w nich optymizmu. Spojrzal na druga pielegniarke. Najwyrazniej sie zamyslila.

Problem polegala na czym innym. Napisal go i podkreslil dwa razy: 3 dni bardzo zle.

Netty sie pochylila, poglaskala go po rece. Jej dlon przypominala cieple stworzenie. Tetnilo w niej zycie, ktorego mogla jeszcze udzielic innym.

-To musi byc dziwne uczucie, ze trzy dni minely tak niepostrzezenie, ale... - Chu urwal, zastyl z rozdziawionymi ustami, zapewne szukajac krzepiacego sformulowania.

-Co bylo, to bylo - skwitowala Netty.

-Otoz to - podchwycil Chu. - Trzeba zyc terazniejszoscia.

Roy napisal: Musze wrocic do domu.

-Oczywiscie - potwierdzil Chu.

Dzisiaj.

-Rozumiem - powiedzial Chu. Sprawdzil jedno z urzadzen. - Tyle ze to nie...

-Panie Roy, prosze sie nie martwic o dom - wtracila Netty. - Wszystko jest w porzadku.

Zwrocil oczy na nia.

-Dzwonil tamten policjant - dodala. - Sierzant Boudreau? Zapisalam wiadomosc.

Wyjela z kieszeni kartke rozowego papieru, podala Royowi.

Przeczytal: Sierzant Boudreau z Ethan V. Wszystko OK. Odezwij sie po powrocie. Wpadl klient i wszystkim sie zajal. Wracaj do zdrowia.

Klient? Walil sie caly jego plan, zeby okablowac sie przy pomocy Freddy'ego, a wlasciwie juz sie zawalil. Musial dzialac, i to natychmiast. Usilowal podniesc sie do pozycji siedzacej, i udalo sie. Przymocowali mu tyle rurek - zaczal od tej w zaglebieniu lokcia.

-Spokojnie, Roy - powiedziala Netty i polozyla go delikatnie na lozku, chociaz stawal z calej sily opor.

Wysilek go wykonał. Roy zamknął oczy. Zmusił się, żeby je otworzyć, wziąć notes i napisać: Czy dostaje koktajl?

-Jeszcze nie czas na kolejny cykl - odparł Chu. - Znasz harmonogram.

Roy napisał: Podłączcie mi.

Chu patrzył na niego bez słowa, Roy znowu zamknął oczy. Podłącz mi, ty sukinsynu. Nie widzisz, że potrzebuje wojowników? Podłącz mi.

Obudził się w nocy w ciemnym pokoju, urządzenia piszczały cicho. Coś go zdziwiło, ale co? Dopiero po chwili zrozumiał. Czuł się dobrze, zero bólu, nawet wrócił mu apetyt. W dodatku oddychał sam. Westchnął. Zaczepił głęboko tchu, może nie bardzo głęboko, ale jednak. Każdy, kto tak oddycha, będzie długo żył. Czyżby jednak dostał koktajl? Najwyraźniej. Widocznie doktor Chu uległ. Rozejrzył się, chciał zobaczyć, w którym worku nad głową jest koktajl. W tym momencie drzwi się otworzyły. Stał w nich mężczyzna, którego ciemna sylwetka odcinała się od światła płynącego z korytarza. Miał na sobie biały kitel i stetoskop na szyi.

-Nie śpij - powiedział Roy.

Jego głos zabrzmiał dziwnie. Odchrzaknął, spróbował jeszcze raz. Tym razem lepiej.

Mężczyzna wszedł, pchając łóżko na kółkach.

-Jak się pan czuje? - spytał.

-Dobrze - odrzekł Roy. - Kim pan jest?

-Nocnym AL - odparł mężczyzna.

Stał przy łóżku, spojrzał na Roya.

-Kto to jest AL?

-Asystent lekarza.

-Dlaczego ma pan maske? - dociekał Roy.

-Wracam z sali operacyjnej - wyjaśnił asystent.

-No tak.

Asystent lekarza sprawdził rurki. Roy zauważył, że ma już podłączona tylko jedna.

-Zgłodniałem - powiedział.

-Zjeżdżając, możemy zatrzymać się przy automacie z kanapkami - stwierdził asystent.

-Dokąd jedziemy? - spytał Roy.

-Na radiologię - oznajmił asystent. - Lekarz zlecił jakieś przesświetlenia.

-Doktor Chu?

Asystent pokiwał głową, a jednocześnie zawiesił worek z kroplówką na drzewku przy łóżku na kółkach.

-Teraz? - zdziwił się Roy. - W środku nocy?

-Maszyny działają na okrągło.

-W ogóle mi o tym nie wspominał - zauważył Roy.

Asystent zdjął kartę wiszącą w nogach łóżka.

-Ma pan wpisane w karcie - wyjaśnił.

-Rozumiem - rzekł Roy.

Asystent przysunął ruchome łóżko do łóżka Roya.

-Przesune pana - powiedział.

-Nie trzeba, poradze sobie.

Niby drobna sprawa, przesunac cialo o pol metra, ale Roy zapomnial o niesprawnej lewej rece.

-Niech mi pan pozwoli...

-Sam sie przesune.

I przesunal sie, tyle ze obudzil demona. Nie czul bolu, ale wiedzial, ze demon czyha w poblizu.

-Wygodnie? - spytal asystent.

Zielona lampka jednego z piszczacych urzadzen odbila sie w jego oczach.

Roy pokiwal glowa.

-No to jedziemy.

Lozko ruszylo - za drzwi, korytarzem, do windy, na zewnatrz. Po drodze patrzyl na sufity. Wszedzie plamy po zalaniach, jakby caly szpital ociekal jakas szkodliwa substancja. Lozko sie zatrzymalo.

-Snickers, MM, doritos, twizzlers - wymienil asystent.

-Wezme snickersa - zdecydował Roy. - I może jeszcze doritos.

W automacie zabrzeczały monety.

-Oddam panu - obiecał Roy.

-Nie trzeba.

Przekaski zadudniły w kieszeni automatu. Asystent podał je Royowi.

-Mogę je teraz zjeść? - spytał Roy.

-Jasne.

-Myślałem, że przed badaniami...

-Ale nie tymi - rzekł asystent.

Ruszyli dalej, skrecili za róg, jechali słabo oświetlonym korytarzem do drzwi, które otworzyły się z pneumatycznym sykiem na dużą, zimną i mroczną halę z betonowym sufitem. Podziemny parking, wyniosł Roy. Odpakował batonik i ugryzł kęs.

-Smaczny? - zapytał asystent.

-Owszem - potwierdził Roy i ugryzł następny kęs. - Ma pan ochotę?

Zatrzymali się. Asystent zapukał. Roy unosił głowę, wyciągnął szyję, żeby się rozejrzeć. Znajdowali się o metr od tylnych drzwi karetki. Drzwi się otworzyły.

-Ale... - powiedział Roy.

-Tomograf jest w przybudowce - wyjaśnił asystent.

-Co to jest tomograf? - spytał Roy.

-Na trzy. Raz, dwa, trzy - zakomenderował mężczyzna w karetce.

Łozko podjechało do góry, wsunęło się do karetki. Drzwi się zamknęły.

-Gotowe - rzucił mężczyzna z tyłu karetki. Niewykluczone, że to lekarz. Miał na sobie elegancką tweedową marynarkę.

-Co to jest tomograf? - powtórzył Roy.

Karetką ruszyła. Mężczyzna w tweedowej marynarkę odwrócił się do niego. Na chwilę Roya opuścił duch walki. Poczł się pusty w środku.

-Chyba urządzenie do bardzo skutecznych przeswieceń - wyjaśnił mężczyzna.

Roy milczał. Najpierw musiał się pozbierać.

-Czy ty masz jakieś prawdziwe nazwisko?

-Znow występuje jako Tom Parish.

Rozdział 30

Karta Roya leżała na wozku. Tom Parish wziął ją do ręki, szybko obejrzał, po czym usiadł na ławeczce z boku i przejrzał całą historię choroby, strona po stronie. W karetce panowała cisza, pominawszy szelest przewracanych kartek i bebnienie deszczu po dachu. Po chwili Tom, nie odrywając oczu od karty, spytał:- Co dokładnie znaczy "nie podlega resekcji"?

-Sprawdź sobie - odburknął Roy.

Tom spojrział na niego z zaciekawieniem, jak gdyby Roy zareagował dość niespodziewanie, po czym wrócił do lektury.

-Masz rację - dodał niemal jakby do siebie. - Dalem plame jako absolwent filologii klasycznej. Przecież "resekcja" wywodzi się z łacińskiego "resectio", czyli odcinac, a zatem... - Dumny uśmiech wykwitł mu na twarzy. - Nie podlega resekcji to inaczej nieoperacyjny. - Znow spojrział na Roya. - Gdzie ty, do diabła, miał kontakt z azbestem?

-Nieoperacyjny wcale nie znaczy, że nic się nie da zrobić - wytknął mu Roy.

Tom pomachał dokumentacją w powietrzu, wypadła jedna kartka, sfrunęła na podłogę. Najwyraźniej nie zauważył.

-Rozumiem - powiedział. Karetka przyspieszyła. - Można przynajmniej próbować.

-Podnieś te kartki - zazała Roy.

Tom jakby go nie słyszał. Czytał, wzdychając.

-Zaczynam rozumieć - stwierdził. - Niefortunny układ wydarzeń! Zdumiewający pech. Odwrotność szczęśliwego trafu.

-O czym ty mówisz?

-Nie wiedzieliśmy, co się, do diabła, dzieje - powiedział Tom. - Wielce to denerwujące.

-My, czyli kto? - spytał Roy.

-Chyba znasz odpowiedź na to pytanie - rzekł Tom.

-Wolałbym usłyszeć od ciebie.

Tom wrócił do karty. Wodził wzrokiem po papierze. Roy sprawdził kroplówkę, pozostała w niej jedna trzecia płynu. Nikt mu nie powiedział, że zawiera koktajl, ale Roy był tego pewien, bo wracały mu siły. Tom studiował kartę, usadowił się wygodnie z założonymi nogami. Zirykowało to Roya.

-Kto zadzgał Paula Habiba? - spytał.

-Skąd ci przyszło do głowy, żeby o to pytać? - powiedział Tom, nie podnosząc wzroku.

Roy nie odpowiedział. Z oddali dobiegł go odgłos syreny. Jej dźwięk narastał. Pierwsza myśl - doktor Chu. Inteligentny człowiek, znacznie inteligentniejszy od Toma Parisha. Czy to możliwe, żeby zareagował tak szybko? Teraz syrena wyla tuż nad nimi. Tom się nie przejął, nie odrywał się od historii choroby. Świadczyło to o jego arogancji lub głupocie. Za chwilę policja zatrzyma ich karetkę. Roy już szykował swoją wersję zdarzeń: Możecie go aresztować za porwanie, ale sprawa wygląda znacznie poważniej. Datuje się aż od...

I wtedy nastąpiło coś, na co Roy nie był przygotowany - zjawisko Dopplera - po czym syrena zaczęła się oddalać. Chwilę potem już jej nie słyszał. Tylko krople deszczu na dachu, może przyciszona muzyka.

-Nie musisz odpowiadać - rzekł Tom. Włożył kartę Roya pod pachę i wstał. - Pytanie tylko, jak długo będziesz na to umierał.

Otworzył drzwi prowadzące na przód karetki. Rozległa się głośna muzyka: Po co blokować drogę? To wolny kraj - Bob Marley, Rebel Music, jeden z ulubionych kawałków Roya. Tom przeszedł do przodu, stanął, odwrócił głowę:

-Kiedy mówię, że rozumiem, jak znaleźliśmy się w tym punkcie, to nie znaczy, że jestem z Ciebie zadowolony. Nielatwo będzie zastąpić Lenore.

Zamknął drzwi. Bob Marley ucichł.

Roy leżał i patrzył, jak poziom płynu w kroplowce powoli się obniża, trudno było zauważyć, jak go ubywa. Może wolne tempo stanowiło dobry znak. Wyobraził sobie swoje ciało przepelnione mikroskopijnymi wojownikami doktora Chu tak bardzo, że posilki nie mogły się przebić, zrobił się korek przypominający zator kibiców w bramce obrotowej przy wejściu na wielki mecz piłkarski. Z każdym ułamkiem milimetra Roy czuł się lepiej. Przecież tego nie można udawać. Albo ktoś się czuje lepiej, albo nie. Poprawa

samopoczucia, powrot sil to jego tajna bron - jak w wypadku Samsona, ktoremu odrosly wlosy. Wzial gleboki oddech, bardzo gleboki, az do dna pluc, i zdal sobie sprawe, ze nie jest przywiazany.

Usiadl. Trwalo to dluzej, nizby sadzil, na chwile go zatkalo, ale przeciez trzy dni lezal na wznak. Przesunal sie, postawil nogi na podlodze. Nie tylko trzy dni na wznak, lecz rowniez trzy dni wykreslone z zycia. Nie moze dopuscic, zeby to sie powtorzylo.

Polozil rece na krawedzi lozka, dzwignal sie, wstal. Przed oczyma wszystko mu sie zamazalo, poczul sie duzo za duzy. Zakolysal sie do przodu i do tyłu, machnal reka, zeby sie czegos chwycic, tak gwaltownie i niezdarnie, ze wyrwal sobie kroplowke z reki i zlapal sie lozka. Sciskal je kurczowo. Po chwili w glowie mu sie rozjasnilo. Nasluchiwal dzwiekow z przodu karetki, odglosow ruchu lub alarmu, ale slyszal tylko deszcz. Wyprostowal sie.

W meczu hokejowym zawsze pojawial sie problem, kiedy wycofac bramkarza i wprowadzic dodatkowego napastnika. Doswiadczenie uczilo, ze wiekszosc trenerow, pragnac uniknac ryzyka pustej siatki, czeka do ostatniej chwili, ale trener Roya z druzyny Karlow, niejaki Blenny, wlasciciel sklepu z narzedziami, czasem dokonywal tej zmiany nawet siedem lub osiem minut przed koncem meczu. Stukal sie w wielki czerwony nochal i powiadal: "Czuje, chlopcy, w ktora strone to idzie, i wierzcie mi, ze cos tu smierdzi".

Teraz Roy tez czul, ze cos tu smierdzi. Rozejrzal sie w poszukiwaniu broni, ale jego wzrok padl najpierw na kartke, ktora spadla na podloge. Schylil sie, sztywny jak starzec - ale czy mogl byc gietki po trzech dniach w lozku? - i podniosl. Niewiele tam bylo napisane. U gory wydrukowano jego nazwisko i date jednego z trzech straconych dni. Ponizej tylko krotka odieczna notatka podpisana: dr med. C.G. Chu. Notatka brzmiala: "Odnosnie do spiaczki. Jezeli pacjent sie wybudzi, nie reanimowac".

Nie reanimowac? Niby dlaczego? I co znaczy: Jezeli pacjent sie wybudzi? Jezeli? I ta spiaczka? Rzeczywiscie spiaczka? Spojrzal na kroplowke, ktorej rurka wisiala swobodnie, a igla dotykala podlogi. Jezeli naprawde zapadl w spiaczke - w co nie bardzo wierzyl - tylko koktajlowi doktora Chu zawdzieczal, ze stoi teraz o wlasnych silach, a energia wraca mu z kazda chwila. Ten srodek zdola utrzymac go przy zyciu. Moze nie na zawsze, ale wystarczajaco dlugo.

Przesunął się cicho na tył karetki, zajrzał między listewki żaluzji w oknie, mając nadzieję, że zobaczy, gdzie jest lub przynajmniej oceni prędkość. Nie zobaczył nic. Ani ciemności, ani nocy, nic. Dopiero po chwili się zorientował, że szyba jest pomalowana na czarno. Żaluzje na zaciernionym oknie, nic dodać, nic ująć.

Z jednej strony karetki stały dwie szafki. Wyglądały jak szafki medyczne, spodziewał się więc opatrunków, lekarstw, pojemników z tlenem, raczej nie skalpeli, ale chociażby nożyczek, które by mu wystarczyły. Odsunął zasuwkę w najbliższej szafce, otworzył.

Była płytka, miała zajęta tylko górną półkę. Leżały na niej trzy znajome dowody rzeczowe A, B, C: dowód wypłaty Paula Habiba, zdjęcie z Operacji Ananas i zdjęcie Habiba z Calvinem Truesdale'em. Roy wcale nie zdziwiło, że włamano się do jego samochodu.

Otworzył drugą szafkę i na górnej półce znalazł tylko jeden przedmiot. Cynowa urna z prochami Paula Habiba. Zamarł z przerażenia: Skąd ci przyszło do głowy, żeby o to pytać?

-Widzę, że wstałeś. - Obejrzał się. Wrocili Tom, drzwi do kabiny kierowcy były rozsunięte. - Musiałem coś źle zrozumieć z karty. Nie sądziłem, że istnieje taka możliwość.

-Wszystko w porządku?! - zawołał drugi mężczyzna z przodu.

-Tak - odparł Tom. - Pilnuj kierownicy. - Zamknął drzwi. - Miałeś nie móc wstać.

Roy przemilczał uwagę.

Tom spojrzał na urnę.

-Wiesz, co powiedziała kobieta, kiedy do niej przyjechalismy?

-Nie.

- "Juz sadzilam, ze nigdy sie nie zjawicie". - Pokiwal glowa, jak gdyby sie wzruszyl. - To nie jej wina. Ja tez nie czuje sie z tym najlepiej. Ale Paul byl mieczakiem, ktory nie potrafil utrzymac jezyka za zebami. Nie zadbal o jej ochrone. Wiedziala za duzo, a poniewaz byla nie w ciemie bita, przezyla tyle lat, wiedzac, ze wie za duzo.

-W przeciwienstwie do mnie - powiedzial Roy.

-W przeciwienstwie do ciebie do niedawna - uscisli Tom. - Bo do niedawna nie wiedziales nic.

-Delia zadbala o moja ochrone?

-Zebys wiedzial - potwierdzil Tom. - Chyba juz odkryles, jak bardzo cie chronila. Ale teraz jest inaczej. Jak wspominalem, niefortunny uklad wydarzen.

-Nie wierze, ze pracowala z toba - oswiadczyl Roy. - Ani z nikim twojego pokroju.

-To jedynie dowodzi jej wartosci - rzekl Tom.

Roy nie wierzyl.

-Chce, zeby mi to powiedziala sama.

Tom dziwnie na niego popatrzyl.

-Na pewno bylyby milo - przyznal. - Ale, pominawszy wszystko inne, nie ty tu dyktujesz warunki.

Karetka weszła w ostry zakret. Urna odbiła się od ściany ambulansu, ale się nie przewróciła.

-Opowiedz mi, dlaczego poniesliście klęskę - poprosił Roy.

-Jaka klęskę?

-Operacji Ananas.

-Niby po co?

-Czyli boisz się powiedzieć - stwierdził Roy.

-Przesadzasz - rzucił Tom. Na jego twarzy wystąpiło kilka różowych plam, jak gdyby miał zaraz wypełznąć rumieniec. - Może z przyzwyczajenia jestem ostrożny.

-Tak sam się postrzegasz? - spytał Roy. - Jako człowieka ostrożnego?

-Bardzo. Ostrożność to podstawa - zapewnił go Tom. - Może połóż się jednak?

Roy nie usłuchał, lecz zdjął z polki zdjęcie Operacji Ananas.

-Gdzie to jest? W północnej Afryce?

Tom nie spuszczał go z oka.

-Czy to fort? - pytał dalej Roy. - Czy może więzienie?

Tom uśmiechnął się słabo.

-Nieźly jesteś. Może miałeś się z powołaniem.

Komentarz zdenerwował Roya. Już chciał schować zdjęcie do kieszeni, kiedy się zorientował, że ma na sobie szpitalną piżamę. Ale w bluzie była kieszeń. Wsunął do niej zdjęcie Operacji Ananas.

-Kładź się!

Roy ani drgnął.

-Co się stało w więzieniu?

Tom, nie odwracając się do tyłu, postukał w drzwi prowadzące do kabiny kierowcy.

-W każdym razie musieliście użyć helikoptera - powiedział Roy.

-Tak?

-W wersji Westiego - dodał Roy. - W jego opowieści często przewijały się helikoptery.

Tom spochmurniał. Drzwi się otworzyły. Wyciągnęła się ręka, podała Tomowi rewolwer, taki sam jak poprzednie. Krótka lufa, drewniana kolba, jak gdyby kupili je hurtowo ze względu na rabat.

-Najbardziej urzadzaloby nas - powiedzial Tom - gdybys umarl na... mezoteliome. Dobrze wymawiam?

-Skoro to bylo wiezienie - ciagnal swoje Roy - usilowaliscie kogos wydostac? Kogos, kto tez pracowal w instytucie, a na przyklad wpadl w trakcie poprzedniej porazki?

-Ponosi cie artystyczna wyobraznia - zapewnil go Tom.

-A moze... - Roy przypomniał sobie jarmark w Mad River. - Moze bylo odwrotnie?

-Odwrotnie? - zainteresowal sie Tom.

Roy nie chcial o tym mowic.

-Slucham - zachecil go Tom. - Zaciekawiles mnie.

Z jego slow Roy wywnioskowal, ze wpadl na wlasciwy trop.

Na dziedzincu wiezienia trudno o przyjaciela, latwiej o wroga.

-Trafil tam ktos, kogo chcieliscie zabic? - dociekal.

-Niby kto? - spytal Tom.

Roy nie wiedzial. Czy kraje polnocnej Afryki uwazano za ich sojusznikow? I ciekawe, po ktorej stronie sa wiezniowie z tych krajow.

-Widzisz, jakie to się robi skomplikowane? - zauważył Tom. - Powiedzmy, że chcieliśmy zlikwidować bardzo złego człowieka.

-Helikopter przeleciał nad dziedzińcem wieziennym, a Delia była... - Jakiego słowa użyć? Snajperka? Zabójczyni?

-Zgadza się - potwierdził Tom. - Ale nie ponosiła odpowiedzialności za porażkę naszej misji. Ona była, jak to się mówi, profesjonalistka w każdym calu.

-Kłamiesz - rzekł Roy.

-Lenore do dziesiątej potęgi - dodał Tom.

Roy nie posiadał się z oburzenia.

-Była ekonomistka - zaproponował.

-I to świetna - przyznał Tom. - Ale jej rola się rozrosła.

-Musiałbym to usłyszeć z jej ust.

-Wierzysz w życie pozagrobowe? - spytał Tom i wskazał rewolwerem łozko. - Wróć na nie, jeśli proszę o dobroci.

Blenny miał rację. Jeżeli trzeba przegrać, to przynajmniej warto przegrać w ataku. Roy ruszył w kierunku łozka na kolkach. Stało na środku karetki, oparte jedna para kół o gumowy klocek. Roy złapał się tylnej krawędzi, szybkim kopnięciem usunął gumowy klocek. Zebrał się w sobie jak słaby, chory człowiek, który przystępuje do dużego wysiłku fizycznego. Nawet nie bardzo musiał udawać.

-Pomoc ci? - spytał Tom.

-Nie - odparł Roy.

Przyklakł, jakby chciał się dźwignąć, nabral powietrza.

-Na pewno? - spytał Tom.

Roy pokiwał głową. Przysunął łozko trochę bliżej siebie. Rzucił okiem na Toma, który opuścił broń, bo tak pochłonęły go zmagania Roya, i obserwował wszystko jak widział. Niebezpieczny facet! Roy z całej siły pchnął łozko przed siebie.

Nie szurnęło po podłodze, ale przynajmniej drgnęło. Poza tym szczęście mu sprzyjało, bo w tym momencie karetka gwałtownie zahamowała, Tom stracił równowagę i jednocześnie uderzyło go łozko. Upadł. Ponieważ Roy z całej siły pchnął łozko, też upadł, tyle że na Toma.

Tom trzymał w ręku rewolwer. Roy chwycił go za nadgarstek, usiłował wyrwać mu broń oburącz, ale prawa ręka w coś mu się zaplątała, jak się okazało, w rurkę kroplówki. Na lewą, złamaną, nie mógł liczyć. Tom zrzucił go w jednej chwili jak piórko. Roy upadł na podłogę. Impet wycisnął z niego resztki tchu. Tom usiadł Royowi okrzakiem na piersi. Podniósł rewolwer.

-Wcale nie musiało się tak skończyć - oświadczył. - Zaplanowaliśmy bardziej humanitarny koniec.

Pieprz się. Royowi jednak zabrakło siły, żeby to powiedzieć, żeby odejść tak, jak chciał.

Tom wycelował broń w środek czoła Roya. Roy poczuł delikatne ukłucie w miejscu, w które miał trafić pocisk. Kiedy rewolwer naprawdę wypalił, a może tuż wcześniej, karetka przechyliła się na kolejnym zakrecie, urna spadła z polki i traciła Toma w ramie. Broń wypadła mu z ręki i szurnęła po podłodze. Tom

skoczył za nią. Roy też, chociaż miał prawą rękę owiniętą rurką, a końcówkę z igłą ścisnął w dłoń. Obaj kleczeli, Tom sięgał po rewolwer, kiedy Roy wycelował igłę w jego oczy.

-Nie ruszaj się! - zawołał. - Bo cię zaraz.

-Nieprawda! - rzucił Tom.

Ale miał przerażenie w oczach. Wyprowadził instynktowny, spazmatyczny cios, którym za ledwie musnął głowę Roya. Jednakże Roy był w tak oplakany stan, że nawet od tego musnięcia zakreśliło mu się w głowie. Rzucił się naprzód. Pod naporem ciała Roya igła kroplówki wbiła się Tomowi w szyję.

Gdy po chwili Roy odzyskał klarowność umysłu, ujrzał wewnątrz karetki zbryzgane krwią, która wciąż sikała Tomowi z szyi. Roy wstał, podniósł z podłogi rewolwer.

-Gdzie ona jest? - spytał.

Tom patrzył, lecz nie mówił. A może oczy po prostu mu znieruchomiały? Roy uzmysłowił sobie, że karetka stoi. Otworzyły się drzwi z przodu, do środka zajrzał kierowca, którego Roy wcześniej nie widział.

-Co jest, do diabła? - rzekł. Zobaczył rewolwer, skoczył z powrotem do kabiny, zatrzasnął za sobą drzwi. Roy usłyszał jeszcze: - Wóz jeden do bazy. Wóz jeden do bazy. Czerwony alert. Czerwony alert.

Roy nie miał pojęcia, co to oznacza. Wiedział tylko, że na wezwanie kierowcy nie zgłosi się porządny człowiek. Znalazł worek kroplówki, otworzył tylne drzwi karetki i wysiadł.

Za oknem noc i znowu w oddali pomnik Washingtona. Przyciskając worek kroplówki do piersi, znalazł się na ulicy Georgetown, pełnej barów i restauracji opustoszałych o tej porze. Za rogiem jednak stała długa kolejka młodych ludzi czekających na wejście do nocnego klubu. Padły uwagi na temat jego pizamy, wszystkie sympatyczne. Pożyczył od kogoś telefon i zadzwonił do kilku osób. Najpierw do Jerry'ego. Czuli się dobrze, bo za nim stał Blenny, a może nawet cały hokej.

Rozdział 31

RZEZBIARZ ROY VALOIS, LAT

46, NIE ZYJE

Richard Gold i Myra Burns Rzeźbiarz Roy Valois, którego ogromne prace stoja wystawione w miejscach publicznych w całym kraju oraz w kilku znakomitych muzeach, zmarł wczoraj w swoim domu w Ethan Valley, w Vermoncie. Miał 46 lat.

Przyczyną śmierci była mezotelioma, choroba nowotworowa spowodowana kontaktem z azbestem, według doktora Chan Gao Chu ze Szpitala Uniwersyteckiego Johns Hopkinsa, w którym Valois przechodził terapię.

Valois, artysta samouk, tworzył niemal wyłącznie prace z odzyskanych materiałów, najczęściej złomowanych metali, chociaż nie był prymitywista, zdaniem Kurta Palmateera, byłego dyrektora Muzeum Mass MoCA w North Adams, w stanie Massachusetts, gdzie w skład stałej ekspozycji weszła pierwsza rzeźba należąca do późniejszego cyklu Neandertalczyków. "Elegancja stylu i głębokie zaangażowanie formalne wskazują na pokrewieństwo z Henrym Moore'em, a nawet z neoklasycystami dziewiętnastego wieku", twierdzi Palmateer. Roy Valois urodził się w North Grafton na zachodzie Maine.

W szkole wyróżniał się w sporcie, jako wybitny hokeista dostał stypendium na Uniwersytecie Maine. Kiedy podjął wakacyjną pracę, która wymagała spawania i obróbki metali, znalazł swoje powołanie. Jego pierwsze dzieło stojące obecnie w North Grafton przed biblioteką publiczną powstało latem na trzecim roku studiów, po godzinach. Wykonane z mosiężnych części wydobytych z zatopionego frachtowca, zatytułowane Finwal, zwróciło uwagę profesor Anny Cohen z Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Maine, dzięki czemu dostał dwuletnie stypendium Uniwersytetu Georgetown.

Tam zaczął przyciągać uwagę kolekcjonerów. Ceny wielu prac z cyklu Neandertalczyków "tragicznej epopei ze złomowanej stali", jak określił ją krytyk Hilton Kramer, przekroczyły 100 000 dolarów. W Georgetown Valois poznał żonę, Delię Stern, ekonomistkę, która podjęła następnie pracę w ONZ. Zginęła piętnaście lat temu w katastrofie lotniczej na granicy Wenezueli. Nie mieli dzieci, a Valois nie ożenił się ponownie. Zostawił matkę Ednę Valois zamieszkałą w Sarasocie na Florydzie.

-Mamo? - powiedział Roy. - Przepraszam, że tak późno dzwonię.

-Nie szkodzi, synu. I tak nie spalam. Coś się stało? Tak mi brzmi, jakbyś wciąż walczył z przeziębieniem.

-Wszystko w porządku, mamo. - Trzymał w ręce wydruk swojego nekrologu, kilka godzin przed ukazaniem się porannego wydania gazety. - Tylko chciałem, żebyś miała najświeższe dane.

-Nie mów, że znowu trafiła ci się ogromna gratka.

-W pewnym sensie.

-Nie bardzo rozumiem.

-Jutro się dowiesz... - Jak by to ująć? - ...czegoś nieprawdopodobnego na mój temat. Robię pewien eksperyment, działanie artystyczne. Nie wierz w to ani przez chwilę. Ale chciałbym, żebyś wzięła w nim ze mną udział.

-Co to za historia?

Roy jej powiedział.

Chwile milczala.

-Nie rozumiem, na czym polega gratka.

-Zle sie wyrazilem - przyznal.

-Czy to tak zwana sztuka performansu?

-Niezupelnie. Wyjasnie ci pozniej.

Znow milczenie.

-Moze po prostu do tego czasu przestane odbierac telefon - powiedziala.

-I jak ci poszło? - zapytał Turk.Jechali cadillakiem Turka, on za kierownica, Freddy Boudreau z przodu obok kierowcy, Roy z tyłu.

-Nie za dobrze - powiedział. - Matka sie martwi.

-Ja tez - wtracil Freddy, chociaz przedtem wygladalo na to, ze dobrze sie bawi. Otworzył piwo, wręczył Royowi, który pociagnął łyk, trochę więcej, niż zamierzał, ale zimna puszką przyjemnie chłodziła mu reke. Przekroczyli granice stanu Teksas. Freddy przez całą droge nie zapalił ani jednego papierosa. Roy wiercił się, kładł na boku, bo te właśnie pozycje ulubił sobie ostatnio demon. Fajnie było znowu być z chłopakami z drużyny. Komu innemu mogłby zaufać? Złożył głowę na worku kroplówki.

-Mylilem się.To były pierwsze słowa wypowiedziane przez Freddy'ego, kiedy wjechali cadillakiem do Waszyngtonu. Turk przyleciał przed nim. Po telefonie Roya owej nocy jazdy karetka zaraz wsiadł do samolotu, w którym spędził kilka godzin. Freddy przejrzał telefony w komórce Skippy'ego, wydrukował trzy ocalale zdjęcia - paczka w czekoladzie z posypką, młodej ekspedientki z Dunkin' Donuts, rzeźby Delii - zdjął odciski palców z telefonu, a następnie sprawdził nagrania.

-Chłopak okazał się naprawdę lebski - pochwalil go Freddy, wciskając guzik. - Pierwszy głos należy do tamtej kobiety ze sklepu winiarskiego?

Siadaj na łozku, nie zrobimy ci nic złego.

Roy skinal głowa.

-Lenore.

Tak? Skippy mowil nieco drzacym glosem, lecz może dlatego, że w schronisku hulal zimny wiatr, a on miał tylko lekka wiatrowke. W takim razie dlaczego on celuje do mnie z rewolweru?

Siadaj. Tylko chwile pogadamy.

Nie wierze. Milczenie. To jest taki sam rewolwer jak tamten. Kurcze, to wyscie mnie wkopali.

W co wkopali? To Westie.

Podrzuciliscie mi rewolwer. Wpakowaliscie mnie w gowno. Dlaczego?

Nie bierz tego do siebie. Wynagrodzimy ci straty. Wystarczy piecset dolarow?

Chrzan sie.

Klik.

-Przyszły wyniki sekcji zwłok. Został uduszony - powiedział Freddy. - Lebski chłopak.

-I odwazny - dodal Turk.

Roy nic nie powiedzial. Po raz pierwszy w zyciu odezwal sie w nim morderczy instykt.

-Jak tam, Roy?-W porzadku.

-Potrzeba ci czegos?

-Nie.

Mial wszystko na tylnym siedzeniu cadillaca Turka. Nie tylko lodowke pelna kanapek i napojow, teraz juz niepotrzebnych, oraz duze opakowanie silnego srodka przeciwbolowego oxycontins pozyczone od Freddy'ego z komisariatu, ktore to pigulki nieco go oszalamialy, a demon i tak je odrzucal, lecz rowniez lezace na podlodze ochraniacze na lydki nie do pary, zwinieta w klebek podkoszulke "Krolow lawki kar" i

tumult drogi. Siegnął pamięcią wstecz. Ile razy ruszał w hokejowe trasy, ile odbył długich podróży. Przypomnił sobie rezerwowego bramkarza w Maine, cichego chłopaka, który bez uprzedzenia wypiał na autostradzie tylek przed przejeżdżającym radiowozem.

-Co cię tak śmieje? - spytał Turk.

-Nic - odparł Roy.

Zamknął oczy. Demon też się zdrzemnął.

Roy usiadł. Na dworze chyba panował upał. Nie lubił takiej pogody w zimie.-Gdzie jesteśmy?

-Pod San Antonio - powiedział Freddy.

Serce zabiło Royowi żywiej, kołatało szybko i płytko. Na pewno z nerwow, przejęcia, podniecenia. Roy próbował się uspokoić, żeby oszczędzić siły.

-Wydzwaniaja rozni ludzie w sprawie pogrzebu - powiedzial Turk. - Lacznie z doktorem Chu.

-Doktor Chu wybiera sie na pogrzeb?

-Poinformowalem go, ze nabozenstwo zalobne planujemy dopiero za miesiac albo dwa - powiedzial Turk. - Unikalem szczegolow. Podal mi wszystkie namiary na siebie.

Milo slyszec. Zastanawiali sie, czy nie wyjawic doktorowi Chu prawdy, ale sie wstrzymali. Czesciowo ze wzgledu na ochrone planu, a czesciowo na ochrone doktora Chu. Freddy zadzwonil do niego, zawiadomil, ze Roy widocznie na wlasna prosbe wyszedl ze szpitala i wrocil do domu, gdzie on znalazl cialo. Turk zadzwonil do "New York Timesa", odbyl rozmowe z dziennikarka Myra Burns, powiedzial jej o doktorze Chu, gdyby chciala sprawdzic dane do nekrologu. Tak samo postapili wobec Krishny. Zeby nikt nie musial niczego udawac. Wszystko dzialalo jak w zegarku, plan wykluczal przeciek.

-Niezaleznie od daty - uprzedzil Roy - ja sie nie wybieram.

Z przedniego siedzenia cadillaca gruchnal smiech. Roy tez sie rozesmial z wlasnego dowcipu i przez chwile poczul sie jak zawsze w trasie z chlopakami. Z ta jedna roznica, ze dzieki walacemu sercu szybowal ku nieznanym wyzynom.

Zadzwonil telefon Turka.

-Tak? - powiedzial. I zaraz zmienil glos. - A, czesc. - Przez chwile milczal. - Tak, to straszne. - Znow tylko sluchal. - Wybacz, ale jeszcze nie znam odpowiedzi na to pytanie. - Royowi sie zdawalo, ze slyszy w sluchawce placz. - Bede w kontakcie. Trzymaj sie.

I rozlaczyl sie.

-Kto to byl? - zapytal Roy.

-Oj, wolalbys nie wiedziec.

-Kto?

-Jen.

W samochodzie zapadlo milczenie.

-Cholera - zaklal Freddy. - Ze tez nie przewidzialem.

Podobnie jak Roy. Dowod, ze Jen miala racje - cos w nim peklo po katastrofie helikoptera, ktora nie zdarzyla sie w Wenezueli, a moze w ogole sie nie zdarzyla. Mylila sie jednak, ze to zdarzenie wiazalo sie z uszkodzeniem nerwow. Zakonczenia nerwowe mial w nienaruszonym stanie, tyle ze przemieszane, poskrecane, zawodne. Czyzby to zniekształcenie wplynelo na poprawe jego weny tworczej? Mozliwe.

-Na co nie znalazes odpowiedzi? - spytal Roy.

Turk sie obejrzal. Roy, lezac na boku, spojrzal na niego.

-Od jak dawna znalazes diagnoze - powiedzial Turk, odwracajac wzrok. - W kontekscie waszego rozstania.

-Na pewno...

Juz mial powiedziec, ze na pewno jej to wynagrodzi, ale sie zawahal. Bo niby jak? Przeciez niebawem spotka sie z Delia.

-Odpocznij troche - poradził Turk.

Roy zamknął oczy. Okazało się, że śmierć wcale nie ułatwia życia. Ile osób miało okazję się o tym przekonać?

Obudził się w ciemnościach. Wiał lekki wietrzyk. Usiadł.-W sama porę - pochwalil go Freddy z przedniego siedzenia.

Siedzieli w cadillacu zaparkowanym na otwartej przestrzeni; okna opuszczone, zgaszone światła. Royowi się zdawało, że w oddali widzi linie zaokrąglonych wierzchołków gór.

-Jak się czujesz? - spytał Turk.

-Obleci.

-Może byś coś zjadł?

-Dobra.

Ale nie był głodny.

Na niebie zjawilo się światło, najpierw słabe, potem coraz jasniejsze. Minelo dziesięć, może dwadzieścia sekund, zapalily się kolejne światła, tym razem na ziemi, nieopodal - żółte oświetlilo niewielki kwadratowy budynek, a obok dwa długie, równoległe niebieskie pasma. Roy usłyszał najpierw cichy szum, potem narastający warkot, wreszcie ryk nad głową. Samolot zatoczył polkole, zszedł nizej, wylądował na koncu pasm światel, wzbijając obłoki niebieskiego pyłu, stanął przed żółtym budynkiem. Śmigła zastygły w bezruchu.

Cisza. Podmucha ciepłego wiatru. Nikły zapach benzyny.

W budynku i w samolocie otworzyły się drzwi, wylały się potoki światła. Odcinały się od nich sylwetki zabieganych ludzi. Krzatali się przy ogonie samolotu, w jednej chwili władowali długi, niezgrabny przedmiot na widły ogromnego wozka widłowego. Silnik mruczał cicho, wozek przejechał wolno obok budynku, mroczne światła błysnęły w lancuchu ogrodzenia niewielkiego dziedzinca. Sylwetki krzatały się jeszcze chwile, lecz zaczęły kolejno gasnąć wszystkie światła - w wozku, wzdłuż pasa startowego, w budynku. Za budynkiem wyjechały dwa wielkie SUV-y i ruszyły w kierunku odległych gór, ich światła tylne nikły w ciemnościach, aż zgasły zupełnie. Na niebie wzeszedł księżyc i noc znowu nabrała tu i owdzie blasku.

-No dobra - powiedział Freddy.

Turk włączył światła postojowe. Cadillac przemierzał wyboista, krzewiasta pustynię; zatrzymał się przy terenie ogrodzonym drucianą siatką. Metalowa tabliczka głosiła: RANCZO TRUESDALE. WSTEP WZBRONIONY. Na kadłubie stojącego obok samolotu widniał ledwo widoczny w poswicieniu księżycyca napis: TRANSPORT VRAI. Wyszli.

-Muszę się odlat - powiedział Freddy.

Wysikali się wszyscy pod kilkumetrowym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym. Roy czuł ucisk na pecherz, co by znaczyło, że też powinien, ale prawie nic nie poleciało. Strumienie Turka i Freddy'ego pluły po ubitej ziemi.

-Uff - powiedział Freddy.

Wózek widłowy stał po drugiej stronie, zaledwie kilka kroków od nich. Długi, niezgrabny przedmiot leżał bokiem na widłach przykryty brezentową plandeką w czterech rogach przywiązana do postumentu ze sklejki. Freddy podszedł do bramy, zastukał kłódką, pokręcił głową. Turk otworzył bagażnik cadillaca, wyjął aluminiową drabinę.

Rozciągnął ją, aż sięgnęła kolczastego drutu, wspinał się, przekreślił, trzymając się najwyższego szczebla, i zeskoczył z drugiej strony. Po nim manewr powtórzył Freddy, na ostatku Roy. Wszedł bez problemu, chociaż w połowie drogi na górę zabrakło mu tchu w piersiach, musiał więc zrobić chwilę przerwy. Na gorze nie bardzo mógł się przekreślić, kłopot sprawiała mu niesprawna lewa ręka. Stracił uchwyt i spadł. Turk złapał go delikatnie, buforując wstrząs, i postawił na ziemi.

-To nie było konieczne - powiedział Roy.

-Wiem - odparł Turk.

Podeszli do wózka widłowego. Freddy rozwiązał konce plandeki. Roy włożył rękę, wymacał zimną, powyginaną, poskrecaną stal: smigła wypełniająca urwany luk Delii. Odwrócił się, pokiwał głową.

-Wiedziecie, że to się może udać? - rzekł Freddy.

-Czemu nie? - odparł Turk z oczami lśniącymi w poswicieniu księżyca. - Przecież to klasyka.

-Jak to? - spytał Freddy.

-Tak bylo u Homera - oznajmil Turk.

Freddy wzruszyl ramionami.

-Nie mam czasu na telewizje.

Zycie bywa rozkoszne.

Sciagneli plandekę, usiedli na postumencie ze sklejki. Księżyc wzeszedł wyżej. Ochłodziło się, jak gdyby księżyc podważył moc słońca. Roy łatwiej oddychał. Czyżby zaczął woleć noc? -Jak tam u ciebie? - spytał Turk.

-W porządku - odpowiedział Roy.

Freddy sięgnął do kieszeni marynarki.

-Wez to - powiedział. - Wystarczy nacisnąć guzik.

-Dobra.

-Wypróbuj teraz - poprosił Turk. - Przecwicz.

-Umiem nacisnąć guzik - odrzekł Roy.

-Działa w promieniu pięciu kilometrów - dodał Freddy.

-A jeżeli będziecie poza zasięgiem? - spytał Roy.

-Niemożliwe - uciął Freddy.

-Wtedy pozostałby nam tylko... - zaczął mówić Turk.

-No tak - wszedł mu w słowo Freddy. - Młotek. Rozesmiał się, Turk również, dołączył też Roy, jak gdyby wszyscy trzej uknuli jakiś żart na przerwie w szatni między tercjami, żeby utrzymać nosa zrozumielięj drużynie. Turk wyjął komórkę, przewiał książkę telefoniczną, wybrał numer.

-Redaktor Myra Burns? - spytał. - To pani jest współautorka nekrologu Roya Valois? - Chwile słuchał. - Tak, wiem, że jest późno, ale Roy chciałby pana pozdrowić.

Roy lezał na platformie. Turk i Freddy zawiązali z powrotem plandeke.-Wszystko w porządku?

-W jak najlepszym.

-Odpoczywaj.

-Dobra.

Potrzebował odpoczynku, żeby zebrać siły na to, co go czekało, bo musiał dobiec do mety, zanim ona dobiegłaby do niego.

-Nie zapomnij o guziku.

Kroki się oddaliły, zachrzesciły suche rośliny. Roy usłyszał szczerk - drabina uderzyła o siatkę ogrodzenia - i w końcu Cadillac z cichym pomrukiem odjechał. Zapadła zupełna cisza. Roy przybrał wygodną pozycję na boku i oddychał. Czuł za plecami twardą, zimną Delię. Co powie Delii? Witaj, skarbie, dawnośmy się nie widzieli? Zabrzmiło to jak słowa ze starej piosenki, a takie lubiła. Przewrócił się na drugi bok, przytulił do Delii. Jego serce zerwało się do kolejnego lotu, ostatnio lubiło szybować na wierzynę.

Rozdział 32

-Hanba.Roy otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje, brakowało mu powietrza, czuł się osaczony, jakby ktoś go pochował żywcem. Już chciał zacząć się szamotać, ale powstrzymał go znajomy głos.

-Strasliwa hanba - mówił Krishna. - Naprawdę będziecie mi wierzyć, że dzięki tej rangi cała noc pozostawiono bez ochrony?

-W zaleceniach nie było nic o ochronie - stwierdził mężczyzna.

-Teren jest bezpieczny - dodał drugi. - Patrz pan na ten drut kolczasty.

-W każdym razie - podsumował trzeci - nic się nie stało.

-O, skąd ta pewność? - rzucił Krishna.

-Przecież leży jak byk. Niech pan rzuci okiem.

-Właśnie mam zamiar - powiedział Krishna. - Proszę rozwiązać z tej strony.

-Z tej tutaj?

-Jeżeli pan łaskaw - polecił Krishna.

Roy przylgął mocniej do Delii, zaklinował się pod niskim łukiem powykręcanych promieni. Wtem usłyszał łopot i oslepilo go dzienne światło. Zamrugał, jakby u wylotu tunelu zobaczył ciemną, a mimo to schludną sylwetkę. Kiedy oczy już zaczęły się przyzwyczajać i dostrzegł twarz Krishny, bardzo dzisiaj nieszczęśliwego, brezent opadł i powróciły ciemności.

-I co? - spytał pierwszy mężczyzna. - Wszystko w porządku?

Krishna milczał.

-Te szprychy wyglądały mi na promienie - zauważył drugi.

-A ja myślałem, że to ma być dzieło sztuki - dodał trzeci.

-Panowie, załadujcie bardzo ostrożnie na ciężarówkę - poprosił Krishna. - Będzie was eskortował limuzyna. Tylko nie przekraczajcie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

-Ile to jest warte?

-Nie chodzi o wartość - odparł Krishna tonem, którego Roy nigdy u niego nie słyszał.

-A o co?

-O szacunek.

Po chwili szczechnął łańcuch otwieranej bramy i Roy poczuł ruch. Krotka, chwiejna jazda wozkiem widlowym, przerwa, chrobotliwy zjazd. Syk odpuszczonych hamulców pneumatycznych - i ruszyli. Przez podłogę ciężarówki i drewniany postument, na którym leżał, czuł głęboką, dudniącą wibrację, delikatną jak masaż, ale nie spodobała się jego demonowi. Roy próbował znaleźć pozycję, z której obaj byliby zadowoleni. Uderzyła go szalona myśl, że uczestniczy w tajnej misji, coś w rodzaju Operacji Ananas, tyle że jego misja miała służyć naprawieniu sytuacji. Delia mogła liczyć na pomoc Paula Habiba, on - swojego demona.

Nagle poczuł, że ciężarówka zwalnia, powodując napór Delii na niego, po czym staje. Słyszał głosy, zbyt słabe, żeby mógł rozróżnić słowa. Ktoś uderzył w ciężarówkę tuż obok niego i znów ruszyli. Teraz droga wydawała się gładziej. Demon, niczym rozkapryszony, nekane kolka niemowlę zabrane na przejazdzie, w końcu ustąpił i się zdrzemnął. Choć Roy przespisał całą noc, ogarnęło go zmęczenie. Wyjął zza pazuchy worek z kroplówką, otworzył i wypił zawartość do dna. Następnie też się zdrzemnął.

-Sliczne miejsce. Roy się obudził. Już nie jechał. Poczuł zapach kwiatów.

-Bardzo mi miło, że się panu podoba - powiedział Calvin Truesdale. - Zaznaczam, że dach się rozsuwa.

Roy pomacał w kieszeni, dotknął guzika w bezprzewodowym nadajniku Freddy'ego. Ale nie nacisnął, tylko upewnił się, czy go ma.

-Zastanawiał się pan, gdzie umieści ten eksponat? - spytał Krishna.

-W niszy - odparł Truesdale. - Wiedziałem od pierwszej chwili.

-Jeszcze zanim Roy zdecydował się ją sprzedać? - spytał Krishna.

Truesdale się roześmiał.

-Nigdy nie wierzyłem w te jego odmowy. Tylko artystów wykazuje nieoczekiwana przebiegłość.

-Ale nie Roy.

-Pan go oczywiście znał lepiej. Poza tym najwyraźniej już był bardzo chory, kiedy go poznałem. Nie był sobą.

-A moim zdaniem był sobą aż do końca.

-Tak? Pod jakim względem?

-Choćby to, jak przeprowadził te transakcje - powiedział Krishna.

-Możliwe - rzekł Truesdale. Westchnął. - Co za tragedia.

Krishna milczal.

-Kiedy odbędzie się pogrzeb? - spytał Truesdale.

-Była mowa o nabożeństwie żałobnym - powiedział Krishna. - Jeszcze nie ustalono terminu.

-Proszę mnie zawiadomić.

-Wybiera się pan?

-Jeżeli tylko będę mógł. Ale na pewno chciałbym wysłać kwiaty.

Milczenie.

-Miałby pan ochotę coś przekazać albo się napić? - spytał Truesdale. - Zwiedzić moje ranczo?

-Bardzo pan łaskaw - rzekł Krishna - ale...

-Albo jeszcze lepiej - przerwał mu Truesdale - wieczorem wydajemy przyjęcie. Wszyscy rozstawiają własne namioty nad rzeką. Będzie młody wół z różną, ujeżdżanie, chwytanie na łąso, fajerkwerki z barki. Moze pan zostanie?

-A co to za okazja? - spytał Krishna.

Truesdale się roześmiał.

-Nic takiego - odparł. - Po prostu mam ochotę się zabawić, rozerwać.

-Muszę być w Nowym Jorku na kolacji - oświadczył Krishna bardzo oschłym tonem, nieznanym Royowi.

-W takim razie pożegnaj pana - powiedział Truesdale. - Robić interes z panem to wielka przyjemność.

-I vice versa.

-Odprowadzę pana do samochodu.

-Proszę się nie fatygować.

-Ależ to żaden kłopot.

Odgłos kroków się oddalił. Kiedy Truesdale odezwał się ponownie, ledwo go było słychać.

-Czy umie pan przewidzieć, jak rynek potraktuje jego twórczość za pięć, dziesięć lat?

Drzwi się zamknęły, dlatego Roy nie dosłyszał odpowiedzi Krishny.

Przez chwile slyszal jedynie rzenie konia w oddali. Wyjal reke spod brezentu, uniosl jeden koniec. Najpierw zobaczyl duza kobiete z brazu dluta Henry'ego Moore'a, znana mu z podrecznikow. Rzezba stala na tle sciany z wysokimi, blisko dziesieciometrowymi oknami, ktore zwieczono witrazowymi rozetami. Dalej ciagnely sie zielone ogrody spryskane delikatna mgielka systemu nawadniajacego, a na ich drugim koncu znajdowala sie zagroda. Srokaty kon, znacznie mniejszy od tamtego w stajni Toma Parisha, wykonywal radosnie osemki pod siodlem kobiety w stylowym hiszpaniskim cylindrze z plaskim denkiem i okraglym rondem. Jak okiem siegnac, nikogo innego. Kobieta siedziala sztywno, wyprostowana, ledwo ruszala biodrami w rytm konia. Byc moze z powodu przeslaniajacej widok mgielki moglo sie wydawac, ze ma wiecej wdzieku z nich dwojga, chociaz i kon byl piekny. Przemawiala za tym jej postawa, szczupla sylwetka, niezwykle skupienie i zywotnosc. Roy zszedl z postumentu, przemierzyl marmurowa posadzke, nie zwracajac uwagi na wystawione tam dzieła sztuki, przylepil twarz do okna. Poznal ja od razu - po przekrzywieniu glowy, po zaokraglonym cieniu ronda kapelusza padajacym na twarz i tysiacach innych szczegolow widywanych tyle razy w snach. Poznal i juz.

Rozejrzal sie, ktoredy jak najpredzej stamtad wyjsc, i dopiero teraz zlustrowal wzrokiem cale pomieszczenie. W wielkiej galerii ze szkła i kamienia w ksztalcie litery U staly po obu stronach rzezby, a na koncu, tuż za postumentem pokrytym brezentowa plandeka, znajdowaly sie wysokie, dwuskrzydlowe drzwi. O dziwo, bez trudu otworzyl ogromne marmurowe wrota. Wybiegl na dwor, nie szczedzil sil, chociaz nikogo nie bylo w poblizu. Nic by go nie powstrzymalo: dostal teraz wielkiego napędu i własnie poczul jego napor podobny do sily pierwszej fali wolnego, lecz poteznego wybuchu. Na tej fali minal ogrod, chlodzaca go, zbawienna mgielke, bo dopiero teraz sie zorientowal, jak mu bylo goraco. Dobiegł do zagrody, dal nura pod poprzeczka, biegł dalej. Amazonka wyszła z zakretu, zobaczyla go, pociagnela wodze, zatrzymala konia.

-Prrr, Angus.

Kon stanal, odchylil leb do tyłu. I kon, i ona patrzyli na Roya z odleglosci trzech metrow.

Nie, to nie Delia. Po pierwsze, kobieta nie była jego rówieśniczką, w ogóle nie była jeszcze kobietą, lecz nastolatka. Po wtóre... nie znalazł jednak drugiego argumentu. Zbliżył się, już nie biegiem, lecz bardzo powoli, rejestrując wszystkie szczegóły jej twarzy. Serce znowu zerwało się do lotu. Zapowiadał się jego szczęśliwy dzień.

Amazonka zrobiła zdziwioną minę. Jednakże po chwili się wyprostowała, w jakże znajomej reakcji na stres, i zapytała:

-Pan jest nowym weterynarzem?

Ten jej głos, delikatny teksaski akcent, ale poza tym identyczny.

-Nie - zaprzeczył Roy, podchodząc bliżej. - Jestem...

Sciagnęła brwi, zsunęła kapelusz na tył głowy. Teraz ujrzał jej włosy - krecone, szatynowe, przetykane złotem. Światło padało jej na twarz, w oczach dostrzegł takie same złote plamki.

-Kim? - spytała.

Roy nie mógł oderwać od niej wzroku, patrzył jak urzeczony.

-Jestem Roy - przedstawił się. - Roy Valois.

Wzruszyła ramionami, typowy gest nastolatki. Ile go ominęło!

-Czy moje nazwisko nic ci nie mówi?

-Nie.

-Jestem... - Zaczepił tchu niezbyt głęboko. Zaszwił mu w piersiach, może z powodu zdenerwowania. Czuł, że ogromne zwycięstwo jest bardzo blisko. Tak, to jego szczęśliwy dzień. Nie marzył nawet, że triumf będzie podwójny. - Szukam twojej mamy.

-Mojej mamy? - spytała dziewczyna. - To jakaś pomyłka.

-Dlaczego?

-Bo ja nie mam mamy.

Otworzył usta, bo chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał. Spróbował jeszcze raz.

-Nie masz mamy?!

Angus się sploszył, cofnął.

-Spokoj - zakomenderowała. Kon się uspokoił. - Nie lubi podnoszenia głosu.

-Przepraszam - rzucił Roy. - Nie masz mamy?

-Przecież powiedziałam. - Dziewczyna sięgnęła do pionowej kieszeni w kowbojskiej koszuli, wyciągnęła Royowi kostkę cukru. - Niech pan mu da.

Wzial od niej kostke. Ich dlone sie zetknely. Przeszedl go dreszcz, najpierw po rece, nastepnie po krzyzu. Miala jego dlone. Delikatniejsze, bo kobiece, ale z cala pewnoscia jego. Wyciagnal reke z kostka cukru. Angus chwycil ja wargami przypominajacymi gume.

-Mam przybrana babcie - oznajmila dziewczyna. - Pan jej szuka?

-Nie - zaprzeczyl Roy. - Szukam twojej mamy.

Dziewczyna pokrecila glowa.

-Mama umarla.

-Nie!

-Juz mowilam, on nie lubi podniesionego glosu - upomniała dziewczyna, znow powsciagajac Angusa. - Jak to "nie"? Kto moze wiedziec lepiej ode mnie? Umarla dawno temu.

-Kiedy? - spytal Roy prawie szeptem.

Angus majtnal nieznacznie ogonem.

-Pyta pan o dokladna date? Nie znam. Niedlugo po moim urodzeniu.

-Jestes pewna?

-Ale czego?

-Ze mama nie zyje.

Dziewczyna zadarla podbrodek. Roy pamietal rowniez ten ruch. I ostrzejszy ton glosu.

-Co to za pytanie? Przeciez to najwazniejsze wydarzenie w moim zyciu.

Spiela Angusa, ktory wykonal obrot. Roy chwycil wodze.

-Prosze cie - powiedzial Roy. - Nie chcialem cie zdenerwowac.

-Ale pan zdenerwowal - powiedziala. - Czego pan chce? Dlaczego tak mnie pan wypytuje?

-Bo to w moim zyciu rowniez najwazniejsze wydarzenie - odparl Roy.

Stanela, przekrzywila nadgarstki, zeby wyrwac mu wodze.

-Smierc mojej mamy?

-Tak.

-Niby dlaczego?

-Zaraz ci wyjasnie. Ale najpierw mi odpowiedz. Nigdy jej nie poznalas?

Dziewczyna pokiwala glowa.

-Masz piętnaście lat? - spytał.

Po chwili znów pokiwała.

-Urodziny obchodzisz we wrześniu.

-Dwudziestego pierwszego - uscisłła. - Skąd pan wie? I kim pan w ogóle jest?

Roy spojrzał na nią.

-Była moja żona.

-Moja mama była pana żoną?

Roy wyjął portfel. W bocznej kieszonce na rzep trzymał zdjęcie Delii, którego nigdy nikomu nie pokazywał, po prostu zawsze nosił je ze sobą. I zawsze o nim pamiętał; Roy z Delią na plaży, spleceni ramionami, twarze o poważnych minach. Pokazał je dziewczynie.

Obejrzała. Zsunęła się z konia, klepnęła go lekko, odbiegł truchtem. Wzięła zdjęcie.

-To moja mama?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi ze względu na ich uderzające podobieństwo.

Dziewczyna przyjrzała się zdjęciu, nie mrugnęła okiem.

-Nigdy nie widziałam zdjęcia mamy - powiedziała cicho.

-Jak to? - spytał Roy.

Rozejrział się. Nikogo nie było w pobliżu.

-Wszystkie jej rzeczy splonęły w pożarze. - Podniosła na niego oczy. - Czy to fotomontaż? Z komputera?

-Niby po co miałbym cię oszukiwać?

Zastanowiła się, aż twarz jej się skurczyła. Przybrała taką samą zafasowaną minę jak niegdyś Delia wobec trudnych pytań.

-Chyba po nic - odparła. - Czyli był pan przedtem jej mężem?

-Przed czym?

-Przed moim tatą.

-Opowiedz mi o nim.

-Był kowbojem, tylko wtedy przejeżdżał. - Wzruszyła ramionami. - Jego też nie poznałam.

-Kto ci naopowiadał takich bajek?

-Wiem to od dziecka. - Zamysliła się. - Chyba dziadek.

-Tvoj dziadek?

Machnęła ręką, pokazując teren - zagrodę, ogrody, prywatne muzeum, rozłożysty dom, stajnie, zabudowania gospodarcze i całą ziemię.

-Calvin Truesdale jest twoim dziadkiem? Skąd ci to przyszło do głowy?

-Niezupełnie dziadkiem - sprostowała. - Chyba mnie adoptował, bo poczuł się odpowiedzialny za wypadek mamy.

-Jaki wypadek?

-Ten, w którym zginęła. Spadła z dzikiego konia, którego ujeżdżała, a nie powinna go była dosiadać. Pracowała tu jako kucharka.

Roy się uśmiechnął.

-Co pana tak bawi?

-Bo nie umiała nawet robić grzanek - wyjaśnił.

-Może się nauczyła po rozwodzie z panem albo...

-Nie rozumiesz, jakich bujd ci naopowiadali?! - rzucił Roy. Znow podniósł głos, ale Angus już nie mógł go słyszeć. - Jedna wielka brednia! Nie było żadnego rozwodu. Nie była kucharka. Nie było żadnego kowboja.

Wodziła teraz wzrokiem od Roya do zdjęcia i z powrotem do Roya.

-Jak ci na imię? - spytał.

-Adele - odparła. - Mam imię po mamie.

Nie powiedziała jednak tego oznajmującym, lecz raczej pytającym tonem.

-Twoja mama miała na imię Delia - powiedział.

-Delia? - powtórzyła Adele, znow spoglądając na zdjęcie. - Blisko, prawda?

-Prawda - potwierdził.

Po dłuższej chwili potrząsnęła głową i cofnęła się.

-Nie wierze.

Roy wziął ją za rękę, wyciągnął swoją, i zaczął porównywać, żeby zobaczyła podobieństwo.

-Jestem twoim ojcem - oświadczył.

Adele wyrwała mu reke.

-Niemożliwe.

-Przekonasz się, jak zrobimy test DNA - powiedział. - Ale gdzie jest Truesdale? On mógłby nam wcześniej wyjaśnić.

-Jak to? - zdziwiła się Adele.

-Bo opowiedziałby nam, co się stało z Delia po moim z nią rozstaniu.

-Kiedy to było?

-Rozpoczęła czwarty miesiąc ciąży.

-Zostawiła cię? - spytała Adele.

-Zabrano ją - rzekł Roy.

-Porwano?

Już chciał zaprzeczyć, ale ugryzł się w język.

-Jeszcze sprawdzam - stwierdził.

-Pietnaście lat sprawdzasz?

-Pietnascie lat zylem w niewiedzy - wyznal Roy. - A teraz sprawdzam.

-Czyli nie wiedziales, ze ona tu jest? - spytala Adele. - Nie wiedziales, ze zapadla w spiaczke?

-W spiaczke?

-Najgorsze, ze nigdy sie nie obudzila - odrzekla. - Zapadla w spiaczke kilka miesiecy przed moim urodzeniem.

-Truesdale tak ci powiedzial?

-Wiem to od zawsze - stwierdzila. - Ale nie tylko ze slyszenia. Z wczesnego dzieciństwa pamietam sprzet medyczny w baraku na Zachodnim Krancu.

-Co to jest?

-Stara szopa - wyjasnila. - Teraz zabita deskami.

-Chcialbym go zobaczyc.

-Jedzi pan konno?

I w tym momencie odezwal sie jego demon.

-Cos nie tak?

-Nic, nic - uspokoił ja Roy i wyprostował się. - Wszystko w porządku.

Bo rzeczywiście w duszy, której żadna choroba nie sięga, czuł się lepiej niż kiedykolwiek.

Rozdział 33

-Nie jesteś za młoda, żeby prowadzić? - spytał Roy. Adele usiadła za kierownicą polciezarówki. Miała ten sam model co Roy, tyle że nowszy, wyposażony w strzelbę na stojaku. Auto stało zaparkowane za stajniami, z kluczykami w stacyjce.

-Jesteśmy na ranczu - powiedziała.

Ruszyła na zachodnią drogę, oddalając się od głównych zabudowań, w stronę gór. Prowadziła pewnie, nie gorzej od Roya, panowała nad kierownicą i pedałami tak samo jak on. Mineli wielkie lake z koniami pod samotnym drzewem w oddali, przeprawili się przez płytki, błotnisty strumień i pojechali wyżej. Brazy i sucha roślinność zdominowały krajobraz.

Na szczycie wzniesienia zobaczyli wielką terenówkę z odkrytym dachem nadjeżdżającą w ich stronę.

-Ochrona - skomentowała Adele.

No nie, tylko nie teraz. Roy zeszywniał. Jak Turk z Freddym kazaliby mu postąpić w takiej sytuacji? W pierwszej chwili nie mogli sobie...

-Schowaj się - poleciła Adele.

Schował się, dosłownie wcisnął w podłogę. Miał przed oczami nogi Adele. W zakurzonej kowbojskiej butce nabijanej srebrnymi gwiazdami przesunęła się z pedału gazu na pedał hamulca. Wcisnęła go. Stanieli.

-Witaj, Adele, co słychać? - spytał mężczyzna.

-W porządku - odpowiedziała. - A u was?

-Jakos leci - odrzekł mężczyzna. - Szykujesz się na wieczorne przyjęcie?

-Mam za dużo lekcji - odparła Adele.

-No coś ty - zdziwił się mężczyzna.

-Żeby tylko pracować, a się nie bawić - rozległ się inny głos, trochę dalej, mniej wyraźnie.

-Muszę już jechać - stwierdziła Adele. - Ale mam do was prośbę. Zostawiłam Angusa w zagrodzie.

-Zaprowadzimy go do stajni - obiecał pierwszy mężczyzna.

-Nie ma problemu - dodal drugi.

-Dobrej zabawy wieczorem - rzucila i wcisnela gaz do dechy. Roy uslyszal tylko pisk opon i poczul, jak tyl zarzuca. Wyrownala bez trudu. Ktorys krzyknal za nia:

-Jupi-jej! - Ochroniarze wyraznie lubili Adele.

-Mozesz juz wstac - powiedziala.

Podniosl sie, chociaz mial drobny klopot z oddechem, ale natychmiast to zatuszowal.

Spojrzala w bok.

-Co ci sie stalo w reke? - spytala.

-Galem... - Juz mial dokonczyc "w hokeja", ale ugryzl sie w jezyk. - Od hokeja.

-Fajnie.

Jak to dobrze, ze nie dokonczyl zdania.

-Masz na cos uczulenie? - spytala Adele.

-Nie.

-Mieszczuchy od razu dostają tutaj uczulen.

-Ja nie jestem mieszczuchem - powiedział Roy. - Mieszkam w małym miasteczku w Vermoncie.

-Jest tam śnieg?

-Pod dostatkiem.

Droga się pogorszyła. Adele zgrabnym ruchem kierownicy ominęła głęboką wyrwę i spytała:

-Czym się tam zajmujesz?

-Jestem rzeźbiarzem - powiedział. - Twój... Calvin Truesdale właśnie kupił jedną z moich prac.

Chwile milczała.

-Jeżeli wszystko, co mówisz... - zaczęła, urwała. - Dziwne.

-Prawda?

Mimo dwustu pięćdziesięciu tysięcy niczego nie podejrzewał; Kto przy zdrowych zmysłach... jak się wyraziła jego rodzona matka. Już wiedział, że snuć podejrzenia nie należy do jego najmocniejszych stron.

Góry się zbliżyły, ale nie były wysokie. W zagłębieniu u ich podnóża stał niewielki prostokątny budynek, który mógł się poszczycić jedynymi liniami prostymi w okolicy. Kazał nad nim wielki czarny ptak.

-Ucze sie sztuki opcjonalnie - oznajmila Adele.

Nie zrozumial.

-W szkole - dodala. - W schowku lezy jedna moja praca.

Otworzyl, wyjal kartke zwinieta w rulon. Rozwinal; akwarela przedstawiajaca martwa nature - konska podkowa, mlotek, gwozdzie, wszystko porzrucane na wieku beczki w cieniu. Gwozdzie sprawialy wrazenie lekkich, podkowa ciezkiej, a mlotek najciezszej. Mlotek rzucal niejako matowy blask.

-Niezle - pochwalil.

-Dostalam czworke - powiedziala.

-Czworke?

-Od nauczycielki.

Rozesmial sie.

-Co w tym smiesznego? - spytala.

Zrozumial, ze dziewczyna nie docenia wlasnego talentu.

Droga piala sie stromo, zakrecala za kopcem kamieni, konczyla przed barakiem. Poszarzale drewniane sciany, okna zabite dykta, drzwi zamkniete na zamek szyfrowy. Wysiedli. Dookola zupelna cisza, nad nimi bezmiar nieba, bezchmurnego, lecz nie blekitnego, jak gdyby przetoczyla sie nieopodal wielka burza

piaskowa. Moze jednak niezupełna cisza, bo Roy uslyszal cichy, rytmiczny stukot. Przez chwile nie wiedzial, co to za dzwiek. Chociaz dobiegal z jego piersi.

Adele podeszla do drzwi, otworzyla szyfrowy zamek. Trzasnal, ustapil. Obejrzala sie na Roya.

-Czasem tu zagladam.

Weszli. Przez drzwi wpadlo swiatlo, przez szpary tu i owdzie przedostaly sie promienie. Barak byl w srodku dlugi, waski i pusty. Tylko w jednym kacie stala miotla, a w największym snopie swiatla - stolec. Roy spodziewal sie kurzu, pajeczyn, pajakow, moze nawet jaszczurki albo jaszczurek, ale bylo zamiecione do czysta.

Doszedl do konca.

-Jakie tu byly sprzety medyczne? - spytal.

-Nie pamietam - wyznala Adele. - Chyba lozko szpitalne, opatrunki. Bylam mala.

Roy usiadl na stolku, usilowal sobie wyobrazic lezaca tam, byc moze w spiaczce, Delie. Wiedzial tylko, ze Janet widziala ja na tylnym siedzeniu limuzyny, ranna, lecz przytomna. Przezyla kleske Operacji Ananas i przyjechala... lub zostala przywieziona... tutaj?

-Co to za dzwiek? - spytal.

-Myszolow - powiedziala Adele. - Wyladowal na dachu.

Roy wstal, znow poczul sie niezgrabnie wysoki, zwalczyl w sobie to odczucie. Na surowych scianach z nieheblowanych, sekatych sosnowych desek zobaczyl wyryte inicjaly: SJW, BT, KLN i jeszcze jakies przezwiska: Krol Rico, Koles, Ciacho. Nie znalazl DS ani Delii. A sadzilby, ze zostawi po sobie slad.

Obszedł barak, obejrzał ściany. Nic, z wyjątkiem... No właśnie, co to było? Ukląkł w kącie obok miotły. W ścianie, metr nad podłogą, zobaczył dziwny wyrzeźbiony kształt, bardzo mały, nie większy od wizytówki.

Przesunął po nim palcem. Litera V do góry nogami, tyle że rozkraczona, a w połowie jednego ramienia wystawał kwadracik. V do góry nogami i kwadracik... niczym tajemniczy piktogram naskalny w jaskini wykonany przez nieznanego artystę.

-Widziałam to - powiedziała Adele, stając za nim. - Wiesz, co myślę?

-Co?

-Ze to rysunek tego miejsca, w którym się znajdujemy. Baraku i góry.

Miało sens. Znużony kowboj, leżąc w łóżku, mógł wydrapać coś takiego na ścianie.

-Chociaż autor rysunku się pomylił - dodała.

-Jak to?

-Bo ten barak znajduje się u podnóża góry, a nie w połowie.

Pokiwał głową.

-Masz dobry... - I wtedy zrozumiał. Kwadracik w połowie góry to schronisko. - O Boże.

-Co? - spytała Adele.

Roy zaczął wodzić palcami po rysunku niczym po liście napisanym brajlem, jak gdyby przez dotyk mógł dotrzeć do prawdy. I rzeczywiście. Gdybyśmy się rozdzielili, gdybyś mnie nie mógł znaleźć... To Delia wyryla ten rysunek. Wmówił sobie nawet, że poznaje jej reke. Nie miała ani krztyny zdolności artystycznych.

Ostukał ścianę, nie usłyszał nic. Daj spokój, Roy, nawet ty wiedziałeś, że kryjówka nie może być oczywista. Chciał obłuzować deskę. Nacisnął ją, ale nie ustąpiła.

Czyżby chciała tylko powiedzieć: Byłam tutaj? Gubił się w domysłach. Uderzył mocniej, bokiem ręki. I tym razem nie usłyszał głuchego dźwięku, ale sek w desce pod spodem - pięć, siedem centymetrów od rysunku - wypadł i upadł mu do stóp. W ścianie ukazała się dziura wielkości pięści.

Spotkaj się ze mną tutaj.

Próbował włożyć reke do środka, ale dziura była wielkości małej pięści. Adele ukleknęła za nim, wsadziła dłoń, pomacała. Po wyciągnięciu trzymała w niej pozłokła, ciasno złożoną kartkę papieru. Ze zdumioną miną podała ją Royowi. Rece mu się trzęsły, kiedy ją rozkładał.

Roy

Wiedziałam, że mnie znajdziesz. Mam nadzieję, że niebawem. Nie ze względu na mnie, bo jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że nie żyje, ale ze względu na ciebie i nasze dziecko. Poznałeś już prawdę na temat Instytutu Hobbesa? To tajna agentura, sekretna misja kierowana z gabinetu wiceprezydenta, sponsorowana przez kilku bogatych Teksanczyków. Oczywiście całkowicie nielegalna. Gdyby wyszła na jaw, wiceprezydent trafiłby do więzienia albo stracił urząd, gdyby dotarł do Białego Domu. A może już dotarł? Jeżeli tak, miej się na baczności. Po tym, co się stało, przypuszczalnie zacierają ślady po IH, a może już to zrobili. Uwważaj, Roy. Ci ludzie nie mają hamulców. Strzeż się kobiety imieniem Lenore.

A teraz oczywiste pytanie - chociaż lubię, wręcz uwielbiam w tobie to, Roy, że nie zadajesz pytań - Co wiedziałam i od kiedy?

Przysięgam, że z początku nic nie wiedziałam. Prawde poznawałam stopniowo, tak jak dziecko uczy się chodzić. Może nie wykazałam dostatecznie dużo ciekawości, skąd pochodzą pieniądze. A cele wydawały mi się słuszne. Z początku. Naprawdę istniał projekt wenezuelski - połow muszli. Potem zakradły się aspekty negatywne. To niebezpieczny świat, a będzie jeszcze groźniejszy, może zresztą już jest, kiedy czytasz te słowa. Na koncu już nie mogłam więcej znieść. Pewno uznasz, że zniosłam i tak za dużo. O wiceprezydencie dowiedziałam się o wiele za późno. A byłam młoda. Jestem młoda!

Operacja Ananas - co za idiotyczna nazwa! Tom miał naprawdę rozbudowane poczucie ironii - miałam zakończyć swoją misję, niezależnie od owego fatalnego rozstrzygnięcia. Omal się przed Tobą nie wygadałam! Pamiętasz, kiedy Paul po mnie przyjechał? Powiedziałeś, że może zaczekać pięć minut. Pogryzłam sobie wtedy usta od środka aż do krwi. Może gdybys jeszcze raz powtórzył, że zawsze jest czas na jajka na bekonie, bo bez nich życie straciłoby sens!

Na pustyni marokkańskiej znajduje się straszne więzienie. Ci ludzie są niby po naszej stronie, ale mieli wypuścić bardzo groźnego człowieka. Może kiedyś o nim usłyszysz, oby nie. Wszystko poszło nie tak. Burza piaskowa, smigłowiec spadł, usłyszałam krzyki w różnych językach. Wciągnęłam Paula z powrotem do kokpitu, ale za późno. Ależ on na mnie spojrzał, kiedy już wiedział, że umiera. Jak operacja zaplanowana przy biurku może się tak niefortunnie skończyć, mój Boże. Dopiero kiedy transportowano nas samolotem, zrozumiałam, że mnie postrzelono. W głowę, Roy, ale nie przejmuj się. Pocisk mi wyjął, choć nie wiem nawet gdzie, bo ten szczegół zatajono, i przywiezli mnie tutaj, żebym wydobrzała. Powiedzieli ci coś o opóźnieniu w Wenezueli? To już dawno nieprawda, stąd wiem co nieco o ich planach. Niestety, w ferworze trochę im wygarnęłam, powiedziałam, co naprawdę myślałam. Cholera, powinnam była trzymać język za zębami, bo przestali mi wierzyć. I słusznie.

Ale jestem teraz silniejsza, niż sądzą, i mam plan ucieczki dla siebie i dla malej, dla nas obu. Tak ją na razie nazywam - moja mała - zanim wyrazisz swoje zdanie. Zobaczysz, że ja pokochasz, Roy. (Ma twoje dłonie).

Wierz mi, że przeżywałam katusze, zatajając wszystko przed Tobą. Ale nie chciałam Cię skrzywdzić, Roy, a poza tym naprawdę wstydziłam się powiedzieć.

Wybacz mi.

Delia

Podal list Adele. Wyszedł. Myszolow poderwał się z dachu, wzbil się po poszarzałym niebie, kolując coraz wyżej. Roy milczał, do oczu cisnęły mu się łzy. Chociaż umarła mu już dwa razy, kto by miał czas na łzy?

Adele wyszła i na niego spojrzała. Cała twarz miała zalana łzami.

-Na pewno jesteś moim tatą?

-Na pewno - potwierdził Roy.

-Co robimy?

-Ty zostań tutaj - zarządził Roy i zrozumiał, że podjął pierwszą ojcowską decyzję.

Adele wierzchem ręki otarła łzy.

-Nie ma mowy - powiedziała.

Wsiedli do polciezarowki, Roy zajął miejsce za kierownicą. Nacisnął guzik, którym włączył nadajnik Freddy'ego. Przeczytał na głos list Delii, prawie do końca spokojnym głosem. Podczas drugiej lektury zauważył, że ktoś mógłby się w nim dopatrzeć egoizmu. No i co z tego? Co do wybaczenia, to raczej on powinien prosić o wybaczenie. Przeoczył tyle aluzji, tyle okazji, żeby się domyslić. Wiedział, że zawiodł Delie. Złożył list bardzo ostrożnie i schował do kieszeni.-Czy ktoś tego słucha? - spytała Adele.

-Mam nadzieję - odparł Roy.

Adele pokiwała głową. Najwyraźniej rozumieli się bez słów. Czyżby to były jego pobożne życzenia? Tak się zagalopował? Spojrzał na nią, zobaczył jej delikatny dziewczęcy kark, zupełnie nieprzypominający Delii ani jego.

-Nic z tego nie rozumiem - wyznała Adele. - Wiem tylko, że nigdy nie lubiłam przebywać w jego towarzystwie, chociaż tak mnie obdarowywał. Dlatego czułam wyrzuty sumienia.

-Teraz się ich pozbedziesz - stwierdził Roy.

Nie zawiedzie jej. Przekreślił kluczyk i wrócił tą samą drogą przez suchą równinę do zielonej oazy posiadłości.

Zaparkował za stajniami.-Zostan tu, dopóki po ciebie nie przyjdę.

-Dlaczego?

-Później ci wyjaśnię.

W pierwszej chwili ją to zdenerwowało, ale zaraz się roześmiała wesoło i bez troski. Ten śmiech dzwierał mu w uszach, kiedy przemierzał ogrody, piękne ogrody pełne najrozmaitszych kwitnących kwiatów. Roy poczuł się niemal jak dawniej. Ale kiedy minął wielkie dwuskrzydłowe drzwi do galerii, teraz otwarte na oścież, demon znowu wyskoczył i szybko, podstępnie chwycił w szpony jego serce, zanim zdolało umknąć. Scisnął je mocniej niż kiedykolwiek przedtem, jak gdyby wyciśnął mgłę. Roy jęknął, zwinął się we dwoje, osunął na podłogę przy drzwiach.

Po chwili ból nieco zelżał. Roy usiłował nabrać powietrza, które całkiem z niego uszło przy upadku, ale nie mógł, jak gdyby płuca mu skamieniały. Usłyszał hiszpańskie głosy. Z galerii wyszli pracownicy w roboczych strojach, z pudełkami z drugim śniadaniem, i skierowali się w stronę budynku za stajniami. Zaden się nie obejrzał, toteż zaden nie zobaczył go w tej awaryjnej sytuacji, kiedy chwycił powietrze, wypinając piers, wyginając łokcie do tyłu. Trochę pomogło. Powietrze przecisnęło się do środka, utorowało sobie ciasny przesmyk - wystarczyło, żeby przetrwać. Wyprostował się i wszedł do prywatnego muzeum Calvina Truesdale'a.

Nigdzie ani śladu postumentu zakrytego brezentem. Delia stała w niszy z rusztowaniem z boku. Dach rozsunięto, toteż do środka wpadało światło. Dziwne zakurzone światło dawało efekt sepii, który Royowi się nie spodobał. Wszedł do niszy, zobaczył, że Delia wygląda na staw z rozłożystym drzewem na drugim brzegu. Na jednym z górnych konarów siedział myszolak.

Na marmurowej posadzce zadudniły kroki. Roy się odwrócił. Do niszy wszedł Calvin Truesdale z aparatem kamery w ręce. Zobaczył Roya, potknął się, zachwiał.

-Zmieniłem zdanie - rzekł Roy. - Nie sprzedam ci jej.

Zdumiał go jego własny spokój. Nawet pamiętał, żeby wcisnąć guzik.

-Roy? - Truesdale rozdziawił usta, zamknął, ponownie otworzył. - Nie rozumiem. - Twarz mu stęzala, zaraz jednak wróciło opanowanie. - Przecież widziałem twój nekrolog. - Roy nie skomentował. Czuł, jak szybko pracuje mózg Truesdale'a. - Najwyraźniej kolejny dowód na to, że nie wolno wierzyć we wszystko, co piszą w gazetach - dodał. - Bo chyba, Boże drogi, nie wciągnąłeś się w jakiś spisek, co?

Rozejrzał się. Czyżby na jego twarzy zagroził strach? Choćby tylko przelotnie. Miła satysfakcja.

-Zabawa skończona - powiedział Roy. Przez otwarty dach dobiegł go z oddali warkot. - Instytut Hobbesa, cokolwiek teraz robisz... wszystko wyjdzie na jaw.

-Zebym to ja wiedział, o czym teraz mówisz...

Ale Roy mu przerwał.

-Wykluczasz, żeby Tom się wygadał? Albo Westie? - Truesdale wyciągnął szyję w agresywnym, gadzim odruchu. - Albo Delia?

Truesdale oblizł usta.

-Delia?

-Napisala do mnie list. - Roy wyjal go z kieszeni. - Wszystko tu jest. O tym, jak ja wieziles, o Operacji Ananas, wiceprezydencie.

Truesdale spojrzal na list. Odlozyl kamere na stolek. Roy sie cofnal, wpadl tylem na rusztowanie.

-Skad go masz? - spytal Truesdale.

Wszystko zaczelo sie ukladac Royowi w glowie w sensowna calosc.

-Od lat zastanawial cie ten rysunek na scianie, prawda? A potem Lenore zaczela weszyc w Ethan Valley, dowiedziala sie o schronisku, dlatego sadziles, ze rozwiazales zagadke.

-Skad go masz? - powtorzyl pytanie Truesdale.

-Dowiesz sie w sadzie - odparl Roy.

Demon jednak nie przejal sie tym stwierdzeniem, bo znowu zacisnal szpony na sercu Roya.

-W sadzie?

-Czeka cie mnostwo spraw sadowych - powiedzial Roy.

Truesdale postapil krok naprzod. Roy cofnal sie pod rusztowanie, dalej juz nie mial gdzie.

-Nie zawsze tak sie to konczy - rzekl Truesdale. - Owszem, nasz kraj ma wrogow, wrecz smiertelnych wrogow, ktorzy nie przestrzegaja zasad cywilizowanego swiata. Pomyśl, jaka bron im dasz do reki, jezeli

podkopiesz nasze instytucje, chociazby urzad prezydenta. Nie rozumiesz, jakie moze to pociagnac konsekwencje?

Roy poczul sie wolny od trosk, nienarazony na zadne konsekwencje.

-Ona nigdy nie miala wyjsc z tego baraku, co? - spytal. - Od poczatku chciales ja zabic.

-Alez skad - zaprzeczyl Truesdale. - Byla dla nas zbyt cenna.

-Tylko nie wmawiaj mi, ze byla szefem - rzekl Roy.

-Nie wiesz, ze wszyscy widza swiat w swietle, w ktorym sami wygladaja korzystnie? - spytal Truesdale. - Jezeli lzej ci z tym na duszy, mozesz ja nazwac kierowniczka sredniego szczebla. - Warkot sie nasilil, podzielil na dwa osobne pomruki. Roy spojrzal w gore przez otwarty dach; niebo bylo puste. Kiedy spuscil wzrok, zobaczyl pistolet w rece Truesdale'a. - A teraz oddaj mi list.

-Nie waz sie go tknac - ostrzegl Roy.

Kostka na palcu wskazujacym trzymajacym cyngiel az zzolkla. Nastapil wybuch. Roy poczul uderzenie w reke, tyle ze w lewa, ostatnio niezbyt tak przydatna, natomiast nie poczul bolu. Szkoda tylko, ze trzymal w niej list, bo wyslizgnal sie i pofrunal w strone niszy. Obaj rzucili sie za nim, lecz nie mieli rownych szans. Truesdale zlupal pierwszy. Zgarnal go zdumiewajaco szybkim ruchem i znow wycelowal w Roya.

-Nie dales mi wyboru - powiedzial Truesdale, jak gdyby Roy juz nalezal do przeszlosci.

Ta uwaga go oburzyla, a widok listu w szorstkiej rece Truesdale'a jeszcze bardziej. Roy wspial sie na palce, zakolysal, kiedy uslyszal nad glowa warkot przechodzacy w glosny ryk. Obaj podniesli wzrok, zobaczyli chmare helikopterow. Helikoptery mogly oznaczac smierc, ale nie te. Wszystkie mialy na bokach nazwy rozmaitych mediow.

Truesdale otworzył usta. Roy rzucił się na niego, może nie tyle rzucił, ile padł bezwładnie. Truesdale za późno zauważył jego ruch. Roy upadł, uderzając go w nogi i obaj przewrócili się na podłogę. Truesdale nadział się głową na promień w niższych partiach Delii. Rozległ się trzask przypominający dźwięk rozłupywanego drewna, który przebił się nawet przez rumor dookoła. Truesdale już się nie poruszył.

List leżał na podłodze. Roy go podniósł. Wstał, otrząpiał się, ruszył ku dwuskrzydłowym drzwiom. Helikopter opuścił się, wychylił się z niego operator, który skierował kamerę na Roya. Roy uśmiechnął się, pomachał.

Tak, czuł się wolny od trosk. Nie mam ci czego wybaczać, kochanie. Przyszedł mu do głowy pomysł na nową pracę - już nie tak masywna jak ostatnie, bardziej przypominająca...

Lecz demon nie wytrzymał. Scisnął serce Roya wyjątkowo mocno, żeby pokazać, kto tu rządzi. Roy padł na wznak, wszędzie dookoła czuł zapach kwiatów. Czyżby przyszedł śnieg?

Nad sobą widział twarze Turka i Freddy'ego. A wysoko w gorze chmury helikopterów. Tur, tur, tur. Zwycięstwo? Tak, i to podwójne.

-Gdzie jest Adele? - spytał.

-Tu jestem - powiedziała. Jego córka kleczała obok i głaskała go po głowie. Drżąca ręka dodawała mu otuchy. - Pomoc już jedzie.

-To dobrze - stwierdził Roy.

Optymizm wobec własnego dziecka to podstawa. A niedokonczona praca? Coż to miało za znaczenie? Ważne, że uporządkował odpadki własnego życia, nadał mu sens. Igloo zamykało się nad jego głową, a lodowe bloki wznosiły się w zatrważającym, nieludzkim tempie. W końcu otrzymał nieoczekiwana premie, wręcz błogosławieństwo, w postaci własnej - odzyskanej - córki.

